

Gage Elizabeth

Błysk pończoszki 03

Christine

I

Los Angeles Times, 11 grudnia 1970

Aktorka Annie Havilland, ciesząca się dużym rozgłosem po roli w ostatnim filmie Damona Rhysa, doznała ubiegłej nocy poważnych obrażeń w wyniku katastrofy w kanionie, znajdującym się zaledwie dwie przecznice od domu pana Rhysa w Hollywood Hills.

Funkcjonariusze policji w Beverly Hills powiedzieli dziennikarzom, że samochód panny Havilland złamał barierę zamykającą ślepa uliczkę i stoczył się do głębokiego wąwozu. Pana Rhysa nie było w tym czasie w domu.

Rzecznicy z kliniki przy Uniwersytecie Kalifornijskim określili stan panny Havilland jako krytyczny. Wcześniej rano poddano ją operacji jamy brzusznej, której wyniku nie ujawniono. Mówi się, że ofiara wypadku ma straszliwie pokaleczoną twarz, kark, kręgosłup oraz liczne złamania.

Policjanci obecni na miejscu wypadku ujawnili dziennikarzom, że tej tragicznej nocy panna Havilland prowadziła samochód bez pasów bezpieczeństwa.

Pani Sonderborg złożyła *Timesa* i odłożyła go na bok. Artykuł dotyczący Annie Havilland rozpoczął się na pierwszej stronie, a dokończenie znajdowało się wewnątrz numeru. Postanowiła, że przeczyta je później. Teraz uśmiechnęła się ponad stołem do swojego męża.

Ralph był dzisiejszego ranka w dobrej formie. Czekają go cotygodniowe spotkanie w klubie, gdzie będą go masować, skakać koło niego i rozpieszczać. A potem relaksująca gra w squasha z osiemdziesięcioletnim przyjacielem.

Czyniła mu wymówki, by go zniechęcić do tych sportowych wyczynów, które źle wpływały na jego osłabione serce. Nie wyglądał dobrze przez ostatnie kilka lat i doktor zalecał mu unikanie wszelkiego wysiłku. Jednak w głębi ducha było jej zupełnie obojętne, co robi ze swoim ciałem.

W każdym bądź razie, dzisiaj czuł się dobrze. Ona też.

A kariera Annie Havilland była skończona.

Pani Sonderborg lubiła katastrofy. Lubiła słuchać o tym, że zdarzają się na całym świecie, szczególnie jeśli przydarzały się ludziom, którymi się interesowała. Przynosiło jej to pokrzepienie i było niewyczerpującą formą rozrywki. Ponieważ świat byłby nudny, gdyby nie był okrutny.

Co oni zrobili tej małej Annie, że wjechała do przepaści? Czy to z powodu tej całej nieustającej nagonki mass mediów?

Nie. Pani Sonderborg była o tym w zupełności przekonana. Nawet takie zbiorowe okrucieństwo nie mogło złamać dziewczyny z rodu Havillandów. Była zbyt uparta, zbyt zapatrzona w przyszłość.

To musiało być coś innego. Coś bardziej osobistego, co spowodowało załamanie, o jakim świat zewnętrzny nie miał pojęcia.

No cóż. Pani Sonderborg miała pewne plany związane z osobą Annie Havilland, być może już tej wiosny, ale ten wypadek wszystko zmieniał. Będzie musiała pomyśleć o czymś innym.

Wróciła ponownie myślami do męża. Specyficzne poczucie ironii, skojarzeń i asonansów nakazywało jej wybrać ten właśnie moment, aby dobić Keatinga.

Przygotowywała do tego grunt, urabiając Ralpa tygodniami, a teraz nadszedł odpowiedni czas.

— Kochanie — powiedziała — myślałam o tym, co powiedziałeś na temat Russa.

Celowo użyła jego imienia, a nie nazwiska, jak to zwykle robiła.

Mąż zaczerwienił się. Odłożył swój *Wall Street Journal* i spojrzał na nią złymi oczami.

— Obawiam się, że miałeś rację — kontynuowała,

podsycając jego gniew. — Myślę, że mimo wszystko nie można mu ufać. Po tym, jak rozwiódł się w taki sposób z żoną, zostawiając ją z trójką małych dzieci...

— To, nie jest tak — warknął Ralph w rosnącym zdenerwowaniu. — Powiedziałem, to nie o to chodzi. Czyjeś prywatne życie mnie nie interesuje.

Zacząła go podburzać przeciw Russowi miesiąc temu, tuż przed separacją Keatingów. Wyznała mu z zakłopotaniem, że Russ usiłował się do niej dobierać, kiedy zostali na chwilę sami, tamtego wieczoru, w który Keatingowie zaprosili ich na obiad do swojego małego domu.

Ralph chciał go z miejsca wyrzucić z pracy, ale ona wstawiła się za tym chłopakiem, oskarżając się o przewrażliwienie i stwierdzając, że ten epizod był prawdopodobnie zupełnie niewinny. Obwiniła się o fałszywe zinterpretowanie faktu, który był tylko niesfornym zachowaniem spowodowanym kilkoma drinkami.

Pomyślała sobie, że przyjemnie będzie przedłużyć egzekucję Russa i obserwować jego powolne konanie.

Tak więc ostrzegła go przed gniewem Ralph'a. Powiedziała mu, że jedna z jej przyjaciółek, okropna plotkarka, widziała ją z Russ'em w jego samochodzie i opowiedziała o tym Ralphowi wzbudzając w nim podejrzenia.

Wymogła na Russie obietnicę, że nie zbliży się do Ralph'a, by się wytłumaczyć. Zapewniła go, że sama to z Ralph'em załatwi.

Lecz w następnych tygodniach zaczęła udawać zmartwioną. Wyznała Russowi, że jego rozwód spotęgował jeszcze podejrzliwość Ralph'a.

Uważał on, że Russ jest nieodpowiedzialny i dwulicowy. Ralph był bardzo pruderyjny w sprawach seksu, tak więc mógł nie zarekomendować Russa na stanowisko wiceprezesa. Tym samym awans, nad którym ona sama tak długo i ciężko pracowała, może nie dojść do skutku.

W międzyczasie, w domu, coraz bardziej jątrzyła Ralph'a, tak że jego stosunek do Russa jako pracownika jego banku, stał się lodowaty, wręcz wrogi.

Kontynuowała z całym zaangażowaniem grę na dwa fronty, czyniąc Ralphowi wymówki, że jest zbyt surowy i pochopny w swoich sądach, z drugiej strony dając mu co

rusz do zrozumienia, że Russ jest aroganckim, młodym rozpustnikiem, napalonym na to, żeby ściągnąć kosztowne jedwabne majtki pani Sonderborg.

Ralph był z natury zbyt powolny i flegmatyczny, by łatwo popadać w zazdrość, ale w końcu zdołała dotrzeć do jego czułych miejsc. Teraz miał obsesję na punkcie Russa i tylko dzięki jej zabiegom młody człowiek utrzymywał się jeszcze w pracy. Ona go tolerowała, a on przyzwyczał się do tej sytuacji, płacąc alimenty żonie i dzieciom i mieszkając w taniej klitce gdzieś w mieście. Czekał, aż pani Sonderborg wyciągnie go z tej trudnej sytuacji, wierząc w jej obietnice, że lada dzień rozwiedzie się z Ralphem, poślubi go i od tej pory będą żyli szczęśliwie.

Tak więc teraz nadszedł jej czas.

— Myślałam nad twoimi zarzutami pod adresem Russa — zwróciła się ponownie do męża. — Miałeś rację, najdroższy. Russ miał chyba rzeczywiście jakieś złe zamiary. Jego zachowanie w stosunku do mnie od tamtego czasu jest... no cóż... jest, delikatnie mówiąc, niestosowne.

Przykro mi to mówić, gdyż byłam jego największą obrończynią, ale myślę, że od samego początku twój instynkt cię nie zawiódł.

Ralph rozpromienił się z ulgą. Był z niej taki dumny! Była jego najbliższym doradcą, jedyną osobą, której sądom ufał bez zastrzeżeń. A teraz potwierdziła, że przez cały ten czas miał rację. Ten młody Keating jest żółtodziobem, żigolakiem przekonany o tym, że jego aparycja rzuca mu świat do stóp. Nie, nie zamierza mu ułatwić drogi do steru *First National*. Nie poprze jego awansu. Jest wyraźnie niezrównoważony i egoistyczny. Dowodem na to jest jego rozwód.

— Zajmę się tym w poniedziałek rano — powiedział zdecydowanie. — Poniedziałek będzie jego ostatnim dniem w pracy.

— Czy naprawdę jesteś tego pewien, kochanie? — spytała słabym głosem, jakby przerażona siłą jego determinacji.

— Już podjąłem' decyzję. Nie zawracaj sobie tym

dłużej główki, moja droga. Wystarczająco długo grałaś rolę adwokatki diabła. W końcu to ciebie chciał wykorzystać.

— No cóż, skoro tak uważasz... — zgodziła się posłusznie.

Mówiąc to zerknęła raz jeszcze na nagłówek artykułu o Annie Havilland. Wyobraziła sobie pokiereszowaną twarz pod tymi wszystkimi bandażami i ten potworny ból... Dziewczyna była bezradną kaleką, poranioną i bliską śmierci.

Uśmiechnęła się do męża z błyskiem w oku.

— Dlaczego nie mielibyśmy zjeść dziś wieczorem obiadu tylko we dwoje, kochanie? — spytała. — Tylko my dwoje. Dam pani Ames wolny wieczór. Brakowało mi ciebie ostatnio. Pracowałeś tak ciężko...

Podstarzała twarz znów się rozjaśniła. Ralph Sonderborg był zachwycony. Czeką go nie tylko przyjemny dzień w klubie i perspektywa pozbycia się wreszcie tego Keatinga, lecz także wieczorne, intymne, tak rzadkie sam na sam z żoną, dzięki któremu znów poczuje się prawdziwym mężczyzną. Subtelny błysk zaproszenia w jej oczach nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

Nie wiedział, że jedynie wzrok żony wyrażał przychylność. W głębi swojego ja dyszała pogarda. Dziś wieczór da Ralphowi coś, co go uszczęśliwi. To nie było dużo w zamian za przyjemność totalnego zniszczenia Keatinga.

Ta gra bawiła ją. Ale teraz mysz była martwa, a kot zmęczony tym sportem. Czas najwyższy trochę odpocząć.

Potem poszuka czegoś nowego.

Raz jeszcze pomyślała o Annie Havilland. Ta dziewczyna była skończona, to jasne. Dlatego też ten mały „wyzysk”, jaki zaplanowała dla niej, tak prosty i tak skuteczny, już nigdy nie będzie potrzebny.

Być może.

Być może.

Harmon Kurth usłyszał wiadomość od swojej sekretarki, która była w kontakcie ze szpitalem od wczesnych godzin rannych.

— Czy jest bardzo źle? — rzucił z pozorną troską w słuchawkę telefonu.

— Gorzej, niż mówią rzecznicy — odpowiedziała. — Kręgi szyjne są wygięte w wielki znak zapytania. Nie odzyskała jeszcze przytomności, więc trudno im stwierdzić, czy jest sparaliżowana. Ma straszliwie pokiereszowaną twarz, złamaną szczękę, poważne obrażenia nosa i czoła. W nocy zrobili jej już jedną operację plastyczną, ale czeka ją jeszcze kilka podobnych.

— Jak wygląda nasza sytuacja ubezpieczeniowa?

— Ona jest ubezpieczona. Była u nas na kontrakcie. Lecz ponieważ nie był to wypadek przy pracy, nie będziemy odpowiadać z jakiegokolwiek powództwa cywilnego.

— Dziękuję — Kurth odłożył słuchawkę. Siedział bez ruchu, gryzmołąc piórem małe krzyżyki

na kartce papieru. Trybiki w umyśle obracały się gładko.

Wiedział, że jego problem mógł z powodzeniem zostać rozwiązany przez jeden wypadek samochodowy.

Myśl ta spowodowała, że poczuł krótkie ukłucie żalu, iż o tej subtelnej, zmysłowej Annie Ha villand, która stała się nieśmiertelna za sprawą *Godziny nocy*, najprawdopodobniej już nigdy nie będzie się mówić. W takich przypadkach operacje plastyczne rzadko przywracają ludziom poprzednią urodę.

Anioł seksu.

Kurth uśmiechnął się. Teraz może już zakończyć polowanie i odwołać psy.

Lecz jego brwi w tym momencie zmarszczyły się. Wiedział, że nigdy dość ostrożności. Na tej maksymie zbudował swoją karierę.

Jej gra w filmie Rhysa wryła mu się głęboko w pamięć. To był talent, którego należało się obawiać.

Przypomniał sobie sposób, w jaki ucisnęła jego rękę na przyjęciu w *International*, jej oczy pozbawione jakichkolwiek emocji, uśmiech tak obojętny, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

Uwadze Kurtha nie umknęły żelazna ambicja i nienawiść ukryte pod tym uśmiechem. W połączeniu z ogromnymi, wrodzonymi zdolnościami tworzyły broń, która mogła przetrwać nawet po utracie urody.

Zatem lepiej będzie nie odwoływać Dugasa. Niech dalej wykonuje swoją robotę.

Coś mówiło Kurthowi, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim ta dziewczyna naprawdę się skończy.

Damon Rhys był zapity w trupa w kantynie w Cuernavaca, kiedy młody chłopak przyniósł mu wiadomość od Conchaty, jedynej osoby, która cały czas znała miejsca jego pobytu.

— Señor — powiedział posłaniec, ciągnąc bezwładnego mężczyznę za rękaw. — Wiadomość dla pana. Bardzo ważna. *Por favor señor.*

Dopiero połączone wysiłki barmana, chłopaka i fryzjera z sąsiedztwa zdołały przywrócić Rhysa do częściowej przytomności.

Kiedy doszedł do siebie, przeczytał kartkę, posłał chłopaka po gazetę i uświadomił sobie, co się stało.

Poprzez kłujący ból spowodowany kacem, poczuł nagły, bezsilny gniew. Shain — pomyślał — ty skurwysynu...

Powinien był przewidzieć, że to się tak skończy.

Ale dlaczego winić Eryka Shaina? On nic nie mógł za to, że taki był.

Powinien raczej winić tych skurwieli z *International*, którzy rozdmuchali całą tę kampanię reklamową, plugawiając zarówno Annie jak i jego film.

Robili w ten sposób dla niego pieniądze, to fakt, Bóg jeden wie, że dla siebie również, ale to oni byli w dużej mierze odpowiedzialni za ten wypadek.

Jednak najbardziej ze wszystkich winił siebie.

Od trzydziestu pięciu lat żył nie licząc się z nikim. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może być komuś potrzebny. W gruncie rzeczy zbudował swoje życie jako pisarz i alkoholik, na świadomości, że posiada przyrodzone prawo do liczenia na ludzką wyrozumiałość i pomoc,

nie będąc zobligowanym do dawania czekogolwiek w zamian.

A teraz Annie leżała tam bliska śmierci.

Bez wątpienia jechała do niego.

Znał ten wawóz. Być może ostatnią rzeczą jaką zobaczyła, zanim wpadła do niego, był jego ciemny, pusty dom.

Po zakończeniu *Godziny nocy*, w swoim cholernym egoizmie myślał tylko o sobie i o tej bolesnej niemocy, poprzedzającej nadejście kolejnej inspiracji. W takich okresach zawsze czuł się wyjątkowo wrażliwy i dawał sobie upust, folgując wszystkim dziecinnym i destrukcyjnym zachciankom.

Tak więc zostawił ją samą sobie, nie myśląc o niej prawie wcale, kiedy całe miasto próbowało ją zabić.

A ona mimo wszystko go potrzebowała i przyjechała do niego po pomoc. Gdyby był w domu, mogłaby być teraz bezpieczna i zdrowa.

— Felipe — zwrócił się do barmana — postaw mnie na nogi. Muszę zatelefonować.

Dziesięć minut później był już w hotelu, pakując, torbę na lot do Los Angeles.

Pieprzony pijak — myślał o sobie. — Pieprzony, beużyteczny pijak.

Utrzymajcie ją przy życiu, dopóki tam nie dotrę.

Palce mu drżały. Żołądek bolał. Rozsadzało mu głowę. Świat nigdy dotąd nie wydawał się tak skacowany.

Pieprzony pijak.

II

W dół, w dół, w dół...

Schody, którymi zbiegała, ciągnęły się szyderczo w nieskończoność.

Nogi poruszały się jak w gęstej wodzie.

Aż nagle znalazła się w cuchnącym zgnilizną salonie, szarpiąc rękę ojca, absurdalnie próbując go zbudzić. Wiedziała, że się nie obudzi, ponieważ jest martwy. Był kimś obcym.

Ni stąd, ni z owąd, ręka stała się ręką małej dziewczynki, a ona ją ciągnęła, ciągnęła, chociaż już wiedziała, że niosła jej tylko zgubę. I rzeczywiście, śliczna dziewczynka otworzyła oczy, z których zaczęły wypływać płomienie ognia. Annie próbowała się wyrwać, lecz kruche dłonie ścisnęły ją coraz mocniej, odbierając jej wszystkie siły, obrzucając ją obrzydliwie lepka, płonąca smoła.

A płomienie lizały powoli jej nogi, trawiły nocną koszulę. Jednocześnie dookoła zaczęły spadać kawałki rozpadającego się domu, których łoskot był w ironiczny sposób tak przytłumiony jak jej krzyki.

A mała dziewczynka uśmiechała się, przyciągając Annie coraz bliżej i bliżej...

Wreszcie wszystko się skończyło. Gorące, liżące płomienie i grzmiący łomot zniknęły, tak samo jak przyprawiający o mdłości odór i makabryczna, mała dziewczynka-kat.

Odchodząc pozostawili zasłonę ciemności, która nagle stała się czystym bólem, bólem tak straszliwym, że płacz Annie był jedynie bezradnym trzepotaniem w gardle.

Uniosła drżące powieki. Uświadomiła sobie, że ma na twarzy ciasną, duszącą maskę. Kiedy chciała unieść ręce, by ją zerwać, poczuła, że są unieruchomione jakimiś sztywnymi klamrami.

Usta miała zdrutowane, nic dziwnego, że krzyk zamierał jej w gardle. Z nosa wychodziła jakaś rurka. Nie mogła poruszyć głową, gdyż była ona mocno przytrzymywana czymś, co powodowało ucisk wbijający się wprost w czaszkę. Chociaż nie widziała nóg, czuła, że one również są uwięzione. Pokrywająca je gruba warstwa czegoś była prawdopodobnie gipsem.

Te wrażenia oraz widok stojącej obok na statywie kroplówki napływały do niej w formie krótkich przeblysków, zaćmiewanych gwałtownymi falami bólu, któremu ani postrzeżenie, ani wola nie były w stanie się przeciwstawić.

Pozwólcie mi umrzeć. Proszę, pozwólcie mi umrzeć.

To była najlogiczniejsza myśl, jaką zdołała sprecyzować i wyartykułować.

Lecz dla stojących obok niej ludzi było to tylko zniekształcone kwilenie. Gdyż obok niej byli ludzie. Ich głosy docierały do niej jak gwałtowne echo unoszące się na powierzchni wezbranego oceanu bólu.

— Już wszystko w porządku — zawołała pielęgniarka do ucha Annie. — Doktor już idzie. Wszystko będzie dobrze. Proszę tylko zachować spokój. Niemal natychmiast głosowi kobiety zawtórował jakiś męski głos. Słyszała, jak ją uspokaja, upomina, próbuje zadawać pytania. Ale nie mógł rywalizować z połączonymi siłami jej bólu i rozpacz.

— Najpierw podamy morfinę, potem... ćwierć grama... Tak, ona strasznie cierpi...

Była zadowolona, że już do niej nie mówią. Ton głosów był urzędowy, mimo to brzmiała w nich głęboka troska.

Annie poczuła ukłucie igły gdzieś na niewidocznym dla niej ramieniu. Wydawało się śmiesznie błahe. Przez chwilę głosy były wyraźniejsze, a potem nagle nieskończenie odległe.

Narastała w niej ogromna, miękka fala nudności, przewalając się wolno przez wszystko na swej drodze, redukując świat do czegoś w rodzaju mdłego horyzontu. Wzdłuż niego widziała zdziczałe potwory, okrutne kostuchy, ropiejące rany, ciała rozpadające się na kawałki. Lecz w żaden sposób nie oddziaływało to na nią.

Ból nie odszedł, ale przycupnął gdzieś w kącie tego koszmaru i tam pozostał, szydząc z niej swoją nieustępliwością. Wtedy dotarło do niej po raz pierwszy, gdzie znajdowało się jego centrum. To był brzuch i twarz. Stamtąd promieniował na kręgosłup, kark, biodra, prawe ramię i przedramię i lewą nogę.

— Panno Ha villand, jestem doktor Reid — doszedł ją znów męski głos. Tuż przed jej oczyma zamajaczyła twarz w okularach. Lekarz mógł mieć około trzydziestu pięciu lat.

— Jestem dziś chirurgiem dyżurnym. Opiekuję się panią. Jest pani w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Czy pani wie, dlaczego znajduje się tutaj? Czy pamięta pani, co się stało? Próbowała potrząsnąć głową, ale natychmiast poczuła dotyk ręki, która ją przed tym powstrzymała.

— Nie, panno Havilland, proszę nie ruszać głową. To bardzo ważne. Pani głowa jest unieruchomiona w specjalnego rodzaju klamrach, ponieważ ma pani połamane kręgi szyjne. Chcę, aby pani mrugnęła raz na „tak” i dwa razy na „nie”, Czy pani mnie dobrze słyszy?

Annie mrugnęła. Przed jej oczyma przez ułamek sekundy pojawiła się czarna, bagienna woda, taka sama jak ta, która zdawała się zalewać ją w momencie, kiedy drewniana bariera pękła pod naporem rozpedzonego samochodu.

ŚLEPA ULICZKA, przeczytała napis na znaku...

— Miała pani wypadek samochodowy. Czy pani pamięta?

Mrugnęła obojętnie.

— To miało miejsce trzydzieści sześć godzin temu — mówił dalej lekarz.

— Od tego czasu przeszła pani kilka operacji. Musieliśmy usunąć pękniętą śledzionę i zatamować wewnętrzne krwotoki. To tłumaczy ból w brzuchu. Szczeka jest zdrutowana, gdyż złamała ją pani uderzając głową w przednią szybę. Ma pani na twarzy specjalną maskę, która ma dopomóc w gojeniu wszystkich ran i obrażeń. Kroplówka i cewnik w nosie są niezbędne, by zapobiec pogarszaniu się obecnego stanu i umożliwić karmienie, ale już niedługo je odstawimy. Czy jak dotąd pani mnie rozumie?

Zamknięta powieka zatrzepotała, potem uniosła się z wysiłkiem.

— A więc dalej. Pani biodro, lewa noga i prawe ramię są w specjalnych klamrach. Muszą pozostać unieruchomione do czasu operacji ortopedycznych, które pozwolą nam skorygować złamanie. To samo dotyczy kręgosłupa. Jest pani solidnie poturbowana, panno Havilland, ale wyjdzie pani z tego. Teraz najważniejsze jest, żeby pozostawała pani w absolutnym bezruchu do czasu, aż specjalnie nie poprosimy o poruszanie taką czy inną

częścią ciała. Wiem, że to niewygodne, ale bardzo, bardzo ważne.

Rozumie pani?

Rozpacz w powolnym mrugnięciu była namacalna tylko dla niej samej.

— Chciałbym jeszcze poprosić panią o zrobienie kilku rzeczy, jeśli to możliwe. Dotknę pani prawej stopy, a pani uniesie jej palce do góry, dobrze?

Chwalił ją, kiedy zgodnie z jego prostymi wskazówkami poruszała palcami nóg i rąk oraz oczyma. Potem zaczął ją wypytywać o miejsca, w których odczuwała największy ból. Umęczona odmrukiwała „tak” w odpowiedzi na wszystkie niemal pytania, ponieważ nie była w stanie powiedzieć mu, że ten potworny ból był wszędzie, wszędzie...

Oddalała się od lekarza, dryfując w narkotycznym odurzeniu, kiedy nagła myśl wstrząsnęła nią przywracając na chwilę do rzeczywistości.

Dziecko...

Poczuła, że doktor ujmuje ją za rękę. Potrząsnął głową.

— Będą jeszcze inne dzieci, panno Havilland. Proszę nie popadać w depresję. Ważne jest, że pod tym względem wyszła pani bez szwanku.

Nie ma żadnych trwałych uszkodzeń w układzie rozrodczym. Musi pani skoncentrować się teraz na współpracy z nami, żeby jak najszybciej wrócić do zdrowia. Zrobi to pani dla mnie?

Ciemność wróciła jak balsam, w której całkowicie rozplątał się jego głos. Narkotyki wydawał się rozumieć jej rozpacz, powoli kojąc każdą zbolełą cząstkę ciała. Nie wierzyła lekarzowi, kiedy mówił o szansach na powrót do zdrowia. Ta myśl sprawiła jej przyjemność. Byłaby szczęśliwa, mogąc opuścić ten świat.

Już i tak była jak mumia, obarczony winami duch, ukarany za swoją próżność wieczną ciszą, bezruchem i bólem. Dla niej kroplówka na statywie przy łóżku mogłaby być równie dobrze wypełniona trującym płynem.

Dziecko... Usłyszała echo własnych, umierających, niewyraźnych nadziei.

Potem przez głębię nudności zanurzyła się w sen.

III

Kiedy się obudziła, pokój pogrążony był w półmroku. Wiedziała jednak, że jest dzień, gdyż na suficie odbijały się smugi światła przedostającego się przez spuszczone żaluzje. Były bardzo nikłe, mimo to raziły ją i wbijały się w jej mózg jak noże.

Wraz ze świadomością powrócił ból. Zaczęła jęczeć. Była pewna, że gdzieś przy łóżku musi być przycisk służący do wezwania pielęgniarki, ale mając unieruchomioną głowę nie mogła go poszukać. Intensywność bólu twarzy i brzucha zaćmiewała próby jakiegokolwiek myślenia.

Wtem pole widzenia przecięła męska dłoń z długimi, zabarwionymi na żółto nikotyną palcami, trzymająca przycisk i naciskająca go. Włożyła ona urządzenie do ręki Annie.

Podniosła wzrok i zobaczyła stojącego nad nią i wpatrującego się uważnie Damona Rhysa.

— To jest tutaj, kochanie. Trzymaj. Będiesz tego potrzebowała.

Znajomy, tubalny głos był jak bezsilna pieszczota na pokładzie tonącego statku.

Pomyślała, że gościnność nakazuje się uśmiechnąć, lecz maska na twarzy uniemożliwiła taki sposób powitania. Tylko oczyma mogła wyrazić wdzięczność.

Próbowała wymamrotać słabe „hello”, ale Damon potrząsnął głową.

— Spokojnie, dziecinko — powiedział, rozumiejąc jej zmartwienie. —

Nie próbuj nic mówić. Nie próbuj się ruszać. Te konowały opakowały cię od stóp do głów. Wszędzie masz gips i klamry. Wiem, że to niezbyt wygodne, ale jestem pewien, że jakoś wytrzymasz.

W pokoju zjawiała się pielęgniarka w towarzystwie chirurga.

— Czy potrzebuje pani czegoś? — spytał doktor, przenosząc szybko spojrzenie z umęczonych oczu Annie na monitor stojący gdzieś za statywem z kroplówką.

Czy balon potrzebuje powietrza? — pomyślała tępo.

— Oczywiście, że potrzebuje! Podajcie jej coś prze-

ciwbólowego! — usłyszała głos Damona. — Dlaczego to tak długo trwało? Chryste, nie spodziewajcie się, że będzie wam odpowiadać! Proszę jej po prostu podać jakiś środek znieczulający, i to szybko. Czowała, jak głaskał delikatnie jej rękę, kiedy lekarz przygotowywał strzykawkę.

— Spokojnie, dziecinko. Nic się nie martw. Teraz ja jestem tutaj — głos Damona był łagodny, choć pobrzmiwało w nim jeszcze echo gniewu na medyka.

Przebudzenie było tak bolesne jak poprzednio, ale jakoś łatwiejsze do zniesienia, gdyż w targającym nią bólu nie było już nic nowego. Czowała dotkliwe ukłucia przemieszczające się z nóg i rąk do górnej części kręgosłupa i z powrotem. Potworne bóleści w brzuchu łączyły się z ołowianym ciężarem bezradności, wtłaczając ją niemal w ziemię. Mając okropną świadomość tego, że górna szczęka jest złamana, zastanawiała się, czy zęby są nienaruszone. Przeróżająca maska na twarzy zdawała się obejmować skórę jak uścisk demona. Nie czowała wewnątrz żadnych cewników, ale rurka wychodząca z nosa była wyjątkowo uciążliwa.

Zastrzyk z morfiny zaczął działać po raz kolejny; pojawiły się makabryczne wizje pożerających ją-drapież-ników i ropiejących ran. Ta narkotykowa kuracja była prawie tak koszmarna, jak ból, który miała zwalczać. Z nagłą wnikliwością pomyślała, że było to logiczne. Tylko piekło może stanąć do walki z piekłem.

Oczyma przesłała informację o swej bezradności spoglądającemu na nią cierpliwie Damonowi.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Pilnuję tych facetów. Najgorsze już za tobą, teraz musisz nabrać sił. Wszystko w brzuchu już zoperowali i funkcjonuje normalnie. Poskładali ci złamania, miałaś też operację kręgosłupa, ale to jeszcze nie koniec. Dziś po południu będzie twój ortopeda. A ja nie odstąpię cię ani na chwilę.

Mogła jedynie czymś w rodzaju mrugnięcia wyrazić mu podziękowanie. Zastanawiała się, od kiedy on tutaj był.

Coś w jego uśmiechu powiedziało, że zna jej sekret.

— Straciłam... — głos był ledwie tchnieniem, usta nie były zdolne się poruszać.

— Wiem, kochana. Wiem.

Nigdy nie myślała, że jego oczy mogą przybrać tak czuły wyraz.

— Skoncentruj się wyłącznie na uporządkowaniu tego bałaganu ze sobą.

Postaraj się zgromadzić jak najwięcej sił. Twoja przyszłość to otwarta księga. Możesz mieć tyle dzieci, ile tylko zapragniesz. A na razie zdrowiej i pamiętaj, nie zostawię cię ani na minutę. Mrugnij raz na zgodę.

W odpowiedzi zamknęła zbolące oczy i zasnęła.

IV

Ani zmęczony, zaabsorbowany Damon Rhys, ani zmalretowana dziewczyna w łóżku, nie zauważyli, że pomiędzy tłumem anonimowych lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy przewijających się przez separatkę Annie, był ktoś, kto nie należał do personelu szpitala.

Przebranie nie wymagało skomplikowanych zabiegów: biała kurtka lekarska, plakietka identyfikacyjna, stetoskop.

Wally Dugas już wcześniej wielokrotnie penetrował szpitale w poszukiwaniu różnorodnych informacji, czy w celu nawiązania kontaktu z pacjentami. Personel szpitalny łatwo było wyprowadzić w pole, gdyż wszyscy oni byli bardziej skupieni na swojej pracy, niż na przeganianiu nieproszonych gości. Brakowało pielęgniarek i podczas ostrych dyżurów większość pokoi pielęgniarskich była pusta. Przy odrobinie sprytu można było zawsze zabrać z nich to, co się chciało.

Tym razem Wally skierował się bezpośrednio do pokoju, do którego przeniesiono Annie Havilland po tygodniu pobytu na oddziale intensywnej terapii. Tak jak podejrzewał, jej historia choroby znajdowała się w pokoju specjalnie wynajętych pielęgniarek, pełniących przy niej dyżury.

Rozpoczął od przywitania się cichym głosem z pacjentką i od zbadania jej pulsu. Jej otwarte oczy wpatrywały się w próżnię. Zachowywała się tak, jakby nie zauważała jego obecności. Była późna noc i prawdopodobnie pozostawała pod działaniem silnych środków uspokajających.

Po raz pierwszy widział ją z bliska. Z bolesną wyrazistością odczuł fakt, że nigdy już nie zobaczy dawnej Annie Havilland. Odeszła na zawsze. Maską na jej twarzy nie pozostawiała co do tego wątpliwości.

Historia choroby dopowiedziała resztę, całą żalną prawdę. Złamania kręgów szyjnych z przemieszczeniem dysków, połamane żebra, kość udowa i biodro w gipsie, złamanie z przemieszczeniem prawego barku, złamana prawa kość ramienia. Urazy nerek, pęknięta śledziona, silny krwotok wewnętrzny podczas pierwszej nocy.

A najgorsze ze wszystkiego to złamana szczęka, poważne rany szarpane czoła i większej części twarzy. Będą musieli ją jeszcze wiele razy ciąć i zszywać, żeby przywrócić jej ludzki wygląd. Jednak z pewnością nie będzie to już ten sam „Anioł Seksu”, którego stworzył Damon Rhys. Wally przeniósł wzrok z gipsowego opatrunku, okrywającego dolną część ciała, na unieruchomioną w specjalnych klamrach głowę i na wyciągi podtrzymujące prawy łokieć i lewą nogę. Odwrócił stronę w historii choroby, aby sprawdzić, jakie leki jej ordynują. Morfina, piętnaście miligramów co cztery godziny.

O Boże, pomyślał, ona jak nic stanie się narkomanką! Jak wynikało z karty, ostre bóle w brzuchu ustąpiły wkrótce po pierwszej operacji, lecz ból ze złamań był nadal bardzo silny. Jeszcze gorszy był ból karku, spowodowany złamaniem kręgów szyjnych i przemieszczeniem dysków. Nie mogli tego operować z obawy przed obrzękiem i uciskiem na rdzeń kręgowy. Na operację kręgosłupa będzie musiała poczekać kilka miesięcy.

Wally wrócił do pierwszej strony, gdyż miał wrażenie, że przeoczył tam coś istotnego, coś, co mignęło mu przed oczyma i teraz nie dawało spokoju jego pamięci. Nie mylił się.

Była w ciąży. I straciła dziecko.

Zaczął dokładnie analizować całą sytuację. Przed przyjściem tutaj zbadał osobiście miejsce wypadku i rozmawiał z kilkoma swoimi „wtyczkami” w Departamencie Policji w Beverly Hills. Według nich była trzeźwa, kiedy straciła kontrolę nad samochodem.

Trzeźwa, ale nie zapięła pasów bezpieczeństwa.

Policja spekulowała na temat jej stanu emocjonalnego. Być może zamierzała popełnić samobójstwo, ale wcale nie musiało tak być.

Nacisnęła na hamulce, lecz zbyt późno. Nikt nie wie, o czym wtedy myślała.

Wally spojrzął znad karty na śpiącego na krześle przy oknie mężczyznę. Rozpoznał Damona Rhysa. Nietrudno było zrozumieć dlaczego był teraz tutaj, będąc z dala od domu w noc, kiedy wykreowana przez niego gwiazda przelatywała ulicą obok jego opustoszałej rezydencji.

Wally podsumował wszystko, co wiedział o tej dziewczynie. Presja kampanii reklamowej w obliczu rosnącego rozgłosu *Godziny nocy* musiała uczynić jej życie pasmem udręk. Mimo wszystko była tylko debiutantką, która trafiła na najbardziej nieprzejednanego wroga, na jakiego tak młoda aktorka mogła trafić — na Harmona Kurtha.

Lecz Wally zgadywał, że nawet najpodlejsze działania Kurtha nie mogły pchnąć jej do tego. Była na to zbyt twarda.

Tylko miłość mogła ją skłonić do czegoś takiego.

Miłość i świadomość, że była w ciąży...

Wally był przekonany, że Shain był w jakiś sposób za to odpowiedzialny. Byli ze sobą bardzo blisko, niewątpliwie to on był ojcem martwego teraz płodu. Będzie musiał to zweryfikować, zasięgając dyskretnie informacji. Dugas poznał seksualne nawyki Shaina na marginesie śledztwa, jakie prowadził kilka lat temu.

Czy Shain usiłował się jej pozbyć? Czy odmówił uznania dziecka? Czy czynił jej wyrzuty za to, że zaszła w ciążę?

Wally wkrótce się tego dowie. Rzut oka na leżącą przed nim mumię upewnił go, że nie ma pośpiechu.

Zamykając kartę zerknął jeszcze na jej grupę krwi. AB minus. Uniwersalny dawca. Nie było to dla niego nowiną, gdyż poznał jej grupę krwi już wcześniej, w Richland, studiując akt jej urodzenia. Odłożył kartę i powędrował myślami do zaginionej siostry Annie. Pewnego dnia, przed albo po odnalezieniu jej, ustali również grupę krwi tej dziewczyny.

A wtedy będzie miał już w ręku wszystkie atuty.

Być może.

Po raz ostatni obrzucił długim spojrzeniem budzącą współczucie postać w łóżku. Dziwną wydała mu się refleksja, że znają może lepiej niż ona sama. Był w stanie ocenić wpływ jej samotnego, upartego ojca i zaborczej matki na jej osobowość. Annie była świetną aktorką, ambitną osobą, upartym zdobywcą. Tak, odziedziczyła wiele z nich obojga.

Miała też w sobie coś ze swojej siostry.

To dlatego w rekordowym tempie wydrapała sobie pazurami drogę na szczyt najbardziej niebezpiecznej góry w świecie, bez wątpienia wymykając się w trakcie tej wspinaczki najbardziej śmiertelnym wrogom, tylko po to, by stracić to wszystko zjeżdżając w przepaść. Gdzieś po drodze, w tym skomplikowanym działaniu, oderwała się od swoich przodków i stała się Annie Havilland. To była odwieczna zagadka, rozwiązanie której pozwalało Wally'emu zarabiać na życie. W drodze do własnego przeznaczenia skończyła na tym szpitalnym łóżku. Czy kiedykolwiek podejrzewała, że droga, którą podążała może doprowadzić ją na łóżko szpitalne.

Nie, zadumał się smutno Wally. Ludzie dowiadują się takich rzeczy dopiero, kiedy jest już o ułamek sekundy za późno.

V

W ciągu następnych dni Annie stawała się coraz bardziej świadoma otaczających ją ludzi i spraw. Zrozumiała, co to znaczy być „krytycznym przypadkiem”

w przepelnionym szpitalu, a nade wszystko zaczęła opanowywać wyrefinowaną sztukę sterowania bólem.

Metalową klamrę przymocowaną do czaszki wymieniono na wyciąg obejmujący szyję i głowę, lecz nadal wyciąg szkieletowy unieruchamiał kręgosłup, ręce i nogi. Co kilka godzin pielęgniarki musiały wodą utlenioną i maścią z antybiotykiem czyścić miejsca, w których wbijał się w ciało. Jednak w stanie, w jakim się znajdowała, zabieg ten, mimo iż bolesny, był ledwo zauważany przez Annie.

Cewnik w nosie pozostał, tak jak i podłączona do ramienia kroplówka, którą można będzie odłączyć dopiero po dwóch tygodniach od wypadku. Chociaż niekiedy mogła już pić płyny przez słomkę, to wiele tygodni musi minąć zanim będzie w stanie jeść choćby najbardziej miękkie potrawy.

Twarz pozostawała nadal zabandażowana przez dwadzieścia dwie godziny na dobę. Miało to zabezpieczyć pierwszą fazę leczenia rozległych skaleczeń i dopomóc w unieruchomieniu zdrutowanej szczęki. Z powodu okresowego uszkodzenia nerwów, spowodowanego uderzeniem głową w przednią szybę, nie czuła w ogóle górnej części czoła. Jednocześnie całe jej ciało było jednym wielkim źródłem bólu.

Momentami nie mogąc go znieść, chowała się przed nim w najodleglejszym zakątku swego ja, wspomagana przez duże dawki morfiny i prawie nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół niej. Szpitalny zespół fizykoterapeutów, kierowany przez pełną wigoru młodą lekarzkę nazwiskiem Judy Hagerman, już wcześniej zauważył ten stan i postanowił przeciwdziałać, zanim będzie za późno. Zaczynając od prostych ćwiczeń typu unoszenie rąk czy zginanie stóp, pokonali jej pooperacyjną depresję, ciągnąc ją uparcie w kierunku życia i odciągając od świata bólu.

Annie trudno było reagować czymś więcej niż tylko kilkoma westchnieniami na przyjacielskie uwagi i pytania Judy, ale cieszyła się widząc nad sobą każdego ranka blond włosy i błyszczące oczy tej kobiety. Dobrze było

czuć, że ktoś martwi się czy jeszcze żyje, nawet jeśli jej samej było to zupełnie obojętne.

Był jeszcze ktoś, dla kogo jej życie miało wartość. W lustrze zainstalowanym nad głową w celu ułatwienia obserwacji tego, co się dzieje w pokoju, widziała siedzącego w dzień i w nocy przy oknie Damona Rhysa. Udało mu się jakoś ominąć przepisy dotyczące odwiedzin w szpitalu i nie odstępował jej na krok. Nie miała pojęcia gdzie i kiedy sypia. Wiedziała tylko, że za każdym razem kiedy otwierała oczy, on tam był, czytając książkę lub gazety, czy pisząc coś w notatniku.

I za każdym razem, gdy spoglądała na jego odbicie w lustrze, zdawał się to wyczuwać, gdyż zwracał ku niej wzrok. Potem unosił w górę kciuk w geście powitania, wstawał i podchodził do łóżka, sprawdzał jej samopoczucie i znów wracał na swoje miejsce. Jeśli jej stan był szczególnie zły, udawał się pospiesznie na poszukiwanie lekarza. O ile personel szpitalny nie spieszył jej na czas z pomocą, słyszała na korytarzu jego tubalny głos miotający przekleństwa i pogróżki.

Wynajął dodatkowo trzy pielęgniarki, które doglądały jej w trakcie ośmiogodzinnych zmian, ponieważ nie ufał przepracowanym pielęgniarkom szpitalnym, obawiając się, że nie będą pod ręką by udzielić jej pomocy w ewentualnych momentach krytycznych. Był dla nich serdeczny i uprzejmy na swój burkliwy sposób i w krótkim czasie między całą czwórką nawiązało się coś w rodzaju familiarniej zażyłości, podobnej do tej, jaka łączyła go z Conchata w jego domu w Benedict Canyon.

Czasami poprzez zamęt w jakim egzystowała, Annie wyczuwała zapach czegoś, co mogło być tylko whisky, dolatujący z kąta, w którym siadywał Damon. Domyślała się, że albo musiał wyskoczyć gdzieś na drinka, albo też przyniósł ze sobą butelkę w sfatygowanej, starej aktówce.

Za każdym razem, kiedy jakiś ze specjalistów, ortopeda, chirurg, chirurg plastyczny lub fizykoterapeuta, przychodził przejrzeć rezultaty testów i sprawdzić, jak postępuje kuracja, Damon wychodził za nim na korytarz. Słyszała, jak swym tubalnym, lecz teraz już łagodniej-

szym głosem wyciąga z lekarza informacje o stanie jej zdrowia. Kiedy mówił o niej, w jego głosie brzmiał wyraźny ton ojcowskiej troski.

Często instynkt podpowiadał mu, że ból jest dla niej nie do zniesienia, choć ukrywała ten fakt zaciskając zęby i patrząc pustymi, zaszczutymi oczyma. Podchodził wówczas do niej i zmuszał do zażycia lekarstw.

— Przestań, skarbie — mawiał. — Weźmiemy teraz grzecznie demerol. Dlaczego, na litość boską, jesteś taka uparta i sama o to nie poprosisz? To nie pora na dziecięcą aspirynę. Jesteś dla siebie zbyt twarda, a to wcale nie wychodzi ci na dobre.

Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, poddawała się. Nigdy nie wyobrażała sobie, że taki ból jest możliwy.

Życie było koszmarem na jawie, koszmarem, który za swoją siedzibę obrał sobie jej poharatane ciało. Ciągłe nie mogła się uwolnić od depresji, która wypełniała umęczone oczy łzami.

Damon musiał wyczuć to, co Judy Hagerman wcześniej wiedziała, że należy koniecznie przywrócić ją do rzeczywistości i zajmować jej czas na ile to tylko było możliwe. Dlatego też spędzał wiele godzin czytając jej głośno wiadomości z różnych czasopism i przyprawiając je złośliwymi komentarzami, które z pewnością w normalnych okolicznościach rozbawiłyby ją do łez.

— Posłuchaj, słonko. Ci trzej księża i zakonnica, których zamknęli za spisek mający na celu porwanie Kissingera, ciągle się odgrażają, że i tak to zrobią. Czy możesz sobie to wyobrazić? Co byś powiedziała na to, żeby być muchą na ścianie w pokoju z tymi trzema klechami, zakonnica i Henrym Kissingerem? Ciekawe, o czym mogliby rozmawiać?

— Wiesz, podejrzewają Charliego Mansona i jego dziewczynki o zamordowanie Sharon i jej towarzysza. Co za świat, dziecinko. Przemoc i tylko przemoc. Ona stanowi oś, wokół której ta planeta się obraca. Wietnam, Środkowy Wschód, separatyści baskijscy, separatyści z Quebecu... Posłuchaj, był zamach stanu w Ugandzie. Na jego czele stanął facet nazwiskiem Idi Amin. Zastanawiam się, czy jest coś lepszy od tego poprzedniego...

— Krew, chaos, morderstwa... nic nowego. A tymczasem zgodnie z raportem Nixona na temat bezpieczeństwa, nigdy nie było lepiej. Mając takie oczy, jak ten facet, prawdopodobnie też wszystko widziałbym w ten sposób. Żeby chociaż ci przekłęci *Cowboys* nie dali się pobić tym patalochom z Baltimore... Straciłem na ten mecz sto dolców...

Przedstawił też swoje plany dotyczące jej rekonwalescencji. Miał zamiar zabrać ją do siebie do domu, jak tylko będzie mogła opuścić szpital.

— Postawiłem już odpowiednie łóżko w sypialni gościnnej. Będiesz miała stamtąd widok na góry. Zainstalowałem też dla ciebie kolorowy telewizor i małe stereo, chociaż i tak będziesz miała czego słuchać. Będę dla ciebie grał na skrzypcach. Wynająłem już specjalne pielęgniarki, gotowe cię obskakiwać na każde skinienie, a co najważniejsze, Conchata będzie dla ciebie gotować. W pokoju rekreacyjnym montujemy specjalną wannę do kąpieli i wszystkie urządzenia potrzebne do fizykoterapii.

Wygląda tam teraz jak w jakiejś pieprzonej siłowni. A moja sąsiadka, pani Guentherm, mówi, że w każdej chwili możesz korzystać z jej basenu. Zobaczysz, będzie ci tam wspaniale, kochanie.

Zażenowana ogromem jego troski, któregoś ranka dała upust swemu przygnębieniu.

— Dlaczego to wszystko robisz? — z trudem artykułowała słowa.. —

Wiem, jak bardzo jesteś zajęty. Dlaczego nie zajmiesz się swoimi sprawami i nie zapomnisz o mnie? Zrzućmy własne życie, ale nie chcę rujnować i twojego za jednym zamachem.

Zbliżył się do niej i ujął ją za rękę.

— Nigdy nie miałem córki — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — Pozwól mi odegrać rolę czulego ojca, dobrze maleńka? Oddasz mi wielką przysługę

Jej jedyną odpowiedzią było nikłe, przyzwalające drgnięcie powieki.

Było ono jednak pełne wdzięczności, a jej ręka długo jeszcze spoczywała w jego dłoni.

* * *

Jan, najstarsza i najbardziej doświadczona z trzech wynajętych pielęgniarek, kręciła głową rozmawiając któregoś wieczoru w dyżurce z siostrą przełożoną.

— Widywałam już ludzi w złym stanie — mówiła — ale ta biedna dziewczyna to naprawdę coś potwornego. To będzie prawdziwy cud, jeśli uda jej się z tego wygrzebać. Większość pacjentów w jej położeniu wolałoby raczej umrzeć.

— W jakim jest nastroju? — spytała przełożona. Jan w zadumie zmarszczyła czoło.

— W dziwnym. Na swój własny sposób chce umrzeć. Nawet pan Rhys nie może tak do końca do niej dotrzeć. A jednak coś trzymają przy życiu. Mam wrażenie, że ona po prostu czeka. Czeką, żeby zobaczyć co się stanie. Żeby zobaczyć, czy nadejdzie coś, dla czego warto będzie żyć. Ona jest jak skała. Jest nawet twardsza niż depresja, która ją ogarnęła. Myślę, że z tego wyjdzie.

Wyraz jej twarzy uległ nagłej przemianie.

— Czy ktoś ją jeszcze odwiedza? Przełożona wzruszyła ramionami. Jak zwykle. Co rano dzwoni ten facet z Nowego Jorku, Roy Deran. Cały czas przysyła też kwiaty. Kilka razy w tygodniu są telefony od niejakiego Cantele, handlarza samochodami. Jest okropnie przejęty tym wypadkiem i lamentuje w słuchawkę nad losem biednej Annie. Każdego popołudnia przychodzi jej przyjaciółka Aleine deGraw i siedzi w poczekalni od drugiej do trzeciej. Po prostu siedzi. Rozwiązuje krzyżówki i gawędzi z pielęgniarkami żując bez przerwy gumę. To słodka kobieta. Połowa dziewcząt zdążyła już opowiedzieć jej o swoich problemach. Przydałaby mi się taka przyjaciółka.

Jan uniosła brwi.

— A co z Shainem? Czy on w ogóle próbował się z nią skontaktować? Przełożona uśmiechnęła się krzywo.

— Pokazał się w pierwszym tygodniu wraz ze swą świtą. Oczywiście nie wpuszczono go. Z tego co wiem, pan Rhys zapowiedział personelowi, że osobiście poderżnie Shainowi gardło, jeśli ten postawi nogę w jej pokoju. Od tamtej pory nie dał znaku życia.

Annie leżała w pokoju, oglądając program telewizyjny. Damon, prawie zasypiając, gapił się nieobecny wzrokiem w przestrzeń, od czasu do czasu rzucając Annie zamglone spojrzenia.

Półka obok okna była całkowicie wypełniona kartkami z życzeniami powrotu do zdrowia. Stół był obsypany buketami kwiatów nadsyłanymi przez wielbicieli i przyjaciół. Resztę kwiatów, które nie mieściły się w pokoju, pielęgniarce na polecenie Demona rozdały biednym, samotnym pacjentom.

Najpiękniejszy z doręczonych dziś buketów skomponowany był z egzotycznych kwiatów, między innymi hibiskusa, anturium i dzikich orchidei. Jan nie mogła sobie odmówić umieszczenia go na honorowym miejscu, chociaż nadszedł bez wizytówki, od nieznanego ofiarodawcy z Miami.

Wspomniała o tym odpakowując kwiaty, ale Annie nie była w stanie nic jej wyjaśnić w tej kwestii.

Nie знаła nikogo w Miami.

VI

Alice Havilland wtopiła się bez śladu w świat „porządnych ludzi”. Spryt, jakim błysnęła w tej ostatniej zagrywce, był dla Wally'ego zbyt trudny do pokonania.

Lecz wydarzenie, które przyspieszyło jej zniknięcie przekonało go, iż jego spekulacje na temat tej kobiety były słuszne.

Około dziesięciu lat temu, jej mała dziewczynka, mająca wówczas dwanaście czy trzynaście lat, nagle uciekła spod opieki Alice.

Sonny Ruggiero, drobny szantażysta i hazardzista, a w owym czasie przyjaciel Ali, był obecnie pensjonariuszem zakładu karnego w Illinois. Pamiętał dokładnie cały ten epizod.

— Tamtej zimy w Cleveland było mroźno jak wszyscy diabli — powiedział do Wally'ego przez szybę w pokoju odwiedzin. — Mieszkaliśmy w motelu na obrzeżu

miasta. Dzieciak zwinął się pewnego ranka, jak jeszcze spaliśmy. Tak po prostu. Wzięła ze sobą tylko pieniądze i to, co miała na grzbiecie. Zostawiła parę starych zabawek i trochę książek. Byłem zaskoczony, w końcu to była mała dziewczynka... Dokąd mogła pójść? Uśmiechnął się do siebie.

— Ale jak o tym dokładniej pomyśleć, to powiem panu, że ona mogła już sobie doskonale radzić sama. Z taką prezencją!... Naprawdę było na czym oko zaczepić.

Chytry, dwuznaczny błysk w jego oczach powiedział Wally'emu, że Sonny znał dobrze zalety dziewczynki w łóżku.

— Jak Ali to przyjęła?

— No cóż, nie wiem, jak to ująć. Musiałby pan znać Ali. Gdyby ją pan znał, powiedziałby pan, że nie była wtedy sobą. Była jakby zamyślona. Wie pan, nie spłynęło to po niej jak woda po gęsi, ale też nie wariowała z tego powodu. Po prostu wydawała się zamyślona.

— A jaka była przedtem?

— Jaka była? Dużo się śmiała. Miała cięty język. Natomiast kiedy zrobiłeś coś nie po jej myśli, wychodziła z siebie. Była cholernie twarda. Spojrzał na Wally'ego spochmurniałymi nagle oczyma.

— Traktowała dzieciaka okropnie... była zbyt surowa.

— A więc nie próbowała odnaleźć dziewczynki. A co było potem.

— Odeszła. Zostawiła mnie bez środków do życia, gołego i wesołego, jak to mówią. Zapadła się jak kamień w wodę. Wróciłem któregoś dnia z trasy do domu, a jej już nie było. Od tamtej pory nigdy jej nie widziałem, ani nawet o niej nie słyszałem.

W zadumie zaciągnął się papierosem.

— Przepytywałem o nią tu i ówdzie, ale bez skutku. Przepadła bez śladu. Stawiam cztery do jednego, że ona już nie obraca się w swoim starym środowisku. Słyszałbym coś o tym. Jeśli się bardzo chce, to zawsze się człowieka znajdzie. Ale teraz to już chyba z dziesięć lat... — westchnął.

— Nie, powiedziałbym, że Ali albo

przyczaiła się gdzieś cicho w zupełnie nowym otoczeniu, wśród ludzi, którzy nie znają jej przeszłości, albo nie żyje. Jedno z dwóch.

— Dlaczego akurat z tych dwóch? Mężczyzna uśmiechnął się.

— Musiałby pan ją znać. Albo znalazła sobie jakiegoś jelenia i owinęła go wokół palca, jakiegoś słodkiego tatuśka ze zboczonymi zachciankami, a może nawet męża, albo doprowadziła kogoś do takiego szału, że skreślił jej kark. Jedno z dwóch. Niech mi pan wierzy na słowo.

Wally uwierzył.

Na swój prostacki sposób Sonny Ruggiero trafił w dziesiątkę charakteryzując psychikę Alice. Wally, który zaczynał poznawać Alice tak dobrze, jak siebie samego, był przekonany, że nie jest już prostytutką. I to nie dlatego, że była starsza. O nie, było mnóstwo pracy dla kobiet w jej wieku.

Sonny miał rację podejrzewając, że Alice porzuciła dotychczasowy tryb życia po zniknięciu Christine. Ale mylił się sądząc, że był to zbieg okoliczności.

Alice opuściła stare środowisko dlatego, że Christine wymknęła się jej spod kontroli.

Po raz setny Wally wpatrywał się w otrzymaną od Charliego Grzybka fotografię matki i córki na plaży w Chesapeake. Ręka kobiety spoczywała troskliwie na ramieniu dziecka nie po to, by je chronić, ale by ją odizolować.

Odizolować i ukarać.

Po tym, jak dziewczynka w przededniu dojrzałości, wyśliznęła się z objęć matki, nie było już powodu dla którego Alice, czy Alethea, jak nazywali ją zgodnie z jej życzeniem niektórzy mężczyźni, miałyby prowadzić tak niesamowicie upadlający tryb życia, jaki prowadziła od momentu opuszczenia Harry'ego Havillanda.

Życia, w którego brudach tarzała się tylko po to, aby i jej córka poznała smak upodlenia.

To, że nie ruszyła w pościg za dziewczynką było dla

Wally'ego oczywiste. Żyjąc poza prawem, nie mogła zwrócić się do żadnej oficjalnej instancji, jak na przykład do zniechęconej policji. Dziecko było wolne.

Nie próbowała też ściągnąć jej z powrotem nieoficjalnymi kanałami. Nie dlatego, że jej nie kochała, miłość nie miała nic wspólnego z dwunastoletnim, zazdrosnym pilnowaniem córki, ale dlatego, że już zdążyła nasaczyć ją swoim jadem, wypaczyć jej charakter. Zrobiła to, co było jej celem.

I mogła być jeszcze jedna przyczyna. Ze wszystkiego, co Wally słyszał o Christine wylaniało się podejrzenie, że Alethea już wtedy obawiała się jej.

Próbował sobie wyobrazić to, co Sonny nazwał jej „zamyśleniem” w przededniu zniknięcia. Naturalnie, musiała spoglądać wstecz na minione dwanaście lat.

A także przed siebie. To podczas tego krótkiego okresu planowała swoją przyszłość.

Była wreszcie wolna i mogła skoncentrować swoją wybitną inteligencję na marzeniu, z którego zrezygnowała dawno temu: na znalezieniu dla siebie bezpiecznego i wygodnego miejsca w „porządnym” świecie.

Wally uśmiechnął się patrząc na jej zdjęcie. Nawet dziś musi być atrakcyjną kobietą. Nie wątpił, że się dobrze urządziła. Istota, zdolna wodzić za nos jednego alfonsa po drugim, obserwując, jak wszyscy po kolei kończą w mamrze, podczas gdy jej samej włos nie spadał z głowy, z pewnością nie miała trudności z ustawieniem się w życiu poprzez małżeństwo z bogatym urzędnikiem państwowym na kierowniczym stanowisku, z rozwodnikiem czy nawet prezesem banku.

Kto to może wiedzieć? Być może dumając nad losem zaginionej córki gratulowała sobie myśląc, że przemoc, jaką wobec niej stosowała przez dwanaście lat dorastania, zakorzeni się w niej na dobre, kiedy dziecko stanie się kobietą. Po jakimś czasie może nawet zaowocuje, czyniąc spustoszenie tak w świecie zewnętrznym, jak i w zwichniętej psychice Christine.

Tak właśnie musiała myśleć osoba pokroju Alethei. Wally nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Nie wątpił też, że znajdzie ją któregoś dnia, kiedy

będzie miał wystarczająco dużo czasu, by podążyć jej tropem.

Ukryta w porządnym świecie pod tożsamością ucieleśnioną przez karty kredytowe, konta bankowe i polisy ubezpieczeniowe, będzie trudna do odnalezienia. Ale dla własnej satysfakcji chciał stanąć z nią twarzą w twarz, nawet jeśli ten wysiłek miałby mu zabrać całe lata.

Córka, to już inna sprawa. Oczywiście o wiele prostsza. I być może bardziej niebezpieczna. Honey, Tippy, Tina, Christine.

Jakkolwiek by siebie nie nazywała, w wieku dwunastu czy trzynastu lat, wszystkim co znała było życie na marginesie społeczeństwa. Zdana na łaskę losu w mroźnym Cleveland, po „wychowaniu”, jak otrzymała, na pewno nie zwróciłaby się o pomoc do żadnej państwowej instytucji.

Instynktownie uważała państwo za wroga.

Na zdjęciu z plaży oczy dziewczynki pełne były inteligencji i przebiegłości niemal tak uderzającej, jak ich makabryczna cierpliwość. Była wyjątkowo bystrą osobką, wyszkoloną wszechstronnie w sztuce kurestwa przez eksperta — własną matkę.

Jaki był jej pierwszy ruch tamtego zimowego poranka w Cleveland? Obserwując latami tułaczkę matki od jednego opiekuna do drugiego, musiała zrozumieć, że sama także potrzebuje kogoś takiego. Wiedziała też, iż poszukiwanie tego typu kontaktów musi rozpocząć w cieplejszym klimacie.

Południowa Karolina, Arizona, Miami. Lista potencjalnych pierwszych przystanków nie była długa.

A ponieważ wychowała się na wschodzie i środkowym zachodzie, wybrałaby Miami.

Jeśli żyje, odnalezienie jej nie nastęczy Wally'emu trudności.

Był zadowolony z rezultatów dotychczasowej pracy.

Dochodzenie w sprawie Annie Havilland, będącej teraz zmaltratowaną i okaleczoną na zawsze gipsową formą bez przyszłości, doprowadziło go wprost do kobie-

ty bez przeszłości, kobiety, która zdaniem wszystkich osób związanych z Annie od dawna nie żyła. A jej ponure peregrynacje prowadziły do trzeciej zaginionej osoby, najbardziej tajemniczej ze wszystkich: Christine.

Lecz wiedział, że tę wkrótce odnajdzie, ponieważ twarz na zdjęciu z wypełnionymi oczekiwaniem oczami wzierającymi z bezgranicznej pustki, wrosła w jego psychikę.

VII

Harmon Kurth podniósł się z krzesła na widok wchodzącego do jego biura gościa.

Był to mężczyzna po trzydziestce. Bardzo wysoki, około metra dziewięćdziesiąt i mimo iż był kościsty, wyglądał na silnego. Uścisk dłoni miał stanowczy, lecz nie agresywny.

— Jestem Frank McKenna, proszę pana. Miło mi pana poznać.

— Mnie również, Frank — uśmiechnął się Kurth. — Siadaj, proszę.

Podczas gdy przybysz sadowił się w krześle manipulując długimi kończynami, Kurth studiował jego oczy. Chociaż ich wyraz był pełen szacunku, a nawet uległości, wydawały się czujne, a ich powierzchnia nie ujawniała nic z ukrytych pod nią myśli. Takie oczy cechują zwykle ludzi ambitnych i zdecydowanych, a jednocześnie inteligentnych.

To spostrzeżenie spowodowało, iż Kurth zaczął się zastanawiać, czy jest to odpowiedni dla niego człowiek. Będzie musiał się upewnić.

— Martin Farrow dużo mi o tobie opowiadał, Frank — zaczął. —

Podobno dość późno zacząłeś karierę prawniczą.

— To prawda, proszę pana.

Gość najwidoczniej nie miał ochoty na dalsze wyjaśnienia, ale w notatkach Kurtha było wyraźnie napisane, że poświęcił wiele ze swej kariery, żeby spłacić stary

rodzinny dług. Dopiero kiedy tego dokonał, rozpoczął karierę na własną rękę, podejmując studia prawnicze na uniwersytecie w Stanford.

— Widzę jednak, że ten opóźniony start nie zwolnił twojego tempa.

Wydawca *Przeglądu Stowarzyszenia Prawników...* i firma *Farrow, Farrow i Pierce* jako pierwsza praca. Masz doskonałe referencje.

Odpowiedzią gościa było lekko zakłopotane, potwierdzające wzruszenie ramion. Najwyraźniej nie lubił mówić o sobie.

Lecz jesteś tu nie z powodu twoich urzędowych kwalifikacji —

powiedział Kurth. — Marty Farrow zareczył osobistym autorytetem, iż jesteś człowiekiem, na którego dyskrecji i skrupulatności można polegać.

Dlatego zgodził się, że tak powiem, „wypożyczyć” cię do wykonania niewielkiego, lecz ważnego zadania.

— Tak, proszę pana.

Ręce McKenny spoczywały bez ruchu na oparciach klubowego fotela, którego ogromne rozmiary jakoś wcale nie czyniły jego dużego ciała mniejszym.

— Mamy tu w *International* aktorkę — zaczął Kurth splatając dłonie na kształt stożka. — Nazywa się Annie Ha villand. Sądzę, że słyszałeś o niej.

— Tak, proszę pana. Słyszałem.

— No cóż, jak być może wiesz, miała okropny wypadek. Cud, że przeżyła. Obecnie walczy w szpitalu o życie. Strasznie cierpi, a jej przyszłość stoi pod dużym znakiem zapytania..To potworna, potworna sprawa.

Kurth potrząsnął głową.

— Byliśmy w *International* zdruzgotani tą wiadomością. To było kompletne zaskoczenie. Annie jest dla nas kimś specjalnym zarówno pod względem osobistym, jak i zawodowym. Chcemy ją wesprzeć w tych trudnych dla niej chwilach. Nie jest jednak dość silna, by przyjmować wielu odwiedzających i, szczerze mówiąc, nie chce być oglądana przez ludzi z branży. Jest zupełnie unieruchomiona i pokryta bandażami. Annie to dumna kobieta. Tak więc, rozumiesz, cierpi w samotności.

Spojrzał na McKennę.

— I tu rozpoczyna się twoja rola, Frank. Czy mogę ci

mówić Frank? Potrzebuję kogoś, na kim mógłbym polegać, kogoś zaufanego i obdarzonego instynktem, kto odwiedziłby ją kilka razy w szpitalu i zobaczył, jak się miewa. Jednocześnie chciałbym, żebyś jako mój oficjalny pełnomocnik przyjrzał się dokładnie jej terapii i upewnił się, że jest traktowana właściwie. Wzruszył ramionami.

— Znam tych lekarzy, to wszystko wysokiej klasy specjaliści, co nie ulega żadnej wątpliwości. Ale muszę wiedzieć coś więcej o pokoju, w którym Annie leży, o opiece pielęgniarstwie, inaczej mówiąc, o szczegółach sprawy. Martwię się, że tamtejszy personel dopuści do tego, iż popadnie w depresję, z której nie będzie wyjścia. Szpitale to takie anonimowe zbiorowiska...

Zacisnął usta w udawanym strapieniu.

— Mówiąc prosto, chcę mieć pewność, że zrobiono dla niej wszystko, co możliwe. Twój raport pozwoli mi odzyskać spokój ducha. Poszedłbym sam, ale wiem, że ona nie chce, bym ją widział w takim stanie. Chce pozostać w swojej skorupce. Podejrzewam, że jest w głębokiej depresji. Dlatego tak bardzo liczę na ciebie, Frank. Mam nadzieję, że dopilnujesz wszystkiego i będziesz mi dokładnie relacjonował każdą, nawet najgorszą prawdę.

Roześmiał się z przymusem.

— Jak się zapewne domyślasz, prawda jest towarem trudno dostępnym dla człowieka na moim stanowisku, otoczonego samymi pochlebami i przytakiwaczami. No to jak? Wyrządzisz mi tę przysługę?

Chwila wahania ze strony gościa świadczyła dobitnie o tym, że analizuje niezwyłą prośbę i dochodzi do wniosku, iż jest ona dziwna. Dlaczego Kurth nie wziął do wykonania tak prostego zadania jednego ze swoich ludzi?

Lecz McKenna zaczynał dopiero drogę do kariery w prestiżowej firmie *Farrowa* i nie czuł się na tyle silny, by odmówić osobistej prośbie Harmona Kurtha, któremu został polecony przez samego Martina Farrowa. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, musi się zgodzić. Poza tym, chodziło o tak błahą sprawę...

— W porządku, proszę pana — powiedział w końcu. — Zrobię, co będę mógł.

— Wspaniale — Kurth wstał. — Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Frank. Marty wyrażał się o tobie w samych superlatywach. Wygląda na to, że jesteś u progu wielkiej kariery.

Nie był zadowolony z tego, że McKenna stojąc był o wiele wyższy od niego. Chociaż w jego oczach nie było nic z wyrazu hardości czy pychy, jego postawa zdawała się nieświadomie dominować nad wszystkim wokół.

— Pamiętaj — podsumował Kurth, ściskając mu dłoń na pożegnanie — to bardzo wartościowa, młoda dama. Wielka aktorka, ale też wyjątkowy człowiek. Dużo jej zawdzięczamy w *International* i jesteśmy zdecydowani wspierać ją przy pomocy wszelkich środków tak długo, jak będzie to konieczne, by wróciła do zdrowia i była znów w stanie grać. Znajdź jakiś sposób, żeby wypędzić z niej depresję, Frank. Sposób, na przywrócenie jej do życia. Powiadom mnie natychmiast o wszystkim, co cię zaniepokoi. Jestem gotów zrobić dla niej wszystko co w ludzkiej mocy.

— Postaram się, proszę pana. McKenna spokojnie opuścił pokój. Kurth usiadł zadowolony i zagapił się na elementy scenografii za oknem, ustawione przy wysokim murze otaczającym studio.

Jeśli Martin Farrow miał rację, McKenna był człowiekiem jakiego potrzebował. Ktoś spoza studia. Ktoś, na kim można polegać. Ktoś nieświadom swej misji, niewtajemniczony w sprawę i jednocześnie nic nie znaczący.

I, być może, młody człowiek poczuje się dumny mogąc wejść w osobisty kontakt z tak wybitną gwiazdą jak Annie Havilland.

Szpieg, który nie wie, że jest szpiegiem.

Agent, który będzie lojalnie donosił Kurthowi wierząc, że działa dla dobra Annie i nigdy nie domyśli się, iż swoją pracą wyrządza jej ogromną krzywdę.

VIII

Przez pierwsze dwanaście tygodni po wypadku Annie pozostawała przykuta do łóżka. Konieczność unieruchomienia uszkodzonych kręgów szyjnych uniemożliwiała wykonywanie poważniejszych ruchów. Z wdzięcznością i ulgą przyjęła założenie obejmującej głowę i kark nowej klamry, pozwalającej na obracanie głową o kilka stopni oraz zastąpienie zniechęcającego wyciągu bardziej konwencjonalnym urządzeniem usztywniającym połamane kończyny. Usunięto też kroplówki i cewnik z nosa. Była już w stanie sama przyjmować pokarmy. Po ośmiu tygodniach zdjęto druty z zagojonej szczęki i mogła jeść wszelkie miękkie potrawy, łącznie z meksykańskimi przysmakami przygotowanymi przez Conchatę i włoskimi *pastas* wspianiale przyrządzanymi przez Shirley Cantele.

Do przeszłości należała również groteskowa, elastyczna maska okrywająca pokiereszowaną twarz. Jednak chirurg plastyczny zakrywał jej w dalszym ciągu rany różnymi rodzajami opatrunków, aby uchronić je przed niepożądanym światłem, umożliwiając jednocześnie dostęp gojącego działającego powietrza. Była zachwycona tymi, jak to nazywała, „woalkami”, gdyż oznaczały dla niej dalsze korekcyjne operacje plastyczne, które za cenę heroicznego wysiłku lekarzy, przywrócą jej twarzy wygląd podobny do ludzkiej. Nie miała jednak odwagi medytować nad tym, co nadal wyciekało spomiędzy bandaży.

Gips unieruchamiający lewy bok miał być usunięty po upływie dwunastego tygodnia, po uprzednim prześwietleniu rentgenowskim. Wiedziała jednak, że ze względu na złamanie z przemieszczeniem w prawym barku długo jeszcze nie będzie mogła dźwigać nic ciężkiego. Rehabilitacja zapowiadała się długotrwanie i boleśnie.

Przez cały ten czas była przygnębiona i nieobecna duchem, choć odruchowo współpracowała z lekarzami, pielęgniarkami i fizykoterapeutami. Ostry ból w miejscach złamań, a szczególnie w kręgach szyjnych, nie

dawał jej chwili wytchnienia. Mimo, iż ciało wzmacniało się, a urazy fizyczne zaczynały się goić, psychika z każdym dniem zdawała się być w gorszym stanie. Największym jej wrogiem była bezsenność. Co noc wykonywała coś w rodzaju parodii przewracania się z boku na bok, gdyż ciężkie klamry krępowały jej ruchy. Na godzinę lub dwie zapadała w niespokojną, pełną koszmarów drzemkę, a potem leżała otumaniona bólem i lekami. Spędzała te białe noce sam na sam z czarnymi myślami, wściekając się i pragnąc, by mogła choć czytać dla zabicia czasu. Niestety, nie była w stanie skoncentrować się na tyle, by to robić. Cierpiała bardzo, choć zaciskając zęby nie dawała tego po sobie poznać. Wysiłki kadry medycznej, by ulżyć jej bez stosowania morfiny, zastępując ją najpierw *Deme-rolem*, potem *Darvonem* z kodeiną, nie przyniosły pożądaných efektów. Pod działaniem tych środków ból nie ustępował. Kilkakrotnie musiano na powrót włączyć do kuracji *Percodan* czy *Talwin*, a w najgorszych razach duże dawki *Demerolu* lub *Dilaudidu*, po których czuła się odrętwiała i pijana, bardziej przygnębiona niż zwykle.

Podjęto decyzję o dokonaniu w najbliższych miesiącach operacji kręgoszyjnych, w wyniku której paraliżujący ból w karku powinien ustąpić. Optymizm lekarzy co do rezultatów operacji był jednak raczej umiarkowany. W międzyczasie stosowano elektrostymulację i blokady nerwów, rozważano nawet zastosowanie akupunktury, jako że żadne z podejmowanych zabiegów nie uśmierzały bólu.

Pod koniec drugiego lub na początku trzeciego tygodnia jej pobytu w szpitalu, nigdy nie miała pewności co do kolejności wydarzeń tego początkowego okresu, zobaczyła w lustrze nad sobą nową twarz. Był to bardzo wysoki mężczyzna o jasnobrązowych włosach i orzechowych oczach. Ubrany był w niemodny garnitur. Spoglądał na nią bez wyrazu.

— Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam. Nazywam się Frank McKenna. Chciałem tylko zobaczyć, jak się pani czuje.

Annie wymamrotała przez bandażę obojętne pytanie. Sądziła, że należy on do legionu pracowników szpitala, którzy od wielu dni nieustannie przewijali się obok jej łóżka.

— Jestem tu na prośbę pani kolegów z *International Pictures*. Chcą mieć pewność, że jest pani tutaj dobrze traktowana. Studio bardzo się o panią martwi. Wpadłem tylko...

Na wzmiankę o *International* jej oczy stały się uparcie nieobecne, jakby straciła dla niego wszelkie zainteresowanie. Słowa przybysza trafiały w próżnię.

Pod przykrywką jej milczenia wyczuwał wewnętrzne drżenie. Zamknęła się całkowicie w sobie. Było jasne, że nie ma najmniejszego zamiaru z nim rozmawiać.

W obojętnym spojrzeniu trudno było doszukać się jakiegokolwiek myśli. Kurth — przeszło jej przez głowę. Zastanawia się, jakim będę obciążeniem dla budżetu firmy.

Pokaz ojcowskiej troski Studia był bez wątpienia przykrywką dla niepokoju Kurtha. Martwi się pewnie o to, że może jej przyjść do głowy zaskarżyć kogoś: szpital, towarzystwo ubezpieczeniowe czy sam *International*, gdyby stwierdziła, że któryś z aspektów jej kuracji jest nieudolny czy niewłaściwy. Ten facet, Frank, jest prawdopodobnie pierwszym szpiegiem przysłanym przez Kurtha w celu upewnienia się, czy nie ma żadnych podstaw do narzekania.

Nie zamierzała dawać mu do ręki broni w postaci zwierzeń na temat własnego samopoczucia.

Zamknęła oczy, udając sen.

W ciągu kilku sekund, dzięki oddziaływującym na system nerwowy narkotykom, udawanie stało się rzeczywistością. Annie zapadła w głęboką, narkotyczną drzemkę.

Kiedy się ocknęła, stwierdziła ku swemu zaskoczeniu, że on nadal znajduje się w pokoju. Tkwił sztywno przy oknie w tym swoim ciemnym garniturze i wpatrywał się w nią.

Westchnęła z irytacją. Wstał i podszedł do łóżka.

Widać było, że nie czuje się dobrze w roli intruza naruszającego jej przepełnioną bólem samotność. Nie mniej jednak w jego postawie był jakiś kamienny spokój, który wywarł na niej wrażenie.

Wyczuwała w nim pewną dziwną cechę: męską siłę i wytrwałość, której nie osłabiał nawet jego nieśmiały sposób bycia. Cechę tę najpełniej wyrażały jego oczy. To były oczy człowieka panującego nad sytuacją, oczy, które nie komunikowały rozmówcy absolutnie nic poza faktem, że istnieje. Podkreślały one jego samodzielność i niezależność sądów, był w nich chłód, który nie pozwalał okazywać w jakiegokolwiek sytuacji niepewności. Jego oczy, na pierwszy rzut oka, były pozbawione jakiegokolwiek natrętnego zainteresowania, było w nich coś uspakajającego, jak u mądrego lekarza posiadającego umiejętność łagodzenia niepokojów pacjentów. Poddałaby się temu pierwszemu wrażeniu, gdyby nie świadomość, iż przychodzi od Kurtha.

Ta świadomość cisnęła jej teraz na usta słowa pełne gniewu.

— Nie musi pan tracić czasu wałęsając się tutaj — powiedziała wściekła, że bandaż i druty zniekształcają jej mowę. — Lekarze powiadomią pana, jeśli mój stan się pogorszy. Jestem pewna, że ma pan dużo pracy w studio. Potrząsnął głową.

— Nie pracuję dla *International Pictures*. Jestem prawnikiem w firmie, która współpracuje z *International*.

Więc wracaj do swoich prawniczych książek i zostaw mnie w spokoju — Annie miała te słowa na końcu języka, lecz przyptyw zmęczenia w połączeniu z silnym wrodzonym poczuciem taktu stłumił je.

Zamiast tego uniosła nieznacznie lewą rękę i z westchnieniem opuściła ją z powrotem na łóżku. Była bezdennie zrezygnowana.

— Proszę nie poddawać się — usłyszała jego głos jak odległe echo w wypełniającej ją pustce. — Niech będzie pani cierpliwa.

Okazane przez niego współczucie nie spotkało się z właściwym oddźwiękiem.

— Staram się jak mogę — wymamrotała niemal bezgłośnie, patrząc w przestrzeń.

Jakiś czas później usłyszała szmer zamykających się za nim drzwi.

IX

Nieznajomy, imieniem Frank, wrócił.

Odwiedzał Annie mniej więcej raz na dwa tygodnie. Za każdym razem kiedy się pojawiał, Damon przerywał swoje czuwanie przy oknie i obaj mężczyźni wychodzili na korytarz, by zamienić kilka słów.

Annie nie mogła formalnie zaprotestować przeciwko tym sporadycznym wizytom obcego, jako że Damon w widoczny sposób je aprobował.

Szybko znaleźli wspólny język i wydawało się, że odwiedziny Franka wejdą na stałe do rytuału jej pobytu w szpitalu.

Postanowiła je tolerować, a co więcej wyświadczać mu uprzejmość odpowiadając monosylabami na jego pytania o to, jak jest traktowana w szpitalu, jakie stosują jej zabiegi, jak spisują się specjalnie zatrudnione pielęgniarki. Lecz wszelkie pytania wykraczające poza tę tematykę pozostawały bez odpowiedzi. Nie miała najmniejszego zamiaru zabawiać go rozmową o nieszczęściu, jakie na nią spadło.

Nie dość usatysfakcjonowany, by opuścić ją natychmiast po tak zdawkowej wymianie zdań, siadywał przez kilka kłopotliwych minut przy oknie, jakby czekając na rozmowę, która nigdy nie miała się odbyć. Annie ignorowała go, karząc jego natręctwo milczeniem tak upartym, że w końcu nie pozostawało mu nic innego jak wyjść z pokoju.

W trakcie tych martwych przerw obserwowała go jednak bacznie kątem oka.

Jego duże ciało okrywały zawsze staroświeckie, ciemne garnitury, których nieskazitelny krój w połączeniu

z jego wysokim wzrostem nadawały mu niezwykle interesujący wygląd. Z kwadratową twarzą i mocno zarysowanym nosem Frank nie był pięknym mężczyzną. Chyba, że dla swojej żony, podziwiającej go w eleganckich, świetnie dopasowanych ubraniach.

Lecz coś mówiło Annie, że on nie jest żonaty.

W każdym bądź razie kobiety mogły go uważać za seksownego faceta, zdecydowała. Chociażby ze względu na jego spokój, proporcjonalną budowę, długie kończyny i duże dłonie złożone nieruchomo na kolanach. A także dla tych oczu, które pieszcząc delikatnym, badawczym wejrzeniem, spoglądały tak łagodnie ukrywając myśli. Tak, mimo iż nie był piękny, mógł się podobać.

Jednakże ta jego aparycja podsyciała jedynie wewnętrzną niechęć, jaką do niego odczuwała, szczególnie, kiedy przypominała sobie, że Frank interesuje się nią służbowo, z polecenia *International*. Dla niego była wyłącznie zniszczoną własnością *Studia*, która w zależności od tego, czy uda się ją zreperować czy nie, może przynosić zyski lub straty.

A mimo to, pod naturalną powściągliwością wyczuwała w nim uparte dążenie do wyciągnięcia jej ze skorupy, w jakiej się zamknęła i ludzkie zażenowanie spowodowane jej posępnym, niechętnym milczeniem.

Gdyby była Annie sprzed wypadku, czułaby dla niego współczucie, a nawet byłaby ciekawa dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Skąd pochodzi? Dlaczego zdecydował się zostać prawnikiem? Dlaczego tak atrakcyjny, stanowiący dobrą partię młody profesjonalista nie jest żonaty? A może jest? Może w tym punkcie intuicja ją zawiodła?

Lecz Annie nie była teraz sobą i naturalna ciekawość została od niej odgradzona ścianą bólu. Niech Frank pocierpi zatem z powodu jej wewnętrznego rozbicia, tak jak ona sama cierpiała, zadumała się gorzko. Tak więc milczenie między nimi trwało nadal. A czujne oczy Franka zastąpiły jego głos w niemych kontaktach z leżącą w łóżku dziewczyną. Czowała na sobie to nieustanne, doprowadzające ją do

furii wgapianie się. Przez nie miała wrażenie, że jest słabsza, niż była w rzeczywistości. Frank był przecież tak silny i umięśniony, a ona pod swoimi bandażami była bladym widmem, bezradnym wrakiem człowieka.

Ponadto, kiedy te spokojne, mroczne oczy obejmowały ją w posiadanie, czuła się dziwnie naga, co przy jej kondycji wprawiało ją we wściekłe zakłopotanie.

Wszystko w tym mężczyźnie było w pewien sposób obraźliwe. Był po prostu zbyt uprzejmy, zbyt troskliwy, zbyt milczący, zbyt silny, zbyt typowy.

Sfrustrowana Annie gapiała się więc w pusty ekran telewizora i pozwalała mu okupować terytorium przy oknie do momentu, kiedy nuda i dyskomfort psychiczny nie zmuszały go do wyjścia.

A jednak część niej nie była tak zupełnie przeciwna jego ciągłym powrotom. Otaczająca go aura mechanicznej niemal niezawodności, bez humoru, bez obłudy, była o lata świetlne odległa od pieniającej się nieszczerości hollywoodzkich typów, którzy odwiedzaliby ją, gdyby im tylko na to pozwoliła. Milcząca powaga Franka oddziaływała na nią jak środek uspokajający, pomimo irytacji jaką w niej wywoływał naruszając jej prywatność.

A jako że wróg niszczący jej życie był niewidzialny i nietykalny, miło było mieć pod bokiem kogoś, kogo niejako zastępczo można było nienawidzić.

Któregoś dnia wychodząc, zatrzymał się przy jej łóżku.

— Wygląda dziś pani lepiej. Moje gratulacje. Przyjęła jego słowa z ledwo dostrzegalnym wzruszeniem ramion i nic nie powiedziała.

— Widziałem *Godzinę nocy* kilka razy — uśmiechnął się. — Uważam, że była pani wręcz doskonała w tej roli. Powinna być pani bardzo dumna z siebie. Widzę, ile to panią kosztowało.

Łzy w jej oczach pojawiły się tak nagle, że nie zdążyła ich powstrzymać, zanim spłynęły po policzku pod maską. Z gardła wyrwało się pełne udreki westchnienie.

— Czy powiedziałem coś złego? — zapytał. — Miałem

na myśli jedynie to, że jest pani zupełnie niepodobna do Lianę. Teraz, kiedy panią troszkę poznałem, mogę to stwierdzić z całą stanowczością. A także to, że musiała pani kopać bardzo głęboko w sobie, żeby wydostać Lianę na powierzchnię. Proszę mi wybaczyć, jeśli byłem nietaktowny. Nie znasz mnie. — Gorzkie, cisnące się na usta słowa pozostały tylko w sferze jej myśli.

Zacisnęła zmieszana powieki, przeklinając w duchu swoje obecne położenie.

— Proszę dać sobie trochę czasu — powiedział miękko. — Naprawdę wygląda pani lepiej.

Ogromna sylwetka górowała nad łóżkiem. Unoszący się wokół niego świeży zapach zaćmiewał antyseptyczny odór szpitalny. Jego ręka zachowywała się tak, jakby chciała dotknąć ze współczuciem jej oddalonej zaledwie o cal dłoni, lecz wahała się.

Zdecydowana nie ośmielać go, patrzyła w milczeniu w dal i zaciskając zęby czekała, żeby wreszcie sobie poszedł.

Kiedy w końcu drzwi się zamknęły, poczuła na policzkach gorące strumyki łez, które teraz mogły już płynąć swobodnie.

Mimo wszystko McKenna zdołał nawiązać z nią kontakt. Miała nadzieję, że był usatysfakcjonowany.

Kiedy wrócił kolejny raz, w dwa tygodnie później, czekało na niego milczenie.

X

Blondynka... Bardzo młoda... Piękna...

To było zdumiewająco łatwe. Założenie, że mała pojechała do Miami okazało się strzałem w dziesiątkę.

Natrafił od razu na jej ślad. Ludzie pamiętali ją jako jedną z najbardziej fantastycznych młodocianych prostytuttek, maszynę do pieprzenia zdolną zarabiać tysiące dolarów dziennie, a będącą zaledwie podlotkiem.

Lecz Wally musiał teraz postępować ze zdwojoną

czujnością, ponieważ ludzie z którymi rozmawiał o Christine, gdyż takiego imienia teraz używała, nie mówili o dziecku. Znali ją jako dorosłą kobietę. Żyła pełnią życia, pracowała dużo i miała ogromne wzięcie. Była też niebezpieczna.

Wally posuwał się naprzód bardzo ostrożnie, sugerując każdemu indagowanemu alfonsowi, hazardziście czy dziwce, że tak naprawdę to chce tylko przelecieć Christine. Zadawał pytania tonem pełnym fascynacji, z obsesyjnym wyrazem w oczach.

Nie chcąc wywołać podejrzeń, starał się nie czerpać zbyt wielu informacji z jednego źródła. Tak więc jego wiedza na temat życia zawodowego Christine składała się z kawałków, które sklecone razem tworzyły szokującą całość.

Dowiedział się o Rayu d'Angelo i jego krótkotrwałej „opiece” nad młodą Christine oraz o jego śmierci z rąk syndykatu z Detroit. Poznał przerażającą historię Nunzio Lunetty, postrachu wielu ludzi i jego tajemniczego „zejścia” w wyniku uduszenia, przypisywanego przez niektórych szczupłym, zwodniczo słabym rękom samej Christine.

Z zasłyszanych relacji wynikało, że w odróżnieniu od Alethei, Christine nie uprawiała tego fachu w celu folgowania perwersji czy niezdrowym zachciankom. Dlatego też nie zadowalała się szantażystami z marginesu, hazardzistami czy drobnymi oszustami w charakterze protektorów.

Starannie wybierała alfonsów, wiążąc się za każdym razem z mężczyznami bardziej potężnymi niż ich poprzednicy, poprzednicy, którzy nie ośmielali się szukać zemsty z tej prostej przyczyny, iż mieli słabsze wpływy i muskuły niż ci, którzy zajęli ich miejsce.

Christine była inteligentna. Lecz w przeciwieństwie do matki nie była ekscentryczna. Jeśli tkwiło w niej jakieś szaleństwo, to starannie zakamuflowane. Nie ono było motorem popychającym ją systematycznie na coraz wyższe szczeble kariery.

Nade wszystko była przerażająco odważna.

Każdy z rozmówców Wally'ego podkreślał tę samą

istotną sprawę: Christine składała swoim alfonsum obietnice, których nie dotrzymywała, i zawsze uchodziło jej to płazem. Ten fakt pasował Wally'emu do sławy otaczającej ją w podziemnym światku i do szacunku jakim się cieszyła wszędzie, gdzie ją znano.

Nie szastała pieniędzmi, dbała o siebie, można było na niej polegać. Nie była notowana w kartotekach policyjnych. Miała doskonale powiązania z mafią, utrwalone przez lata świadczonych i przyjmowanych przysług.

Nie zwracała na siebie specjalnej uwagi, manipulowała ludźmi kiedy uważała to za konieczne i była wytrawną szantażystką.

Nie istniały żadne jej fotografie.

Zaledwie w dwa tygodnie po odkryciu jak i kiedy Christine uciekła od Alethei, Wally podążał jej tropem prowadzącym do Tony'ego Pietranera. Joseph Mancini z Miami opowiadał z satysfakcją o interesie, jaki ubił z Tonym w zamian za Christine. A czyniąc to, dołożył kolejny fragment do układanki jaką była jej osobowość.

— To świetna dziewczyna — powiedział. — Jedna z najlepszych. Być może na swój sposób nawet najlepsza. Ale nie można pracować z dziewczyną taką jak ona, jeśli jest się samemu prawdziwym mężczyzną. Ona nie urodziła się po to, żeby wykonywać rozkazy. Inteligentny facet będzie wiedział od początku, że któregoś dnia poderżnie mu gardło. Taką prawdę tylko głupiec mógłby zignorować.

Wzdychając astmatycznie, sączył małymi łykami kawę.

— I jeszcze jedna rzecz — dodał. — Żeby ułatwić sobie manipulowanie gościem, rozkocha go w sobie. W jakimś momencie uświadomiłem sobie, że tak się działo ze mną i rozciąłem ten węzeł, zanim było za późno.

Przerwał na chwilę zamyślony.

— Któż może opisać te wszystkie sztuczki! Dostojeństwo, słodycz...

Sposób, w jaki zamykała portmonetkę czy sięgała rękoma za kark, żeby zapiąć naszyjnik...

Drobiazgi. Potrafiła zaleźć za skórę. Chwytała cię za serce. Sprawiała, że chciałeś ją brać w ramiona, sadzać sobie na kolanach... ,

Uniósł ostrzegawczo palec i zmarszczył ironicznie brwi.

— To wszystko są symptomy, które rozsądny mężczyzna rozpoznaje.

Takie haczyki zarzucane z wyrachowania, nie z serca. Zaczepi je taka w twoich wnętrznościach i rozszarpie cię nimi powoli na małe kawałeczki. Potrząsnął głową.

— Taką kobietę należy traktować z dystansem, jak szanowanego członka innej rodziny. Jeśli jest się z nią zbyt blisko, staje się niebezpieczna. Tak więc po tym jak trochę na niej pojeździłem i zarobiła dla mnie wystarczająco dużo forsy, sprzedałem ją Tony'emu. Głupi indywidualista.

Miernota. W sam raz dla niej. Poniekąd żał mi go. Faktem jest, że próbowałem go ostrzec. Powiedziałem mu, na co się naraża. Słuchał z miną znudzonego bubka. Mówię panu, on już był pod działaniem jej klątwy. W ostatecznym rachunku za to zapłacił.

Wzruszył ramionami.

— Ale każdy mężczyzna musi wybrać własną truciznę.

— Gdzie mogę ją znaleźć? — spytał Wally. Stary mężczyzna uśmiechnął się.

— Niech się pan po prostu rozejrzy. One pracują na całym wybrzeżu, od Bostonu do Miami. A także w Chicago, Detroit... Lecz teraz jest zima. Bogaci faceci są na wakacjach na Florydzie. Tam pan znajdzie Christine. Znów uniósł ostrzegawczo brwi.

— Ale niech pan będzie ostrożny. Tak pana omota, że zakocha się pan w niej na zabój. I niech pan nie mówi, że pana nie ostrzegałem.

Wally nie miał zamiaru zwierzać się Josephowi Mancini z tego, co odczuwał od pewnego czasu. Był już niemal po uszy zakochany w Christine.

Lecz nie tak, jak mężczyzna zakochany w kochance.

Była to miłość brata do siostry.

Jego serce setki razy uciekało do małej dziewczynki z fotografii. Zmrożony blask jej oczu głosił prawdy, od których on był ekspertem. Wiedział, że okrutne traktowanie nie' było w stanie zniszczyć dzieci. Natura wyposażyła je w tak silne środki samoobrony, że okrucieństwo nie mogło ich pokonać.

Lecz niezmiennie niszczyło ich przyszłość, wypaczało ich przyszłe charaktery. I to była największa złośliwość losu.

Christine spędziła całe dzieciństwo, czekając na uwolnienie od matki, a kiedy ono wreszcie nadeszło, przyniosło ze sobą tylko pustkę. Agonia, w jakiej teraz żyła, była cicha, niewidzialna dla innych, a nawet dla niej samej.

Za to ją kochał.

I raz, tylko raz, musi ją zobaczyć.

Wally nadal pracował dla Harmona Kurtha. Lecz był skłonny zaryzykować życiem, aby doprowadzić tę robotę do końca. Jego przeznaczenie znajdowało się gdzieś tam, w środku nocy, wraz z enigmatycznym kwiatem, który wyrósł z ziarna morderczej nienawiści Alice Ha villand.

Kwiatem, z tego co mówią ludzie, piękniejszym niż wszystkie inne. Wiedział, że kiedy do niej dotrze, znajdzie się w niebezpieczeństwie. I to niebezpieczeństwo pociągało go najbardziej.

XI

Los Angeles Times, 5 maja 1971

Wpięć miesięcy po wypadku samochodowym, w którym omal nie straciła życia, Annie Havilland nadal znajduje się w poważnym stanie.

Wypisana siedem tygodni temu z kliniki Uniwersytetu Kalifornijskiego, panna Havilland przebywa obecnie w domu swego przyjaciela i nauczyciela Damona Rhysa. Urządzono tam dla niej mały „szpital” i zapewniono fachową opiekę. Poddawana jest zabiegom fizykoterapeutycznym i oczekuje na operację plastyczną

licznych obrażeń twarzy oraz na operację kręgosłupa i kręgów szyjnych.

Reporterzy Timesa dowiedzieli się ze źródeł dobrze poinformowanych, że panna Havilland uzależniła się od narkotyków, aplikowanych jej od dłuższego czasu w celu złagodzenia cierpień. Członkowie zespołu medycznego i chirurgicznego nadzorujący rehabilitację aktorki nie potwierdzili ani nie zaprzeczyli tym doniesieniom.

Damon Rhys siedział na krześle przy oknie w sypialni i składał gazetę, czuwając nad śpiącą Annie i wsłuchując się w odległe wycie kojotów. Wiedział, że kiedy się obudzi, wraz ze świadomością powrócą zarówno męczarnie fizyczne, jak i depresja.

Podjęmowane przez niego przez te wszystkie miesiące wysiłki podniesienia jej na duchu zawiodły i ani on, ani nikt inny nie mógł dotrzeć do ukrywanego przed światem źródła rozpacz.

Przez prawie pół roku obserwował jej z góry przegraną walkę z nieustającym bólem i jego złowrogimi sojusznikami, lekami narkotycznymi. Losy bitwy przechylały się raz na jedną, raz na drugą stronę, lecz walka była nierówna, ponieważ już sam ból wyczerpywał jej siły, a leki dodatkowo wprowadzały ją w stan apatii, przerastający jej wolę powrotu do zdrowia.

Damon wyczuwał, że Annie kapituluje fizycznie. Kiedy weszła wczoraj na wagę okazało się, iż waży już zaledwie czterdzieści cztery kilogramy. Zdaniem Damona stan ten był pochodną wewnętrznej beznadziejności, która ją stopniowo zżerała. Podejrzewał, że przyczyną tego powolnego rozkładu była utrata dziecka. We własnym pojęciu sfuszerowała największą szansę w życiu i stąd przyszłość nie była dla niej niczym innym, jak tylko stale powracającym nocnym koszmarem.

Obserwowanie, jak z każdym tygodniem pogrąża się coraz głębiej rozdzierało Damonowi serce, tym bardziej, że znał jej wrodzoną silną wolę życia. Była typem wojownika, jednostką o naturalnych zdolnościach przetrwania. Od ich pierwszego spotkania zdawał sobie sprawę, że była osobą, dla której nie do zniesienia była myśl o poddaniu się losowi, na który sama nie miała

wpływu. Zmuszała się do postrzegania spraw od najlepszej strony, lub przynajmniej od takiej strony, gdzie mogła coś zdziałać. To właśnie siła jej determinacji, nie mniejsza niż ogromny talent, spowodowała, że Damon obsadził ją w roli Lianę.

I od tego czasu, będąc sam pesymistą, kochał ją i podziwiał właśnie za to wytrwałe dążenie naprzód. Podziwiał ją tak, jak podziwiałby własną córkę, istotę spłodzoną przez niego, lecz obdarzoną przez los o wiele silniejszym charakterem.

A dziś, kiedy tak siedział w ciszy, w półmroku sypialni, ojcowskie uczucia odezwały się ze zdwojoną, bolesną siłą. Czuł, że powinien winić siebie za stan, w jakim się znajdowała. Gdyby tamtej potwornej nocy był w domu, by ją przyjąć i ukoić duchowe cierpienia, ta fizyczna klęska nigdy by jej nie dotknęła.

Pozwól mi udawać, że jestem potrzebny...

No cóż, potrzebowała go. A on, w czasie kiedy jej wyciągnięta, ręka na próżno go szukała, zapijał się na umór w barze w Cuernavaca...

Lecz Damon nie był na tyle artystą, by nie zmusić się do obiektywizmu. Wiedział, że to nie on prowadził ten samochód przez barierę do przepaści na końcu ulicy. To była Annie.

Czy zrobiła to świadomie, aby się zabić? Nie, nie świadomie. Nie ona. Prowadziła po prostu zbyt szybko, przejęta gniewem i rozpaczą, a widok jego pustego domu odciągnął jej uwagę od drogi, którą jechała.

Lecz nieświadomie... to już była inna kwestia.

Twarz Damona wykrzywił grymas. Wiedział o niej tak mało! Tak mało o jej przeszłości, o uwielbianym ojcu, o matce, o której nigdy nie mówiła. Jak więc mógł odgadnąć, co nią powodowało?

Jedno wszakże było pewne. Cięża była dowodem na to, że znajdowała się tamtej nocy w takim stanie z powodu Eryka.

Eryka, który sprytnie usunął się z pola widzenia po pierwszej i ostatniej próbie złożenia Annie wizyty, lecz którego zdjęcia znajdowały się na okładkach wszystkich

plotkarskich czasopism wraz z opowieściami o jego smutku z powodu tragedii jaka spotkała jego wielką miłość...

W trakcie zdjęć do *Godziny nocy* instynkt Damona mówił mu, że Eryk i Annie nie byli ze sobą uczuciowo związani. Wyczuwał w nich zawodowy chłód nawet w scenach miłosnych.

I oddychał z ulgą zadowolony, że nieodparty urok Shaina nie komplikował mu spraw na planie. Głupie plotki rozpętane przez kampanię reklamową nie miały nic wspólnego z prawdą.

Lecz kiedy zdjęcia się zakończyły i Damon podziękował wszystkim aktorom za współpracę, zapomniał zupełnie o Annie i Shainie. To właśnie wtedy, po zakończeniu produkcji, musieli się związać ze sobą.

W tamtym okresie Damon prawie ich nie widywał. Myśląc tylko o sobie i o filmie, nie zwracał absolutnie uwagi na innych i nie przyszło mu do głowy zatroszczyć się o Annie.

A powinien.

Eryk Shain był przyjacielem, świetnym kumplem, bezwzględnie jednym z najlepszych aktorów swego pokolenia, ale przy tym największym „szajbusem”, jakiego Damon znał. W porównaniu z nim, Damon to okaz zdrowia psychicznego.

Lecz Eryk bardzo sprytnie ukrywał swoją chorobę. Na tym polegał jego geniusz jako aktora i jako człowieka, i to był klucz do legendarnego uwodzicielstwa Shaina.

Tak więc Annie uległa jego urokowi. A dlaczego by nie? To wolny kraj. Jej wybór należał tylko do niej.

Lecz to nie tutaj był pies pogrzebany.

Damon sądził, że zna Annie wystarczająco dobrze, by zaufać mądrym, przenikliwym oczom jej duszy i głowie na karku. Zresztą seksualne podboje i metody Shaina były ogólnie znane. A po dziesięciu tygodniach kręcenia z nim scen miłosnych powinna mieć dość intuicji, by pod maską profesjonalizmu ujrzeć straszliwe skazy, które pozwoliły mu tak naturalnie wcielić się w postać Terry'ego.

Jak zatem mogła być na tyle ślepa, by mimo wszystko wziąć go do łóżka? Cóż, kobiety to kwintesencja kapryśności. Rzadko zdarza się im myśleć racjonalnie, kiedy chodzi o mężczyzn. Taki uwodziciel jak Shain mógł mieć większość dziewcząt na każde skinienie.

A jednak musiało być jeszcze coś. Coś, co sprawiało, iż czuła do niego słabość. Czy było to tylko współczucie dla jego bezbronności? Czy poruszył ją sposób, w jaki tak wspaniale zagrał Terry'ego? Czy był to może instynkt macierzyński?

Możliwe. Ale jeśli nawet tak było, to „coś” musiało być jedynie parawanem dla czegoś bardziej niebezpiecznego: jej masochistycznej potrzeby bycia rodziną.

Z jakiego innego powodu wybrałaby tego najmniej prawdziwego z mężczyzn, najmniej niezawodnego z kochanków?

I pozwoliłaby na to, by stał się ojcem jej dziecka...

Damon wstał, podszedł do łóżka i zapatrzył się w wycieńczoną dziewczynę w masce z bandażu. Leżała bez ruchu i oddychała płytko. Dręczył go straszliwy kac. Czuł, że zwariuje, jeśli zaraz czegoś nie wypije. Lecz aby móc wyjść i urznąć się w trupa musi czekać aż do wieczora, kiedy Jan obejmie dyżur.

Urznąć się jak wtedy, w Cuernavaca...

Potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z siebie ogarniające go znów poczucie winy. Coś w leżącej na wznak w łóżku figurce przyciągało go, krzyczało, że musi być trzeźwy, żeby ją dobrze zrozumieć.

Tak, ona uchodziła za niewinną ofiarę Shaina. Lecz w gruncie rzeczy była tak samo skomplikowana jak on. Tylko, że ona tego u siebie nie widziała. Mieli jeszcze jedną zasadniczą rzecz wspólną: oboje byli aktorami. Nie tylko na ekranie, lecz także w prawdziwym życiu.

Eryk był szarlatanem do szpiku kości. Niektórym swoim kochankom pokazywał numery, które ukrywał

przed innymi. Lecz tak naprawdę żył wyłącznie po to, by zaspokoić własną próżność.

Pewnego dnia jego fizyczna egzystencja podąży ku zagładzie za jego unicestwioną duszą. Będzie to strata dla kina, ale nie dla ludzkości.

Annie była bardziej skomplikowana, zdrowsza. Nie uświadamiała sobie własnych słabostek. Właściwie wierzyła, że jest tym, kim jest: zrównoważoną dziewczyną poświęcającą się bez reszty swojemu zawodowi, skazaną na czerpanie przyjemności z życia i bycia szczęśliwą. I ten wizerunek, trochę sztywny, trochę niewyraźny, był w gruncie rzeczy czymś normalnym. Czyż wszyscy szczęśliwi ludzie nie byli aktorami w tym samym sensie tego słowa? Ludzie, którzy odrzucali nieszczęście, zaprzeczali chaosowi, wystrzegali się rozpacz?

Ale przecież z mrocznych głębin Annie wyrosła Lianę. Tak, Annie była zagadką.

A zaraz po tym, jak zabiła Terry'ego jako Lianę, ani się nie obejrzała, jak stała się ofiarą Eryka w prawdziwym życiu. Role się odwróciły.

Lecz na tamtej ciemnej ulicy, jadąc bez pasów bezpieczeństwa z szaleńczą prędkością do jego domu, pokazała, że tkwiło w niej coś bardziej niebezpiecznego niż wszyscy Erykowie Shainowie razem wzięci.

Damon wiedział, że nawet za milion lat Annie nie przyzna się do tego, nie będzie o tym mówiła z tej prostej przyczyny, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że to coś w niej istnieje.

A jednak było. Bezimienne, niewidzialne... trwało. Pod jej uśmiechem, w głębi tych srebrzystych oczu, w centrum jej odwagi, jako jedyna rzecz, której nie potrafiła u siebie zaakceptować. Być może była to chęć przegrywania ryzykownych przedsięwzięć? Albo ukryta żądza przegranej w tym największym ryzyku, jakie podjęła, w ryzyku z etykietką „na śmierć i życie?”

Damon nie potrafił ująć tego w słowa. Był jednak pewien, że nie myli się w swoich odczuciach.

I nie tylko było to częścią mechanizmu wprawiającego ją w ruch lecz z tego także, w jakiś tajemniczy sposób, pojawiło się dziecko.

Dziecko, którego już nie ma.

Damona zatkało. Po raz pierwszy mignęła mu przed oczyma prawda o Annie. Ale była to też prawda o nim samym i być może o wszystkim. Jedyna prawda, iaka warto znać.

Nagle uświadomił sobie, gdzie jest i gdzie był przedtem.

Dlaczego tamtej fatalnej nocy był w Cuernavaca? Ponieważ chciał hulać i chlać na umór. A dlaczego chciał chlać na umór? Ponieważ tkwił w zawieszeniu między realizacją jednego a drugiego projektu. Ponieważ *Godzina nocy* została ukończona, a on cierpiał katusze czekając, aż przyjdzie mu do głowy nowy pomysł, jakaś inspiracja. To czekanie trwało nadal.

To były najgorsze okresy jego życia. Za każdym razem, kiedy ukończył film, powieść czy sztukę, wierzył głęboko, że to już ostatni raz.

W jego odczuciu natchnienie spływało już na niego więcej razy, niż na to zasługiwał. Dlatego nie miał odwagi hczyc na to, że będzie tych olśnień więcej.

Więc ratował się ucieczką. I pił.

Annie I dlatego nie było go tam wtedy, by wyjśc naprzeciw Annie. Lecz teraz, w jakiś niesamowity sposób, kiedy stał i patrzył na mą, na ich życie odmienione na zawsze tamtej nocy przez niedoszłe spotkanie, coś w nim drgnęło, coś pojawiło się na horyzoncie.

To coś nadchodziło od Annie. Od jej pokiereszowanego ciała, od jej kruchej woli, od jej upartego pragnienia życia. Zrównowazona głowa i złamane serce. Makabryczny cień czający się w jej jasnych oczach, oczach, które weszły do historii filmu, kiedy wyskoczyła z nich Lianę. Ona tego nie widzi...

Linie sił splatały się ze sobą, orbity spotkały się i zmieniły kierunki, oczywiście w umyśle Damona Nieznane wydawało się przybliżyć i brać go w objęcia słabym uściskiem.

To było natchnienie.

Miał nowy pomysł.

Potrząsając jakby z niedowierzaniem głową, ruszył w kierunku krzesła przy oknie, by złapać za notatnik i zapisać to, cokolwiek to było... Lecz w połowie drogi zatrzymał się i znów spojrział na Annie. Jedno ostatnie spojrzenie, by sprawdzić jej stan, zanim zacznie przelewać na papier swój pomysł, zanim zrobi pierwszy krok w kierunku następnego dzieła. Film? Sztuka? Powieść? Kto wie? Ważne, że to było prawdziwe, rosło i wypełniało go całego.

Widok twarzy pogrążonej we śnie dziewczyny przykuł go do podłogi. To ta twarz była centrum wszystkiego. Teraz to uzmysławiał sobie. To ona zesłała na niego natchnienie, rozdmuchała z tłącej się nieśmiało iskierki płomień, który strawi wszystkie jego niepokoje, poczucie pustki i frustrację. Na ich popiołach ponownie odrodzi się geniusz Damona Rhysa.

Pijany myślami i pragnieniem natychmiastowego rzucenia się w wir pracy, zasłuchał się w siebie jak Annie w swój ból i bandażę. Znów był taki jak w Cuer-navaca.

Lecz nie było już odwrotu od idei, która się w nim narodziła. Ona wyznaczała jego marszrutę i mógł teraz iść tylko tam, dokąd go prowadziła.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Annie, zaczął się od niej oddalać.

XII

Na godzinę przed lunchem Christine odpoczywała nad brzegiem basenu. Miała dziś w planie trzy randki, dwie z emerytowanymi przemysłowcami i jedną z wczasowiczem spotkanym tydzień temu. Tony wyjechał w interesach do Orlando, tak więc była zdana sama na siebie.

Kątem oka spoglądała na młodego mężczyznę siedzącego z żoną i dziećmi po drugiej stronie basenu. Był atrakcyjny. Wyglądał na szybko awansującego kierownika działu jakiejś korporacji lub na prawnika.

Przyjeź-

dżając tutaj musiał mieć pieniądze lub konto w banku na pokrycie bieżących wydatków.

Zauważył Christine zaraz gdy weszli i przez ostatnie dwadzieścia minut jego oczy wracały do niej setki razy. Jego żona siedziała na leżaku czytając jakiś romans. Jej jednoczęściowy kostium nieudolnie maskował fałdy tłuszczu na brzuchu.

Nie będzie trudno nawiązać z nim kontakt po południu.

Osamotnienie nie przeszkadzało Christine w wykonywaniu swojej roboty. W miejsce każdego zmarłego emeryta potrzebowała nowego klienta. W miejsce każdego frajera, którego szantażem doprowadzała do nędzy, potrzebowała nowej ofiary.

Tak więc siedziała w swojej pajęczynie jak cierpliwy pająk, czytając książkę i zerkając przez słoneczne okulary na ludzi wokół siebie.

Nagle w polu widzenia pojawił się nadchodzący w jej kierunku korpulentny, nieciekawy jegomość. Miał na sobie sfatygowany prochowiec i muszkę, która nadawała mu wygląd klauna. Jedynym elementem garderoby dostosowanym do tak ciepłej pogody był słomkowy kapelusz. Z okrągłą jak księżyc w pełni twarzą, jasnymi włosami i małymi, orzechowymi oczyma wyglądał jak niewydarzony domokrażca.

Lawirując pomiędzy leżakami wydawał się totalnie zagubiony. W końcu dotarł do Christine.

— Przepraszam najmocniej — powiedział z niepewnym uśmiechem. — Czy mógłbym zamienić z panią kilka słów?

Spojrzała na niego z zaciekawieniem spoza słonecznych okularów zastanawiając się, czego może od niej chcieć. Czy to detektyw hotelowy? Gliniarz? Prywatny detektyw? Z jego wyglądu i zachowania trudno było wywnioskować.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytała uprzejmie.

— No cóż — powiedział mężczyzna—ujmując krótko tę długą historię, chodzi o pewną zaginioną osobę. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie. Nazywam się Dugas. Proszę mi mówić Wally.

Wyciągając rękę błysnął szerokim, niewinnym uśmiechem. Uścisnęła ją ostrożnie, bez słów.

— Szukam pewnej dziewczyny, która zaginęła dawno temu.

Rozmawiałem z kilkoma osobami, które sądzą, że być może gdzieś, kiedyś, zetknęłaś się z nią. To w gruncie rzeczy bardzo błaha sprawa, ale byłbym niewymownie wdzięczny, gdybyś poświęciła mi kilka minut. Christine milczała nadal, przyglądając mu się uważnie zza okularów.

— Właściwie to nie musiałbym cię niepokoić — ciągnął mały człowieczek. — Sądzę, że znasz Tony'ego Pietranera. Prawdę mówiąc, mógłbym od niego wyciągnąć wszystkie potrzebne mi informacje. Ale ponieważ nie ma go w mieście pomyślałem, że mógłbym po prostu zamienić dwa zdania z tobą.

Pierwsza zawołana pogrożka nie wywarła na Christine żadnego wrażenia. Nie obawiała się tego, co Tony mógłby powiedzieć. A jednak, jako gambit na otwarcie gry mogła ona kryć za sobą amunicję ciężkiego kalibru, chciała się więc dowiedzieć, co to mogło być.

— Cóż, nie jestem pewna, czy mogę panu pomóc, panie...

— Wally — powiedział z naciskiem. — Nie lubię zbędnych ceremonii. Chyba to zauważyłaś.

Gestem ręki wskazał na swoje niechlujne ubranie.

Nogi Christine poruszyły się nieznacznie. Z ciała, głosu i pozy jaką przyjęła, emanował erotyzm. Wysyłane przez nią sygnały mogły go zbić z tropu i zmieszać.

— Może pan usiądzie — wyciągnęła zapraszająco rękę w kierunku stojącego obok płóciennego krzeselka, uparcie używając formy „pan”.

— Chętnie, dziękuję bardzo — odrzekł, sadowiąc niezgrabnie pękate ciało na kruchym krześle. — Gorąco tutaj — dodał, wyjmując chusteczkę i ocierając spocone czoło, podczas gdy dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu.

— Wracając do sprawy, być może to wszystko rzeczywiście jest ci zupełnie obce. Tamta dziewczyna została zabrana od swojego ojca wiele lat temu, prawdopodobnie

jeszcze przed urodzeniem. Ojciec już nie żyje, lecz ktoś luźno związany z rodziną chce ją odnaleźć. Ona jest mniej więcej w twoim wieku...

Christine ledwo dostrzegalnie pokiwała głową.

— Spędziła dzieciństwo z matką — kontynuował Wally. — Ta matka jest też w pewnym sensie zagadką. Miała na imię Alice, Ali, Alethea, czy jakoś tak. Przepraszam za nieprecyzyjność, ale to bardzo niejasna sytuacja.

Ponownie otarł twarz.

— Czy chciałby pan trochę lemoniady, a może piwa? — spytała Christine gościnnie.

— Dlaczego nie, jesteś bardzo uprzejma — wdzięczność rozjaśniła twarz Wally'ego. — Świetnie by mi zrobiła mała mrożona herbata.

Christine przywołała kelnera i złożyła zamówienie.

— Jedźmy więc dalej. Dziewczynę, której szukam, teraz już oczywiście młodą kobietę, nazywano kilkoma imionami. Honey, Tippy, Tina, Christine... O ile wiem, to nie знаła ojca ani jego rodziny. Uciekła od matki... no... może dziewięć lat temu. Muszę tu dodać, że miała ku temu powody. Matka traktowała ją strasznie.

Christine uśmiechnęła się.

— Tippy, Tina... czy ma jakieś nazwisko? Wally bezradnie wzruszył ramionami.

— I tu mnie znowu masz. Ci ludzie używali wielu nazwisk. Crawford, Thompson, Thomas, Davies... i wielu innych. To naprawdę niesłychanie zagmatwana historia i nie zanudzałbym cię nią, gdyby nie to, że nawiązując kontakt z rodziną ojca ta młoda dama może stać się bardzo bogata.

Uniósł cudacznie brwi.

— Poza tym intuicja mówi mi, że ona ze swej strony też prawdopodobnie chciałaby się z nimi spotkać. Szczególnie z siostrą.

Twarz Christine była maską grzecznego zainteresowania.

Wally zamilkł na chwilę, gdyż pojawił się kelner, stawiając na stoliczku obok niego mrożoną herbatę.

— Cóż, panie Dugas... Wally... — poprawiła się

z uśmiechem na widok jego groźnej miny. — Nazwiska, które wymieniałeś, rzeczywiście nic mi nie mówią. Znam wiele młodych dziewczyn, ale wiesz, one wszystkie mają rodziny. Normalnych ludzi... Wally kiwał głową, popyając małymi łykami herbatę.

— I na tym polega mój problem. W pewien sposób to jest bardzo nienormalna sytuacja. Ta kobieta, matka, nazwijmy ją Alice, wchodzi przez małżeństwo do małomiasteczkowej rodziny. Nawiasem mówiąc, bogatej. Rodzi dziecko, a potem ucieka od męża zostawiając je z nim. Małą dziewczynkę. Następnie, niewiele później, rodzi drugie dziecko, też dziewczynkę. To jej właśnie szukam.

Obracał w ręku szklanekę z herbatą.

— Jak więc widzisz, pierwsze dziecko dorastało pod opieką ojca, drugie — pod opieką matki. Matka pochodziła z tak zwanej niższej klasy i z tego powodu rodzina męża nie chciała jej zaakceptować. Uciekła więc. Ojciec nigdy do końca nie pogodził się z rodziną po tym wszystkim, lecz aż do momentu śmierci opiekował się troskliwie córeczką.

Popatrzył przenikliwie na Christine.

— Pierwsza dziewczynka poradziła sobie bardzo dobrze w późniejszym życiu. Pracuje w show-biznesie i jest niezwykle sławna. O matce słuch zaginął. Tak więc faktycznie chodzi tu o rodzinę, która w trosce o drugą dziewczynkę pragnie z nią nawiązać kontakt. Chyba rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

— Czy ta rodzina ma jakieś nazwisko? — głos Christine był spokojny.

— Cóż, póki co, jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy. A tak przy okazji, chciałbym żebyś wszystko, o czym tu mówimy, zachowała dla siebie. — Uśmiechnął się. — Poza tym jestem pewien, że dziewczyna, której szukam, nigdy nawet nie słyszała o swoim ojcu i jego rodzinie. To wszystko czyni moje poszukiwania bardziej podniecającymi. Dawno utraceni, zaginięci krewni i tak dalej...

Z głośnym siorbnięciem wypił ostatni łyk herbaty i otarł usta chusteczką.

— Mogę ci jedynie powiedzieć, że ta dziewczyna jest

piękną blondynką, zupełnie tak jak ty, o ile nie masz nic przeciwko komplementom. Była wychowywana przez chorą psychicznie, maltretującą ją matkę. Uciekła będąc jeszcze dzieckiem i od tamtej pory żyje na własną rękę. Podejrzewam, że życie nie było dla niej zbyt łatwe... Miętosił w rękach kapelusz.

— Robi mi się smutno, kiedy o tym myślę — odezwał się znowu. — Jedna córka została wychowana przez kochającego ojca, który umarł na serce, gdy miała osiemnaście lat, czy coś koło tego. Druga przez okrutną matkę, wykorzystującą ją do najpodlejszych celów. Te dziewczęta nie zdają sobie nawzajem sprawy o swoim istnieniu. Jedna zaznała tyle szczęścia, a druga...

Urwał, potrząsając jakby z niedowierzaniem głową.

— Natura ludzka jest godna podziwu. Ta druga, poszukiwana przeze mnie córka również świetnie sobie poradziła. Jest cenioną profesjonalistką. Jedną z najlepszych w swojej dziedzinie. Potrafi doskonale ubijać interesy z ludźmi i jest w swoim zawodzie perfekcyjną. Lecz faktem jest, chociaż nie możesz znać tego z własnego doświadczenia, że te cechy są wspólne dla wszystkich dzieci maltretowanych przez rodziców. Umieją postępować z ludźmi, panując zawsze nad sytuacją. Można powiedzieć, że to spuścizna środowiska, z jakiego wyszły. Jako dzieci muszą być małymi politykami, małymi dyplomatami, aby uniknąć ciągłego bicia.

Jego oczy spoczęły na niej dwuznacznie.

— Tak więc kiedy dorastają, nie ma w nich strachu. Są bardzo opanowani. Nic ich nie rusza. Cały ból jest głęboko w środku. Christine nie zareagowała ani słowem. Wally westchnął.

— Kiedy pomyślę o tym, co ten świat robi z młodymi dziewczętami... Oczywiście to również kwestia fartu. Jedna ma szczęśliwe dzieciństwo i grzebie ojca na cmentarzu w miasteczku, podczas gdy druga musi dryfować ze swoją matką od miasta do miasta, żyjąc praktycznie na walizkach, znosząc cierpienia, jakich wielu ludzi nie jest w stanie sobie wyobrazić...

Zawiesił głos.

Christine nawet nie drgnęła. Słońce świeciło na jej szczupłe ramiona zroszone olejkami do opalania. Obcisłe bikini podkreślało prężność jej skóry, której zapach przesycił powietrze. Choć Wally wpatrywał się z napięciem w swój kapelusz, wyczuwała, że nie jest mu obojętna aura rozciągana między nimi przez jej ciało.

Wreszcie Wally przerwał milczenie.

— Myślę, że mogłaś ją kiedyś spotkać, nie wiedząc nawet o tym. Mogła występować w tym czasie pod innym imieniem. Prawdopodobnie nie miałaś pojęcia, kim była. W przypadkach takich jak ten, muszę podążać takim właśnie tokiem myślenia. Gdybyś nie miała nic przeciwko temu, chciałbym po prostu usiąść z tobą spokojnie i przywołać jakieś twoje wspomnienia. O miejscach, w których byłaś, o ludziach, których znałaś. Wszystko, ma się rozumieć, w najgłębszej tajemnicy. A może zjedlibyśmy razem lunch...?

Christine zdjęła wreszcie okulary i wpatrywała się w swojego gościa oczyma tak niedostępnymi jak migocące gwiazdy. Cała postawa Wally'ego wyrażała błaganie, ale także wyraźną groźbę. Zastanawiała się, co przeważa. W międzyczasie zauważyła w nim coś jeszcze, coś w jego słowach o rodzinie, ojcu, siostrze, co ją zafascynowało.

Zdecydowała się złapać przynętę, ale z zachowaniem pewnych środków ostrożności.

— Jestem w tej chwili strasznie zajęta — powiedziała. — Chociaż na taką nie wyglądam — dodała ze śmiechem. — Mam dziś pewne zobowiązania i nie jestem pewna, kiedy będę mogła się urwać. Powiedz mi po prostu, gdzie się zatrzymałeś, to może wieczorem uda mi się wygospodarować trochę czasu...

Wally z wdzięcznością podał jej numer pokoju w motelu, w którym zamieszkał.

— To naprawdę bardzo ładnie z twojej strony. Jestem pewien, że nie będziesz tego żałować.

Wstał, uściskał jej dłoń i oddalił się kołyszącym krokiem. Na plecach czuł jej wzrok.

Kiedy zniknął z pola widzenia, Christine zainteresowała się ponownie młodym ojcem bawiącym się z dziećmi w wodzie. Starła się zapamiętać jego twarz,

ponieważ już sobie postanowiła, że to właśnie on będzie jej kolejną ofiarą.

Lecz myślami pozostawała ciągle przy małym detektywie z jego udawaną gapkowatością i brakiem doświadczenia, i z inteligentnymi oczami.

Przez dwadzieścia minut okrążali się nawzajem jak naturalni wrogowie przygotowujący się do nieuniknionej walki.

A teraz nadszedł czas na decydującą bitwę.

XIII

Wally nie wiedział, ile z ujawnionych przez niego informacji było dla Christine naprawdę czymś nowym. W dzieciństwie i wczesnej młodości była już dość bystra, by samodzielnie wykryć niektóre sprawy.

A jednak zaryzykował, zakładając, że nie wykryła. Zaryzykował, zakładając, że Alice nie powiedziała swojej drugiej córce nic o jej powiązaniach z Havillandami. Nie zrobiła tego z obawy przed tym, że ta świadomość mogłaby któregoś dnia przynieść Christine korzyści. Po drugie, izolowała ją instynktownie. Wszyscy sadystyczni rodzice byli skryci. Okrywali różne aspekty własnego życia mgiełką tajemnicy. Dziewczyna zgodziła się przyjść do jego motelu. A więc intrygowało ją to, co Wally ma jeszcze ukryte w rękawie. Jak dotąd całkiem nieźle. Lecz pozostawało pytanie, czy mówiąc tak dużo dał jej do ręki oręż, jakiego nie mógł przewidzieć.

Zbadał dokładnie wzrokiem motelowy pokój. Musi być ostrożny, kiedy ona tu przyjdzie. Jest niebezpieczna. Musi ją przekonać, że nie chce zrobić jej krzywdy, a to nie będzie łatwe.

Plan działania kształtował się w jego umyśle od tygodni. Był przekonany, że zadziała.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Małe oczka były czujne i wyczekujące.

Od momentu kiedy zobaczył ją z bliska, uczył jak

serce biło szybciej. Trudno mu było grać przed nią swoje przedstawienie. Była piękniejsza, niż sobie wyobrażał.

A w jej wnętrzu tkwiło zimne jądro pustki, która rządziła jej życiem i która zespoliła go z nią.

Wiedział, że dla Harmona Kurtha byłaby cenną informacją, że ona jest tutaj, że jest najwyższej klasy dziwką i prawdopodobnie rodzoną siostrą Annie Havilland.

Lecz to, co zamierzał zrobić dziś wieczorem nie było przeznaczone dla Harmona Kurtha.

To było dla Wally'ego Dugasa.

Zatelefonowała o dziewiątej uprzedzając go, że zjawi się o dziesiątej.

Wally przygotował pokój. Były szklanki i lód, butelki wody sodowej, trochę burbona, orzeszki i precelki.

Broń ukrył w specjalnej kaburze na plecach. To na wypadek, gdyby zamiast przyjść sama, przysłała jakichś drabów, żeby go wyeliminować. Poza tym pistoletem w pokoju nie było niczego, co mogłoby zostać użyte w charakterze broni. Z chwilą przybycia Christine będzie się miał na baczności, by nie zbliżać się do niej zbyt i obserwować jej machinacje z torebką.

Obrzucił ostatnim spojrzeniem stół. Na jego blacie, pomiędzy popielniczką a miseczkami z orzeszkami i precelkami, leżało zdjęcie ośmioletniej Chrissy z Alice na plaży w Chesapeake.

Zjawiła się punktualnie.

Miała na sobie przewiewną, lekką sukienkę. Wraz z nią wkroczył do pokoju cudowny, świeży i bardzo kobiecy zapach. Całą jej biżuterię stanowiły małe, jodeitowe kolczyki i taki sam wisiołek. Kolana i łydki wyłaniające się spod sukienki były ślicznie opalone, a cienkie paski sandałów podkreślały delikatność stóp. Wyglądała jak piękna młoda żona, gotowa do wyjścia z mężem w letni wieczór.

W rękę trzymała średnich rozmiarów torebkę i szal. Wally był przekonany, że nikt nie widział jej wchodzącej.

Taka profesjonalistka jak ona z pewnością przedsięwzięła odpowiednie środki bezpieczeństwa.

— Będziesz musiała mi wybaczyć, że zachowuję się jak ostatni gamoń — powiedział, przytrzymując jej dłoń. — Rzadko mam okazję gościć tak zdumiewająco atrakcyjne młode-damy.

Weszła do pokoju poruszając się cicho jak kot. Wally ruszył do stołu.

— Napijesz się czegoś? Może wody sodowej...? Lecz ona już zauważyła zdjęcie i stała przed stołem bez ruchu.

— Siadaj, proszę — powiedział Wally. Christine bardzo wolno usiadła. Wally zajął miejsce na krześle naprzeciw niej, rzucając ukradkowe spojrzenia to na torebkę i szal, to na jej niebieskie oczy, które spod złocistych rzęs nadal wpatrywały się w fotografię.

Pozwolił jej patrzeć na nią przez dłuższą chwilę. Wiedział, że jej umysł pracuje teraz na przyspieszonych obrotach. Lecz wiedział także, że patrzy na własną twarz i na życie, które zrobiło z niej to, czym była dzisiaj, na życie, o którym prawdopodobnie za wszelką cenę starała się zapomnieć. Zaczął mówić.

— Byłem okropnie gruby jako dziecko. Mój ojciec nazywał mnie „Chudzinką”. Zawsze wzdychał i mawiał: „Nie rozumiem, jak ja mogę mieć coś wspólnego z tobą, Chudzinko”. Byłem niezdarny. Więcej, byłem najbardziej niezdarny ze wszystkich dzieci.

Uśmiechnął się smutno.

— Było ich dwoje na mnie jednego, on i matka. Oboje pili, a kiedy pili, kłócili się. Zawsze kończyło się do dla mnie siniakami. Chodziłem od jednego do drugiego, lecz zwykle źle trafiałem i tak czy tak obrywałem. Westchnął głęboko.

— Ojciec bił mocno, ale za to matka wiedziała jak zrobić, żeby bardziej bolało. To chyba dlatego, że jej bardziej ufałem. Ciągle jeszcze czuję tamte popękane zebra. I po dziś dzień dzwoni mi w jednym uchu...

Sondował badawczo jej oczy. Nadal spoczywały na

leżącym na stole zdjęciu, lecz w miarę jak słuchała jego słów, ich głębia zdawała się rozjaśniać. W tęczęwkach grały kolory tak egzotyczne, jak wieczory w zamorskich krajach.

— Nigdy nie widziałem pediatry. Mój ojciec był lekarzem. Chirurgiem. On mnie „doglądał”. Tak więc nikt nie wiedział, rozumiesz... Siniaki, obrażenia... wszyscy myśleli, że jestem po prostu niezdara. Tylko kiedyś, jedna nauczycielka... Byłem w czwartej klasie. Bardzo się zaniepokoiła i zawiadomiła *Towarzystwo Przyjaciół Dzieci*. Lecz mój ojciec był ważną osobistością, profesorem w Akademii Medycznej. Z łatwością zatuszował całą sprawę.

Nie spuszczała wzroku ze zdjęcia. Wpatrywała się w oczy dziewczynki spoglądające cierpliwie z zaborczych objęć matki.

— Zostałem z nimi aż do ukończenia szkoły średniej. Ciężko jest oderwać się od ludzi, których kocham... W każdym bądź razie wprost z domu rodzinnego wszedłem w zawód detektywa. Jestem pewien, że rozumiesz, co mną kierowało. Potrzebowałem pracy, w której to ja mógłbym kontrolować sprawy, decydować o wszystkim, mieć ludzi w garści. Dość miałem roli chłopca do bicia. Chciałem obserwować życie z dystansu.

Zaśmiał się krótkim, urywanym śmiechem.

— Później dowiedziałem się, że się rozwiedli. On poślubił o połowę młodszą od siebie kobietę. Ona wyszła za emerytowanego biznesmena i mieszka obecnie na wyspie Hilton Head.

Wzruszył ramionami.

— Przez te wszystkie lata byłem sam. Raz, dawno temu, pojawiła się w moim życiu pewna dziewczyna. Poznałem ją prowadząc dochodzenie. Jej rodzina wynajęła mnie, bym odszukał ojca, który od nich uciekł. Znalazłem go. Chyba mnie lubiła, ja lubiłem ją bardzo. Zaakceptowałyby mnie, ale ja jakoś nie mogłem. Nie mogłem pozwolić sobie na małżeństwo. Rozumiesz, prawda? Ale co się stało, to się nie odstanie. To już zamknięty rozdział.

Christine siedziała nieruchomo. Chociaż jej twarz

była maską bez wyrazu, niebieskie oczy pod złocistymi rzęsami wyglądały jak oczy dziewczynki z fotografii.

— Wykonując swoją robotę krzywdzę wielu ludzi. Czasem nie tych, co trzeba. Nauczyłem się nie dbać o to, kim oni są. Wiem, że to nie jest w porządku. Ale nieomylność czy ustawianie się po właściwej stronie jest luksusem, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić. Nawet jeśli druga strona ma rację. W tym właśnie sęk.

Zamilkł na moment.

— Lecz to nie dotyczy tej dziewczyny, o której rozmawialiśmy na basenie. Muszę ją po prostu znaleźć. Nie skrzywdzę jej. Jak, u diabła, mógłbym ją skrzywdzić? Lecz jeśli chodzi o jej siostrę, tę, która dorastała w małym miasteczku pod troskliwą opieką ojca, nie byłem z tobą zupełnie szczery. Tak naprawdę to dostała w życiu parę solidnych kopniaków. Jeden z nich wymierzył jej mężczyzna, dla którego pracuję. Zapadła długa cisza. Od momentu wejścia do pokoju Christine nie powiedziała ani słowa. Nie słyszał dźwięku jej głosu od przedpołudnia.

— Przepraszam cię, ale muszę skorzystać z łazienki — odezwał się wreszcie Wally. — Czuj się jak u siebie w domu. Nie zajmie mi to więcej niż pięć minut. Kiedy wrócę, może uda nam się ożywić twoją pamięć. Życie jest pełne niespodzianek... mogłaś mimo wszystko gdzieś się z nią zetknąć.

Wszedł do łazienki, odkręcił kran z wodą, usiadł na zamkniętej klapie ubikacji i spojrzał na zegarek. Z pokoju dobiegały przytłumione odgłosy, lecz szum wody uniemożliwiał ich rozróżnienie.

Kiedy wskazówka minutowa po raz siódmy obiegła tarczę zegarka, spuścił wodę w ubikacji, zakręcił kran i wszedł do pokoju.

Oczywiście jej już nie było.

Nie było też fotografii na stole.

Wally działał metodycznie. Przeszukał cały pokój od dywanu po sufit, od zasłon po szafy w ścianie, nie ruszając niczego, co znajdował.

Potem nalał sobie odrobinę burbona i dopełnił szklanek wodą sodową. Usiadł na łóżku, spojrział ponownie na zegarek i czekał.

Po upływie czterdziestu pięciu minut podniósł słuchawkę telefonu i poprosił w recepcji o połączenie z numerem zamiejscowym.

Po kilku dzwonekach ktoś odebrał telefon.

— Rezydencja pana Kurtha.

— Mówi Wally Dugas. Czy zastałem pana Kurtha?

— Proszę chwilę poczekać.

Nastąpiła długa przerwa. W końcu odezwał się niski głos.

— Dlaczego korzysta pan z tej linii?

— Próbowałem się dodzwonić na pański prywatny numer, panie Kurth — Wally cedził słowa. — Powiedziano mi, że jest uszkodzony.

— Będę musiał to sprawdzić. No, słucham, co pan ma dla mnie? Znalazł ją pan?

— Nie, proszę pana. Jej nie można znaleźć. Ale ustaliłem, gdzie kończy się jej ślad.

— Co to znaczy? — w głosie Kurtha zabrzmiało zniecierpliwienie.

— Dzwonię z Miami. Była tu wziętą prostytutką i szantażystką. Została zamordowana półtora roku temu. Zemsta mafii. Nic osobistego. Była dla nich po prostu niewygodna. Podcięli jej gardło i zostawili, żeby się wykrwawiła. Widziałem zdjęcie u koronera.

Zapadła cisza.

— Jakie są pańskie wnioski, panie Dugas? — ton Kurtha był mieszanką gniewu i ironii.

— Cóż, koroner ustalił jej grupę krwi na podstawie autopsji. Nie jest ona definitywna, ale wynika z niej, że nie była rodzoną siostrą Annie Havilland. Lecz niezaprzeczalnie była córką Alice Havilland. Jej ojcem mógł być jeden z kochanków matki w Richland lub ktoś, z kim żyła po ucieczce. W każdym bądź razie rozmawiałem z ludźmi znającymi Christine, tę drugą córkę. Wszyscy podkreślali fakt, że była godną zaufania, kompetentną profesjonalistką i że kręcili się wokół niej faceci, przez których miała same kłopoty.

Kurth westchnął.

— W porządku, panie Dugas —jego głos był ostry. — Pańska działalność wystawiła moją cierpliwość na ciężką próbę. Może pan wracać do domu i przysłać mi rachunek. Ale chcę, żeby pan zrozumiał jedną rzecz. Ten wypadek samochodowy może oznaczać koniec kariery tej Havilland. Na pewno jako symbolu seksu. Z drugiej jednak strony może uczynić z niej męczennicę, a męczeństwo jest potężną reklamą. Wierzę panu na słowo, że w jej przeszłości nie można znaleźć nic kompromitującego, poza tym epizodem z Shainem, który został już wyeksploatowany. Dlatego od tej chwili będzie ją pan nieustannie obserwował, zarówno w prywatnym, jak i w seksualnym życiu. Aż do odwołania. Proszę mi składać raporty ze zwykłą częstotliwością.

— Zrobione, panie Kurth. Wally odłożył słuchawkę.

Przez kilka minut siedział na łóżku myśląc o tym, co musiało się dziać w głowie Kurtha tego wieczoru. Inne sposoby na pognębienie Annie Havilland... plany na wypadek gdyby udało jej się wykurować do tego stopnia, by znów mogła grać... Żądza zemsty Kurtha była nienasycona. Wally podniósł się i przyrządził sobie następnego słabego drinka. Z zasady nienawidził alkoholu, ale tym razem wypił, bo była okazja. Wreszcie udało mu się dotrzeć do Christine i zobaczyć ją z bliska. Teraz rozumiał, jak czują się imigranci, którzy odbyli długą drogę do ziemi swych przodków i zobaczyli zupełnie obcych ludzi noszących ich nazwiska. Krew z ich krwi...

Znalazł ją. I wyrządził jej tę jedyną przysługę, na jaką było go stać.

I zrobił jeszcze coś, dla siebie.

Przysiadł obok telefonu i rozmontował słuchawkę. Umieszczona w niej maleńka „pluskwa” była zwyczajna, lecz profesjonalna. Cała rozmowa z Kurthem została nagrana.

Wstał, podszedł do telewizora i usunął drugą „pluskwę”.

Christine przyszła doskonale przygotowana. W ciągu siedmiu minut miała wystarczająco dużo czasu, aby zainstalować obydwa urządzenia podsłuchowe, ukraść zdjęcie i wyjść.

Siedział wpatrując się w miniaturowe mikrofony. Zastanawiał się, co mogłoby się wydarzyć, gdyby inaczej podeszła do sprawy. Gdyby po prostu uciekła lub przysłała kogoś, żeby go postraszył albo nawet zabił. Lub gdyby przyszła uzbrojona, by zabić go własnoręcznie...

Lecz nie. Wybrała właśnie taki sposób.

Wally wzniosł kolejny milczący toast za siebie i swego gościa.

Wątpił, żeby kiedykolwiek jeszcze ją zobaczył. Lecz raz wystarczyło.

Wally promieniał w tym mrocznym pokoju. Jej zapach unosił się jak aromat rzadkiego gatunku orchidei.

Przypomniawszy sobie słowa Josepha Mancini. Tak, ona mogła skruszyć opór każdego mężczyzny. Niektórym z nich, a może wielu, przyniosła śmierć.

Rzadki i trujący kwiat.

A przecież sam Wally też zranił wielu ludzi, kilku zabił. Była jego rodzoną siostrą, nosicielką tej samej choroby, choroby, która zabija duszę uzbrajając jednocześnie ciało, aby mogło bezpiecznie chodzić po ziemi.

Coś pokrewnego miłości kazało mu przywołać w pamięci jej łagodne oczy z migoczącymi w nich kolorami skąpanymi w błękicie. Warto było jej pomóc. Choć robiąc to, mógł rozpętać jeszcze więcej zła, ponieważ uzbroił ją w to, czego szukała.

A ona naciśnie na spust.

W godzinę później ciągle jeszcze rozmyślał nad przyszłością Christine, życząc jej w głębi duszy powodzenia, kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Z bronią w ręku otworzył.

Stała w holu z łagodnym uśmiechem na ustach. Była bez szala. W ręku miała małą wieczorową torebkę, lecz ubrana była w tę samą sukienkę.

— Przepraszam, że uciekłam — powiedziała. — Teraz naprawdę chciałabym wypić tego drinka.

Cofnął się, robiąc jej przejście. Zbliżyła się do stołu,

otworzyła torebkę i umieściła fotografię na fornirowanym blacie.

— Możesz ją zatrzymać — powiedział zamykając drzwi. — Mam jeszcze jedną odbitkę. Jeśli pozwolisz, chciałbym ją sobie zostawić. Darzę ją pewnym sentymentem, tak samo jak Charlie Grzybek.

W rogu popielniczki leżały usunięte z telefonu i telewizora „pluskwy”.

Nie patrząc na nie, zwróciła się do niego.

— Dziękuję.

— Dziękuję, Wally — poprawił ją.

— Wally.

Zbliżyła się powoli i pocałowała go w usta. Pachnący, przelotny dotyk jej ciała był jak poruszenie delikatnych listków o świcie.

Nagle poczuł w sobie zakazane ciepło, które zaczęło go ogarniać od stóp do głowy.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuł, że się boi.

— Dziękuję — powtórzyła, gasząc lampę. Skąpiana tylko w srebrnej poświacie nocy sięgnęła

ręką za siebie. Sukienka opadła na podłogę i stanęła przed nim naga. Jej ciało było nierzeczywiste, niemożliwe.

Objął ją ramionami. Przy jego wydatnym brzuchu wydawała się maleńka i krucha. Była ciepła i bardziej miękka, niż mógł sobie wyobrazić.

Jego oczy raptownie zaszły mgłą. Poczuł ból długiej rozłąki i radość z ponownego połączenia. Skóra, której dotykał, była tak obca, a jednocześnie tak znajoma, że z jego ust wyrwało się lekkie westchnienie zachwytu.

Zrozumiała, co się z nim dzieje. Z delikatnością pielęgniarki rozebrała go, doprowadziła do łóżka i ułożyła. Potem oddała mu do dyspozycji swoje ciało, starając się dostarczyć mu za jego pomocą jak najwięcej rozkoszy.

Każdy jej pocałunek otwierał ranę, a potem goił ją, z równie okrutnym bólem, co przyjemnością. Każde westchnienie było hymnem, każdy dręszcz krzykiem triumfu, ponieważ oznaczały, że Wally nie jest sam.

Odnalazł osobniczkę własnej rasy, która dziś wieczorem

należała do niego z ciałem wypełnionym wiedzą o nim i poznaną prawdą. Po raz drugi i ostatni otworzył się dla świata i poczuł, że zanurza się w jego ciepłej, bezlitosnej i pięknej obfitości.

Godzinę później już jej nie było.

Wyśliznęła się spokojnie z jego ramion, zebrała swoje rzeczy, ucałowała go po raz ostatni i wyszła. Od momentu jej cichego „dziękuję” nie zamienili ze sobą ani słowa.

Rozum i serce mówiły mu, że jej już więcej nie zobaczy. Dziś wieczorem pożegnali się na wieki.

I może dlatego, opuszczając następnego ranka motel, zabrał ze sobą prześcieradła i poszewki na poduszki.

Dla Harmona Kurtha Christine przestała istnieć.

Dla Wally'ego robota jeszcze nie była skończona.

XIV

Los Angeles Times, 9 sierpnia 1971

Wczoraj w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego aktorka Annie Havilland przeszła skomplikowaną operację kręgosłupa.

Jak powiedział rzecznik prasowy szpitala, operacja była konieczna, aby usunąć chroniczny ból karku i wynikające z niego osłabienie.

Chirurg Leonard Blair, który dokonał operacji, wyjaśnił reporterom, że zabieg ten w efekcie złagodzi ucisk na korzonki nerwowe i umożliwi pacjentce stosunkowo bezbolesny i aktywny styl życia.

Zespół ortopedów pod kierownictwem dr Blaira nie podejmował się wykonania tej operacji w pierwszych miesiącach po wypadku z obawy przed pooperacyjnym obrzękiem, który mógłby uszkodzić rdzeń nerwowy i spowodować para/iż. Jednakże ostry, nie dający się złagodzić żadnymi środkami ból karku, skłonił lekarzy do podjęcia ryzyka zoperowania miss Havilland.

— W istniejących okolicznościach — powiedział dziennikarzom dr Blair — czuliśmy, że tym razem ryzyko jest bardziej niż usprawiedliwione. Mimo zastosowania wszystkich możliwych do użycia środków potworny ból odczuwany przez pacjentkę nie ustępował.

Lecz w międzyczasie odzyskała siły na tyle, by znieść operację zupełnie dobrze. Teraz oczekujemy szybkiego polepszenia stanu zdrowia.

Doktor dodał, że zespół kliniki zamierza kontynuować rozpoczętą już terapię zachowawczą w przypadku panny Havilland. Terapia ta obejmuje wypoczynek, miejscowe naświetlania, masaże, podawanie środków powodujących osłabienie napięcia mięśniowego i środków uspokajająco-rozkurczowych oraz rygorystyczny, postępujący program ćwiczeń.

Zapytany o to, czy prawdziwe są pogłoski o uzależnieniu się pacjentki od przeciwbólowych środków narkotycznych, dr Blair odmówił komentarza.

Lekarze są zdania, iż w przypadku panny Havilland nie będą podejmowane dalsze operacje ortopedyczne. Jednakże na nadchodzącą zimę zaplanowana jest operacja plastyczna, mająca na celu ostateczną korekcję złamań i obrażeń twarzy, jakie odniosła w rezultacie wypadku.

Dr Len Blair potrząsał z rezygnacją głową czytając artykuł w *Timesie*. W wywiad włożył cały swój optymizm, na jaki było go stać.

Tylko on znał brutalną prawdę. Od chwili kiedy otworzył skalpelem jej ciało wiedział, że operacja nie przyniesie wielkiej poprawy. Co najwyżej będzie jej łatwiej trzymać głowę wyprostowaną i obracać nią w prawo i lewo nie krzywiąc się z bólu. Lecz chroniczny ból karku nie ustąpi.

Ci przebiegli reporterzy wiedzieli cholernie dobrze, że kuracja spowodowała uzależnienie od narkotyków, które i tak ledwie łagodziły ból. Jego odmowa komentarza została skwitowana ironicznymi uśmiezkami.

Oni wiedzieli, że sprawy nie stały dobrze. Lecz jedynie dr Blair uświadamiał sobie w pełni, że medycyna nigdy nie będzie w stanie w takich przypadkach zbyt wiele naprawić.

Annie była teraz zdana sama na siebie. Ból był jej i tylko jej problemem.

XV

Tony Pietranera był sam w swoim mieszkaniu przy West Side. Stojąc na środku pokoju rozglądał się po ścianach, na których wisiały tanie włoskie pejzaże.

W prawej ręce trzymał szklanekę z solidną porcją nie rozcieńczonej szkockiej whisky. Obracał ją przez chwilę, potem wypił jednym haustem i podszedł do barku, by sobie ponownie nalać.

Nie mógł usiedzieć w miejscu. Musiał stać, chodzić, ruszać się. Był czujny jak dziki kot, lecz osaczony i bezradny.

Christine odeszła.

Dopił drugiego drinka i wahał się, czy nalać sobie następnego.

Aby sprostać temu, co go czeka, będzie musiał być trzeźwy.

Za oknem tętniło życiem miasto, w którym mieszka dziesięć milionów ludzi. Poza jego granicami rozciągał się kraj z ponad dwustu milionami obywateli. Setki wielkich miast. Niezliczone miejsca, gdzie można się ukryć i przyjąć inną tożsamość.

Christine odeszła.

Jak ma ją odnaleźć?

Tony rozważał dogłębnie ten dylemat. Jego wpływ na różne rodziny mafijne na wschodnim wybrzeżu był ograniczony. Niewiele dla nich zrobił, zaledwie kilka drobnych przysług, za które zresztą już mu się zrewanżowali. Na środkowym zachodzie nie miał w ogóle znajomości. Alfons nie potrafiący utrzymać przy sobie własnej dziewczyny uważany jest za rogakca. Jakiegokolwiek zwrócenie się o pomoc do organizacji naraziłoby go na pośmiewisko.

Co ma zrobić?

Musi ją złapać, przywieźć z powrotem i surowo ukarać. Wymagało tego prawo i tradycja. Jeśli uda jej się go upokorzyć, jego wiarygodność jako profesjonalisty legnie w gruzach. Będzie skończony.

Dla innej dziewczyny karą za taki numer byłoby okaleczenie czy nawet śmierć. W przypadku Christine takie .ekstremalne środki nie wchodziły praktycznie w rachubę.

Przeklinał ją. Wymykając mu się z rąk nie tylko wyrządziła mu ogromny afront, ale także zepchnęła w nieprzyjemną sytuację. Zrobiła z niego niewolnika. Jej nieobecność, arogancja i samodzielność działania sparaliżowały go. Mógł jedynie podporządkować się. Nie mógł rozkazywać i kierować.

Czyż cztery lata temu Joseph Mancini nie ostrzegął go przed takim właśnie zakończeniem?

„Jest zbyt niezależna. Umywam od niej ręce. Lecz jeśli potrafisz nią pokierować i kontrolować, jest warta miliony.”

Tony puścił ostrzeżenie starego człowieka mimo uszu. Był chciwy i pragnął Christine.

To nie było dobre. Pozbawiając go swą ucieczką środków do życia, Christine popełniła niewybaczalny błąd. Setki tysięcy dolarów, jakie była w stanie zarobić w ciągu roku, należały w większej części do niego.

Ukradła więc jego własność.

Zatem musi ją odnaleźć.

Myśl ta w pewnym sensie uspokoiła go, jako że nie było innej alternatywy. Tony nalał sobie trzeciego drinka. Łyknąwszy solidną porcję, by uspokoić wstrząsające nim dreszcze, spojrzął w lustro.

To, co zobaczył, zaszokowało go.

To nie była twarz chłodnego, pewnego siebie człowieka interesu, mającego ukarać niesforne go pracownika.

To była twarz zdruzgotanego, porzuconego kochanka.

Odwrócił się przerażony.

Roztrząsanie doznanej obrazy, oburzenia czy nawet upokorzenia to była jedna sprawa.

Natomiast zupełnie inną sprawą było wyobrażenie . sobie mieszkania bez cichego szelestu jej sukienek, bez jej świeżego zapachu, jej lekkich kroków. Wyobrażenie sobie tych wszystkich czekających na nich we wspólnej zawodowej przyszłości pokoi hotelowych, podniecają-

cych wspólnych podróży, tysiąca wcieleń i odmian jej słodkiego piękna. I nieopisanego widoku jej nagości, pieśczoł jej skóry i ust, ciepła oplatającego jego ciało, które brało go w posiadanie.

To wszystko miałoby się już nigdy nie powtórzyć?

Nie był w stanie tego objąć swoim prostackim umysłem. Tony doświadczał czegoś, co dla faceta z jego środowiska, w gruncie rzeczy dla każdego faceta, wydawało się niemożliwością: śmiertelnych katuszy z powodu pogardzanej kobiety.

Został porzucony przez mistyczne stworzenie, któremu z rozkoszą oddałby swe ciało i duszę.

Ponownie z wahaniem zerknął w kierunku barku. Czuł, że nie było w nim miejsca na myśli, na decyzje, a tylko na bezkresną rozpacz, na nieskończony ból.

Opuściła go.

Stanął znów przed lustrem. Spoglądająca z niego twarz była zmizerowana, wyzuta z chęci życia.

Tak, znał wstyd i bezradność pogardzanej kobiety.

Lecz teraz, z wolna, zaczynało go ogarniać inne uczucie, wzniecające iskry w odbijających się w lustrze oczach, rozpalające krew w żyłach.

To była wściekłość.

XVI

Któregoś ranka, po przebudzeniu, Annie wyjrzała przez okno na wzgórze. Była pora na pigułkę. Niemal co rano brała ją z pośpiechem i ulgą ze stojącej przy łóżku fiolki, popijała wodą z lodem ze znajdującego się na stole dzbanka.

Studiowała uważnie krajobraz. Roślinność była spalona słońcem. O tej porze roku urzędnicy straży pożarnej czuwali dniem i nocą z sercem w gardle, drząc na myśl o ewentualnych pożarach górskich lasów, których nie udałoby się ugasić tygodniami. Był to okres za-

grożenia, ale też coś w rodzaju wiszącego w powietrzu, przenikliwego oczekiwania, gdyż suche rośliny wydierały własny, niepowtarzalny, ostry zapach.

Odwróciła się i spojrzała na buteleczkę z pigułkami. Wiedziała, że kiedy zażyje jedną z nich, w jej psychice utworzy się przeźroczysty parawan oddzielający ją od świeżego, ostrego zapachu poranka, otulający ją miękkim całunem, za którym znajdzie schronienie w swym zwątpieniu, tak że ani świat, ani ból nie będą miały do niej dostępu.

Dzięki temu nie będzie musiała żyć. Dzięki temu będzie mogła przejść przez resztę swych dni jako inwalidka egzystująca w cieniu tego, co sama sobie zgotowała.

Wzięła fiolkę do ręki. W skondensowanej formie wyrażała ona sobą trzysta dni daremnej walki, jeden krok do przodu, dwa kroki do tyłu, od dnia wypadku.

Wyobrażała ona także bierne przechodzenie od morfiny do *Demorolu*, *Percodanu* i innych środków podawanych jej od czasu operacji, operacji, której totalna klapa była tajemnicą jej i lekarzy.

A przede wszystkim wyrażała jej przerażenie i obrzydzenie w stosunku do własnego losu, nieuleczalny żal, że była tym kim była i że zrobiła sobie to, co zrobiła.

Tak, pomyślała. Te pigułki są dla niej karą. A ta pozbawiona radości nierzeczywistość jaką sprowadzały, jest jej dobrowolnym więzieniem, z którego, jak już teraz wiedziała, nie ma ucieczki.

Wytrząsnęła pigułkę na dłoń.

Dla zagonionego świata jej wypadek, a nawet jej istnienie, były już tylko wspomnieniem.

Godzina nocy przestała być celem ataku publikatorów. Wyczerpawszy potencjał pierwszego uderzenia, stała się komercyjnym fenomenem wśród poważnych filmów, pretendentem do tytułu klasyka gatunku i sukcesem dla *International Pictures*.

Oddziaływanie Annie Havilland jako Liane na żadną wrażeń publiczność kinową także należało już do his-

torii. Jeśli chodzi o samą Annie, została zapomniana przez niestały w uczuciach światek reklamy i kreowania gwiazd. Jej sławna twarz przestała istnieć, stąd i karierę uważano za zakończoną. Przestała być aktualną kwestia jej związków z mężczyznami, nie było więc sensu wymyślać na ten temat niestworzonych historii. Jej przyszłość była dla ludzi z branży sprawą Zupełnie obojętną.

Ten stan rzeczy bardzo jej odpowiadał. Delektowała się swoją anonimowością. Była szczęśliwa, że prawie nikt, a co najważniejsze Barry Stein, nie dzwonił na numer Damona z wiadomościami dla niej. Owszem, były kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, lecz przychodziło ich coraz mniej i coraz rzadziej.

W tych dniach czuła się mniej jak inwalidka, bardziej natomiast jak emerytka. Życie z jego smutkami i wstrząsami, ale także z radościami i wyzwaniem, było już za nią. Spędzała dni snując się po pokojach Damona, gawędząc z Conchata i pomagając jej w gotowaniu, próbując zmusić się do jedzenia wspaniałych potraw, jakie razem przyrządzały, uśmiechając się mimo nieustępliwego bólu. Z poczucia obowiązku przyjmowała Judy Hagerman i wykonywała jej ćwiczenia, siłąc się na zdawkową rozmowę. Siadywała w swoim pokoju lub na werandzie, gapiąc się na wzgórze, myśląc o przepaści na końcu ulicy, gdzie zaczęły się wszystkie jej kłopoty.

I czekała na następną dawkę lęku.

Jej umysł funkcjonował jakby w próżni, zdolny do jasnego formułowania pojęć, lecz niezdolny do skoncentrowania się na czymkolwiek, a szczególnie do zaplanowania działania, dzięki któremu mogłaby otrząsnąć się z chandry i czarnych myśli. Pograżała się w kontemplacji jak palacz opium, niezdolna do poruszenia palcem.

Przed oczyma jej duszy przepływały pomysły, opinie i prawdy przegonione przez narkotyki. Spoglądając w przeszłość, na swoją karierę aktorską rozumiała, dlaczego tak bardzo ją ukochała. Czymś wspaniałym była możliwość kreowania postaci z niczego, oglądanie obcego ciała, ożywiającego czyjeś słowa i gesty. Zawsze będzie to wspominać z wdzięcznością.

Być może, zadumała się, jeśli kiedykolwiek wróci do

zdrowia, uda jej się znaleźć pracę gdzieś na marginesie show-biznesu. Pomyślała o Jerry'ym Fałkowskim i jego pełnym pasji zaabsorbowaniu wszystkim, co łączy się z dźwiękiem i jego odtwarzaniem. Być może będzie mogła zostać technikiem dźwięku, oświetleniowcem czy kimś w rodzaju montażystki. Ci ludzie dają z siebie tak samo dużo dla filmu jak aktorzy i reżyser i czerpią tyle samo osobistej satysfakcji z produktu końcowego ich pracy.

Być może, będąc eks-aktorką, mogłaby kiedyś nauczyć się reżyserować. Jeśli nie w filmie, to chociaż w jakimś skromnym teatrzyku. Obserwując pracę Da-mona i Marka Salingera z aktorami nauczyła się tyle, że była przekonana, iż zdobywszy pewne doświadczenie, potrafiłaby robić to samo. A co najważniejsze, obserwowała przez rok pracę najlepszego z najlepszych, Roya Derana.

Lecz wszystkie te plany umierały równie szybko, jak się rodziły. Były one odpowiednie dla innej Annie Ha villand, osoby zdrowej i aktywnej, która prawdopodobnie już nigdy nie zaistnieje. Dlaczego miała pozwolić, żeby naigrawały się z niej, skoro i tak nie mogła ich zrealizować?

Tak więc Annie zatapiała się na powrót w bezdennej melancholii.

Z nudów zaczęła coraz więcej czytać, i to nie tylko pozycje z dziedziny filmu i teatru, lecz wszystko, co jej wpadło w ręce. Czytała powieści, o których kiedyś słyszała, a na przeczytanie których nigdy nie mogła znaleźć czasu. Czytała biografie, traktaty historyczne, opracowania z dziedziny botaniki, energii jądrowej, polityki, muzyki i sztuki chińskiej. Lektura stała się dla niej najbardziej skutecznym sposobem zapominania o bólu.

Niekiedy, w poczuciu potwornego zawodu, uświadamiała sobie, że nie pamięta nic z przeczytanej książki. Niemożność skupienia myśli nie pozwalała jej skoncentrować się na treści.

Ale przynajmniej jakoś zabijała czas. A czas był wrogiem, którego należało zabić.

Z czasem jednak zaczęła zapamiętywać coraz więcej.

I czuła, że staje się bardziej myśląca niż kiedykolwiek, bardziej analizująca własne myśli i uczucia.

Spoglądała wstecz na swoje życie, od wczesnych, niewinnych lat w Richland do Lianę i plugawej kampanii, w wyniku której zyskała miano Anioła Seksu. Zauważała w swoich doświadczeniach pewną ironiczną ciągłość. Największym wrogiem życiowym było dla niej poczucie wyobcowania spośród innych ludzi, przekonanie, że w jakiś sposób nie należy do tego świata.

A świat potwierdzał to odczucie. Uroda okazała się wadą i obróciła się przeciw niej, tak samo jak talent i praca włożone w wykreowanie Lianę obróciły się przeciwko niej w trakcie kampanii reklamowej.

W maszynie wprawionej w ruch przez Harmona Kurtha. Uśmiechnęła się na myśl o satysfakcji, jaką musiał promieniować na wieść o wypadku. Niewątpliwie przypuszczał, że to co się wydarzyło, było rezultatem skandalicznych plotek połączonych z brakiem pracy dla tak poważnej aktorki jak ona. I być może miał rację.

Teraz już nigdy nie pozna uczucia słodkiej zemsty na nim. Lecz przestało jej na tym zależeć. Ostatecznie ludzie tacy jak Kurth sami byli swoimi największymi wrogami. Egzystowali w żywym piekle egoizmu, odseparowani od społeczeństwa. Nie ma potrzeby karania ich za grzechy. Te grzechy same w sobie są karą. Dla zwykłych ludzi najważniejsze jest trzymać się z daleka od takich Kurthów, kultywując to co najcenniejsze w człowieku i kochając innych.

Teraz dostrzegała, że postąpiła źle budując swą karierę na pragnieniu zemsty na Kurthu. Powinna była raczej myśleć o ratowaniu własnej duszy. To był jej zasadniczy błąd.

A jednak to ta piekielna chęć zemsty, to nieustanne dążenie wyżej i wyżej, zetknęły ją z Damonem i powołały do życia Lianę. Jedna taka rola wystarczałaby każdej aktorce do końca swoich dni. A współpraca z Damonem Rhysem, współpraca tak bliska, że wyczuwało się wpływ jego „Midasowego dotyku”, byłaby dla każdej z nich bezcennym przywilejem. A Annie dostała tego zaszczytu.

Nie, nie powinno się zbyt żałować przeszłości. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, choć wielu zagonionych ludzi nie dostrzega tego. Nie należy przywiązywać zbyt dużej wagi do okrucieństw tego świata. Lepiej nie ryzykować cofania zegara. Gdyby wszystko miało się zaczynać po raz drugi od początku, mogłoby być jeszcze gorzej. Dlatego Annie spędzała całe dni sam na sam z myślami. Stanowiły jej prywatny świat wspomnień, śnionych na jawie koszmarów, a niekiedy także akceptacji dla własnych poczynań. Myślała o wszystkim i wszystkich, z wyjątkiem utraconego dziecka. W miarę upływu czasu w tych rozważaniach pojawiła się nowa jakość, coś w rodzaju mozolnego czołgania się w nieznanym kierunku, tak, jakby była teraz naprawdę silniejsza, gotowa do przejścia od myśli do czynów. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dręczący, niesłabnący ból władający bezradnym ciałem i narkotyczne otumanienie, w jakim żyła. Lecz właśnie dzięki temu otumanieniu nie poddawała się, ponieważ stanowiło jakby zasłonę oddzielającą ją od czegoś, z czym nie ośmieliłaby się stanąć twarzą w twarz. Jednak dzisiaj, kiedy siedziała z kapsułką w ręku wpatrując się w skąpane słońcem kaniony, zasłona się nagle uniosła. Z zaciśniętymi ustami spojrzała na kapsułkę. Widziała niemal znajdujący się wewnątrz proszek. W jej wycieńczonych palcach spoczywała mała, kolorowa tubka, kusząca ją tak, jak cukierek kusi dziecko. Kiedy ją połknie, kolorowa osłonka rozpuści się, a proszek zacznie oddziaływać na jej system nerwowy i umysł, przytępiając wszystkie zmysły, odbierając siły do myślenia, odczuwania, odbierając nadzieję. I dziś będzie tak jak wczoraj, a jutro tak jak dziś. Nużące tempo odizolowanych od rzeczywistości dni nie ulegnie zmianie. Tak długo, jak na to pozwoli.

Z tą myślą Annie podniosła się. Wzięła butelkę z pigułkami i ruszyła w kierunku łazienki.

Przypomniała sobie martwe, szare ciało Nicka Marciano złożone na stole w kostnicy jak patetyczny pomnik szaleńczego poszukiwania spokoju umysłu, poszukiwania zakończonego w rojącym się od robactwa mieszkaniu, dokąd śmierć przybyła nazbyt pośpiesznie, by uścisnąć wyciągnięte ręce swojej ofiary. Jakże skutecznie płomień miłości i śmiechu zostały zgaszone dla oczu ukrytych za tymi bladymi, zamkniętymi powiekami!

Annie popatrzyła na miskę klozetową. Otworzyła powoli fiolkę i wysypywała z niej pigułki, słuchając jak pluskają w nieruchomej wodzie. Potem odszukała w apteczce inne buteleczki i opróżniła je, jedną po drugiej, obserwując jak toaleta zapełnia się niczym ohydne bagno śmierdzącej galarety. W końcu splukała wszystko wodą.

Kiedy w apteczce nie zostało nic prócz aspiryny, wróciła do sypialni. Wciągnęła głęboko w płuca rześkie, poranne powietrze, zlustrowała jasnymi oczyma wzgórze i usiadła przy oknie.

Nadszedł czas, by znów była sobą.

Upór, jak stary przyjaciel, przyszedł jej z pomocą, gdy wahała się z podjęciem decyzji.

Będę żyła ponad tym bólem, powiedziała sobie. Moje życie będzie takie, jakiego sama chcę. Nie będę dłużej ofiarą swego położenia, swojej przeszłości czy rozpaczy. Nie będę winić lekarzy ani też siebie za błędy, których nie da się naprawić. Mój los należy teraz do mnie i tylko do mnie. Usłyszała śpiew ptaka. Poczula zapach cedrów, jaśminów i eukaliptusa. Otworzyła książkę i przeczytała jedną stronę. Poszła do kuchni i naląła sobie szklanekę soku pomarańczowego. Popijała go małymi łykami delektując się nowością jego smaku.

Wszystko zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejśkiej różdżki. Życie stało się na powrót czymś bliskim, spokojnym, zorganizowanym i cudownym, szczerze obdarowującym szczęściarzy swymi dobrodziejstwami. Musi tylko skoncentrować się na otaczającym ją pięknie

i różnorodności, a będzie w stanie wypełznąć ze swej dziury i stać się na nowo dawną Annie Havilland.

Lecz była jeszcze jedna sprawa.

Musi pogrzebać swoje dziecko.

Udała się na długi spacer. Znalazła możliwie najbardziej odizolowany wierzchołek wzgórza. Tam palcami wykopała w górskiej ziemi małą dziurę i umieściła w niej wisiorek подарowany jej przez Harry'ego Havillanda na tydzień przed ukończeniem szkoły, na tydzień przed jego śmiercią. Przez osiem lat stanowił dla niej talizman przynoszący szczęście.

Żegnaj — powiedziała do swego bezimiennego, nienarodzonego dziecka. Kocham cię.

Spływające niepohamowaną lawiną po policzkach łzy zdawały się ją oczyszczać. Wyływały z niewidzialnych ran, które mogły krwawić obficie i zablizniać się teraz, kiedy jej strata należała w końcu do niej samej.

Siedziała długo na szczycie wzgórza, czując jak czas upływa wraz z obrotami wirującej pod nią kuli ziemskiej. Dotykała tej ziemi delikatnie, jakby to było coś co utraciła i odzyskała.

Potem wróciła do domu.

Tego popołudnia uśmiechnęła się do Judy. Conchatę zaskoczyła jej dziwna, nowa pogoda ducha. Damon ze zdziwieniem uniósł brwi słysząc radosne słowa powitania, jakimi go przyjęła po powrocie z biura.

Nawet pielęgniarka od dra Blaira została obdarowana kilkoma ciepłymi zdaniem, kiedy zatelefonowała, by potwierdzić następną wizytę Annie.

Tej nocy odrodzona Annie Havilland, leżąc w łóżku, koncentrowała się na nowych pomysłach i marzeniach, jakie przyniósł jej miniony dzień.

Pomimo odstawienia narkotyków, ku swemu zaskoczeniu, zasnęła już po pół godzinie.

Następnego poranka zbudziła się rześka i pełna chęci do życia.

Tak, zadumała się, kariera dźwiękowca może mimo wszystko być całkiem przyjemna. Pójdzie do biblioteki

i poczyta trochę na ten temat. A może powinna zadzwonić do Jerry'ego Fałkowskiego i poprosić go o pomoc?
Czas najwyższy, aby zacząć znowu żyć. Annie zrobiła pierwszy krok w tym kierunku.

XVII

Nadszedł wreszcie dzień usunięcia maski.

Dr Mahoney, rumiany Irlandczyk o zaskakująco spokojnym głose i sposobie bycia, osobiście drutował w noc wypadku złamaną szczękę Annie i zszywał głębokie, szarpane rany. Będąc przy niej przez cały czas, stał się przyjacielem i podporą, szczególnie kiedy wielkimi krokami zaczął się zbliżać moment rozpoczęcia reszty życia z nową twarzą. Nie potrafił jednak zmniejszyć jej obaw przed tym, jak ta twarz będzie wyglądać. Jako ekspert w dziedzinie operacji plastycznych, a także używania radioterapii do usuwania blizn, wiedział doskonale, że chirurgia plastyczna na obecnym etapie rozwoju już nic więcej nie mogła dla Annie zrobić. Twarz, którą dziś, w rok i trzy miesiące po wypadku, zobaczy w lustrze będzie przypisana do niej już na zawsze.

Doktor przyszedł osobiście do domu Damona, by usunąć bandaże nałożone na jej twarz po ostatniej operacji.

— Góra przychodzi do Mahometa — zażartował, spuszczać do połowy żaluzje w sypialni Annie i sadowiąc ją na wprost lampy.

— Blizny mogą panią trochę przerazić — mówił dalej, rozpoczynając zdejmować opatrunek — z tej prostej przyczyny, że są jeszcze widoczne. Lecz musi pani pamiętać, że dla innych będą niemal niezauważalne. Oni będą postrzegać całościowy efekt pani twarzy.

O ile nie uciekną i nie schowają się do mysiej dziury, żeby mnie nie widzieć — pomyślała Annie z wisielczym poczuciem humoru zrodzonym ze strachu.

— Widzowie gotowi? — lekarz uśmiechnął się do Damona siedzącego przy oknie za plecami Annie.

Nie widziała jego aprobującego uśmiechu, gdyż przerażona skupiła wzrok na nagiej ścianie za lampą.

— No to jedziemy!

Zaskakująco szybko bandażę poluźniły się i Annie poczuła na skórze chłodne, świeże, poranne powietrze.

Doktor uśmiechnął się nieznacznie i pokiwał głową oceniając efekt swojej pracy.

— No i jak? — odezwał się Damon ze swego miejsca. — Mogę popatrzeć?

— Proszę bardzo.

Annie usłyszała jak się zbliża. Ujął jej dłoń, a w polu widzenia pojawiły się jego krzaczaste brwi. Spojrzała na niego wzrokiem psotnego dziecka, które winę ma wypisaną na twarzy.

Uniósł brwi. Pokiwał głową. Małe, niebieskie oczy zamigotały z intensywnością, której znaczenia nie była w stanie pojąć.

— Lustro — powiedział szorstko, wyciągając rękę po małe lustro pozostawione przez Conchatę w sufladzie komody.

— Nie... — zakwiliła Annie, z całych sił starając się przywołać na usta słaby uśmiech, maskujący lęk — Czy muszę?...^J

Opór jej nie miał sensu. Nie mogła walczyć z Damonem.

Wcisnął jej lustro do ręki. Wzięła głęboki oddech i spójrzała w nie.

Twarz, którą zobaczyła, należała do kogoś obcego

Prawda, blizny były minimalne. Ciało odbite w lustrze było ciałem istoty ludzkiej, młodej kobiety. Lecz nie nosiło żadnego podobieństwa do Annie Havilland, którą знаła przez całe życie.

Kości policzkowe były jakby wyżej. Inny był zarys szczęki. Czoło, miejsce najgorszych urazów, wyglądało niezrozumiale obco. Nos, chociaż prosty i nie rzucający się w oczy, nie był jej nosem.

Ale najdziwniejsze było to, że zdumiewająco zmieniły się jej oczy. Były pełne dziwnej głębi i cierpienia, niesa-

mówicie błyszczące. Zniknął z nich gwałtowny błysk prowokacji, który martwił ją jako dziewczynę, a który później dopomógł jej stworzyć Lianę. Lecz wraz z nim zniknęło jasne światło niezmaconego optymizmu, tak typowego dla Annie. To były oczy kobiety pozbawionej wszystkich marzeń dzieciństwa, rozświetlone myślami tak odległymi, jak najodleglejsze gwiazdy.

Annie opuściła powieki, nie miała odwagi i sił, by spojrzeć ponownie. Czuła jak zamknięte, obce oczy napelniają się łzami.

Nie wiedziała, co począć z tą twarzą ani też jak z nią żyć. Czuła się jakby skradziono jej duszę i zastąpiono ją duszą kogoś obcego.

Dłoń Damona nakazująco ścisnęła jej ramię.

— Otwórz oczy, maleńka. Popatrz jeszcze raz. Nie bój się.

— Wyglądam potwornie, prawda? — spytała drżącym głosem.

— Wyglądasz inaczej — odparł surowo. — Wiedziałaś, że tak będzie.

No, przestań, dziecinko. Wiedziałaś, że tak czy tak zmienisz się w kogoś obcego, innego, czyż nie? Prędzej czy później? Czy chciałaś na zawsze pozostać taką, jaką byłaś? Zmiany są istotą naszego istnienia. Nie możemy dorosnąć, zanim nie utracimy tego, czym byliśmy kiedyś. Inne nie znaczy wcale gorsze.

Nie do końca przekonana zerknęła ponownie w lusterko. Chciała ocenić nową twarz z estetycznego punktu widzenia, jak gdyby w oderwaniu od niej. Lecz spoglądające na nią oczy same zdawały się bardziej oceniać, niż podlegać ocenie. Przeraziły ją jeszcze bardziej niż przedtem.

Damon przysunął się bliżej, przyglądając się jej bardziej krytycznie.

— Widzę tutaj pewne możliwości — powiedział. — Możliwości, jakich nie widziałem przedtem. Daj sobie trochę czasu, a też je zobaczysz.

Odrzuciła lusterko i objęła go mocno wokół grubej talii. Poklepał ją delikatnie po ramieniu. W tym samym momencie do jej uszu doszedł głos dra Mahoney'a.

— Może pani umiarkowanie korzystać ze słońca, lecz

proszę stosować płyn, który pani przepiszę i zawsze smarować nim twarz przynajmniej czterdzieści pięć minut przed wyjściem na zewnątrz. Może się pani myć normalnie, lecz używając wyłącznie łagodnego mydła. Proszę nie pocierać skóry niczym szorstkim. Dobrze będzie też stosować krem nawilżający. Moja pielęgniarka dostarczy pani wykaz tego co wolno, a czego nie.

Doktor obejrzał ją raz jeszcze z satysfakcją i zaczął zbierać się do wyjścia, by pozostawić Annie sam na sam z nową fizjonomią, do której zmuszona będzie się przyzwyczaić.

Damon ni stąd, ni zowąd zwrócił się w kierunku holu.

— Frank! — zawołał. — Chodź tutaj. Chcę, żebyś to zobaczył!

— Nie! — krzyknęła Annie gwałtownie, zaszokowana faktem obecności Franka tu i teraz. — Co... co on tu robi? Damon, ja nie mogę...

— Robi dla mnie małą robótkę — odpowiedział Damon, powtarzając wcześniejsze wyjaśnienie, jakim tłumaczył wizyty składane od czasu do czasu przez McKennę w domu w kanionie, od momentu wypisania Annie ze szpitala. — W każdym bądź razie jestem zadowolony, że w razie potrzeby mam go pod ręką. A teraz chcę się tobą popisać!

Ponownie skierował wzrok w kierunku holu.

— Nie! — powtórzyła Annie impulsywnie. — Zaczekaj... o mój Boże...

— O co chodzi? — Damon był wyraźnie zaskoczony. — Tylko mi nie mów, że przejmujesz się tym, co Frank McKenna o tobie pomyśli. Daj spokój, dziecinko. Pamiętaj, kim jesteś.

Annie miała serce w gardle. Myśl o tym, że Frank będzie ją oglądał i szacował chłodnymi oczyma sędziego, była dla niej nie do zniesienia. Było jednak za późno na dalsze protesty, gdyż jego cień już zamajaczył w drzwiach sypialni. Wyprostowała się i wyzywająco zwróciła twarz w jego kierunku.

Ku jej zdumieniu opanowana twarz mężczyzny nie ujawniała żadnej reakcji, niezależnie od tego, co pomyślał. Stał w drzwiach w swoim garniturze i krawacie,

elegancki i powściągliwy jak zawsze. Nawet oczy, w irytujący dla Annie sposób nie zdradzały nic. Zupełnie nic.

Był na tyle taktowny, by nie podchodzić bliżej. Po prostu stał i patrzył. Wydawało się, że wniósł ze sobą powiew świeżego powietrza. Jasne włosy były odrobinę rozwichrzone, nadając mu nieco wisusowaty wygląd.

Annie uzbroiła się w odwagę przed tym, co miało nastąpić. Niech sobie myśli, co chce, zdecydowała odważnie. Ostatecznie on nic dla mnie nie znaczy.

— No, śmiało, niech pan to powie — odezwała się. — Wiem, jak wyglądam. Nie boję się, w końcu jestem sama sobie winna. Nie musi mnie pan oszczędzać.

Tkwiał nadal w bezruchu, wpatrując się w nią. Ta przedłużająca się sytuacja irytowała ją bezgranicznie. Wreszcie przemówił.

— Podziwiałem przedtem pani urodę, panno Havi-land. Ale, proszę się nie obrażać, teraz podoba mi się pani bardziej.

Annie zarumieniła się. Nie chciała być obdarzana fałszywymi komplementami. Lecz spojrzenie jego oczu było poważne i wyrażało szczerłość.

— Pewne cechy w pani są teraz lepiej widoczne. To nie znaczy, że przedtem ich nie było... ale trzeba się było uważnie wpatrywać, żeby je znaleźć. Teraz są widoczne jak na dłoni. Uśmiechnął się. — One promieniają.

Zażenowana Annie odwróciła się do Damona. Ten przytakiwał ruchem głowy słowom Franka.

Niczym tancerka na niewidzialnej linii rozpiętej między dwoma mężczyznami, Annie walczyła o zachowanie równowagi. Czy to możliwe, żeby na jej twarzy było wypisane coś więcej poza wstydem? Zanim zdołała odpowiedzieć na to pytanie, dotarło do niej coś, czego dotąd sobie nie uzmysławiała. Ta nowa świadomość poraziła ją swoją gwałtownością.

Strach, w jakim żyła przez te wszystkie miesiące, nie był jedynie strachem przed tym, co sama pomyśli, kiedy wreszcie zdejmą jej bandażę. To był także lęk przed tym rzadkim, a mimo to tak podświadomie pożądanym i oczekiwanym gościem, czło-

wiekiem, który wkroczywszy w życie Annie jako intruz, zagościł w nim na dobre. I paradoksalnie, wcale nie chciała, żeby odchodził.

Właśnie on, spośród tylu ludzi...

Ta myśl była niemal zabawna. A wraz z nią pojawiło się uczucie ogarniające przyjemnym ciepłem jej kruche ciało.

Prawdę mówiąc, tak przejemnym, że uśmiechnęła się do łagodnych, brązowych oczu Franka.

XVIII

W tydzień po zdjęciu bandaży Damon wyjechał.

— Nie martw się — powiedział do Annie — nie mam zamiaru pić i hulać. Powinnaś czuć się dumna, gdyż czas moich pijatyk skończył się dzięki tobie. Teraz nadeszła znów pora na pisanie. To znaczy, zapisywanie. Wiedziała, co miał na myśli. W burzliwym okresie pomiędzy realizacją jednego a drugiego projektu, rozwijał w sobie rodzący się pomysł w perfekcyjnie skonstruowaną i wypełnioną postaciami fabułę.

Dopiero po zakończeniu tego wewnętrznego procesu tworzenia, zaczął myśleć o swoim dziele w kategoriach ostatecznego gatunku, decydował czy będzie to sztuka, film, opowiadanie czy też powieść.

Annie dobrze wiedziała, że poświęcając się dla niej po wypadku, przedłużył przerwę w pracy twórczej do ponad roku. I czuła się winna, że przeszkadza geniuszowi w tworzeniu.

Z drugiej jednak strony podejrzewała, że po stresie związanym z produkcją *Godziny nocy*, Damon był w głębi ducha zadowolony, folgując swoim instynktom opiekuńczym zagłuszającym instynkt samozniszczenia, który w przeszłości tak wiele razy doprowadzał go na skraj przepaści. Być może tym razem rzeczywiście potrzebował dłuższych, bardziej ustabilizowanych wakacji.

W każdym bądź razie, teraz nadszedł czas, aby „zapisywać”. Tego Damon nigdy nie robił sam. Jeździł na

Manhattan, gdzie mieszkał i pracował jako autor sztuk i scenarzysta jego stary przyjaciel i były kolega teatralny Abe Feingold.

Ci dwaj zamykali się na całe tygodnie w przepastnym mieszkaniu Abego przy Upper East Side. Damon całymi dniami pisał, a wieczorami czytywał głośno Abemu to, co stworzył. Abe słuchał z zamkniętymi oczyma, przerywając mu i komentując, gdy jakaś fraza wydawała mu się niezręczna.

— On ma najlepsze w historii ludzkości ucho do języka — mawiał Damon do Annie. — Możesz mu pokazać akapit z „Madame Bovary” po francusku, a on wskaże ci miejsca, gdzie Flaubert mógł udoskonalić swoją koordynację, swoje brzmienie. A Abe ledwo mówi po francusku! To samo z mową Szekspira, z kwestiami z Yeatsa, a nawet z wersami z Dantego. On potrafi je czytać i ulepszać. To instynkt.

Sam Abe był korpulentnym, łysiejącym mężczyzną, pisującym drobne, błyskotliwe komedijki-dreszczowce oraz kryminały. Jego mocną stroną było adaptowanie powieści dla potrzeb Broadwayu i sztuk dla potrzeb ekranu. Praca przynosiła mu ogromne pieniądze, lecz on pozostał w głębi ducha skromnym, prostym nowojorczykiem, któremu daleko było do sposobu bycia intelektualisty.

Mimo to, jego gust zarówno w sprawach prostych jak i skomplikowanych, wykazywał wycucie estetycznej elegancji, jaką mogło się poszczycić niewielu ludzi.

Zmieniał nieustannie tapety i zasłony, twierdząc, że pewne kolory i kombinacje form ranią jego oczy. Miał bzika na punkcie mebli stale je przestawiając, zmieniając obicia, wyrzucając i kupując nowe. Jego celem nie było zrobienie wrażenia na nielicznych odwiedzających go osobach, lecz uczynienie pokoi wygodniejszymi i bardziej odpowiadającymi jego nadludzko wrażliwemu poczuciu proporcji i harmonii.

Słuchał wyłącznie Mozarta, traktując muzykę tego kompozytora w zależności od potrzeb, jako środek uspokajający, podniecający lub jako uniwersalne lekarstwo. Beethoven był zdecydowanie zbyt neurotyczny dla jego

uszu, a nawet Bach nie dość symetryczny i intelektualny. (On i Damon wiedli na ten temat nieustający spór, ponieważ w pojęciu Damona partity i fugi Bacha były jedynym sposobem na robienie muzyki).

Nigdy nie chadzał na napisane przez siebie sztuki czy filmy. Dla odprężenia spacerował jakby w transie ulicami, niepomny na ruch uliczny, przechodniów i potencjalnych opryszków.

Znał wszystkie sklepy garmazeryjne od Lower East Side do Bronxu, w których niezmiennie zamawiał kanapki z konserwą wołową na lunch. Delektował się sałatkami ziemniaczanymi o najdelikatniejszych smakach, a koszerne pikle miały dla niego posmak religii.

Mówił z twardym, brooklińskim akcentem, pachniał niemodną wodą kolońską i nosił tak źle skrojone garnitury, że wyglądał bardziej jak sklepikarz z sąsiedniej dzielnicy biedoty, aniżeli jeden z cieszących się największym powodzeniem dramatopisarzy w kraju.

Miał trzy kochanki. Jedna z nich, Żydówka w średnim wieku, gotowała mu, drapała gó po plecach i wiedziała, jak sprzątać jego mieszkanie nie zakłócając porządku, według którego poukładane były książki, popielniczki i poduszki, a który był mu niezbędny dla spokoju umysłu i normalnego funkcjonowania. Rose potrafiła też grać Mozarta na pianinie. Vera czytała mu głosem, który, jak twierdził, wpływał na niego kojąco pod koniec dnia. Sacha, jedna z najbardziej liczących się w świecie projektantek porcelany, robiła mu masaże, będące jego zdaniem jedynym lekarstwem na nękające go regularnie co dziewięć dni migrenowe bóle głowy.

Wszystkie trzy były wspaniałymi kucharkami. Kiedy zdarzyło im się spotkać w mieszkaniu Abego, walczyły ze sobą jak demony. Takich sytuacji Abe starał się jednak w miarę możliwości unikać. I, ku zdumieniu Damona, wszystkie były do siebie tak uderzająco podobne, że można by wziąć je za trojaczki. Nie były jednak spokrewnione. Stanowiły jeszcze jeden dowód na „nadprzyrodzony” gust Abego.

— Jak tam twoje kobiety? — zwykł pytać Damon, telefonując do niego z Los Angeles lub składając mu wizytę.

— O Chryste, żebyś ty wiedział... — wzdychał Abe. — Te dzisiejsze kobiety... Ale dzięki Bogu wszyscy jesteśmy zdrowi.

Być może nie była to tylko kwestia geniuszu Abego w zakresie lingwistyki, lecz także bogate środowisko żydowskie z którego się wywodził, mające wiele wspólnego z pochodzącymi z Południa „korzeniami” Damona, że tak owocnie im się razem pracowało. Ich myśli były zharmonizowane ze sobą do tego stopnia, iż rzadko kiedy Abe musiał głośno sugerować Damonowi zmiany w czytanej przez niego tekście. Kręcił się na krześle, marszczył czoło, kasłał, drapał się, a Damon, odbierając i interpretując te sygnały niczym radar, dokonywał pośpiesznie poprawek, czytał ponownie i obserwował reakcję Abego. W zamian za to Damon analizował wszystkie prace Abego pod kątem psychologicznym. Była to słaba strona Abego jako pisarza, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Damon wychwytywał natychmiast miejsca, w których Abemu nie udało się „dopełnić” postaci, ukazać dostatecznie ostro zachodzących w niej zmian czy podbudować jakiejś sceny właściwą motywacją.

Jego komentarze były niemal tak lakoniczne jak Abego.

— Niech ona wstanie i pochodzi, Abe. Jest nerwowa jak kot...

— Daj im chwilę odczekać, Abe. Musisz utrzymać tylne rzędy w zainteresowaniu...

— Nie pozwól jej tak łatwo rezygnować, Abe. Jeden siarczysty policzek, a potem z powrotem do sypialni...

W miarę upływu lat symbioza między dwoma mężczyznami przerodziła się w twórcze alter ego. Publiczność nic nie wiedziała o ich układzie. Żaden z nich nie podkreślał swojego wkładu w sukcesy drugiego, ani też nie myślał o przypisywaniu sobie zasług z tytułu współpracy. Było po prostu tak, że jeden nie mógł pracować bez drugiego.

Kiedy jeden z nich umrze, drugiemu przyjdzie samodzielnie kontynuować pracę, starając się wrócić do sposobu, w jaki robił to w okresie poprzedzającym ich związek, dokładnie tak, jak pogrążony w smutku owdowiały małżonek próbuje na nowo odkryć sposób, w jaki żył wiele lat temu, przed pojawieniem się w jego życiu partnera.

Tak więc Damon stanął nad ortopedycznym krzesłem Annie ze starą aktówką pod pachą i uśmiechnął się do niej.

— Ruszam, dziecinko. Conchata się tobą zaopiekuje. Wykonuj regularnie ćwiczenia. Prosiłem Franka McKenę, żeby wpadał do ciebie raz po raz. Bądź dla niego miła. Poza tym jesteś zdana sama na siebie.

Annie otworzyła szeroko srebrzyste, ciągle udręczone bólem oczy.

Uśmiech dodał jeszcze blasku ich niemal nieziemskiej jasności. Damon pomyślał, że nigdy nie wyglądała równie pięknie.

A on miał plany co do jej twarzy.

— Tak jest, mistrzu — powiedziała, wyciągając do niego rękę.

Pomógł jej wstać i uściskał pospiesznie.

— Nigdy nie miałem córki — powtórzył po raz setny swoje sakramentalne, szorstkie słowa z mieszaniną miłości i humoru.

— Wszyscy to widzą — zaśmiała się, dotykając jego kręconych włosów.

— Jesteś do niczego jako ojciec. Za grosz dyscypliny. Jesteś za miękki.

— No to trzymaj się — mruknął. — Zadzwoń do mnie jak będę u Abego.

— W porządku, tatuśku. Odprowadziła go do drzwi.

Z właściwą sobie dziwną biernością wsiadł do taksówki, jakby to była łódź zabierająca go przez Styks do Hadesu. Pomachał jej na pożegnanie.

Potem odjechał.

Annie została sama.

XIX

— ...osiem... dziewięć... dziesięć... Czy to boli?

Annie nie odpowiedziała. Dyszała z wysiłku, przywiązana do maszyny *Nautilusa* jak zwierzę w pułapce, podciągając kolana i napinając mięśnie ud, by podciągnąć znieawidzone bloki urządzenia.

Za sobą usłyszała furkotanie krążka. Ciężarki dzwoniły, kiedy po raz kolejny rozprostowała uda.

— ...jedenaście... jeszcze tylko raz... Czy to boli? Głos siedzącego obok niej na krześle i obserwującego jej wysiłki Franka był obojętny.

Jeszcze tylko raz — pomyślała z rozdrażnieniem. Myślisz, że o tym nie wiem? Zawsze jest jeszcze tylko raz.

— Och... — zajęczała w odpowiedzi:

Bloki znów odskoczyły od siebie. Odczuła napływające fale zmęczenia, wzdłuż ud i powyżej, aż do pleców. Przed rozpoczęciem ćwiczenia, Frank zgodnie z instrukcjami dra Blaira, dołożył dodatkowe ciężarki. Po ósmym powtórzeniu ćwiczenia czuła się słabsza niż zwykle, po dziesiątym niemal zrozpaczona. Myślała, że nie będzie w stanie zrobić ostatniego. Wiedziała jednak, że Frank będzie po prostu czekał w milczeniu, dopóki nie odpocznie przed ostatnim wysiłkiem. Na swój powściągliwy sposób był najsurowszym z nadzorców, nie strofował jej, kiedy wzdychała z bólu lub narzekała na wyczerpanie, ale zawsze stoicko wyczekiwał na zrobienie przez Annie tego, co wydawało się niemożliwe.

Zgrzytała zębami, włosy, mimo opaski na czole, zwisały jej mokrymi strąkami na policzki, ręce zaciskały się do białości na siedzeniu.

Westchnęła z udręką i zaczęła dźwigać bloki po raz ostatni. Skóra siedzenia ocierała jej od spodu kolana. Krążek skrzypiał opornie.

Tym razem tortura zdawała się przeciągać w nieskończoność. Z kolanami oddalonymi o cal od siebie, drżącymi jak opętane, szarpnęła się z desperacją, czując jak cała maszyna ożywa wskutek jej cierpień. Kiedy bloki zetknęły się wreszcie ze sobą ostatni raz, pot po jej plecach lał się strumieniami.

Zaczęła opadać z sił. Pozwoliła im ulatywać wraz z trzaskiem spadających ciężarków, przeklinając maszynę i obserwującego ją w milczeniu mężczyznę.

— Auuu...! — krzyknęła nagle, kiedy gwałtowny ból ukłuł ją gorącem wewnątrz lewego uda, tuż nad kolaniem. — Cholera!

— Co się stało? — zapytał Frank. — Nadciągnęłaś sobie mięsień? Skinęła jedynie głową w odpowiedzi, gdyż potworny ból nadal zapierał jej oddech.

— Odpocznij chwilę — w jego oczach pojawiła się troska.

Ciekawe jak wygląda to, co robię? — pomyślała, gapiąc się na nagie ściany pokoju rekreacyjnego, jakby nie zauważała jego obecności.

Zaledwie kilka lakonicznych uwag wypowiedzianych przez Franka od początku treningu, sprawiło na Annie wrażenie irytująco zbędnych.

Pomyślała, że równie dobrze mógłby się zupełnie zamknąć, jeśli nie był w stanie powiedzieć nic, co by jej naprawdę pomogło.

Siedziała przed nim zdyszana, z rozczochranymi włosami i płonąca twarzą. Niemal z wdzięcznością przyjmowała kłujący ból w naciągniętym mięśniu, ponieważ przyćmiewał monotonne, bolesne brzęczenie w kościach, wszechobecny ciężar odciągający ją od rzeczywistości. To drobne naciągnięcie w porównaniu z nim wydawało się przyjemnością, gdyż było przynajmniej uczciwym objawem złego samopoczucia, wyraźnym znakiem z zewnętrznego świata.

Poczuła na biodrach i brzuchu silne dłonie Franka, który zaczął rozpinąć przytrzymujące ją w talii pasy! Pomógł jej wydostać się z maszyny i usadowił na stołeczku pod lampą fluorescencyjną.

Z dala, z odległych kanionów, dochodziły głosy ptaków. Na zewnątrz musiał być piękny, choć zamglony poranek. Conchata miała dziś wolne, więc dom pogrążony był w sennym odrętwieniu, kiedy ona zmagala się tu sama z sobą pod czujnym okiem Franka.

Spojrzała na jego opaloną twarz w nienaturalnym świetle lamp. W zapiętej pod szyję koszuli, ze starannie

zawiazanym jedwabnym krawatem, wyglądał absurdalnie pedantycznie w porównaniu z jej niedbałym strojem.

Jak na złość wybrał właśnie dzisiejszy poranek na złożenie jednej z obiecanych Damonowi wizyt. Gawędzili sztywno przy kawie, kiedy zadzwoniła Judy, aby zawiadomić Annie, że nie może odbyć z nią codziennego treningu. Obawiając się, że korzystanie przez Annie z ciężkiej maszyny *Nautilusa* bez żadnej asekuracji może być niebezpieczne, Frank zaczął nalegać, że zastąpi Judy. Przeczytał uważnie wszystkie instrukcje dra Blaira, po czym zszedł z Annie do pokoju rekreacyjnego.

Zakłopotanie wynikające z braku zaznajomienia z codzienną rutyną Annie, jak również niespodziewana bliskość jej ciała, spowodowały prawdopodobnie, że jego już i tak oschły sposób bycia stał się jeszcze chłodniejszy. Od samego początku zachowywał się jak kamienny posąg, a jego pełna rezerwy i dystansu obecność stanowiła zabawne przeciwieństwo wściekłych wysiłków Annie.

Dla niej to dziwne sam na sam było bardziej niż idiotyczne, gdyż doszła do wniosku, że samodzielnie mogłaby wykonać ćwiczenia w czasie o połowę krótszym. Lecz Frank, zbyt skrupulatny by dopuścić do tego, żeby podczas jego obecności w domu przydarzyło się cokolwiek niefortunnego, potraktował swoje zadanie serio i teraz zdawał się autentycznie zaniepokojony jej kontuzją.

— Może się położysz? — zapytał, pomagając jej wesprzeć się na poduszkach.

— Z przyjemnością — wyczerpana gapiła się w wiszące u sufitu lampy. Przez chwilę studiował książeczkę dra Blaira zawierającą zestaw ćwiczeń, potem odłożył ją i stanął nad Annie.

— A teraz powiedz, kiedy zaboli — delikatnie zgiął i wyprostował jej lewą nogę, naciągając ścięgna. Poczula krótki sygnał alarmowy i wstrzymała oddech, ale ostry ból nie powrócił. Potrząsnęła głową.

— Nie, naprawdę nie boli.

Trzymając jej nogę w zgiętej pozycji, Frank dotknął wiązadeł nad kolanem. Znowu potrząsnęła głową, a on

zsunął rękę pod kolano przesuwając powoli palcem do wnętrza ud.

— Boli?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, fala podniecenia przepłynęła błyskawicznie z nagiej skóry uda w dół nóg i z powrotem do kręgosłupa, powodując drzenie całego ciała i wstrzymanie dopiero co odzyskanego oddechu.

— Co się stało? — spytał zaniepokojony, przerywając badanie.

— Nic — odpowiedziała pospiesznie. — Możesz kontynuować. Im szybciej, tym lepiej.

Rumieniąc się wbrew sobie, unikała jego badawczego wzroku gapiąc się w sufit, podczas gdy on znalazł bolące ścięgno i obmacywał je ostrożnie. Poczowała minimalne ukłucie bólu, lecz nie miało ono żadnego znaczenia w porównaniu z szokiem mimowolnej przyjemności, ciągle jeszcze dzwoniącej w jej zmysłach.

Złapana w pułapkę przez jego dotyk pokiwała głową.

— Trochę boli. Nie za bardzo.

Z rosnącym zakłopotaniem poczuła ciepły palec przesuwający się w górę uda, zaledwie kilka centymetrów od centrum jej kobiecości. Żałowała, że nie włożyła rajstop pod strój do ćwiczeń, lecz rano było tak gorąco, iż postanowiła ćwiczyć z gołymi nogami.

Przeklinając swój brak dalekowzorności, usprawiedliwiała się jednocześnie, że przecież nie wiedziała, iż Frank wybierze akurat ten dzień na wizytę. Był istotnie bardzo zajęty w pracy i trudno było wymagać od niej, by planowała swój rozkład zajęć pod kątem jego sporadycznych odwiedzin. Tym bardziej, że nigdy ich nie zapowiadał.

Z drugiej strony, nie mogła zaprzeczyć, że w ciągu ostatnich miesięcy jej uczucia względem Franka skomplikowały się bardziej, niż sobie tego życzyła i stały się wręcz niebezpieczne.

To zaczęło się w dniu zdjęcia bandażu. Wtedy uświadomiła sobie, że zdanie Franka na temat jej nowej twarzy znaczy dla niej tyle samo, a może nawet więcej, co jej własne.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że irytacja i wzgar-

da, będące dotychczas najbardziej namacalnymi emocjami, gdy na horyzoncie pojawiała się milcząca twarz Franka, mogły ulec nagle tak ogromnej przemianie. Frank był ostatnim mężczyzną na świecie, którego mogłaby uważać za obiekt pożądania, a tym bardziej za odpowiedniego dla siebie partnera.

Niemniej jednak od czasu, gdy przeprowadziła się do Damona, łapała się na tym, że wyczekuje przypadkowych spotkań z Frankiem, a podczas jego nieobecności rozmyśla o nim ze skrywaną pożądliwością. Kiedy przychodził, niemal zawsze uzbrojony w jakieś porady prawne dla Damona, lamentującego od lat nad nieprzydatnością własnych doradców, zastanawiała się, ile z tych wizyt było dla niej. Mimo wszystko uznawał za stosowne spędzać z nią trochę czasu na werandzie lub na podwórzu, choć jego dawna misja na rzecz *International Pictures* była już nieaktualna.

Początkowo jego obowiązkowe ugrzecznienie bawiło ją, śmiała mu się z tego powodu prosto w twarz. Lecz w niedługim czasie złapała się na tym, że pokpiwa z niego z nową, niemal zmysłową nieprzyzwoitością, odległą o całe lata światła od jej poprzedniej milczącej obojętności. _

Opanowanie Franka, jego niezachwiana pewność siebie, założyły jej za skórę. Pałała zakazaną żądzą opanowania go i dotknięcia do żywego, nie tylko dla usatysfakcjonowania własnej potrzeby kontaktu z drugim człowiekiem, ale także w celu stopienia choć trochę jego zbroi.

A kiedy był blisko, czuła się oszołomiona jego prawdziwie męskim zapachem oraz prowokującym ciepłem długich ramion, które zdawały się obejmować jej drobne ciało i przeganiać samotność.

Co by było, gdybym pocałowała Franka?

Najpierw była to tylko głupia myśl bez stałej formy, której pozwoliła przeminać, nie zwracając sobie głowy jej treścią.

Lecz wkrótce ta myśl powróciła, naigrawając się z niej jak mała, pachnąca róża w samym sercu bólu, rozkwitając i wysyłając silny aromat na całe umęczone ciało.

Przez jakiś czas była zadowolona, że wraca ona w takiej formie, gdyż przynajmniej odrywała ją od cierpień cielesnych, utrzymywała umysł w aktywności i dodawała nieco urozmaicenia monotonnej egzystencji. Przydawała też czegoś pikantnego i tajemniczego nudnej poprzednio postaci Franka, a to ją bawiło i cieszyło.

Lecz teraz to stało się bardziej gwałtowne. W momentach słabości przekraczało granice jej samokontroli.

A grzeszne impulsy podsycane przez jego bliskość, nie dawały jej spokoju. Coś dziewczęcego i potwornie bezczelnego próbowało przeskoczyć z jej zmysłów do jego. To coś pieściło go od stóp do głów niepokojąc ją swoją śmiałością. Daremne były jej wysiłki, by to powstrzymać.

A Frank nigdy niczego nie zauważa. Ani razu. Mijało właśnie szesnaście miesięcy od jej wypadku, szesnaście miesięcy od czasu, kiedy po raz ostatni dotykano jej jak kobiety i od kiedy czuła się jak padlina targana bólem.

Przez większość tego okresu nie chciała myśleć o swojej kobiecości. Życzyła sobie nawet, żeby reszta jej dni mogła minąć bez wypadków w zakazany świat szalonych, romantycznych nadziei i radości, które doprowadziły ją do lądowania w przepaści na końcu tamtej ulicy.

Obojętność i narkotyczne zapomnienie wydawały się wtedy jedynymi sojusznikami przeciwko nieznośnej rzeczywistości. Ale teraz, kiedy uparcie wdrapywała się na powrót pazurami do normalnego świata, gdzie odzyska możliwość odczuwania czegoś więcej niż puste zaabsorbowanie własnym bólem, wszelkie środki jakie podjęła w celu zabezpieczenia się przeciw naturalnym instynktom kobiecego ciała obracały się w proch. Wracała do życia jak winorośl chcąc opleść głodnymi liśćmi silne ciało Franka, zapuszczając słabe kłącza w jego organizm.

A Frank niczego się nie domyślał, a ona usiłowała nie zdradzać się z niczym.

A jednak to stawało się z każdym dniem intensywniejsze, przechodząc z kaprysu w obsesję, z zarodku uczucia w ciągłą burzę zmysłów, a w końcu żar pożąda-

nia eksplodujący małymi wybuchami jak ten, który właśnie miał miejsce, tak dwuznaczny, że dziwiło ją, dlaczego Frank nie parska śmiechem na widok jej zmieszania.

Jakże zażenowana czuła się w momentach, kiedy przywiązana pasami do maszyny wykonywała ćwiczenia, a jej ziajanie i westchnienia, dyszenie i okrzyki były żenująco podobne do odgłosów miłości! A on stał obok i słuchał.

Mimo to dzisiaj, tak jak zawsze, Frank albo niczego nie widział i nie czuł, albo tak panował nad swoimi myślami.

Wieczorami studiowała swoje ciało w lustrze, stojąc nago w łazience.

Pomimo blizn i wycieńczenia nie wyglądała wcale tak źle.

Figura wracała powoli do dawnej formy z długimi, dojrzałymi udami i ładnymi, kobiecymi biodrami, z delikatnymi piersiami rysującymi się w otoczeniu ciągle jeszcze zbyt kościstych obojczyków i żeber.

Włosy spływały bujnie na ramiona jak ciemna grzywa, która nie utraciła nic ze swego połysku. A obca twarz spoglądająca na nią ze szklanej tafli, z wyprofilowanymi kośćmi policzkowymi, doskonałymi brwiami i skroniami, błyszczącymi, przejmującymi oczyma, była twarzą, do której przywykła i którą podziwiała za jej dobrą jakość.

Nie było już w niej tej dziewczęcej, przytłumionej zmysłowości, która w naturalny sposób pomogła jej wykreować postać Cyreny i niegodziwej Lianę, lecz posiadała bardziej dumny, bardziej tajemniczy blask, jakiego nie miała przedtem. Stała się nagle bardziej uduchowiona i kobieca, przyciągająca wzrok.

A Frank powiedział, że jej nowa twarz podoba mu się bardziej niż stara.

Czy on sądzi, że jestem atrakcyjna?

Czy to możliwe, że to ukrywa?

Ostatecznie nadal ją odwiedzał. Spędzał z nią długie, leniwe chwile, wpatrując się w nią spojrzeniem o magne-

tycznej sile przyciągania. Ich milczeniu, mogącemu uchodzić za pewien rodzaj komunikacji, towarzyszyły balsamiczne powiewy wiatru od wzgórz. Nie był żonaty. Damon poinformował ją o tym kilka miesięcy temu.

Czy to możliwe, że Frank używa przyjaźni z Damonem, która stanowi dziwne pokrewieństwo między dwoma tak różnymi mężczyznami, jako pretekstu do podtrzymania kontaktu z Annie? Czy jego wrodzona nieśmiałość ukrywa zainteresowanie, którego poczucie przyzwoitości nie pozwala mu okazać?

Przeklinała swoje myślenie życzeniowe i przypominała sobie samej z okrucieństwem, że jest przecież fizycznym wrakiem, zupełnie nie nadającym się do tego, by przyciągać gorącokrwistych mężczyzn.

A mimo to jej fantazje nie mijały, a towarzyszące im przecucia prześladowały ją nawet wtedy, kiedy ból nie dawał jej spokoju.

Co by było, gdyby położyła się na powrót na stole do ćwiczeń, a zadyszka spowodowana treningiem odpłynęłaby w cichy spokój i gotowość, kiedy otworzyłaby się dla niego? Czy zobaczyłaby zbliżającą się do niej płonącą męską twarz ze spokojnymi, wypełnionymi pożądaniami oczyma? Czy poczułaby pieszczoty jego rąk, poznała dotyk jego ust tutaj, w tym chłodnym pomieszczeniu w piwnicy, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć?

Co stałoby się wówczas z jej bólem?

Co stałoby się z jej samotnością?

Lecz te zakazane myśli były jak głupiutkie zapiski w pamiętniku pensjonarki, gdyż nie zauważyła u niego najmniejszych oznak wskazujących na to, że postrzegają jako kobietę.

Tak wiele pereł łśni blaskiem jasnej pogody, Kryjąc się w oceanu niezbadanych jaskiniach...

Nagle wróciły do jej pamięci wersy z *Elegii* Gray'a, których uczyła się na pamięć w szkole średniej na lekcji

angielskiego u pani Spicer, a o których od tamtej pory zapomniała.
*Tak wiele kwiatów pyszni się rumieńcem urody, Marnując słodycz swoją
na bezludnych pustyniach.*

Utraciwszy swoje wdzięki, a co za tym idzie, zdolność przyciągania
mężczyzn, Annie czuła się dokładnie tak, jak ten biedny, samotny kwiat.
A Frank, poklepujący teraz jej ramię potężną dłonią, pozostawał obojętny
na dreszcze rozkoszy przebiegające pod jej skórą.

— Pomogę ci wejść na górę — powiedział podtrzymując ją w talii i
prowadząc do wąskich schodów. — Masz dość na dziś.

Ciężkie ramię obejmujące ją w pasie, delikatnie popychało ją w górę
podczas wspinaczki po schodach. Czuła na biodrach obojętne palce,
podczas gdy jej nagie udo ocierało się o szorstką tkaninę spodni. Będąc
bliżej niego niż kiedykolwiek, chłoneła zmysłami piżmowy, męski
zapach, aromat, który unosił się w jej marzeniach od miesięcy. Myślała,
że zemdleje.

Musiał zauważyć jej stan, gdyż u szczytu schodów spojrzał na nią
zatroskany.

— Może powinnaś się położyć? Z tobą...

Ta myśl sparaliżowała ją na moment. W mgnieniu oka odzyskała jednak
panowanie nad sobą.

— Nie martw się o mnie. Wszystko będzie w porządku. Wezmę prysznic.
Możesz wyjść, kiedy tylko zechcesz.

Jego oczy nadal jednak spoczywały na niej pełne obaw, których nie
rozwiały jej szorstkie słowa. Przechodząc przez hol w kierunku swojego
pokoju, czuła na plecach jego wzrok.

Prysznic pogorszył jeszcze zamęt w jej zmysłach. Kiedy pojawiła się w
salonie, ubrana tylko w aksamitny szlafrok, spodziewała się, że dom
będzie pusty.

Jej przewidywania okazały się jednak fałszywe. Frank stał zakłopotany pośrodku pokoju z marynarką przerzuconą przez ramię.

— Jeszcze tu jesteś? — zapytała oschle, starając się zamaskować pobrzmiwającą w jej głosie nutkę onieśmienia.

— Właśnie wychodzę. Chciałem się tylko upewnić, że z tobą wszystko w porządku.

— Nigdy nie było lepiej — zakręciła przed nim pirueta jak posłuszny manekin z rękoma na biodrach. — Widzisz?

Lecz ruch ten spowodował gwałtowne ukłucie bólu w udzie i żartobliwy akcent w jej słowach zamarł w powietrzu. Oparła się o ścianę z twarzą wykrzywioną grymasem.

— Chodź — Frank objął ją za ramiona i poprowadził z powrotem przez hol do łóżka. Pomógł jej się położyć i otulić troskliwie pledem.

Kiedy usiadł na krawędzi łóżka, podniosła na niego wzrok. Był taki wysoki, tak straszliwie zwalisty, a ona leżała obok niego jak wiotka i drobna syrenka...

Ogień w zmysłach przyprawiał ją o zawroty głowy. Co on sobie teraz myśli? Czy nie czuje szalejącego w niej kataklizmu? Jak to możliwe, że nie zauważył przez te wszystkie miesiące...

— Nie sądzisz, że powinienem zadzwonić do dra Blaira? — spytał, dotykając delikatnie jej kolana. — Może powinien o tym wiedzieć? Potrząsnęła głową.

— To się zdarzało już dziesiątki razy. Judy zalecała mi wówczas kilka dni odpoczynku. Nie potrzeba nawet okładać lodem, o ile nie spuchnie.

Ochryply ton ukryty w jej protestach spowodował, że zarumieniła się w półmroku.

Zaczął uważnie przebiegać palcami wokół jej kolana, naciskając łagodnie, by znaleźć ścięgno.

— Boli?

Zaprzeczyła ruchem głowy, siłą wstrzymując pchające się na usta westchnienie.

— Mów prawdę — jego dotyk ponownie podrażnił

wewnętrzną część uda, tym razem jakby z większą dozą pieśczoły. Zatrzymała ręką jego dłoń. Zacisnęła omdlewające palce na jego przegubie i wyśpiewała głosem, jakiego nigdy przedtem nie słyżał z jej ust.

— Nie, głuptasku. To nie boli.

Ręka na jej kolanie zamarła jakby zmieszana i zdumiona uwięzieniem przez kobiece ciało, tak kruche, lecz . tak pełne dziwnej mocy. Zatracając kompletnie kontrolę nad sobą Annie przylgnęła do twardych ścięgien jego przegubu i oddychała szybko.

Ich oczy spotkały się. Ujrzał w nich błaganie i odpowiedział na nie spojrzeniem pełnym troski, może dezaprobaty, lecz nie zaskoczenia. Pokój był cichy, przyciemniony zasuniętymi zasłonami. Połączyło ich ogromne oczekiwanie, jakby stali razem nad przepaścią, przyprawiające o większy zawrót głowy, niż znajdująca się w dole otchłań. Annie chciała się skurczyć pod męskim spojrzeniem rozumiejącym jej winę, lecz także zatopić się w nim, należeć do niego bez reszty.

Zrozumiała, że już za późno, by się powstrzymać. Jej błąd polegał na tym, że pozwoliła mu być z sobą sam na sam w taki sposób. To była wyłącznie jej wina, wynikająca ze zbyt tkliwego nastroju.

Za późno... Zbyt długo była sama, zbyt długo opierała się urokowi Franka, zbyt długo walczyła z bólem, frustracją, pożądaniem...

Teraz nadszedł czas, by zaniechać walki.

Ostatni daremny błysk woli próbował zatrzymać narastający przypływ. Bezskutecznie. Jej wysiłki skończyły się na tym, że błagalnie pociągnęła jego rękę zebrząc, by wziął ją w ramiona.

I oto cudowny los sprawił, że jej marzenia zaczęły się spełniać.

Nabrzmiałe nagłym pożądaniem usta mężczyzny zbliżały się do jej ust.

Poddała się im z westchnieniem czując ich pierwszy, ciepły dotyk. Zakrył ją cień jego dużego ciała i przyciągnęła go bliżej.

Nie mogąc uwierzyć w to, że trzyma go wreszcie w objęciach, smakowała go zdumiewająco ośmielonym

językiem, a dreszcz przeciął jej ciało od kręgosłupa do lędźwi z zapierającą dech siłą.

Nigdy się nie dowie, jak to się stało, że ich dłonie połączyły się we współpracy, by zdjąć z niej porannik. Opadł jak za sprawą czarów i w jakiś niewyjaśniony sposób znalazła się na jego kolanach z palcami we włosach, których od dawna pragnęła dotknąć, chłonąc jego cudowny zapach. Pocałunek stawał się coraz głębszy.

Umięśnione ciało mężczyzny zdawało się niewymownie prężyć w ciemności, choć trzymał ją tak delikatnie, jakby była laleczką z chińskiej porcelany. Poczula na swoich drobnych plecach ciepło dużych dłoni i w tym momencie pożądanie ogarniające ją spowodowało, że zaczęła drzeć przytulona do jego piersi.

Wzrastająca gorączka tej chwili wywoływała burzę podniecenia pod jej skórą i uniosłaby ją daleko, gdyby nie nagły, paraliżujący skurcz strachu. — Nie — wyszeptała odrywając się od jego twarzy — nie, ty nie możesz mnie pragnąć.

— Pragnę cię.

Niski, ochryply głos sącący się do jej ucha był jak płomień lizący i rozpalający ją do szpiku kości.

Przytuliła go z całej siły, ogarniając całą sobą z uniesieniem, którego nie była w stanie kontrolować. Włochaty materiał marynarki pocierał jej sutki z kłującą, podniecającą do szaleństwa szorstkością. Smukłe palce dziewczyny wędrowały po jego krawacie i koszuli rozluźniając, rozpinając, pieszcząc. Wypełniona gorączkową radością z powodu własnej bezwstydnosci pocałowała go, ponownie jęcząc z rozkoszy. Nie było teraz czasu, by się zastanawiać, czy on także myślał o niej i chciał jej podczas tych minionych, samotnych miesięcy, ani też by martwić się tym, że szaleńcza skwapliwość jej ciała może go odstraszyć. Gdyż nagle jego męski głód zatriumfował nad nią, a mięśnie twarde jak stal przypinały ją do jego centrum, zapierając jej dech swoją gwałtownością.

Zaczęła pospiesznie ściągać z niego ostatnie części garderoby, muskając wargami pachnące, obnażone ciało

i wsłuchując się w cichy szelest opadającej na podłogę odzieży. Potem jego gładka, stwardniała od napięcia skóra odkryła ją całą, a ona zaakceptowała ten cudowny ciężar, domagając się każdym skrawkiem ciała jego dotyku.

Palce, które z takim pełnym rezerwy szacunkiem badały wcześniej skaleczone kolano ożyły teraz, gorączkowo dając przyjemność i zwiększając ją, dotykając jej z tak doskonałą naturalną mądrością, jakby od samego początku obcowania z nią znał i skrycie uznawał tę prywatną kobiecą potrzebę.

Czy to możliwe? Czy dziwny, pełen intuicji błysk w jego oczach oznaczał, iż przez cały czas był świadom wszystkich jej tajemnic? Odpowiedź nadeszła w oszałamiającym błysku, kiedy nie zważając na swoją godność i wolę, z westchnieniem nieprzytomnego pożądanego, jej miękkie dłonie znalazły pulsujący klejnot męskości i wprowadziły do swojego wnętrza.

Tak, tak — krzyczała bezgłośnie, odczuwając cud bycia posiadaną przez niego. Tak, on jej pragnął. Brał ją zachłannie, a jednocześnie z pewnym nabożeństwem i czuła jego ogromną męskość płonącą w niej jak nieskończona moc tworzenia i rodzenia, powodującą, że ciało kobiety eksploduje nowym życiem.

Wkrótce było po wszystkim. Spazm szczytowej rozkoszy nadszedł dla obojga zdumiewająco szybko. Lecz mimo to Annie wydawał się wiecznością, gigantyczną, rozprzestrzeniającą się chwilą, która pochłania wszystko, przegania całą przeszłość, wypełnia ekstazą oddalającą ją o lata świetlne od dawnego ja z intensywnością niemożliwą do zniesienia.

I nie czuła już strachu, ponieważ nie była sama. Mogła się zatracić w tej doskonałej obcości znajdującego się w niej mężczyzny, gdyż wiedziała, że on przywrócił ją samej sobie na ołtarzu ich intymności.

Słyszała własne jęki rozkosznej kapitulacji, przyłgnęła do niego wątlami ramionami, przyciągając go coraz bliżej. Wierzyła, iż przez to, że wejdzie w nią

głębiej, zawładnie nią i posiadzie do końca, jego ciało wyda na świat nowe światy, które z całą pewnością muszą zawierać jej przyszłość.

XX

10 kwietnia, po blisko dwóch miesiącach spędzonych w Nowym Jorku, Damon wrócił do domu.

Annie była podniecona jak dziecko. Wreszcie przestał być pozbawionym ciała głosem w słuchawce telefonicznej, narzekającym na harówkę z Abem i żartującym z goryczą na temat niedogodności życia na Manhattanie. Znów był rzeczywisty, z grzmiącym głosem, ojcowskimi uściskami, ukochanymi skrzypcami i emanującą z niego elektrycznością, która strzelała ilekroć wchodził do pokoju.

W paradoksalny sposób tęskniła za nim, nie z powodu jego porywającej osobowości, lecz z powodu stabilizacji, jaką jej gwarantował. Od tamtego znamienego poranka sześć tygodni temu, kiedy to ćwiczenia na *Nautilusie* doprowadziły do pierwszego niespodziewanego zbliżenia z Frankiem, Annie żyła w wirze dziko przepływających uczuć, które oszałamiały ją i przerażały.

Po tamtym pierwszym wykradzionym sam na sam, Annie czekała jak na rozżarzonych węglach na telefon od Franka. Jak każda kobieta, która ku swemu zaskoczeniu raz stwierdziła, że ktoś jej pragnie, traciła niemal zmysły zastanawiając się, czy zechce ją jeszcze raz.

I, co było do przewidzenia, któregoś wieczoru kilka dni później telefon zadzwonił.

Frank uprzejmym, wręcz nieśmiałym głosem zaprosił ją na obiad. Nie widział nagłego błysku, jakie jego przesłane z daleka słowa wywołały na jej twarzy, ani całkowitej odmiany spowodowanej przez jego głos w pustym domu Damona, kiedy Annie rozejrzała się wokół siebie ze słuchawką przy uchu.

Obiad upłynął w atmosferze spokoju, oszczędnych zdań i pewnego skrepowania. Potem Frank nieśmiało zaproponował, by pojechali do jego wygodnego apar-

tamentu w West Hollywood. Annie przyjęła jego zaproszenie skwapliwie i z ulgą rozpraszającą jej wcześniejsze rozterki.

Kilka minut rozmowy nad szklaneczką whisky minęło jak we śnie. Annie tak naprawdę nie wiedziała, gdzie jest, aż do momentu, kiedy z łaski niebios, o których interwencję nie śmiała prosić, jego ramiona otoczyły ją z czułością. A kiedy w końcu znaleźli się w jego miękkim łóżku, oddając mu się z całego serca, wiedziała to, co tylko kobieta może wiedzieć, że zmiana jakiej w niej dokonał pozostawi na zawsze swoje piętno.

Po tamtej nocy uważała, że otrzymała od losu więcej, niż na to zasługiwała po tak wielu miesiącach rozpaczliwego osamotnienia. Mimo to, z drżeniem serca oczekiwała na jego kolejny telefon. Niepokój, jaki odczuwała, był dla niej równie nowy, jak bałamutny. Z jednej strony miała wrażenie, że Frank wypełnił ją i dowartościował tak, że czuła się dość silna by stawić czoła własnej przyszłości z nową odwagą. Z drugiej strony, gwałtowne porywy wewnętrznych potrzeb mówiły jej, że przyszłość bez Franka będzie nic nie warta.

Zadzwoił i znów się spotkali. Od początku do dnia dzisiejszego była z nim sześć razy, za każdym razem coraz bliżej i intymniej. A pomiędzy tymi schadzками umierała z wątpliwości, tęsknoty i oczekiwania.

Annie nie miała czasu, by zebrać myśli i dokonać bilansu radości i obaw. Wiedziała jedynie, że przeszłość została z tyłu, że każda komórka jej ciała eksploduje uniesieniem i pożądaniem, że jej życie się zmieniło i nigdy nie wstąpi w stare ślady.

Nie wiedziała, czy pokłada we Franku jakieś nadzieje. Wiedziała jedynie, że jego spokojny głos i ciepłe ramiona była magnesem przyciągającym ją z neodpartą siłą. I z powodu tej prywatnej „rewolucji” reszta świata była wywrócona do góry nogami. Życie należało do niej z całym swoim pulsowaniem, swoimi smakami, zapachami i widokami powodując, że była go coraz bardziej spragniona i nie mogła znaleźć gruntu pod stopami. Damon był łącznikiem z bardziej uporządkowanymi, choć jednocześnie bardziej bolesnymi czasami. Modliła

się, żeby sprowadził ją z powrotem na ziemię, dał jej nieco poczucia stałości i celu, sprawił, by zapomniała o żywiole szalejącym w niej jak wodospad.

Nie ufała już własnym uczuciom, gdyż znajdowały się w zbyt dużym nieładzie. Ale ufała Damonowi. I cieszyła się, że wrócił.

Tak więc, w radosnym wyczekiwaniu pomagała Con-chacie przygotować lunch, którym miały powitać Damo-na, gdy jego stały kierowca przywiezie go z lotniska z Los Angeles.

Była dokładnie dwunasta, kiedy Annie usłyszała samochód na podjeździe. Miała na sobie szorty i bawełnianą koszulkę, wyszczotkowane włosy spływały jej na ramiona.

Gdy otworzyła przeszklone drzwi, Damon stał tyłem do domu, płacąc kierowcy. Zamierzała do niego podbiec, ale zawahała się zauważając z zaskoczeniem, że nie jest sam.

Obok niego stała młoda kobieta po dwudziestce, której rudawe włosy lśniły w słońcu.

Ubrana była w luźne spodnie i jaskrawożółtą bluzkę, włosy miała związane opaską z tyłu głowy. Obok niej, na dachu samochodu leżała aktówka.

Kiedy kierowca zaczął wyjmować walizki z bagażnika, dziewczyna odwróciła się i widząc Annie uśmiechnęła się przyjaźnie na powitanie. Pełen uroku, energiczny sposób bycia podkreślał jej zdumiewającą urodę. Damon podbiegł do Annie z wyciągniętymi ramionami. Zanim zagarnął ją w niedźwiedzim uścisku i ucałował w policzek, zdążyła zauważyć, że był bardzo blady i nieco zeschupłał.

— Moja dziewczynka — powiedział, a ona z rozrzewnieniem poczuła stary aromat tytoniu, wody po goleniu i whisky. — Jezu, wyglądasz wspaniale — wykrzyknął, odsuwając ją od siebie na odległość ramion i kiwając głową w kierunku dziewczyny, zbliżającej się z jego aktówką. — Powiedz, Margot, czyż nie wygląda wspaniale? Jezu Chryste...

Spoglądał z zachwytem ,to na jedną, to na drugą,

potem objął Annie ramieniem i wskazał na swoją towarzyszkę.

— Annie Havilland — powiedział z dumą — chcę, abyś poznała pannę Margot Swift. Z Iowy, o ile jesteś w stanie uwierzyć, że takie miejsce jeszcze istnieje. Przywiozłem ją, żeby trochę dla mnie popracowała. Zostanie z nami przez jakiś czas.

Dziewczyna odłożyła aktówkę i wyciągnęła rękę. Annie uścisnęła ją, odnosząc dziwne wrażenie, że Margot Swift jest dla niej jednocześnie kimś zupełnie nowym, lecz zarazem w jakiś sposób znajomym.

— Pani nie trzeba przedstawiać — odezwała się Margot ze spokojnym uśmiechem. — Jestem od dawna pani wielbicielką, panno Havilland. Widziałam *Godzinę nocy* chyba z dziewięćdziesiąt razy.

— Proszę, mów mi Annie. Wszyscy przyjaciele Da-mona są moimi przyjaciółmi. Czy chcesz powiedzieć, że naprawdę mnie rozpoznałaś?

— Jasne, że tak — Margot skinęła głową. — Muszę powiedzieć, że „w naturze” wyglądasz trochę inaczej, lecz nie mniej frapująco. Nigdy dotąd nie spotkałam gwiazdy filmowej.

Zdjęła okulary słoneczne i Annie zobaczyła głębokie, zielone oczy, które zdawały się śmiać pośród ślicznej opalenizny. Choć naturalnie szczupła i wysportowana, sprawiała wrażenie dobrze odżywionej i nie obawiającej się wyglądać jak żywa osoba, a nie manekin. Jej zdrowy wygląd spowodował, że Annie poczuła się szczególnie chuda i wymizerowana, jako że mimo ścisłego stosowania się do wymogów terapii nadal ważyła zaledwie czterdzieści osiem "kilogramów.

Uśmiech Margot był tak niewymuszenie ujmujący, że nie można się było nawet czuć zakłopotanym jej zdumiewającym taktem w koloryzowaniu ewidentnych zmian, jakim uległa twarz Annie wskutek wypadku.

— Ta dziewczyna — Damon wskazał na Margot z ręką spoczywającą ciągle na ramieniu Annie — jest moim największym odkryciem od lat. To nie tylko wspaniała pracownica, ale zna moje książki lepiej niż ja sam. A skoro już o tym mowa — zwrócił się do Margot —

dlaczego nie mielibyśmy pokazać Annie naszego małego dzieciątka?
Z konspiracyjnym uśmiechem Margot otworzyła aktówkę i zaprezentowała Annie gruby plik fotokopii stron maszynopisu spiętych kółkami.

BRZEMIENNY ZAULEK Scenariusz do filmu Damona Rhysa

Annie rzuciła się Damonowi na szyję.

— A więc jednak ci się udało! Pokiwał głową, poklepując maszynopis.

— Cała rzecz to obsesyjny traktat na temat papieru toaletowego.

— Ach, ty kpiarzu! — zaśmiała się Annie. — A mówiłeś, że rwiesz włosy z głowy i nie widzisz żadnego światełka na końcu tunelu. Nawet nie wiedziałam, że masz jakiś prawdziwy pomysł.

— Cóż, to była taka mała niespodzianka. Zresztą jak przeczytasz, to zrozumiesz dlaczego. A teraz wejdźmy do środka i sprawdźmy, co Conchata ma dla mnie dobrego Margot nigdy w życiu nie próbowała prawdziwego meksykańskiego jedzenia.

Ruszyli w kierunku domu. Idąc między nimi i prowadząc je pod rękę, Damon promieniał. Annie nie zauważyła rzucanych z ukosa spojrzeń, jakimi szybko szacował nie dający się ukryć blask, który pojawił się w jej rysach podczas jego nieobecności. Jeśli nawet podejrzewał jego prawdziwą przyczynę, nie dał tego po sobie poznać

Wyśmienity lunch przygotowany przez Conchatę dla uczczenia powrotu Damona minął w żartobliwym nastroju. Annie miała okazję przyjrzeć się dokładniej Margot, która bez zażenowania chłoneła atmosferę nowego otoczenia z szeroko otwartymi oczami i śmiała się ze swego niezbyt wyrafinowanego środowiska bez cienia skrępowania, czy poczucia niższości.

Annie momentalnie ją polubiła i spytała o okoliczności spotkania Damona.

— Cóż — Margot zmarszczyła ładny nosek, zerkając na Damona. — Byłam w Nowym Jorku pracując dla *Doubleday* i uczęszczając na niektóre wykłady w *City College*. Miałam mglisty zamiar poślubienia jakiegoś milionera albo przynajmniej zrobienia dyplomu i wyjechania gdzieś, gdzie mogłabym uczyć w szkole średniej. Byłam z dala od domu, w wielkim mieście, lecz starałam się jak mogłam i... A może ty dopowiesz resztę? — zwróciła się do Damona.

Przenosząc wzrok na Damona, Annie odniosła wrażenie, że postrzegany kątem oka zarys sylwetki Margot skądś jest jej znajomy, starała sobie przypomnieć, czy aby nie były kiedyś w Nowym Jorku w tym samym czasie i czy ich drogi nie skrzyżowały się w jakiś sposób.

— No cóż — zaczął Damon, bawiąc się szklaneczką irlandzkiej whisky *Old Bushmill* — to była sakramencka sprawa. Abe i ja właśnie skończyliśmy lunch w jednym z tych koszernych mlecznych barów, które on uwielbia i próbowaliśmy się dostać z powrotem do domu taksówką, gdy ta tutaj — wskazał gestem Margot — wsadziła łepetynę w okno taryfy, która zatrzymała się na światłach, spytała czy jestem Damonem Rhysem i poprosiła o autograf. Wiesz, to się nie zdarza co dzień. Wzruszył ramionami i z satysfakcją uniósł brwi.

— Naturalnie zatamowała tym cały ruch uliczny, ale raczej dałaby się zabić, niż zrezygnowała ze zdobycia mojego autografu, więc zaproponowaliśmy jej żeby wsiadła, to ją podrzucimy. Zaczęliśmy rozmawiać i po trzech minutach zorientowałem się, że ta zwariowana mieszkanka Iowy przeczytała każde cholerne słowo, jakie kiedykolwiek napisałem, a co więcej, pamiętała je. W torebce miała dwa kieszonkowe wydania moich książek, całe pomiętoszone i popodkreślane. Tego już oczywiście było za wiele, więc zabraliśmy ją do Abego, poczęstowaliśmy kawą i tam wyznała mi, że ma zamiar napisać na mój temat pracę magisterską. Rozumiesz, wybrała mnie, ze wszystkich ludzi!

Zerknął z ojcowskim uczuciem na swoją towarzyszkę podróży.

— Od słowa do słowa i przekonałem ją, że nauczy się o wiele więcej, pomagając Abemu i mi nadać ostateczny kształt *Brzemiennemu zaułkowi*, niż pracując w *Doubleday* do końca roku. Ostatecznym argumentem była obietnica, że „przebiję” jej głodową pensję. I niech to diabli, jeśli nie udało jej się wprowadzić w naszą pracę tego elementu organizacji, którego Abemu i mnie niestety brakuje. Wskazał na starannie napisany na maszynie scenariusz.

— Odwaliliśmy tę robotę w czasie o połowę krótszym, niż zajęłoby to nam bez niej. Stwierdziłem od początku, że jest dobra, więc zacząłem na nią naciskać

i w końcu udało mi się nakłonić ją, żeby przyjechała tutaj jako moja sekretarka i asystentka, kiedy już zaczniemy przygotowania do produkcji *Brzemiennego zaułka*. Może studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim i pisać tyle prac magisterskich, ile jej się żywnie spodoba, jak tylko skończymy. Tak więc jest tutaj.

Margot roześmiała się.

— Nie powiedział tylko o jednym, o tym, że od tamtego popołudnia nie zeszłam na ziemię, ciągle mi się wydaje, że śnię. Gdyby nie Abe Feingold i jego trzy „żony”, dzięki którym utrzymywałam jako takie więzi z rzeczywistością, umarłabym z podniecenia spowodowanego spotkaniem samego Damona Rhysa. Kiedy powiedziałam rodzicom, że przeprowadzam się do Los Angeles pomyśleli, że przenoszę się z czyścica do samego piekła. Ale trzeba przyznać, że byli z tego powodu podekscytowani.

Opowiedziała Annie o swoich rodzicach i trzech starszych braciach pozostawionych na farmie w Iowa, którą opuściła pięć lat temu. Na prośbę Annie zaprezentowała fotografię rodzinną, ukazującą ją w otoczeniu ogromnych, młodych mężczyzn i siwowłosego ojca, o wiele niższego od swoich synów oraz atrakcyjnej matki.

Sama Margot była na zdjęciu szczuplejsza, ale musiało być robione niedawno, bo jej fryzura była taka sama,

i w jej zielonych oczach migotały takie same, pełne radości życia iskierki. — To było ostatnie Boże Narodzenie — powiedziała. — Nie widziałam ich od tamtego czasu, lecz mam zamiar pojechać do nich na Święto Dziękczynienia. Muszę ich upewnić, że nie zostałam pożarta żywcem przez wielkie miasto. Poza tym, bardzo za nimi tęsknię. Jak mówi mój tatuś, nie można wyrwać z duszy stron rodzinnych.

W kilka minut później, kiedy Margot przeprosiła ich, żeby się rozpakować i wykapać po podróży, Damon kontynuował opowieść o niej, mówiąc do Annie konfidencyjnym tonem.

— Ona jest bardziej niesamowita niż się wydaje. Jest moim *alter ego*, prawie tak samo jak Abe. Wie, co myślę, co próbuję robić, niemal zanim jeszcze zacznę to robić. Powiedziałem jej, że sama powinna pisać sztuki, ale ona nie chce o tym słuchać. Chce po prostu wyjść za mąż i zostać belferką gdzieś na środkowym zachodzie.

Westchnął.

— Chciałbym ją zaangażować na najbliższą przyszłość. Powiedziałem jej, że jeśli ci cholerni akademicy planują opisanie mnie w podręcznikach literatury, ona może się też tam znaleźć jako moja sekretarka czy współpracownica. Chryste, jeżeli chce faktycznie napisać tę pracę, to może ona dotyczyć wszystkich wariantów *Brzemiennego zaułka*, jakie rozpatrywaliśmy.

Dotknął ręki Annie.

— Polubisz ją, kochanie. Ona cię wręcz ubóstwia, ale kiedyś sama ci o tym powie. Nie rzuca słów na wiatr. Jest wiejską dziewczyną i nie wstydzi się tego. Jest kuta na cztery nogi i dałaby sobie skrócić za ciebie kark. Zobaczysz.

Pochwały Damona pod adresem nieobecnej Margot zrobiły na Annie wrażenie, ponieważ wiedziała jaki był powściągliwy w chwaleniu innych.

Wydawały się brzmieć prawdziwie, gdyż w czasie pierwszego spotkania z Margot wyczuła w niej przebieg-

łość, której towarzyszyło doprowadzenie do perfekcji poczucie taktu. Pod przykrywką szacunku dla innych ukrywała swe uderzające możliwości intelektualne, uwalniając się tym samym od kłopotliwego dla niej zaabsorbowania nimi osób postronnych.

Ta skrywana wielkoduszność objawiła się na nowo, kiedy Damon usadowił się w swoim fotelu, by wykonać kilka wstępnych rozmów telefonicznych dotyczących *Brzemiennego zaułka*, a Margot ochoczo zaofiarowała się wystąpić jako „nadzorca” Annie przy maszynie w pokoju rekreacyjnym i ćwiczyć razem z nią.

Sposób działania *Nautiliusa* wymagał, żeby Annie opowiedziała Margot podstawowe rzeczy o swoich urazach. Margot słuchała uważnie i zadała jedno czy dwa pytania, nie wykazując najmniejszej ciekawości odnośnie przyczyn wypadku, chociaż Annie wyczuwała, że jak to między kobietami bywa, miała pewne przypuszczenia co do tragicznych okoliczności, które do niego doprowadziły. Margot umiała w szczególnie delikatny i grzeczny sposób zmieniać temat rozmowy jeśli uznawała, że może on być kłopotliwy dla Annie i kierować konwersację na żarty ze swojej własnej osoby.

Kiedy usłyszała o urazach kręgosłupa Annie i specjalnych masażach wykonywanych co drugi dzień przez Judy, jej oczy zaświeciły się.

— A teraz poważnie — powiedziała. — Które kręgi?

— Mam ciągle problemy z dyskami, z czwartym i piątym piersiowym, nie wspominając o okolicy lędźwiowej. Nie mówię już o kręgach szyjnych, gdyż zraniłoby to uczucia dra Blaira, ale wiem, że mój kark nigdy nie wróci do poprzedniego stanu.

— Trafiłaś we właściwe miejsce — uśmiechnęła się Margot. — Czy raczej powinnam powiedzieć, że ja trafiłam. Pracowałam jako fizykoterapeutka w collegu w Iowa. Nauczyłam się tego, kiedy mój brat Bob odniósł kontuzję podczas meczu piłkarskiego, która położyła go do łóżka na pół roku.

Ujęła energicznie rękę Annie.

— Dalej, kładź się na stół i powiedz mi, czy to ma tak wyglądać.

Zaczęła masować plecy Annie mądrymi, delikatnymi palcami.

— Świetnie! — wykrzyknęła Annie. — Widzę, że rzeczywiście znasz się na tym. Robisz to dokładnie tak samo jak Judy.

— Jasne — zamruczała Margot najbardziej „pielęgniarskim” z głosów.

— Rozluźnij się. Może będę mogła się przydać dwojgu ludziom w tym domu, a nie tylko jednemu.

Kiedy skończyła, Annie pokazała jej, jak się obsługuje *Nautilusa*.

Chociaż Margot bardzo sceptycznie odniosła się do swoich możliwości wykonywania na nim ćwiczeń, Annie wiedziała, że jest w doskonałej formie fizycznej. Od wyprostowanych ramion do długich ud i wysmukłych łydek miała przepiękną figurę. Co więcej, posiadała naturalną elegancję w gestach, głowie i całym ciele, bez cienia narcyzmu. Dodatkowym jej atutem było poczucie humoru i migocące oczy.

Były one istotnie tak szmaragdowe, że Annie uczyniła na ten temat jakąś uwagę.

— Nic dziwnego, że cię to zaintrygowało — uśmiechnęła się Margot. — To szkła kontaktowe, szafirowane. Faktem jest, że jestem zdrowa jak koń, z wyjątkiem oczu. Mam fatalny astygmatyzm i naprawdę brzydki przypadek fotofobii, która ujawniła się kiedy byłam dzieckiem i do tej pory nie ustąpiła.

Roześmiała się.

— Abe Feingold i ja porównywaliśmy swoje spostrzeżenia na ten temat, gdyż kiedy on cierpi na te ciągle migreny, ma potworne, migające światełka we wzroku i nie może znieść światła dziennego. W każdym bądź razie — zakończyła — prawdziwy kolor moich oczu to coś w rodzaju obrzydliwego groszkowego, tak więc szkła mają tą dodatkową korzyść, że wyglądam lepiej. Poza tym, nie widzę bez nich nic na odległość większą niż pół metra.

Podobne do klejnotów tęczówki harmonizowały tak idealnie z połyskliwymi, rudymi włosami Margot, że przypomniały Annie o irlandzkim, dziewczęcym wyglądzie Tiny Merrill, z tym, że Margot nie miała piegów.

Jednakże tam, gdzie Tina była czarująco prostoduszna, w Margot było coś skomplikowanego, jakby jej nadmierna wielkoduszność wyrównywała zadawnione długi, otaczając ją dodatkowym nimbem. Każda upływająca chwila czyniła ją bardziej intrygującą, budzącą większe zainteresowanie.

Mimo zjadliwego poczucia humoru i zrażającego, ukrytego pod nim intelektu, była najwyraźniej spokojna wewnątrz, bardziej dostosowana do własnej tożsamości niż Annie.

Emanująca z niej siła powodowała, że chciało się wręcz zaufać jej. Sprawiała wrażenie, że nie chce i nie potrzebuje dla siebie niczego, poza przyjemnością płynącą z zaspakajania czyichś potrzeb, czyjegoś *ja*. Niemniej jednak, intuicja mówiła Annie, że gdzieś po drodze Margot miała własne kłopoty z mężczyznami. W głębi jej oczu czaiło się coś, co nie pozostawiało do tego żadnych wątpliwości.

Być może nieszczęśliwy romans był prawdziwą przyczyną, dla której opuściła swój ukochany dom na wsi dla miejsca tak odległego jak Manhattan. Lub może w Nowym Jorku był mężczyzna, który ją rzucił, pozostawiając gotową i chętną do podjęcia ryzyka wyjazdu z Damonem. Tak czy tak, Annie czuła instynktowną więź z tą zuchwałą, prostolinijną lecz błyskotliwą dziewczyną. Pod koniec popołudnia wyszła z pokoju rekreacyjnego czując, że znalazła przyjaciółkę na całe życie i oczekiwała jutrzejszego przebudzenia pod jednym dachem z Margot. Uroczysty obiad, jaki zjedli tego wieczoru był wydarzeniem jakby żywcem wziętym z dawnych czasów, gdyż kombinacja mocnego piwa i whisky wprowadziła Damona w jeden z jego nastrojów „na krawędzi”. Stroił sobie ordynarne żarty kosztem znakomitych osobistości znajdujących się na sali, a Annie zaśmiewała się do łez po raz pierwszy od jego wyjazdu. Lecz pod tym wisielczym humorem wyczuwało się u niego namacalne napięcie.

Margot wydawała się tak świetnie obeznana z jego pijackimi nawykami jak Annie, gdyż po powrocie do domu już wiedziała, że lada moment popadnie w swoje

zamroczenie i nie będzie z nim wtedy żadnej rozmowy. Pogawędziła więc przez chwilę z Annie w swojej nowej sypialni, w akompaniamencie dochodzących z salonu dźwięków granej przez Damona partity Bacha, a potem wyczerpana długą podróżą i nowym otoczeniem poszła wcześniej do łóżka, zapewniając Annie, że poradzi sobie sama ze wszystkim, co wiąże się z noclegiem na nowym miejscu...

Po rozstaniu z Margot Annie udała się do salonu. Skuliła się na kanapie z głową na kolanach Damona. Pomyślała, że Margot, idąc wcześniej spać, zamierzała ułatwić jej to sam na sam z Damonem.

— Lubię ją — wymamrotała. — Jest miła.

— Pozwalam tylko miłym dziewczynkom kręcić się koło mnie — zażartował Damon. — Tak, kochanie, myślę, że to poczciwa dusza. Myśląca i tajemnicza, choć nigdy się do tego nie przyzna, ale bardzo dobra.

Coś w jego słowach uzmysłowiło jej, że podchodzi do Margot z ojcowskim stosunkiem, analogicznym do tego, jakim darzył Annie. Mimo to nie czuła zazdrości. Przeciwnie, miała wrażenie, jakby w jakiś sposób zyskała siostrę, której nigdy nie miała.

— Myślę, że ktoś ją skrzywdził — powiedziała cicho.

— Też mam takie odczucie — odpowiedział Damon. — Ale ona nie rozmawia o takich sprawach z takim starym pijakiem jak ja. Może tobie się zwierzy, skarbie.

Przez długi czas nic nie mówili. Bawił się w zadumie jej włosami, a ona pozwalała, by powolny rytm tego dotyku kołysał ją do snu. Damon jest nareszcie w domu! Jak dobrze mieć go z powrotem...

Nagle Damon gwałtownie uniósł ją, usadził twarzą do siebie i spojrzał prosto w oczy.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyś rzuciła okiem na *Brzemienny zaulek* zanim pójdziesz spać. Muszę wiedzieć, co o tym myślisz.

Uśmiechnął się, dotykając jej brody.

— Byłaś moją lepszą połową przez tak długi czas, że nie śmiem dotknąć piórem papieru bez twojej aprobaty.

Odwdzięczyła mu się również uśmiechem. — To będzie dla mnie wielka przyjemność.

O jedenastej wzięła scenariusz do łóżka i zaczęła czytać, podczas gdy Damon, dla którego była już druga nad ranem, pozostał drzemiąc w swoim fotelu, ze szklaneczką mocnej whisky pod bokiem. Pomimo zmęczenia Annie drżała z niecierpliwości, by zapoznać się z nowym dziełem Damona.

Przeczytała powoli dwie pierwsze strony i zatrzymała się, potrząsając głową, jakby chciała zrzucić z siebie niewidzialną pajęczynę. Potem znów zaczęła czytać.

Po lekturze trzech kolejnych stron zrobiła to samo, po czym cofnęła się do początku.

Brzemienny zaulek był zupełnie niepodobny do znanych jej utworów Rhysa.

W gruncie rzeczy był niepodobny do czegokolwiek na tym świecie. Choć język był, jak zwykle u Damona, prosty i zrozumiały, kryjące się pod nim wartości były tak obce, tak niezwykle, że potrzebowała czasu, by do nich przywyknąć.

Kłujące, silne, uderzające zupełnie nową, ludzką nutą były jak smak ostryg czy kawioru, z początku dziwny, potem wyraźny, w końcu przytłaczająco pierwszorzędny.

Lecz treść zawierała coś więcej, niż niezwykle piękno wypływające z fabuły. Była to także prawda. Być może nie taka, którą można zdefiniować w kategoriach logicznych. Ale po trzydziestu stronach odnosiło się wrażenie, że jest to jedyna prawda w świecie.

Annie pochłoneła resztę scenariusza w czterdzieści pięć minut i zaczęła znów od początku, mając zamiar potraktować go tym razem bardziej obiektywnie.

Lecz okazało się to niemożliwe. Przesłanie zawarte w wątku oszałamiało ją, była więc jedynie w stanie przelecieć przez poszczególne strony z tym samym uderzającym poczuciem ekstatycznego wyczerpania.

W typowy dla Damona sposób jego opowieść była

prosta. Bohaterka nosiła niezwykle imię Eurydyka, lecz wszyscy nazywali ją Daisy. Była typową amerykańską dziewczyną, padającą ofiarą klasycznej tragedii trzech kolejnych małżeństw z mężczyznami, którzy znieważali ją i zawodzili w taki sam sposób. Jej trzej mężowie różnili się powierzchownie, co zdawało się ważne na pierwszy rzut oka, ale w rzeczywistości byli oni wcieleniami tego samego człowieka, mrocznej istoty, która rządziła jej wyobraźnią.

Scenariusz rozpoczynał się w momencie ukończenia przez nią szkoły średniej, gdzie jako królowa balu maturalnego została porzucona przez jedynego chłopca, którego naprawdę pragnęła. Potem był college, pierwsze małżeństwo i rozwód, a następnie drugie i trzecie małżeństwo. W miarę rozwoju akcji urodziła troje dzieci, z których każde w tajemniczy sposób ucieleśniało część osobowości Daisy i jakiś aspekt jej losu.

W szokującym zakończeniu Daisy umiera gwałtowną śmiercią, dokładnie w momencie, kiedy zdawało się, iż uwolni się wreszcie od destrukcyjnego schematu swojego życia.

Przyczyna jej śmierci zaparła Annie dech w piersiach.

Był nią wypadek samochodowy.

Brzemienny zaulek był historią bardziej złożoną niż *Godzina nocy* z powodu większej rozpiętości granic czasowych, trzech małżeństw Daisy i ukrytego podobieństwa łączącego jej mężów i dzieci. Lecz scenariusz w żadnym punkcie nie tracił swojej doskonałej prostoty przekazu. Tak banalny, jak to tylko możliwe, na powierzchni, posiadał nieprawdopodobnie mistyczną głębię, choć laik mógł nie dopatrzeć się tam mistycyzmu i magii, będących złowieszczym narkotykiem Rhysa, oczarowującym od pierwszej linijki.

Annie spojrzała na zegar. Była trzecia nad ranem, czuła się zarówno wyczerpana, jak i nadmiernie podniecona. Wstała cicho z łóżka i zeszła na palcach do salonu, gdzie paliło się światło.

Damon siedział w swoim sfatygowanym fotelu najwyraźniej czekając na nią.

Usiadła na poręczy i objęła go, całując w policzek.

— Jesteś geniuszem. Przeczytałam to trzy razy. Nigdy nie widziałam nic podobnego. To niesamowite.

Uniósł brwi.

— Poważnie?

Pokiwała głową, nie wysilając się na wyszukiwanie wielkich słów pochwały.

Pytanie Damona, które padło po chwili milczenia, uderzyło ją z siłą ciosu w żołądek i starło uśmiech z twarzy.

— Czy uważasz, że mogłabyś ją zagrać?

Gapiała się w jego oczy z niedowierzaniem.

— Ależ... nie... skąd... — wydusiła głuchym, łamiącym się głosem.

— Napisałem to dla ciebie.

Jego brwi znów powędrowały ku górze. Annie uświadomiła sobie, że jest zupełnie trzeźwy i śmiertelnie poważny.

— Ależ nie... — powtórzyła bezradnie.

— Jeśli mnie zawiedziesz — ostrzegł — będę musiał przepisać całą tę pieprzoną rzecz dla jakiejś innej aktorki. A wtedy to już nie będzie takie dobre.

— Nie, Damonie, przecież ja nie mogę grać... Proszę... Nawet mi o tym nie wspominaj — skonsternowana chwyciła go za ramiona.

Lecz on był nieustępliwy, nawet lodowaty, kiedy potrząsał głową.

— Napisałem to dla ciebie. Wiem, co jest najlepsze dla filmu.

— Zrozum, Damonie! Piętnaście lat z życia kobiety... Ja nie potrafię tego zrobić. Nie jestem w stanie!

Jego świdrujący wzrok przenikał ją na wylot.

— Przed wypadkiem nie byłabyś w stanie. Ale teraz tak. Dlatego napisałem to dla ciebie. Chcesz mi wmówić, że nie znam się na swojej robocie?

— O, mój Boże! Przerażasz mnie, Damonie. Ja nie chcę więcej grać! Po prostu nie mogę! Po wyjściu ze szpitala chciałam jedynie wpełznąć do jakiejś dziury i zo-

stać sama. Byłam szczęśliwa, że ludzie zapomnieli i przestali gadać, gadać, gadać... Czy ty nie rozumiesz? Byłam szczęśliwa, że moja kariera się skończyła. Cieszyła mnie myśl o tym, że będę robić jakieś inne rzeczy...

Nie przestawał potrząsać głową, uśmiechając się enigmatycznie.

— To była twoja metoda na wyzdrowienie. Musiałaś wypełznąć do swojej skorupki, żeby wyleczyć zarówno ciało, jak i podatne na ciosy serce. Ale twoja kariera, kochanie, nigdy się nie skończyła. Przez cały ten czas to było tylko rozgrzewanie i przyspieszanie obrotów silnika przed rozpoczęciem drugiego etapu. A teraz nadszedł czas, aby do niego wystartować. Nie możesz wypiąć się na własną przyszłość jedynie dlatego, że jest niepewna, prawda? Dlatego, że wzywa cię do wzniesienia się ponad siebie samą? Wiem, że ta piekielna machina nie jest najwygodniejsza, ale dla niektórych ludzi znaczy tyle co życie. Jesteś jedną z nich. Pomyśl o tym. Nie jesteś przecież chyba tchórzem?

— A właśnie, że tak! — krzyknęła z niespodziewaną gwałtownością. — Tak, jestem tchórzem! Myślałam niegdyś, że jestem w stanie zdobywać góry tylko dlatego, że tak sobie postanowiłam... Czułam, że muszę. Ale teraz stać mnie jedynie na znalezienie sobie gruntu pod stopami. Pomyślała o ustawicznym bólu nękającym nadal jej ciało i o daremnej z nim walce, która na tak długo oderwała ją od rzeczywistości.

— Nie zdobywam już gór. Nie mam siły, Damonie! Nie mogę...

— Cieszę się, że to mówisz — powiedział, kiwając nieznacznie głową. — Właśnie czegoś takiego potrzebuję dla Daisy. Niepewności co do stabilności tej planety, podejrzliwości co do bezpieczeństwa chodzenia na dwóch nogach.

Jego uśmiech był równie ironiczny co nakazujący.

— Nie, nie myślę się, Annie. Zagrasz tę rolę. Nie mogłabyś zrobić tego przedtem, kiedy byłaś małą Lianę, ale teraz możesz. I zagrasz.

Łzy wypełniły jej oczy i spłynęły cicho po policzkach.

Prosił ją o coś niemożliwego. Ale był ostatnią osobą na świecie, którą odważyłaby się zawieść. Nie zniosłaby jego rozczarowania i rozgoryczenia.

— Piętnaście lat... Trzy małżeństwa... i dzieci! Będziesz potrzebował dla niej kogoś z ogromną głębią. Ja jej nie mam. Czego dokonałam w życiu poza spartaczeniem najprostszych rzeczy...?

Nagle zrozumiała, że wpadła w jego pułapkę i jej słowa żałośnie zawisły w powietrzu. Poklepał ją łagodnie po plecach.

— Zobaczymy. Przetestujemy cię w przyszłym tygodniu. Mówiłem o tym dzisiaj z Markiem. Rozmawiałem też z Duncanem Worthem, kiedy byłem w Nowym Jorku. Wszystko już ustalone.

Wstrzymała oddech na chwilę, która stała się wiecznością. Potem wydała głębokie westchnienie rozpacz i kapitulacji.

— Będiesz tego żałował — ostrzegła go.

Rhys nie odpowiedział, pogładził tylko jej szczupłe ramię jak kochający, roztargniony ojciec.

Wiedział, że rozegrał i wygrał ostatnią bitwę na rzecz *Brzemiennej zaiUka*.

W półmroku swego pokoju położonego w końcu holu Christine leżała, wsłuchując się w dochodzące z salonu odgłosy.

Annie się zgadzała. Christine słyszała to w słabnym tonie jej protestów. Wiedziała, jak ważny był ten moment. Udając Margot Swift i pracując u boku Rhysa w Nowym Jorku zrozumiała, że pisząc każdą linijkę miał na myśli Annie i wyłącznie Annie. Współtworząc z nim i Abem scenariusz, Christine zaznałomiła się z obrazem nigdy nie widzianej, poznaczonej bliznami i odmienionej w wyniku wypadku twarzy, niegdyś tak skandalizującej gwiazdy. Dlatego jako Margot nie była dzisiaj wcale zaskoczona widząc ją tak inną, inną od poprzedniego, publicznego wizerunku.

Uśmiechnęła się w ciemnościach. Damon postawił na swoim.

I ona też postawiła na swoim.

Kilka dodatkowych kilogramów w połączeniu z nowym kolorem włosów i zielonymi szklami kontaktowymi zmieniło ją na tyle, że nakładając na to beztroską, tryskającą humorem osobowość Margot stała się nie-
rozpoznawalna.

Jako że jej działalność profesjonalna ograniczała się do wschodniego wybrzeża i dużych miast środkowego zachodu, jedyną trudność stanowiło dla niej skontaktowanie się z Damonem w Nowym Jorku tak, by nikt ze znających ją osób jej nie zauważył. Teraz, znajdując się w Kalifornii była najzupełniej bezpieczna, o ile ktoś z jej przeszłości nie zapaści się tu, na zachód.

Gdyby do tego doszło, mogłoby to spowodować pewne komplikacje. Wszystko poszło nadspodziewanie łatwo, poczynając od wynajęcia obcych ludzi, którzy pozowali do jej „rodzinnej” fotogram, a kończąc na „natknięciu się” na taksówkę wiozącą Damona i Abego na Trzydziestej Czwartej ulicy w mroźnym, lutowym wietrze.

Łatwo.

A teraz jest tu, gdzie chciała być.

Następny krok był oczywisty. Po prostu obserwować i czekać. Czekać na to, co się wydarzy.

Christine była gotowa na wszystko.

Pozna Annie, pomoże jej i Damonowi przy filmie i będzie obserwować ucieleśnienie się własnego przeznaczenia. Temu służył ten pokój, ten dom i ci ludzie. Jej przeznaczeniu.

Nie bała się nieprzewidywalnego. Z radością powita wszystko, co nadejdzie, ponieważ ufa, że przyszłość przyniesie jej prawdę, nawet jeśli obróci wniwecz wszystkie nadzieje.

Oczywiście jest jedna brudna robota, którą musi już wkrótce wykonać.

Ale ta rola będzie najłatwiejsza ze wszystkich.

XXI

Rozmaitości Codzienne, 17 kwietnia 1972

Powierzenie przez Dantona Rhysa głównej roli kobiecej w swoim nowym filmie Brzemienny zaulek Annie Havilland — „Aniołowi seksu”, znowu zaszokowało społeczność filmową.

Miss Havilland, której kreacja perwersyjnej Lianę u boku Eryka Shaina w Godzinie nocy Rhysa wywołała dwa lata temu sensację, została przez obserwatorów filmowych skreślona jako aktorka po fatalnym wypadku samochodowym, w wyniku którego dozna/a bardzo poważnych obrażeń. Nikt nie wierzył, że po kuracji, która uzależniła ją od środków narkotycznych i ze zmienioną przez liczne operacje plastyczne twarzą, gwiazda stanie jeszcze kiedykolwiek przed kamerami. Rhys obwieścił swoją decyzję osobiście na spotkaniu z dziennikarzami w International Pictures. Nie udało się niestety zdobyć zdjęć nowego oblicza panny Havilland, gdyż od czasu wypadku żyje w ścisłym odosobnieniu.

Pytany przez sceptycznych reporterów o kwalifikacje swojej gwiazdy do tej roli, uważanej za wyjątkowo trudną, Rhys odpowiedział wojowniczo.

— Kiedy zobaczycie ją jako moją Daisy, nie uwierzycie własnym oczom. W Godzinie nocy nie została odpowiednio doceniona, a po wypadku jest nawet lepszą aktorką. Wielu ludzi z waszej strony mikrofonów będzie musiało sporo odszczekać, kiedy ten film podbije kina.

Świadczenie zdjęć próbnych panny Havilland, które odbyły się w tym tygodniu w International Pictures, różnią się w opiniach na temat jej nowej twarzy. Jedni określają ją jako „pospolitą” czy „przyjemną”, inni jako „ładną”, „niepokojącą”, a nawet „piękną”. Zgadza się tylko w jednym punkcie, że twarz ta przypomina mało lub wcale tę, która rozpalala do białości i porywała publiczność w Godzinie nocy.

Harmon Kurth obrócił się na krześle i rzucił egzemplarz *Rozmaitości* na blat biurka. Obok leżał scenariusz *Brzemiennego zaułka*, nadesłany arogancko przez Rhysa pocztą, w dniu zorganizowanej na własną rękę

konferencji prasowej. Wyglądało to dokładnie tak, jakby rzucił cały ten interes Kurthowi w twarz na zasadzie faktów dokonanych.

Kurth siedział przez chwilę pogrążony w myślach.

Ta mała pipa — klął w duchu, ta mała, śmierdząca, zużyta pipa.

Jego szpiedzy zapewniali go, że jej kariera jest już zamkniętą kartą. A jednak Rhys znalazł sposób na to, by zaczęła raz jeszcze od początku.

Rhys był podstawą jej egzystencji. Któregoś dnia może zaistnieć konieczność wyeliminowania go, żeby ją osiągnąć. O ile alkohol nie zrobi tego wcześniej.

Na razie należy podjąć konkretne decyzje, żeby zapanować nad sytuacją. Kurth miał świadomość tego, że mógłby utrudnić lub nawet uniemożliwić Rhysowi znalezienie źródeł finansowania i załatwienie spraw związanych z przygotowaniem do produkcji *Zaulka* w całych Stanach Zjednoczonych.

To oczywiście nie powstrzymałoby Rhysa przed robieniem zdjęć gdzieś za granicą. Ale musiałby pracować bez swoich stałych ludzi. A Kurth był władny zablokować dystrybucję we wszystkich głównych sieciach kin.

Film musiałby być wyświetlany w domach kultury i nie przynosiłby żadnych dochodów, zwłaszcza że ta Havilland nie ma już dawnej urody i jej twarz nie będzie się sprzedawała tak dobrze.

Ale czy to wystarczy? Czy to wystarczy, aby ukarać Rhysa za zuchwałość i zniszczyć na zawsze tę dziewczuchę?

Może tak. A może nie.

W każdym bądź razie Kurth rozgrzewał się do walki. W ciągu dwudziestu lat u steru *International Pictures* wygrywał bitwy o wiele bardziej krwawe niż ta.

Tych dwoje nie było dla niego godnymi przeciwnikami. Tak czy inaczej, znajdzie broń, która wykończy ich oboje.

XXII

— Dalej, siostrzyczko! Trzęsiesz się nad sobą jak nad śmierdzącym jajkiem!

Margot Swift stała na cętkowanych kafelkach otacza-

jących nerkowatego kształtu basen Vivian Guenther i kiwała na Annie, dygocząc z zimna w bikini, mimo południowej spiekoty.

Owdowiała sąsiadka Damona znajdowała się w domu, wisząc jak zwykle na telefonie i zabijając w ten sposób czas.

Terapia Annie wymagała korzystania z basenu, a pani Guenther z radością go udostępniła, mówiąc, że gdyby nie Annie i Margot, to nikt by z niego nie korzystał, ponieważ wszyscy jej przyjaciele byli albo zbyt leniwi, albo zbyt starzy, żeby pływać.

— Pozwól mi się najpierw oswoić — narzekała Annie, podchodząc ostrożnie do krawędzi wody. Od czasu ciężkich przejść z lekami i bólem, zanurzenie się w zimnej wodzie było dla niej barierą nie do przekroczenia. Nadal ważyła o pięć kilogramów za mało i odczuwała stale zimno tak dokuczliwie, że często wkładała swetry w najgorętsze dni. Margot uśmiechnęła się.

— Popatrz na mnie! Pokażę ci, jak to zrobić. Podeszła do końca niskiej trampoliny, odwrócona plecami do basenu, odbiła się kilka razy z radością pensjonarki, po czym wykonała pełen gracji skok w tył, taki, jaki Annie obserwowała jako dziecko w wykonaniu swoich szkolnych kolegów na basenie w parku w Richland.

— No już! Ruszaj się! — zawołała Margot, wyłaniając się z wody i odrzucając opaloną dłonią włosy z ociekających policzków. — Na litość boską, Annie, ta woda jest taka jak w wannie. Śmiało! Zanurkuj tak jak ja!

— Nie da rady — powiedziała Annie stanowczo, siadając na brzegu basenu i zanurzając nogi w wodzie. — Nigdy nie potrafiłam wykonać tego skoku.

— Chyba żartujesz — parsknęła Margot, pluskając się w głębokiej wodzie.

— I ty byłaś mistrzynią uniwerku w skokach do wody? Nie rozśmieszaj mnie.

— Masz rację, to jest dziwne. Powinnam była to umieć. Ale ten skok nie wchodził w program zawodów, a ja od dziecka zawsze się go panicznie bałam. Ani razu go nie wykonałam.

— Zrób to teraz — zaśmiała się Margot. — Po prostu przechyl się do tyłu, popatrz na niebo i odepchnij się. Nie ma w tym nic trudnego. Każde dziecko to potrafi.

Podpłynęła do krawędzi basenu.

— Masz — krzyknęła, spryskując swoją towarzyszkę kropelkami migocącej w słońcu wody. — Widzisz, jaka ciepła? Pomogę ci się z nią oswoić.

— No dobra, w porządku — poddała się Annie, dzwoniąc zębami, kiedy drobne strumyki spływały jej po plecach i ramionach. Chyba masz rację.

— Potrafisz to zrobić — nalegała Margot. — No, już, spróbuj.

Annie z wahaniem weszła na trampolinę i stanęła na jej krawędzi tyłem do basenu.

Przypomniała sobie setki półtoraobrotowych skoków wykonanych w szkole średniej, i te z pełnym obrotem, które były jej specjalnością, i które przyniosły jej półkę pełną trofeów.

Przez ułamek sekundy poczuła nieprzyjemne ukłucie wspomnień.

Otoczyła ją znów ze wszystkich stron cisza wyczekujących w napięciu sektorów nie tylko przeciwników, lecz także uczniów szkoły średniej w Richland.

A Harry był gdzieś na trybunach, patrząc na nią i słuchając wzajemnych uciszeń...

Spojrzała na błękitne niebo ponad palmami pani Guenther. Nie mąciła go ani jedna chmurka. Tylko blada mgiełka nad wzgórzami barwiła je zielonkawą szarością.

Zdecydowana przegonić wspomnienia a także własną niemożność, ustawiła się precyzyjnie, przechyliła w tył i odbiła od deski.

Ujrzała przelatujące przed oczyma fragmenty nieba i drzew, potem ładną buzię Margot, która wymachiwała ręką, wszystko do góry nogami.

Później jej twarz, piersi i uda ogarnęła triumfująco chłodna woda. Zaczęła pracować stopami, by wypłynąć na powierzchnię.

Tak trzymać! — usłyszała radosny okrzyk Margot, wdychając łapczywie przesączone chlorem powietrze. — Nie wmówisz mi, że nie wiedziałas, jak to się robi, kłamczucho!

— Naprawdę nie wiedziałam — odpowiedziała Annie, łapiąc oddech i utrzymując się pionowo w głębokiej wodzie. — To zdumiewające, jak różne sprawy zostają zasufladkowane w ludzkim umyśle. Przez wszystkie lata pływania nie przyszło mi do głowy, żeby wykonać ten skok, nawet jeśli miałby się okazać łatwiejszy od innych. To rzeczywiście dziecinnie proste.

— Mówisz jak bohaterowie Prousta — Margot usiadła na brzegu basenu, podczas gdy Annie podpłynęła do niej. — Czytałeś kiedyś Prousta?

Annie potrząsnęła głową.

— Ani słowa.

Jednakże po chwili poprawiła się.

— Z wyjątkiem jednego urywka przeczytanego mi przez Damona dawno temu. O zmieniających się twarzach kobiet.

— Damon byłby rozczarowany tobą — uśmiechnęła się Margot. — Proust jest jego obsesją. Widzisz, Proust wierzył, iż każda osoba składa się z tysięcy tak zwanych „małych ja”, podobnych do komórek tworzących ciało. Każde z nich powstaje w okresie życia, który z takich czy innych przyczyn był dla człowieka ważny. I one po prostu koegzystują obok siebie, nie komunikując się ze sobą ani nawet nie wiedząc nawzajem o swoim istnieniu.

Mówiąc to, machała leniwie nogami w wodzie.

— Powodem, że ludzie co innego myślą, a co innego mówią i robią jest to, że jedno „małe ja” lub grupa „małych ja” wierzy i działa w jeden sposób z przyzwyczajenia, podczas gdy druga, uformowana w innym czasie, zachowuje się i reaguje w zupełnie odmienny sposób, nie dopuszczając przeciwnych wariantów.

Odsunęła z policzka mokre pasemko włosów.

— Proust powiedziałby, że niektóre z twoich „małych ja” znały wszystkie rodzaje skoków do wody, wiedziały, jak to jest skakać w barwach uniwerku i tak dalej, ale była jedna, uformowana w twoim dzieciństwie, nadal żywa, która wierzyła, że tylko większe dzieciaki mogą wykonać ten skok w tył. Rozumiesz, co mam na myśli?

Annie zmarszczyła czoło zakłopotana tym wywodem.

— Chyba tak.

— Weź Daisy z *Brzemiennego zaułka*. Część jej duszy dostała nauczkę, kiedy rzucił ją Daniel w szkole średniej. Ta jej połowa już nigdy nie zwiąże się z takim narcystycznym typem faceta. Ale druga połowa, ta która ciągle pamięta i podziwia jej ojca, tak mi się wydaje, nigdy nie przyzna się do porażki i będzie wybierała jednego Daniela po drugim, niezależnie od tego, jaka spotka ją za to kara. Za każdym razem, kiedy kogoś kocha, a potem traci, dostaje kolejną nauczkę, ale tylko na jednym poziomie. Na drugim poziomie ona po prostu uparcie powtarza swoje błędy.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ale mimo to, ona w jakiś dziwny sposób dorasta. Zmienia się. Dowodem na to są dzieci i to, jak je kocha. Przy końcu ona już nie popełniłaby takich błędów jak na początku, nie sądzisz?

— To, co mówisz, ma sens! — pokiwała głową Margot. — Widzisz, „małe ja” mogą zaniknąć lub umrzeć, albo po jakimś czasie, albo nagle. Dokładnie tak, jak minutę temu umarła ta część ciebie, która myślała, że nie potrafisz wykonać tego skoku. Dokładnie tak, jak komórki ciała. Niektóre z nich obumierają i są zastępowane szybciej niż inne. Czasem ma na to wpływ wypadek lub przypadek, jak na przykład moja obecność tutaj i granie na twojej ambicji, żebyś to zrobiła — podrzuciła głową tak, że kropelki wody opadły na jej ramiona. — I to dlatego, niemal z dnia na dzień, człowiek może uznać za własną, opinię, którą rok wcześniej uważał za absurd, żeby też zrobić coś lub wybrać kogoś całkowicie przedtem negowanego. To jest tak, że stare nawyki umierają z trudem, lecz jednak umierają. I stajemy się kimś nowym, niezależnie od tego, jak mocno przyłgnęliśmy do starego.

Z twarzy Annie zwróconej w kierunku przyjaciółki emanowało napięcie. Margot zaśmiała się i wzruszyła ramionami.

— I tak to jest. Znów się zapędziłam i zaczynam się mądrzyć, jakbym już była profesorem. Muszę się lepiej pilnować.

— Nie — powiedziała Annie, zdecydowana zrozumieć wszystko', co Margot powiedziała. — Myślę, że masz rację. Bo przecież niezależnie od tego, jak surowa jest Daisy dla siebie i swoich mężów przez cały film, zmienia się w jakiś subtelny sposób, w sposób, którego nie jest świadoma. A cała tragedia polega na tym, że ginie w wypadku właśnie w momencie, kiedy dojrzeła do doświadczenia czegoś zupełnie nowego. Stania się wolną.

— Prawda — powiedziała Margot poważnie. — Ale ona zaczęła od drugiego końca zaułka. Zaułka, który przynosi zmiany i nowe życie. Ja to widzę tak, że zakręt w jej życiu, o którym mówimy, jest jak łuk wyjęty z okręgu. Oczywiście, wypadek wyjmie go z niego na zawsze. Ale nawet gdyby to trwało, nigdy nie byłby to okrąg doskonały, powtarzający się w nieskończoność. Przeciwnie, zboczyłby o swego punktu wyjściowego i oddalił się w nieco inny kierunek.

Przerwała, szukając odpowiednich słów.

— Tak, jak orbity we wczesnych książkach Damona. Orbity, które nigdy nie były doskonałe, lecz zawsze zmierzające w nowych kierunkach. Ku nieznanemu. Orbity są dla Damona tym, czym powoli przeobrażające się „grupy małych ja” dla Prousta. Ja naprawdę uważam, że Damon jest bardzo proustowskim myślicielem. Naprawdę.

Annie przytaknęła ruchem głowy, pokrywając obojętnym uśmiechem myśl, która właśnie zaświtała jej, wprawiając w dziwny stan ducha.

Poglądy wymieniane przez nie na temat *Brzemiennej zaiUka* dotknęły o wiele bardziej czułych punktów Annie, niż Margot przypuszczała;

Upłynęły prawie cztery miesiące, odkąd Annie i Frank zostali kochankami. Chociaż wizyty Franka w domu w kanionie były teraz za dnia o wiele rzadsze, Annie spędzała z nim kilka wieczorów w tygodniu. Niemal każdego leniwego popołudnia, kiedy snuła się po domu za Margot czy Conchatą oraz rozmyślała o Daisy i nowym losie narzuconym jej przez Damona, potajemnie oddawała się marzeniom o następnym wieczorze z Frankiem. A gdy dzwonił lub przychodził, żeby ją gdzieś

zabrać, przynosił ogromne odprężenie, niwelując napięcie narastające w jej uczuciach od ostatniego spotkania.

Ich wspólne wieczory kończyły się niezmiennie w jego przytulnym mieszkaniu ze skórzanymi meblami i grubym dywanem, a konkretnie w pogrążonej w półmroku sypialni, będącej niemym świadkiem ich miłosnych uniesień.

Im bardziej Annie poznawała ciało Franka, tym większa stawała się moc zakłęcia, jakie zdawał się na nią rzucić. Znała teraz gładkość i smak skóry oraz rytmy jego pożądania tak dobrze, jak własne. Ciepło długich ramion, których niegdyś pragnęła na odległość, tworzyło dla niej obecnie cudowny azyl, a ona gnieździła się w nim jakby w odurzeniu.

Jego milczenie, ongiś tak irytujące, stało się słodką, bezsłowną troską i dbałością, obejmującą ją w przerwach największej intymności. Kochała je teraz, ponieważ zdawało się wypowiadać spokojną siłę celu i charakteru, nakierowaną na jej przytomność i ochronę.

To samo odnosiło się do powściągliwości Franka podczas ich schadzek. Choć żadne z nich nie mówiło o przyszłości związku, który tak niedawno się zaczął i któremu towarzyszyły obecnie tak chaotyczne zmiany w jej życiu, głęboka szczerość w jego głosie zapewniała ją, że nie traktuje związku z nią lekko, lecz pożąda ją z całą mocą swej silnej woli.

Annie uświadomiła sobie, że tym, co coraz bardziej podziwia u Franka jest celowość działania. Podobnie jak ona, miał za sobą biedne dzieciństwo i został wychowany w wielkim poczuciu sumienności i odpowiedzialności. Lecz jego poświęcenie przekraczało wszystko, z czym się do tej pory zetknęła.

Frank był ambitnym studentem collegu z widokami na świetlaną przyszłość w zarządzie korporacji, kiedy mały, przechodzący z pokolenia na pokolenie, rodzinny handel znalazł się w końcu na krawędzi bankructwa.

Rezygnując z własnych marzeń, Frank poświęcił dziesięć lat nieustrudzonych wysiłków i wszystkie moce swego przenikliwego, innowacyjnego umysłu na przy-

wrócenie firmie wypłacalności. Kiedy zrealizował zadanie do końca, zdecydował, że ograniczoność życia w firmie nie służy mu mimo wszystko i wybrał prawo, jako najbardziej owocną arenę działania. Będąc ciągle jedynie debiutantem w prestiżowej firmie prawniczej, Frank nie miał wątpliwości co do postawionych sobie celów i możliwości ich osiągnięcia. Odwrotnie niż Annie, której ambicje wypływały z nie do końca zrozumiałych dla niej źródeł i gnały w kierunku przyszłości, jakby niezależnie od niej samej, Frank kroczył ścieżką, którą sam sobie wytyczył, nie obawiając się niczego. Zrównoważenie było tak fundamentalną cechą jego osobowości, jak chwiejność u niej. Rodzice Franka nadal mieszkali w południowej części Kalifornii, a on mówił o nich ciepło, chociaż z tonu jego uwag można było wywnioskować, że nie był im specjalnie bliski. Kiedy Annie komentowała ogromną, synowską lojalność, która zastopowała jego karierę na tak wiele lat, wzruszył ramionami i powiedział bezosobowo:

— No cóż, ludziom trzeba pomagać, kiedy tego potrzebują.

Te kilka słów wyrażało moralną surowość i poczucie odpowiedzialności za innych oraz ułatwiało zrozumienie faktu, że Frank ostatecznie wybrał prawo jako swój zawód.

Annie nie miała odwagi zadać innego pytania, które męczyło ją od tak dawna: dlaczego się nie ożenił.

Wyczuła, że ten wewnętrzny, nieugięty wzorzec rządzący jego życiem zawodowym, musi być również kluczem do jego kawalerskiego stanu. Z pewnością przez wszystkie lata pracy w biznesie poznał wiele kobiet.

Lecz żadna, jak podejrzewała Annie, nie posiadała tej siły charakteru i nie reprezentowała tych wartości, jakich oczekiwał od partnerki.

Zastanawiała się nad oceną samej siebie według tych kryteriów, jakimi przypuszczalnie kierował się Frank w życiu osobistym.

Czy nie była, mimo wszystko, wybrakowanym towarem w dosłownym znaczeniu tego słowa? Kobietą poła-

maną i zeszpeconą z własnej winy, ofiarą własnego nie-zrównoważenia i pochopnie dokonywanych wyborów?

Była pewna, że Frank domyśla się prawdziwej przyczyny jej wypadku. Czasami, kiedy wydawał się zamyślony, mimo woli zadawała sobie pytanie, czy jest zazdrosny o Eryka Shaina i fatalną rolę, jaką ten odegrał w jej życiorysie.

Czuła jednak podświadomie, że jest to bardziej potępienie jej poniżającego wyboru takiego mężczyzny jak Eryk, niż zazdrość. Frank musi się z pewnością zastanawiać, czy istotnie chciałby dla siebie kobiety, która uwierzyła, że Eryk Shain był mężczyzną zdolnym do miłości.

Kobieta, która z wściekłości i rozpacz wjechała w przepaść, kiedy nie mogła już dłużej pozostać ślepa na prawdziwe oblicze Eryka Shaina, raniąc jedynie siebie i swoje nie narodzone dziecko...

Pytanie to z każdym dniem dręczyło Annie bardziej. A taktowne milczenie Franka na temat jej związku z Erykiem czyniło jej niepokój bardziej bolesnym.

Wiedziała, że on i Frank byli dwojgiem ludzi o diametralnie różniących się temperamentach, robiącymi zasadniczo odmienne kariery. Być może to, że ich drogi się zeszły, nie oznacza wcale, że podążą dalej w tym samym kierunku, jedna obok drugiej. Być może milczenie Franka kryło pewność, że ona nie jest i nigdy nie będzie kobietą dla niego.

Męczarnia Annie pogłębiała się, ponieważ te wątpliwości nie były jedynie akademickimi rozważaniami. W istocie, jeśli różniła się od Franka, różniła się też totalnie od kobiety, jaką była zanim natknęła się na niego. Nie było w niej już nic z zrozpaczonej ofiary, którą po raz pierwszy ujrzał w szpitalu, czy z upartej rekonwalescentki, bawiącej się kosztem jego małomówności podczas bolesnego wracania do zdrowia.

Była teraz nową kobietą, nową Annie, której sama nie mogła jeszcze do końca zdefiniować, ponieważ dopiero kształtowała się z dnia na dzień. A kształtował ją nie tylko oszałamiający powrót do aktywności, lecz także, może nawet bardziej gruntownie, sam Frank, którego

delikatne uściski, pełne uczucia spojrzenia i czułe słowa mówiły jej, że zajmuje poczytne miejsce w jego sercu.

Przychodzisz z punktu, do którego zmierzasz.

To enigmatyczne zdanie z jednego z opowiadań Da-mona, tak tajemnicze dla niej, kiedy kilka dni temu zacytowała je Margot, nabierało obecnie olśniewającego sensu i zdawało się zawierać kwintesencję jej dylematu. Ponieważ z całej duszy, bardziej niż czegokolwiek na świecie, pragnęła stać się na zawsze kobietą chcianą i chronioną przez Franka, żyjącą tylko po to, by należeć do niego.

Prawda była zbyt piękna, zbyt nęcąca, by się jej oprzeć: Annie znów się zakochała.

Jedną częścią swojego ja chciała wyśpiewać swe uczucia w każdym słowie i uśmiechu. Lecz reszta z niej była przerażona panującym w jej sercu zamętem.

Podczas długiej, samotnej rekonwalescencji usiłowała sobie wmówić, że nigdy więcej nie padnie łupem nierozważnych uczuć, takich jak te, których następstwem były fatalne wydarzenia sprzed dwóch lat.

Obiecywała sobie, że za każdą cenę dążyć będzie do uporządkowanego życia. Doświadczyła już tańczenia na linie nad wyczekującą przepaścią.

Lecz kiedy myślała o Franku, jej postanowienia zdawały się ulatniać jak góra lodowa topniejąca pod wpływem promieni wiosennego słońca.

Ledwo pamiętała swoje wcześniejsze plany, wypieszczone dekoracje, tak pochłaniały ją myśli o Franku, niepokój o niego, pożądanie, rozkoszne tęsknoty za nim.

A kiedy jej serce otwierało się w ten sposób, głodne i wymykające się spod kontroli w swojej potrzebie miłości, była zmuszona uświadomić sobie, że ona sama, jak Daisy, była siedliskiem nieśmiertelnych uczuć uznających mężczyzn za coś o wiele ważniejszego niż jedynie seksualnych partnerów, czy przypadkowych kochanków.

Jej ciało było niezdolne do dokonywania wyborów poza wskazaniem serca. Natomiast serce odczuwało potrzebę należenia do tego jednego, jedyne go mężczyzny, potrzebę, która była źródłem nieustającej niepewno-

ści, która utrzymywała ją między rajem a piekłem w każdym związku, w jaki się angażowała.

Tak więc zastanawiała się, czy przystań w ramionach Franka nie była jedynie nową twarzą otchłani, która już raz wcześniej próbowała ją pochłonąć.

Przekonywała samą siebie, że Frank i Eryk byli tak różni jak dzień i noc. Eryk był w jej myślach pełnym wad słabeuszem, pozującym na udęczonego młodzieniaszka, którego uwodzicielskość brała się z instynktu macierzyńskiego, jaki w niej budził.

Frank natomiast był opoką, która ją chroniła i wspierała nawet wtedy, kiedy jego potężne ciało domagało się od jej zmysłów gorących wybuchów ekstazy.

Frank był dla niej nie tylko ochroną. Był uosobieniem pełni człowieczeństwa i męskości. W najskrytszych myślach o nim czuła jego nasienie wnikające w nią jak mistyczny strumień życia, pełen przyszłych dzieci z ich twarzami, głosami i nie dającymi się przewidzieć losami. Wizja ta płonęła w sercu Annie obiecując spełnienie, które zapierało jej dech w piersiach. Z łatwością mogła sobie wyobrazić Franka jako ojca pięknych dzieci, troszczącego się o nie z cierpliwą wyrozumiałością, jaką niewielu mężczyzn mogło się poszczycić.

Nie odważyła się jednak umieścić na tym obrazku siebie u jego boku. Nie śmiała też żywić świadomie nadziei, że dzieci te wyjdą z jej lędźwi. Zmęczona tym ciągłymi rozważaniami, zaniechała prób zrozumienia, co się w niej dzieje.

Leżąc cicho w ramionach Franka lub obserwując go krzątającego się statecznie i spokojnie po pokojach, czuła, jak narastają w niej fale pokusy. Oddawała się bez reszty we władanie emanującej z niego siły, uzależniała się od niej, by odzyskać równowagę i odwagę, której już w sobie nie znajdowała. Czuła trzepotanie kobiecej ustepliwości i bezradności, które gorszyło ją, gdyż przez tak długi czas stała wyłącznie na własnych nogach...

Lecz te nogi nie znajdowały już oparcia. A Frank był tego przyczyną. Jak orbity, o których mówiła Margot, życie Annie wymykało się spod kontroli i zmierzało w kierunku, na który zdawała się nie mieć wpływu.

A jedynym oparciem, ku któremu mogła się zwrócić, był ten właśnie mężczyzna, którego bliskość z każdym dniem bardziej zmieniała tor tych orbit.

Lecz Frank nie mógł o tym wiedzieć. Bez wątpienia jego milczenie wynikało z nieświadomości podwójnego życia, jakie w niej stworzył, życia rozdartego pomiędzy odrodzeniem jej kariery, a nową tęsknotą za czymś odbiegającym daleko od osobistych ambicji, aktorstwa czy czegokolwiek.

Tak więc żyła z dylematem, czy uwolnić Franka od siebie i pozostawić go własnemu losowi, zdając sobie jednocześnie sprawę, że z każdym dniem należy do niego w większym stopniu.

To było najtrudniejsze zadanie, jakiemu kiedykolwiek musiała stawić czoła. Czuła się zupełnie rozdarta wewnątrz.

Lecz nie mogła się teraz cofnąć, gdyż zbyt długo pozostawała pod wpływem zaklęcia rzuconego na nią przez Franka.

Zaklęcia, które otwierało jej raj.

Widząc, że Annie drży, Margot zmarszczyła brwi.

— Wychodź stamtąd — zakomenderowała, wyciągając smukłe ramię w kierunku Annie. — Myślę, że masz dość na dziś.

Zaskakująco silnymi rękoma pomogła jej wydostać się na brzeg i rozłożyła ręcznik na kafelkach.

— Widzisz, jakoś to przeżyłaś. Nic cię nie boli? — spytała, sięgając do płóciennej, plażowej torby po butelkę z miksturą do smarowania, zapisaną przez dra Blaira. — Tylko nie kłam.

— No cóż, przez ten twój wariacki skok uderzyłam się w czoło — wymamrotała Annie, czując jak chłodna ręka zaczyna rozprawiać plyn po jej ramionach.

— Poważnie? — Margot sprawiała wrażenie zaalarmowanej tymi słowami, choć w jej głosie pobrzmiwała żartobliwa nuta.

— Nie — przyznała się ze śmiechem Annie. — Czuję się świetnie.

— A więc tylko tak dalej — powiedziała z zachętą Margot, wklepując płyn w dolną, obolałą część pleców Annie.

Rozluźniona łagodnymi uderzeniami, Annie pomyślała, że Margot zachowuje się dziś w charakterystyczny dla siebie sposób. Najpierw zachęcała Annie do wzmożonego wysiłku fizycznego, a potem obwiniała się za to, chociaż wiedziała, że jej rady były słuszne i rozsądne.

Z kolei pozwalała sobie na dygresje na taki czy inny intelektualny temat, bliski pracy Damona lub zainteresowaniom Annie, po czym znów oskarżała się o to, że jest nudna, choć nigdy tak nie było.

Myślała wyłącznie o Annie, ojej fizycznym i psychicznym komforcie.

Znała już teraz o wiele lepiej pokaleczone ciało Annie, skąd energiczne, precyzyjne ruchy jakimi wykonywała masaż.

Ogółem biorąc, ta delikatna dbałość, stała troska o nią, zdawały się tworzyć kwintesencję ich przyjaźni.

Niekiedy Annie zastanawiała się w skrytości ducha, czy ta nadludzka uprzejmość i dbałość nie były skutkiem tajemnicy, nieznanego żalu, jaki Margot w sobie nosiła. Nic chcąc myśleć o sobie, chętnie zatracala się w służeniu innym.

Być może to było to.

Lub może Margot była w pewnym sensie aniołem uprzejmości, albo po prostu najmilszą osobą na świecie. Annie nie wiedziała.

Wiedziała natomiast, że Margot była dla niej w ciągu ostatnich siedmiu tygodni wybawieniem. W ciągu tych siedmiu tygodni, które bez niej byłyby prawdziwym piekłem.

Jej uwagi na temat Prousta były tego najnowszym przykładem, stały się elementem prawdziwej współpracy w przygotowaniach do zagrania przez Annie roli Daisy. Tak jak asystowała Damonowi przy pisaniu scenariusza, tak teraz pomagała Annie wybadać własne możliwości, co w dużym stopniu ułatwiło jej odtworzenie

„samodestrukcyjnego" charakteru Daisy, odbudowując jednocześnie jej osobistą i zawodową wiarę w siebie.

To było podwójne wyzwanie: wystawiające na próbę nerwy Annie i wymagające niezwykłej inteligencji i taktu ze strony Margot. Lecz ciężar, który wspólnie dźwigały, bardzo je do siebie zbliżył.

Te dwie młode kobiety były teraz więcej niż przyjaciółkami. W rzeczywistości metaforyczna, siostrzana więź, którą Damon nałożył na nie swymi ciągłymi żartobliwymi wzmiankami na temat posiadania dwóch „przyszywanych" córek („Chodźcie, dzieci" — wołał je na obiad) okazała się szczególnie trafna.

Jak wiele sióstr, nigdy nie wyznawały sobie nawzajem najskrytszych tajemnic, lecz rozumiały się tak doskonale, że spędzały w swoim towarzystwie długie, milczące godziny, czując, że słowa nie są im potrzebne.

Annie nigdy nie rozmawiała z Margot o Eryku Shai-nie, chociaż wiedziała, że Margot podejrzewa, iż to on był źródłem jej nieszczęść. Na tej samej zasadzie Margot nigdy nie przyznała, że na jej beztróskim życiu w Iowa leży jakaś ciemna plama, choć Annie była przekonana, że źródła ich bólu są te same.

Tak, zadumała się Annie: zupełnie naturalne było dla nich żartobliwe nazywanie się nawzajem „siostrzyczkami", czy łechtanie próżności Damona pieszczotliwym „papciu", czy ostatnio „nasz tatuś", które to wyrażenie Margot podłapała czytając Lawrenca i innych brytyjskich pisarzy.

W ciągu tych krótkich siedmiu tygodni przeistoczyli się w małą, symboliczną rodzinę, prawie tak prawdziwą dla Annie, jak jej trio z Harrym Havillandem i panią Dion w dawnych dniach w Richland.

Damon był rzeczywiście jak ojciec ze swymi żartami, przekomarzaniem się, srogimi nastrojami, bezsennością, a nawet okazjonalnymi popijawami, po których strofujące go dziewczyny pakowały go do łóżka, dokładnie jak rozzłoszczone, matkujące mu córki.

„Następnego ranka" spoglądał na obie potulnymi, lecz nieco ironicznymi oczyma i błagał o przebaczenie.

Wybuchwały wówczas śmiechem i zasypywały go gradem poklepywań i wymówek, dając tym samym do zrozumienia, że jest nieznośny, ale kochany.

Wszyscy troje potrzebowali tej udawanej „rodzinki”, gdyż kiedy Damon nie był rozpieszczany przez swoje „córuchy” chodził stale wściekły, a co za tym idzie, pił więcej i był w kiepskiej dyspozycji.

International Pictures z niejasnych przyczyn, których nikt blisko związany z Damonem nie mógł zrozumieć, wstrzymywało środki finansowe i produkcyjne na *Brzemienny zaułek* i zbywało Damona z tygodnia na tydzień naiwnymi wymówkami o inflacji, kłopotach związku, inwestycjach korporacji w przemysł naftowy i tak dalej. W żadną z nich Damon nie wierzył nawet przez minutę.

— Przepraszam za mój język, dziewczyny — pieklił się — ale ci piździelce coś przede mną ukrywają, a ja nie mam zamiaru puścić tego płazem, choćby to miała być ostatnia pieprzona rzecz jaką zrobię w tym zasranym życiu. Przysięgam, że jeżeli będę musiał pójść do *Paramount*, *Columbia* czy nawet *MGM*, to, jak mi Bóg miły, pójdę. A oni przyjmą mnie z otwartymi ramionami. Przez ponad jedenaście lat robiłem pieniądze dla Harmona Kurtha i jego pieprzonych przydupników. Jeśli oni mnie teraz olewają — grzmiał, zapominając o tym, że setki razy przyrzekał nie przeklinać — to ja też mam ich w dupie. Zabiorę się ze swoim interesem gdzie indziej.

Annie i Margot wiedziały, że mimo całej tej buty i pyszałkowatości był skrajnie zmartwiony. Wysłał Clif-forda Naumesa, aby zasięgnął języka w głównych studiach i towarzystwach filmowych, po czym dowiedział się od niego, że istnieje subtelna lecz wyraźna opozycja przeciwko obsadzeniu Annie Havilland w roli głównej w *Brzemiennym zaułku*.

Cicha zmowa światka filmowego zdawała się sprowadzać do faktu, że Annie, niezależnie od wielkości swego talentu, została teraz, kiedy jej oryginalna twarz należała do przeszłości, wyrzucona poza nawias. Nie była w stanie zrobić z filmu przeboju kasowego, szczególnie pod nie-

obecność takiego nazwiska jak Eryk Shain, zestawionego na afiszu z jej własnym.

Poza tym *Zaulek* był tak przerażająco mroczną i tragiczną historią, że nikt nie kwapił się do wydania pieniędzy na jego realizację. Hollywood, opanowane obecnie przez gigantyczne korporacje zainteresowane wyłącznie krociowymi zyskami, a mimo to bardzo naiwne w kwestii wyboru filmów, zwracało się szybko w kierunku kina łatwego i oddalało od trudnego, ambitnego stylu Damona.

Nie mniej jednak, jak brzmiała stara śpiewka Daraona, pieniądze mówią. Każdy z jego nakręconych do tej pory filmów przyniósł wielki dochód. Mruczał coś o spisku przeciwko sobie i nie dał się przekonać ani Cliffowi, ani komukolwiek innemu, że jego podejrzenia są nieuzasadnione. Serce Annie pękało na widok rozpaczliwego położenia Damona. Wiedziała, że ta paranoja jest usprawiedliwiona, z tym, że spisek skierowany był przeciwko niej, a nie Damonowi Rhysowi.

Wiedziała, że Harmon Kurth nadal ma się dobrze na szczycie finansowej hierarchii Hollywood. Była wystarczająco inteligentna, by zdawać sobie sprawę z tego, że niespodziewane obsadzenie jej w roli Daisy zaskoczyło Kurtha i wyprowadziło z równowagi, tak więc użył wszystkich swoich wpływów, by nie dopuścić do realizacji filmu.

Oczywiście nie mogła tego powiedzieć Damonowi. Albo stwierdziłby, że oszalała, albo skierowałby się prosto do Kurtha z nożem rzeźnickim w rękę i wbiłby go prosto w jego serce.

Lecz mogła się upierać, i upierała się, że utrata zaufania studia do niej, jako odtwórczyni głównej roli kobiecej, była usprawiedliwiona. Z inną aktorką w roli Daisy, jak powiedziała Damonowi, realizacja poszłaby gładko.

Nie chciał tego słuchać.

— Mylisz się, dziecinko — powiedział. — Ludzie zlecą się na ten film dlatego, a nie mimo to, że ty w nim będziesz. Jesteś moim najlepiej sprzedającym się towa-

rem, a także moją gwiazdą. Nie, kochanie, to nie ty jesteś moim problemem.

A jednak była. I wiedziała o tym.

W tych okolicznościach obecność Margot Swift w życiu Damona stała się nieodzowna. Ona jedna zdawała się kontrolować jego coraz to kapryśniejsze i niezrównoważone zachowanie. Koła go swoim poczuciem humoru i równowagi oraz niezachwianym opanowaniem. Za każdym niemal razem, kiedy Annie przychodziła do Margot, ta albo odbierała telefon zapisując rozmowę dla Damona, prowadziła jego korespondencję, ustalała jego rozkład zajęć, rozcierała mu plecy (jej słynne masaże stały się teraz częścią codziennej rutyny, ponieważ nie tylko sprawiały mu przyjemność i relaksowały go, lecz także, co odkryła Margot, sprawiały, że mniej pił), albo porządkowała bałagan w jego papierach, pilnując, by nic się nie stało z jego scenariuszami, a nawet załatwiała sprawy z jego agentami. Stukot jej maszyny do pisania wypełniał dom całymi godzinami.

A kiedy miała wolną chwilę spacerowała, jeździła rowerem, pływała lub ćwiczyła z Annie, dbając o jej kondycję, by przedłużająca się wigilia przed rozpoczęciem zdjęć nie podkopała jej wiary w siebie.

A była to rzeczywiście bardzo krucha wiara. Annie ufała już Margot tak bezgranicznie, że zwierzała się jej ze swojego przygnębienia, lęków i wylewała przed nią swój ból i frustrację podczas ćwiczeń na dole. Margot była wspaniałą słuchaczką, a po trosze i terapeutką, kiedy komentowała lekceważąco smutki Annie i pomagała uwierzyć w odrodzenie jej talentu. Odnosiło się wrażenie, że Margot została zesłana na ziemię, aby wesprzeć zarówno Annie jak i Damona w tym, co wyraźnie okazywało się być dla nich obojga ciężką próbą.

Kiedy zażyłość z Margot wzrosła, Annie podzieliła się z nią większością wypieszczonych wspomnień o Harrym

Havillandzie. O ile napomknęła tylko dwuznacznie o mrocznej postaci matki, która porzuciła ją dla lekkiego życia i nawiedzała jej dziecięcą wyobraźnię, o tyle mówiła otwarcie o latach samotności i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że Margot ją doskonale rozumie i dzieli z nią całą gorycz.

— Wiem, jakie są małe miasteczka — powiedziała Margot — wszyscy wszystko wiedzą. Umierasz tam z braku powietrza. Nauczyłam się, że jedynym miejscem, gdzie naprawdę można zostać zaakceptowanym jest wielkie miasto, gdzie nikt nie wie kim jesteś i nikt o to nie dba.

Anonimowość jest gwarancją najlepszej akceptacji. Nie należąc nigdzie, możesz należeć wszędzie.

— Daj spokój — upomniała ją Annie. — Masz cudowną rodzinę. Sama wiesz, że z rozkoszą byś do nich wróciła.

— Żeby ich odwiedzić — uzupełniła Margot z uśmiechem. — Tak naprawdę nie mogłabym tam mieszkać na stałe. Zawsze myślałam, że wrócę w rodzinne strony, żeby uczyć, ale to już nieaktualne. Zbyt dużo widziałam. Niech Iowa pozostanie w mojej przeszłości. Tam jest bezpieczniejsza. Zdaje się, że Damon w końcu wyrwał ziemię ojczystą z serca dziewczyny — zaśmiała się.

— Ale przecież nadal masz wiele szczęśliwych momentów do wspominania.

— O tak! To były wspaniałe czasy. Kiedy byłam małeńka, miałam tych trzech ogromnych braci, którzy spełniali każde moje życzenie. Tak jakbym była księżniczką w krainie gigantów. Ale kiedy trochę podrosłam, znudziła mi się rola karzełka. Nie mogłam robić nic z tego, co robili moi bracia i tak bardzo chciałam być chłopcem.

Potrząsnęła głową ze śmiechem.

— Boże, jakim ja byłam sowizdrzałem mając jedenaście lat! Nawet nie lubię o tym myśleć. Ale później, po kilku latach, koło wykonało pełen obrót i w szkole średniej stałam się śliczną królewną, mającą w odwodzie dumnych braci, pełniących funkcje rycerzy i opiekunów. Mówię ci, chłopaki w szkole bali się pociągnąć mnie za warkocz ze strachu przed ich zemstą.

Wzruszyła ramionami.

— No i wiesz, potem był ten straszny wypadek z Carlem, najstarszym z nich. Ma teraz trzydzieści sześć lat i nadal jest przystojniaczą. Ale kiedy miał osiemnaście lat i grał w kosza, był prawdziwym pożeraczem serc. To było zupełnie coś innego.

Zauważyła zadumany wygląd Annie.

— Czy dotknęłam cię czymś? W jakieś czułe miejsce?

— Zdaje się, że tak. Nie rozumiem tego, ale w jakiś dziwaczny sposób przypominasz mojego tatusia. Czy też przynajmniej sprawiasz, że o nim myślę.

Wyglądała, jakby błędziła myślami gdzieś daleko.

— Oczywiście to miłe. Lubię to... Ale unikam robienia tego świadomie. To mnie zasmuca. Staram się nie rozpamiętywać tego, że jestem sama na świecie.

— Cóż, miałaś dobrego ojca — powiedziała Margot, która często podziwiała łagodne, zamyślane rysy Harry'ego na fotografii na biurku Annie. — Możesz być za to wdzięczna losowi. Tacy ojcowie nie trafiają się codziennie. Ale pamiętaj jeszcze o czymś, siostrzyczko — dotknęła pasma włosów Annie — nie jesteś wcale sama na świecie. Masz nas, Damona i mnie.

Annie uśmiechnęła się w podziękowaniu. Pragnęła uwierzyć w słowa Margot w pełnym ich znaczeniu, ale nie mogła.

Od dnia śmierci Harry'ego płaciła za swoją niezależność i wolność uczuciem osamotnienia, którego nic nie było w stanie tak do końca zaćmić.

Nic poza grą, która pozwalała jej zapomnieć o dylemacie wygnańca z tego świata. Granie umożliwiało jej całkowite zatracenie się w kreowanej postaci.

Lecz granie należało do przeszłości, a być może do przyszłości.

A póki co, zdecydowała, może trzymać Margot za słowo. Po tym wszystkim, co przeszli razem, Damon stał się dla niej tak bliski, jak rodzony ojciec.

A Margot, tak błyskotliwa, silna i dzielna, była doskonałą siostrą, choć może trochę zbyt uprzejmą do tej roli.

XXIII

— Co to było, Margot? Wydawało mi się, że coś słyszałem.

— Ja też. To chyba Annie. Pójdę zobaczyć. Margot odłożyła pióro, wstała i przeszła cicho na

bosaka przez salon w kierunku holu. Damon z nieco zamglonym wzrokiem podążył za nią.

Była trzecia nad ranem. Zgodnie ze swoim obecnym zwyczajem przesiadywali w milczeniu aż do świtu, który oznaczał dla nich porę pójścia do łóżka.

Margot nauczyła się towarzyszyć Damonowi podczas tych jego dziwnych godzin, kiedy Annie spała ciągle jeszcze nierównym snem. Siadywała na kanapie naprzeciwko jego fotela z notatnikiem pod ręką, a on przechadzał się po pokoju lub siedział w milczeniu przeżuwiąc swoje myśli.

Czasami ni stąd, ni zowąd wyrzucał z siebie gwałtownie jakiś szalony, szokujący pomysł, a ona notowała to, starannie konfrontując z innymi jemu podobnymi, robiąc do wszystkich odsyłacze w swojej kartotece. Zaabsorbowanie taką właśnie bezsłowną, pełną wyczekiwania komunikacją przerwało im dobiegające z pokoju Annie echo cichego jęku. Margot przebiegła przez hol i zastała Annie w szponach nocnego koszmaru.

Kiedy ją dotknęła, Annie obudziła się, poderwała nieprzytomnie i spojrzała na nią wytrzeszczonymi oczyma, jakby nie poznawała.

W końcu opadła na poduszkę, a jej oczy zaszyły łzami. Margot pogładziła jej oczy.

— Cicho, cicho — wyszeptała. — Wszystko w porządku. Miałaś po prostu zły sen.

Przez długą chwilę Annie wpatrywała się w zgrabną sylwetkę rysującą się w półmroku. Wpadające z holu światło lampy tworzyło wokół włosów Margot błyszczącą aureolę.

— Mam wrażenie, że ten koszmar towarzyszy mi przez całe życie — westchnęła w końcu. — Dom płonie, a ja zbiegam do salonu, gdzie znajduje się mój ojciec z obcą, małą dziewczynką. Wygląda tak, jakby nie był

moim ojcem, a przecież jest, a ta mała dziewczynka to ja, ale przecież ja inaczej wyglądam. A potem dotykam jej ręki, żeby ją obudzić, a z jej oczu wypełzają płomienie i trzyma mnie za obie ręce, a ja nie mogę się uwolnić i płonę, płonę... Zadrzała.

— I wtedy się budzę.

— Ale teraz już wszystko dobrze — powiedziała miękko Margot. — Damon i ja jesteśmy obok, w niebie czuwa Bóg, a Beverly Hills stoi spokojnie na swoim miejscu.

Annie uśmiechnęła się uspokojona.

— Czy miałaś kiedyś takie koszmary? — zapytała.

— Nie takie, które się powtarzają. Przynajmniej nic takiego nie pamiętam. Ale faktem jest, że rzadko pamiętam sny. Chociaż... wiesz, to zabawne, ale kiedy powiedziałaś o tym domu... Miewam od czasu do czasu sen o domu. Ale to szczęśliwy sen. Najpiękniejszy z moich snów.

— Opowiedz.

— Cóż, to duży dom. Ogromny. Może nad oceanem? Wszystko jest białe: ściany, meble, okna, takie duże, starego typu okna z wielkimi szybami. Za oknami jest białło, nieskazitelnie białło, a wiatr wydyma koronkowe firanki.

Uśmiechnęła się.

— Dom jest pełen dzieci biegających po wszystkich pokojach, bawiących się zabawkami i ze sobą nawzajem. Ale to wszystko odbywa się w zwolnionym tempie. One biegają, pełzają, bawią się jakby ze stateczną gracją, tak bardzo powoli. Są szczęśliwe, beztroskie i zdrowe, ponieważ są bezpieczne i mają tego świadomość...

— A gdzie ty jesteś?

— To zabawne, ale mnie tam wcale nie ma. Kiedy byłam młodsza, intrygowało mnie to. Ale w końcu zrozumiałam — ja jestem tym domem. Jestem cała białła, stara, ładna i mocna i dzięki mnie dzieciaki są bezpieczne i nie muszą się martwić niczym na świecie...

Dotknęła czoła Annie i jej głos zawisł w powietrzu. Annie uśmiechnęła się zapadając w sen.

— Ładne... — wymamrotała.

Spoglądając na czystą, uczciwą, ale umęczoną twarz leżącej obok dziewczyny, Christine poczuła bolesne ukłucie pod swoją maską.

Annie nigdy się nie dowie, że Christine właśnie podzieliła się z nią jedyną szczęśliwą fantazją, jaka pojawiła się w jej u myśle w ciągu dwudziestu czterech lat życia.

Nie dowie się też prawdopodobnie nigdy, kto naprawdę uspokajał ją i dodawał jej sił zza parawanu, jakim była Margot Swift.

Dlaczego miałyby się dowiedzieć?

Christine wstała i ruszyła do drzwi, rzucając ostatnie spojrzenie na łóżko.

Uśmiech na jej wargach był przeznaczony wyłącznie dla niej samej. To był łagodny uśmiech.

Biedna Annie! Proste, podzielane przez wielu przekonania, jakie ludzie mogliby uważać za bezpieczną osłonę przed cierpieniem i walką, w niewielkim stopniu uchroniły ją przed zbirami dążącymi do wyrządzenia jej największych możliwych krzywd.

A pierwszy i najbardziej wrogi z nich czekał z otwartymi ramionami, aby powitać ją przybywającą na ten świat.

Jak długo były razem, zanim ją od siebie uwolniła?

Niewątpliwie wystarczająco długo. Matka i córka...

Blizny Annie, widoczne i niewidoczne, były wryte w jej kościach i ścięgnach tak samo jak w pamięci, podczas gdy blizny Christine były w sercu. Lecz dzięki tym bliznom były siostrami. Ból i chęć przetrwania połączyły je na zawsze.

Nie, Annie nie zasługiwała na taką karę. Została już i tak zbyt surowo ukarana.

Kara należała się komuś innemu.

Kiedy Margot wróciła do salonu, Damon gapił się bezmyślnie przed siebie. Zanim jego twarz rozjaśniła się, żeby zapytać o Annie, przez ułamek sekundy zobaczyła wyraźnie, co zrobiły z niego przedłużające się trudności,

na jakie napotykał *Brzemienny zaułek*. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego, niemal bezradnego.

— Jak tam nasza dziewczynka.

— To był tylko koszmarny sen. Teraz znów zasnęła.

— To dobrze — powiedział ze znużeniem.

Margot z czułością potarłszy jego czuprynę i usiadła na kanapie, czując przepływający przez dom chłodny powiew nocy. Otworzyła książkę, krytyczne studium na temat kilku siedemnastowiecznych powieści, i zaczęła czytać. Kątem oka uważnie obserwowała Damona.

Życie wypływało z niego. Czuli to, ponieważ była ekspertem w dziedzinie męskiej psychiki. O ile nie uda mu się wkrótce rozpocząć kręcenia *Brzemiennego zaułka*, alkohol i rozpacz doprowadzą go do krawędzi zagłady. Nadszedł czas, by zacząć działać.

— Damon — powiedziała — muszę wyjść w piątek wieczorem. Ty i Annie będziecie musieli sobie jakoś sami poradzić.

Spojrzał na nią z roztargnieniem.

— Chłopiec, siostrzyczko?

Przekomarzała się z nim ze swoim zuchwałym uśmiechem.

— Nigdy ci nie powiem.

Mimo tonu przekory była to szczerza prawda.

XXIV

Christine bez trudu wkręciła się na przyjęcie organizowane w piątkowy wieczór w Bel-Air w domu Larry Niemana, ważnego producenta.

Wiedziała, że Kurth będzie tam, żeby się pokazać, ponieważ włożył dużo pieniędzy w nowe, ryzykowne przedsięwzięcie Niemana, film telewizyjny, mogący potencjalnie przerodzić się w serial.

Znała wygląd Kurtha ze zdjęć i odnalezienie go nie sprawiło jej najmniejszego problemu. Operując sprytnie językiem ciała zwróciła na siebie jego uwagę i oderwała od dwóch mężczyzn, z którymi rozmawiał w drugim

końcu pokoju. Odczekała, aż się zbliżył i spokojnie przedstawiła jako Margot Swift, asystentka i sekretarka Damona Rhysa.

To go wyraźnie zainteresowało.

Pachniała najbardziej zmysłowymi perfumami. Obcisła sukienka podkreślała kusząco zaokrąglenia bioder i piersi. Włosy opadały bujnymi falami na jej nagie ramiona.

Kiedy wymieniali uścisk dłoni, przytrzymała jego palce odrobinę za długo. W jego oczach wyczytała czujność, ale też wyraźne podniecenie jej kształtami.

Wysłuchiwała wzmianki na temat projektu Niemana i szybko sprowadziła rozmowę na nudę we współczesnych filmach.

— Sceny miłosne są dziś tak ckliwe — powiedziała z miłym uśmiechem na ustach — tak monotonne. Uważam, że miłość powinna być podniecająca, gwałtowna, szalona. Powinna porywać, nawet jeśli niesie za sobą ból fizyczny. Nie sądzi pan, panie Kurth?

— Mów mi Harm.

Małe, szacujące ją oczka były ostrożne i chciwe. Kiedy ruszyli w kierunku baru, musnęła palcami jego palce.

Pod dwóch godzinach byli już w motelu. Margot odmówiła pójścia do domu Kurtha, twierdząc, że woli anonimowe otoczenie.

Uważnie rejestrowała ilość wypitego przez niego alkoholu. Na przyjęciu wlał w siebie co najmniej trzy szklaneczki brandy, a ona mając w perspektywie oczekiwanie na ich schadzkę sprytnie nakłoniła go do wypicia dwóch kieliszków szampana. Chociaż jego zmysły były nieco przytłumione, pełne erotycznych podtekstów przekomarzania, którymi drażniła go od dwóch godzin, powinno wystarczyć, by mu porządnie stanął.

Reszta była trochę bardziej skomplikowana.

Była jednak pewna swojej pozycji. Wyczuła go świetnie, wciągając w rozmowę na temat żony i córek i zrozumiała o wiele lepiej, niż on sam się rozumiał.

Rozebrała się przed nim powoli w blasku niemego ekranu telewizora, stanowiącym jedyne oświetlenie

w pokoju. Małe oczka przeskakujące nerwowo z jej piersi do pępka były już rozłoszczone.

Odegrała przed nim żartobliwą pantomimę mającą wyrazić przerażenie na widok nabrzmiałego, sterczącego między jego udami członka. W jej trakcie majtki opadły na podłogę i została zupełnie naga.

Gwałtownie doskoczył do niej. Pociągnął ją brutalnie do łóżka i zmusił, by położyła się na brzuchu. Wydała cichy okrzyk trwogi połączonej z rozkoszą.

Bez żadnych ceregieli wszedł w jej odbyt, grubym głosem deklamując różne świństwa, jakby to były jakieś hymny.

Wykręcała się pod nim na wszystkie strony, zaciskając palce, waląc bezskutecznie pięściami w łóżko, a jej jęki pełne bólu i rozkoszy tworzyły pikantną mieszankę.

— Och, Harm — krzyczała w prześcieradła — dlaczego mi to robisz? Och! Och!...

Szczytował wielkim, pełnym złości wybuchem, zaciskając wielkie łapska na jej szczupłych ramiona. Wiedziała, że rano wszystko będzie ją bolało. Ale była gotowa na więcej.

Nalała mu drinka z butelki, którą przynieśli ze sobą i podała mu go pokornie, na kolanach, jak żebrzący petent. Kiedy pił małymi łykami, gładziła jego grube uda i zerknęła z szacunkiem na sflaczały penis, który chwilę wcześniej rozrywał jej odbyt.

Potem zaczęła przemawiać do niego pieszczotliwym głosem, drażniąc go, odgrywając parodię strachu przed jego srogością. Jakby podpowiadała mu, żeby dał jej nauczkę, sprawiając ból tak wielki, że zaćmiłby w końcu jej przyjemność i skłonił do błagania o litość.

Po kilku minutach zwiotczały członek znów stwardniał, usztywniony jej słowami i zręczną grą jej palców. Doprowadzony do wściekłości mistrzostwem dziewczyny, przewyższającym jego kunszt erotyczny, pchnął ją brutalnie i zaczął się do niej dobierać jak zwierzę. Czuła jego ukąszenia na piersiach i ciężkie łapska rozwierające jej uda i wpychające się w krocze.

— Och, Harm — jęczała, łechcąc jego zboczoną próżność — to boli... boli... Już nie... proszę... dosyć...

Wiła się pod jego sadystycznymi pieszczotami, tuma-niąc go swoim zapachem, wyszukując dłońmi najczulsze punkty i podniecając go do szaleństwa, prowokując go w ten sposób, by karał ją jeszcze surowiej. W pewnym momencie pośliznęła się i upadła przywalona jego ciężarem, zawodząc pod jego razami, z okrzykami, w których pobrzmiwał ton szyderstwa, z dreszczami ożywionymi przyjemnością.

Skowyczała z bólu i zachęty, gdy twarde paluchy szczypały i ugniatały jej krocze, docierając w końcu do łechtaczki. Kiedy pchnął ją gwałtownie na plecy i poczuła męskie żądło wbijające się w jej delikatny seks, krzyki jej przerażenia stały się jednocześnie krzykami triumfu.

— Nie! Nie tam... Harm, proszę, błagam...

Czuła jak zlizuje z niej krew. Nieśmiały bunt w jej głosie ustąpił miejsca pełnemu grozy zachwyтови. Po chwili wszedł w nią do końca, a ona doprowadziła go znowu do wytrysku pewnymi, kobiecymi ruchami pochwy. Opadł na nią ciężko kompletnie wyczerpany.

Była cała pokryta potem i siniakami. Jutro jej ciało będzie czarno-granatowe.

Lecz nie odczuwała bólu. W gruncie rzeczy nie czuła nic poza triumfem. Używając pikantnych słów i prowokując go swoim zachowaniem doprowadziła do tego, że mimo wyczerpania dogodził jej tej nocy jeszcze dwukrotnie.

Rozstali się o trzeciej nad ranem. Christine upierała się, że wróci sama do domu taksówką.

— Wkrótce się znów zobaczymy — pocałowała go na dobranoc unosząc brwi w świetle księżyca.

I dotrzymała obietnicy.

Frank McKenna siedział na przeznaczonym dla gości krześle przed biurkiem Harmona Kurtha, zerkając przez okno na parcelę znajdującą się na tyłach *International Pictures*. Nie spodziewał się, że ujrzy ponownie ten widok. Minął już ponad rok, od kiedy Kurth podziękował mu za fatygę związaną ze składaniem sprawozdań z hospitalizacji Annie. Frank sądził, że uścisk ręki, jaki wówczas wymienili, był ostatnim.

Ale teraz Kurth poprosił go znowu do siebie bez żadnych wyjaśnień i siedział za biurkiem popijając powoli kawę, podczas gdy filiżanka Franka stała nietknięta.

— Z pewnością zastanawiasz się, po co cię tu poprosiłem, Frank.

Ostatecznie Annie już dawno wyszła ze szpitala. Nawiasem mówiąc, wszyscy jesteśmy zadowoleni z jej cudownego wyzdrowienia.

Frank nic nie powiedział, ale uniósł pytająco brwi.

— Cóż, to nic specjalnie ważnego. Coś w rodzaju epilogu, chociaż to nie jest najodpowiedniejsze określenie. Moi ludzie donieśli mi, że przyjaźnisz się z Dantonem i Annie, więc po prostu chciałem się dowiedzieć, jak ona się miewa. Wybacz, ale lubię wiedzieć, co się wokół dzieje.

Wyraz twarzy Franka nie uległ zmianie. Zastanawiał się, co mogło być takiego, o co Kurth chce go zapytać, a czego sam by nie wiedział.

— Cóż, proszę pana... — zaczął.

— Mów mi Harm. Proszę!

— Oczywiście — Frank odchrząknął. — Z tego co wiem Damon i Annie czują się dobrze. Są niewątpliwie podekscytowani tym nowym filmem i martwią się przeszkodami, na jakie natrafia realizacja.

— Wystarczy.

Ku zaskoczeniu Franka Kurth nagle uderzył z całej siły pięścią w blat biurka.

— Wiesz, Frank, Hollywood potrafi być niekiedy koszmarem miejscem. Dopóki ci ciemni finansisci, od których jesteśmy uzależnieni nie wywęszą w *Brzemiennym zaułku* źródła pieniędzy, nie usłyszymy tej wielkiej

nowiny, że Annie zagra główną rolę w nowym filmie Damona.

Westchnął z irytacją.

— Mamy dzisiaj do czynienia z bankierami, którzy nie mają pojęcia o filmach. Instytucje finansowe są w większości własnością towarzystw naftowych i rozmaitych korporacji i są kompletnie ślepe na wszystko, co nie przynosi wielkich zysków. Oczywiście częściej tracą pieniądze niż je zarabiają... ale po prostu nie można z nimi pogadać. A dzieło Damona jest wystarczająco kontrowersyjne, żeby uciekali przed nim na łeb, na szyję. Pracuję dniami i nocami, żeby przyspieszyć sprawę i wprowadzić ten film do produkcji. Ale to powolny proces...

Zmarszczył filozoficznie czoło, a potem się rozchmurzył.

— W każdym bądź razie mówisz, że wiedzie im się nieźle. To ważne, Frank. Nie możemy pozwolić, żeby przeszkody nas zniechęciły. Powiedz mi, w jakiej kondycji jest Annie? Jak się czuje?

Szukając słów na opisanie stanu Annie, czuł jak świdrujące go oczy zwążają się.

— Wydaje się silna — powiedział w końcu. — Jest nadal bardzo wychudzona, ale silna. Jej terapia ma chyba...

— No tak, to odważna dziewczyna — przerwał mu Kurth. — Zawsze to wiedzieliśmy. Nie jestem ani trochę zaskoczony, że po tym, co się zdarzyło, znalazła sposób na powrót do życia. A co u Damona?

Frank wzruszył ramionami.

— Jest zniecierpliwiony. Nie może się doczekać rozpoczęcia prac nad filmem.

— Nie winię go za to. No ale wszyscy musimy jakoś żyć mimo tej odwlekającej się produkcji. To ryzyko zawodowe, jak Damon sam doskonale wie. Mam nadzieję, że to nie będzie trwało wiecznie.

— Też mam taką nadzieję.

Kurth w dalszym ciągu kiwał głową z zamyślonym wyrazem twarzy. Celowo nie wspominał o Margot Swift, której relacja złożona mu w ubiegłym tygodniu, mówiła

zupełnie coś innego. Wiedział, że Annie jest na granicy załamania i że Rhys pije więcej i robi się coraz bardziej nie zrównoważony, proporcjonalnie do liczby zamykanych mu przed nosem drzwi, za którymi spodziewał się znaleźć wsparcie finansowe dla swojego filmu. Kurth nie miał zamiaru ujawniać, jak wiele wie o okolicznościach życia Rhysa. Przeciwnie, obserwował uważnie Franka szarymi oczyma. — Wiesz — powiedział z wkradającą się do jego głosu nitką poufałości — darzę Annie przeogromnym uczuciem. Zresztą wiesz o tym, ostatecznie poznałeś ją przeze mnie... Nie wiem, na ile dobrze zdołałeś ją poznać...

Znów ugrzecznione spojrzenie stanowiło jedyną odpowiedź Franka.

— W każdym bądź razie chcę powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek ktoś w tym biznesie zdołał przetrwać, to jest to Annie. Już wcześniej miałem nadzieję, że Damon pomyśli o niej w kolejnym scenariuszu, ponieważ byli tak błyskotliwi razem w pierwszym filmie. On wydobywa z niej coś zupełnie niezwykłego. Intensywność, erotyzm...

Jego usta wykrzywił dziwny grymas.

— Oczywiście ja to widziałem w niej już wiele lat temu. Poznaliśmy się z Annie, kiedy... jakby to powiedzieć... ona występowała w trupie, będąc jeszcze nastolatką.

Zaśmiał się głupawo.

— Nie powinienem ci tego opowiadać, Frank... ale ta kombinacja porywczoci i zmysłowości, jaka u niej występuje... no cóż, to wychodzi poza ekran. Zdarza się jej być równie wielką dziwką, co aktorką. Frank nie mógł powstrzymać błysku, jaki zaświecił przelotnie w jego oczach.

Widząc to Kurth zamachał przeproszająco ręką.

— Musisz wybaczyć mi te zakulisowe wynurzenia. To było dawno temu, stara historia. Annie przyjechała tu jako debiutantka na zdjęcia próbne do filmu *Trzy na jeden*. Wziąłem ją do swojego domu, żeby przedyskutować rolę. Była strasznie przyjazna i czuła, no i tak od słowa do słowa...

Miałem cholerne wyrzuty sumienia

z tego powodu. Jak wiesz, jestem bardzo rodzinnym człowiekiem i mało we mnie z uwodziciela. Nie podnieca mnie pieprzenie wschodzących gwiazdek filmowych, ale wtedy po prostu nie mogłem się jej oprzeć. Tęsknota i podziw złagodziły jego wzrok.

— Nigdy nie widziałem nic podobnie świeżego, pięknego i spontanicznego jak ta młodziutka kobietka.

Westchnął.

— Była zdumiewającą kochanką. Tak bystrą, tak twórczą... Prawdziwa seksbomba w skórze pensjonarki i z twarzą zakonniczy. Naprawdę pasowaliśmy do siebie. Ale niestety, nie nadawała się do tamtej roli, więc musiałem ją dać komuś innemu. Powiedziałem jej, żeby się mimo to nie zniechęcała, a ona potraktowała moją radę serio. Kiedy wróciła z Nowego Jorku na zdjęcia próbne do *Godziny nocy* była cudem. Wszystko w niej było celowe, zdyscyplinowane. Pomimo młodego wieku była całkowicie dojrzałą aktorką. Byłem z niej taki dumny, taki zadowolony...

Ni stąd, ni zowąd jego oczy zasły mgłą.

Kiedy pomyślę o tej cudownej twarzy i ciele poznaczonym bliznami przez ten potworny wypadek... Taka strata... Wiesz, Frank, myślałem dużo o Eryku Shainie i zastanawiałem się, ile on miał z tym wszystkim wspólnego. Wiadomo, że byli ze sobą blisko. To było nieuniknione pomiędzy dwojgiem takich ludzi. Przypuszczam jednak, że nigdy nie poznam całej prawdy. Być może nikt jej nie pozna. Podejrzewam, że Annie po prostu wpakowała się w coś, czemu nie mogła sprostać.

Hollywood jest taką dżunglą...

Podniósł na Franka oczy, w których tliła się teraz ojcowska mądrość.

— Jestem w tym mieście od dawna, Frank. Miałem do czynienia z setkami aktorek, z których zaledwie garstka była naprawdę błyskotliwa, tak jak Annie. One nie są takie jak zwykli ludzie. One żyją na poziomie uczuć, intensywności, która zabiłaby większość z nas. W tym jest jakiś pierwiastek samozagłady. Chcą wszystkiego od razu, nie potrafią czekać, nie potrafią utrzymać

w ryzach swoich popędów. Olewają wszystko. Muszą zawsze robić to, na co mają ochotę.

Westchnął, zerkając na stojące na półce statuetki Oscarów.

— Znałem ją dobrze i dlatego nie byłem zaskoczony, kiedy rozszalała się ta burza plotek na jej temat związana z *Godziną nocy*. Naturalnie, studio robiło wszystko, co było możliwe, aby ukreślić im łeb, lecz bezskutecznie. Może to wszystko wina tej Lianę Damona, to ona spowodowała, że Annie przez całe zdjęcia była napalona jak kotka, przynajmniej tak słyszałem. Tak czy siak, zbytne wygłupianie się może wcześniej czy później doprowadzić jedynie do kłopotów. Byłem zdruzgotany, kiedy usłyszałem o tej katastrofie.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się.

— Liczy się jednak to, że odbiła się od dna. Studio było z nią przez te najgorsze dni, a teraz ona znów stanęła na nogach. Jestem przekonany, że ma przed sobą przyszłość. Dlatego poprosiłem cię tutaj, Frank. Żeby ci powiedzieć, abyś jakoś podtrzymał ją na duchu i zachęcił, tak jak to zrobił Damon, żeby nie dawała za wygraną, żeby była gwiazdą tak w pracy, jak i w życiu. Mam nadzieję, że ci się to uda.

Frank pokiwał głową.

— Myślę, że pomogłoby jej, gdyby *Brzemienny zaułek* wyszedł z tego wszystkiego obronną ręką. — Kurth uniósł w górę palec. — Niech cię to nie martwi, Frank. Może się zdarzyć, że dzieła Damona nie będą automatycznie przebojami kasowymi, czy też nie będą bezwarunkowo finansowane. Nie mniej jednak, jest on dumą studia od wielu lat i zamierzam osobiście dopilnować, żeby pozostał z nami, dopóki publiczność nie zacznie bojkotować jego filmów. A mam nadzieję, że taki dzień nigdy nie nadejdzie.

Potrząsnął z uporem głową.

— Nie, Frank. Staczałem cięższe bitwy niż ta i zawsze wygrywałem. Jestem tu po to, by walczyć o *Brzemienny zaułek* i tak łatwo nie zrezygnuję.

Uniósł się zza biurka z głębokim westchnieniem.

— No cóż — powiedział podchodząc, by uścisnąć rękę Franka — chciałem tylko wyrazić swoją troskę i przekazać ci, jaki jestem szczęśliwy, że Annie tak dobrze sobie radzi. W naszym interesie leży utrzymać ją na tej drodze i zachęcać do jeszcze większych osiągnięć. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz. Dodaj jej otuchy, jeśli tego potrzebuje. Przypomnij jej, że nasza branża czeka na kolejny, genialny przebłysk jej talentu. Pomóż zrozumieć, że jeśli uwierzy w siebie, wszystko się uda.

Frank poczuł sztywny i suchy uścisk ręki Kurtha. Oczy dwóch mężczyzn spotkały się na dłuższą chwilę, sondując się wzajemnie i nie ujawniając żadnych uczuć ani celów.

— Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana. Frank skinął głową i opuścił biuro.

Kurth odwrócił się- w kierunku okien i zagapił na wzgórza, splatając dłonie za plecami.

Miał rację co do McKenny. Teraz był tego pewien. I co do Rhysa.

I, w nieco bardziej wyrafinowany sposób, co do Annie. Było dokładnie tak, jak chciał.

Kurth był zadowolony z siebie. Zdecydowanie nie było w Hollywood człowieka zdolnego zepchnąć go z tego szczytu, na którym zasiadał.

Wdrapał się na niego dzięki lepszemu od swoich wrogów zrozumieniu natury ludzkiej i ludzkich słabości i nie zejdzie z niego inaczej, jak tylko z własnego wyboru.

Harmon Kurth poczuł się niemal nadcześnikiem, kiedy uśmiechając się pod nosem patrzył na zalany słońcem ląd, który był jego posiadłością.

Niemal nadcześnik i niemal wieczny.

Lecz w jeden rozkoszny sposób czuł się zupełnie normalnym człowiekiem.

Ponieważ dziś wieczorem spotka się z Margot Swift.

XXVI

W następnym tygodniu Kurth i Christine spotkali się trzy razy i dwukrotnie podczas kolejnego weekendu.

Apetyt Kurtha na kobiety był nieco osłabiony, ale Christine wiedziała, jak go bezustannie zaskakiwać małymi sztuczkami, by myśl o niej rozpalą go bardziej niż myśl o jakiegokolwiek innej znanej mu kobiecie.

W dodatku była doskonałym szpiegiem, opowiadającym mu szczegółowo szyderczym tonem o rosnącej konsternacji Rhysa w obliczu trudności, na jakie napotykał *Brzemienny zaułek*. Zielone oczy rozświetlał okrutny blask, kiedy opowiadała mu o daremnych przygotowaniach Annie do filmowego „comebacku”, który z każdym dniem wydawał się bardziej odległy.

Te informacje oddziaływały jak subtelna forma gry wstępnej, podniecając Kurtha do granic perwersji.

Pozwalała, by pieprzył ją w taki sposób, na jaki tylko miał ochotę i często wracała do domu z pręgami i głębokimi zadrapaniami na brzuchu, plecach, biodrach i piersiach.

Lecz w głębi siebie, mimo powierzchownej uległości, pozostała kompletnie obojętna i oziębla. A to pociągało w niej Kurtha najbardziej. Już dawno temu opanowała do perfekcji technikę postępowania ze zбочonym kochankiem-oprawcą. Zezwalała mu myśleć, że kurczy się ze strachu przed jego razami, czerpiąc jednocześnie przyjemność z ich brutalności, delektując się zasłużoną chłostą. W międzyczasie aluzjami dawała do zrozumienia, że nie jest on w takim stopniu mężczyzną, w jakim powinien być, że jego tortury bardziej ją bawią niż bołą, że nigdy nie będzie w stanie dać jej pełnej satysfakcji.

Stoicyzm kobiety w obliczu bólu był jedyną rzeczą, której taki bijący dewiant nie mógł znieść, a czego w głębi duszy pragnął, ponieważ demaskował on jego „odmienność”. Christine podsycala to nastawienie pikantnymi dawkami przebiegłej ironii, udawanego przerażenia, teatralnymi próbami ucieczki. Czołgała się po podłodze, czepiała klamki u drzwi, a Kurth ciągnął ją z powrotem

w półmrok, płakał nad jej niedolą, bił po sutkach i chował twarz w jej ranach, wydając zwierzęce odgłosy. Miała go już w garści.

Ale potrzebowała czegoś więcej. Seksualny prymitywizm Kurtha, głupota jego *libido* ograniczała jego fantazje. Łaknął niewiele więcej poza smakiem kobiecej krwi i krzykami bólu, kiedy ścisnął jej łechtaczkę, czy penetrował brutalnie odbył.

Christine czuła potrzebę upiększenia tych rzeczy.

Przyniosła mu akcesoria do zniewalania i tortur, którymi mógł ją maltretować. Były to kajdanki, sznury, noże i pałki gumowe ukształtowane tak, że mógłby je wsadzać do jej pochwy, a także bić ją. Nakłoniła go do noszenia czarnej opaski na genitaliach, do wkładania kaptura na jej głowę. Uczyła go bardziej stylizowanych rytualnych słów i zachowań. Zadała sobie trud nakłonienia go do tego, aby w czasie swojego szaleństwa myślał o żonie i córkach. To ostatnie było najważniejszą z jej metod uwodzenia.

Jej wołanie o litość stały się bardziej rozpaczliwe i przekonujące, kiedy kurczyła się przed nim naga, a jego przekleństwa i obelgi grzmiały coraz głośniej, nieludzko, stanowiąc bezpośrednie wrażenie chorych fantazji erotycznych.

— Och, Harm — płakała osadzona na jego członku, ze strumieniami łez spływających po twarzy — zabijasz mnie. Dlaczego mi to robisz? Miej litość!

— Nie dla ciebie, koteczku — śmiał się obleśnie, chrząkając, kiedy zaczynał dochodzić do szczytowania. — Nie dla ciebie, cipeńko.

Ale z każdym ruchem należał do niej coraz bardziej.

XXVII

Było mało czasu.

Kurth był potężnym i wyrafinowanym człowiekiem. Lech Christine czerpała radość ze sprostania wyzwaniu, jakim było całkowite zawładnięcie nim w przeciągu zaledwie trzech tygodni.

Korzystając z usług pośrednika w Nowym Jorku, z którym skontaktowała się telefonicznie, zdołała znaleźć odpowiedni pokój w motelu do poczynienia pewnych przygotowań. Z jego też rekomendacji spotkała się w Los Angeles z kamerzystą i dźwiękowcem w jednej osobie, pracującym już niegdyś dla niej.

Nazywał się Sandy Tatera. Był zwyczajnie wyglądającym facetem po czterdziestce ze zwisającym wąsem i miękkim głosem. Zapłaciła mu z góry połowę umówionej kwoty i starannie omówiła z nim wszystko, czego od niego oczekiwała. Obiecał, że stanie na wysokości zadania. Christine nie miała najmniejszych trudności ze zwabieniem Kurtha do przygotowanego przez siebie pokoju, gdyż mieli zwyczaj spotykania się w coraz to nowych, nieznanach motelach. Od początku schadzki bardzo dbała o to, by przesadnie odgrywać bezradną niewinność i wydobyć z niego najbardziej melodramatyczne zachowania najbardziej błazeńskie okrucieństwo. Starła się też jak najczęściej napomykać o jego rodzinie. — Proszę, Harm, jesteś człowiekiem obciążonym rodziną. Masz żonę, córki. Jak możesz w ten sposób traktować kobietę? Litości! Zlituj się, błagam!

— Nie nad tobą, dupeńko!

Przeciągała wszystko w nieskończoność, drażniła go, doprowadzała do szaleństwa swoją uległością, starała się upewnić, że wysysa krew jej sutek, jęczała w męczarniach, kiedy delektował się zakrwawionym ciałem między jej nogami.

Przechodząc sam siebie w podnieceniu, Kurth stapał przed nią dumny jak paw, obsypując ją obelgami, piejąc psalmy pochwalne na cześć ogromnego, okrutnego kutasa rozrywającego jej maleńki odbył. Kiedy kuliła się ze strachu, skoczył na nią, rozwarł jej nogi i przywiązał do łóżka, wpychał w nią kciuki, palce i język, wysysał z niej krew ze zwierzęcą radością.

Chcąc mieć pewność, Christine pieprzyła się z nim tego wieczoru trzy razy. Gdy to się wreszcie skończyło,

dyszał ciężko z zadowolenia. Wziął prysznic, wręczył jej tysiąc dolarów i wyszedł.

Siedziała w samych tylko majtkach na poplamionym krwią łóżku.

— W porządku, Sandy — powiedziała do ściany.

Odpowiedzią na jej słowa było przelotne mignięcie telewizyjnego ekranu.

XXVIII

Cztery dni później posłaniec doręczył Harmonowi Kurthowi paczkę do jego biura w *International*.

Wewnątrz znajdowała się wideokaseta.

Zaciekawiony Kurth wsunął ją do odtwarzacza.

Po kilku sekundach zatrzymał urządzenie i podniósł słuchawkę telefonu.

— Proszę mnie z nikim nie łączyć. I żadnych gości.

Zasunął zasłony i obejrzał całą taśmę.

Piękna twarz Margot Swift była pokazana w zbliżeniu z oczyma rozszerzonymi przerażeniem. Przy jej uchu znajdowały się usta Kurtha plujące plugastwami.

Protestowała i jęczała błagalnie, kiedy on paradował przed nią dumnie ze sterczącym członkiem. Potem rzucił się na nią, zaczął ją gryźć i okładać, rzeżąc swoje sadystyczne litanie, a ona skamlała ze strachu i szarpała bezskutecznie sznury przywiązujące jej przeguby i kostki.

Nowa scena rozpoczynała się zbliżeniem twarzy Kurtha wykrzywionej wściekłością. Kamera ześlizgiwała się powoli w dół, wzdłuż grubego torsu, aż do penisa tkwiącego w tyłku Margot. Wykrzykiwał w szale różne świństwa, ciągnąc ją za włosy, bijąc po piersiach i szarpiąc za sutki. Kamera musiała być fachowo ulokowana, skoro zdołała uchwycić uścisk jego palców na jej łechtaczce, kiedy pieprzył ją analnie.

Jej piersi i pochwa ociekały krwią. Zarejestrowano dokładnie, jak zlizywał tę krew dysząc ciężko i parskając

z rozkoszy oraz wybuchając urywanym, chorym śmiechem. Raz po raz jego członek unosił się, by zadawać jej ból wściekłymi pchnięciami. Tego wieczoru nie było w niej śladu przebiegłego przymilania się, mrużonych słów zachęty czy delikatnej ironii. Z ekranu emanował wyłącznie dziewczęcy strach zestawiony z sadyzmem łypiącego pożądliwie okiem potwora.

Kurth oglądał to zafascynowany i rozbawiony. Jakże dziwnie było zobaczyć własne fantazje na filmie. Wydawały się groteskowo nieproporcjonalne do sytuacji. Będzie musiał zapamiętać ten fakt na przyszłość.

Nie odczuwał strachu ani nawet niepokoju. W gruncie rzeczy rozbawiło go to, że biedna, mała Margot Swift miała na tyle tupetu, aby próbować go szantażować. Uznał to za naiwną próbę przyjsia z pomocą Rhysowi. Rozgniecie ją jak karalucha.

Jednakże kolejna scena, która pojawiła się właśnie na ekranie starła ironiczny uśmiech z jego warg.

Kamera odjechała z warkotem od ujęcia jego objajających się o pośladki Margot jąder, aby pokazać to samo ujęcie na ekranie dużego telewizora, stojącego w jakimś innym pomieszczeniu.

W miarę jak wycofywała się jeszcze dalej, w kadrze pojawił się cały telewizor, potem stolik, na którym stał, a w końcu kanapa.

Na kanapie siedziała żona Kurtha — Rosemary i jego dwie córki.

Zszokowana Rosemary zerwała się, by zasłonić sobą ekran przed oczyma dziewczynek. Młodszej, Maggie, łzy spływały po policzkach. Tess gapiła się w niemym oburzeniu w telewizor z wyrazem niesmaku na twarzy.

Kurth zamarł.

Wiedział, że żona i córki były na wakacjach w Palm Springs, czekając, aż obowiązki pozwolą mu do nich dołączyć. Obróbka kasety musiała zostać ukończona w ostatnich dwóch dniach, a może nawet kilkanaście godzin temu.

To oznaczało, że kiedy on siedział tutaj, Rosemary musi już przygotować się do opuszczenia go i zabrania ze sobą dziewczynkę. Naturalnie nie zadzwoniły do niego.

Będąc człowiekiem skrupulatnym, Kurth szybko podniósł spuchawkę i polecił sekretarce, żeby zadzwoniła do hotelu w Palm Springs. Już w chwilę później przekazywała mu informacje.

— Zapłaciły rachunek i wyprowadziły się. Nie zostawiły żadnego adresu. Kurth przeniósł wzrok z zamrożonego na ekranie obrazu na pudełko, w którym nadeszła kasetka.

W środku znajdował się rewolwer kaliber 32. Nie było żadnej notatki. Kurth myślał intensywnie. Jego umysł był tak czujny jak umysł drapieżnika, który natknął się nieoczekiwanie na silniejszego od siebie przeciwnika.

Czy istniało jakieś wyjście? Nie: Tess i Maggie już widziały tę taśmę. Widziały j e g o .

Uniósł broń, kierując ją ku skroni. Po chwili wahania doszedł do wniosku, że lepiej zrobić to w inny sposób. Otworzył usta i wycelował lufę w podniebienie.

Znów się zawahał. A może najpierw zabić tę dziewczynę, tę Swift? Przelanie nieco większej ilości krwi nie robiło już różnicy. Tak czy tak pójdzie do piekła.

Raptem zauważył kawałek papieru, w który owinięta była broń. Na nim widniały wypisane na maszynie nazwy.

Los Angeles Times

Hollywood Reporter

Los Angeles Herald-Examiner

Daily Variety

National Enquirer

Przez ułamek sekundy Kurth pomyślał o swoich potężnych wpływach w kręgach prasowych. Nawet jeśli taśma została skopiowana i rozesłana do wymienionych na liście gazet, mógł zapobiec szerszemu rozpowszechnieniu informacji o niej. Nie było wydawcy w tym kraju, który nie miałby wobec niego długu wdzięczności i powodu, żeby się go bać.

Lecz na liście było jeszcze szóste nazwisko: *Howard Mann*
Kurth uśmiechnął się gorzko. Ta Swift pomyślała o wszystkim.
Podejmowanie walki było bezcelowe. Man dopilnuje, żeby taśma dotarła
do jak najszerzej widowni. A reputacja Kurtha nie przetrwa takiego
uderzenia. To będzie jego koniec.
Skończył się czas jego bitew, wygranych i przegranych.
Ponownie włożył broń w usta, zaciskając zęby na lufie.
Z westchnieniem pociągnął za spust.

XXIX

Pogrzeb Harmona Kurtha był bardzo okazały, biorąc pod uwagę, że
popęłił samobójstwo. Uczestniczyli w nim wszyscy, którzy byli kimś w
hierarchii Hollywoodu.

Howard Mann, największy rywal Kurtha w ciągu ostatnich piętnastu lat, a
także człowiek, który prawdopodobnie odziedziczy rozpadające się
lenno, trzymając się dotąd w kupie dzięki stalowej woli Kurtha, wygłosił
mowę pogrzebową.

Wychwalał nieprzeciętną wiedzę Kurtha o filmie i ludziach filmu oraz
jego doskonale wyczucie kaprysów rynku filmowego.

— W epoce rosnącej kontroli świata filmowego przez finansistów spoza
branży — powiedział drżącym głosem — Harmon Kurth pozostawał
człowiekiem filmu do szpiku kości. Przejął *International Pictures* kiedy
było ono chwiejącym się gigantem na krawędzi upadku i odbudował je w
zmodernizowanej formie silniejszej niż przedtem. Dokonał tego poprzez
twardą politykę repertuarową, odpowiedzialność podatkową i uczciwe,
prawe traktowanie ludzi pracujących dla niego i z nim.

Przerwał, gdyż wzruszenie odebrało mu głos. Po chwili podjął znowu.

— Piętno niesamowitego gustu i talentu Harma pozostanie odcisnięte na setkach filmów, jakie studio wyprodukowało pod jego kierownictwem. Jego nazwisko pozostanie w pamięci wszystkich, obok takich nazwisk jak Mayer, Cohn, Warner czy Thalberg. Nie widzę lepszego sposobu na uczczenie pamięci czasów pobytu Kurtha z nami niż stwierdzenia, że był on, w najlepszym sensie tego wyrażenia, człowiekiem rodzinnym. Przede wszystkim oczywiście dla Rosemary i jego ukochanych córek, Tess i Maggie, ale także dla tej dalszej rodziny jaką było i jest dla niego nadal *International Pictures*.

Przejęty żalem Howard Mann zajął swoje miejsce w tłumie żałobników zgromadzonych w kościele.

Nieobecność żony i córek Kurtha na jego pogrzebie rzeczniczy prasowi wytłumaczyli całkowitym załamaniem nerwowym.

Wally Dugas bez pośpiechu przeczytał długą relację z tego wydarzenia w *Timesie*, sącząc piwo i pozwalając myślom wyzbywać własnymi torami.

Nie podano przyczyny samobójstwa Kurtha. W ogóle społeczność filmowa zareagowała tak, jakby zmarł śmiercią naturalną.

Nic dziwnego. Przemysł filmowy opierał się na nieskazitelnym wizerunkach swoich głównych szefów, a Kurth był na samym szczycie hierarchii. Gdyby żył przez następne pięć lat, mogłoby mu się udać przyłączyć wpływy innych sieci do jego własnej i zająłby miejsce w kronikach rozrywki jako najpotężniejszy dyrektor.

Ale teraz wszystko się skończyło.

Wally odłożył gazetę i wlepił wzrok w ścianę biura.

Ciekawe, jak ona to zrobiła.

Był pewien, że Christine maczała w tym palce. Nie tylko, jako Margot Swift była świadoma grożącego Damonowi i Annie niebezpieczeństwa w postaci kampanii finansowego terroru, prowadzonej przez Kurtha przeciwko *Brzemienemu zaułkowi*, lecz także zetknęła się z Kurthem osobiście, co więcej, bywała z nim w motelach,

jak wykazała luźna inwigilacja prowadzona przez Wally'ego w ciągu ostatnich tygodni.

Nieobecność Rosemary i dziewcząt na pogrzebie potwierdziła podejrzenia Wally'ego. Christine musiała jakoś sprawić, że dowiedziały się o seksualnych dewiacjach Kurtha.

Wally znał Christine. Ona nie zawracałaby sobie głowy szantażowaniem Kurtha, czy jakimikolwiek pertraktacjami z nim. Wiedziała doskonale, że na poziomie profesjonalnym był tak samo bezwzględny jak ona, nie darowałby życia pokonanemu wrogowi.

Tak więc po prostu usunęła go z pola widzenia.

Skoro wpływy Kurtha na światek filmowy i finansowy zostały wyeliminowane, Rhys otrzyma niebawem potrzebne pieniądze.

Wally cofnął się myślami do minionych kilku miesięcy. Wiedział, że tego wieczoru, kiedy w końcu skontaktował się z Christine w Miami i celowo pozwolił jej podsłuchać rozmowę telefoniczną z Kurthem, w której poinformował go o śmierci Christine, zrobił o wiele więcej, niż tylko zaoszczędził jej szczegółowego badania ze strony Kurtha. Było to też coś więcej niż uratowanie Annie przed kłopotami wynikającymi z łączenia jej nazwiska z nazwiskiem wyjętej spod prawa siostry.

Wally miał świadomość, że uzbroił Christine w informacje, których potrzebowała, by stać się najbardziej zajadłym i nieprzejednanym wrogiem, jakiemu Kurth kiedykolwiek musiał stawić czoła.

A teraz Kurth nie żyje.

Wally nie czuł się winny zdrady czy zniszczenia swojego pracodawcy. Przeciwnie, odczuwał kolosalną ulgę z powodu zniknięcia Kurtha z powierzchni ziemi.

I był niezmiernie ciekawy, co zrobi Christine.

Nie zaskoczyła go rzucając wszystko, by zbliżyć się do Annie Ha villand. Rzut oka na jej twarz w hotelu w Miami przekonał go, że nie wiedziała nic o swojej prawdziwej rodzinie, poza matką.

Stąd istniał dla niej tylko jeden logiczny kierunek działania: znaleźć Annie, poznać ją, zacząć rozumieć własną przeszłość.

Wally wierzył, że ona nie skrzywdzi Annie.

A przynajmniej o ile, i do kiedy nie zdecyduje, że Annie zasługuje na jakąś karę.

Był pełen podziwu, kiedy śliczna Margot Swift pojawiła się w Nowym Jorku u boku Damona Rhysa. Jakże sprytna była ta Christine! Jednym perfekcyjnym ruchem weszła, jak to się mówi, do rodziny.

A teraz, kiedy ta rodzina była zagrożoną ze strony Kurtha, musiała przyspieszyć swój prywatny rozkład jazdy i wyeliminować przeciwnika z całą skwapliwością swego bystrego umysłu i fantastycznych seksualnych zachcianek.

Jak zdumiewająco toczy się koło fortuny!

Gdyby nie Wally, jego „zapłuskwiony” telefon i wieczór z Christine w upalnym Miami sześć miesięcy temu, Harmon Kurth żyłby dzisiaj, a Christine prowadziłaby swój intratny interes na całym wschodnim wybrzeżu, nie śniąc nawet o tym, że zamknięty dotąd korytarz jej życia wiedzie do Annie Havilland.

Wally nie czuł się szczególnie dumny z tak mistrzowskiego rozegrania tej partii, ale raczej spokojnie zadziwiony krętymi drogami życia. W tym procesie grał rolę tajnego agenta. Następnym razem może być ofiarą. W każdym bądź razie warto było zadać sobie trochę trudu, żeby być świadkiem tak poetyckiej likwidacji Kurtha.

* * *

Lecz robota nie była jeszcze zakończona. Prześcieradła i powłoczki na poduszki zabrane przez niego z motelu nie usatysfakcjonowały go.

Christine miała grupę krwi O.

Grupy A i B stanowiły jedyną kombinację mogącą wyprodukować grupę O oraz AB. Annie miała grupę AB. Stąd Harry Havilland mógł być ojcem Christine.

Wally zmagał się z niewygodną myślą, że Leon Gutrich czy inny z kochanków lub alfonsów Alice Havilland, mógł równie dobrze być ojcem Christine. Lecz grupa krwi Gutricha, co sprawdził w kartotece szpitala okręgowego, była grupą B. To go wykluczało. A pomiędzy

innych Wally zdołał ustalić jedynie nie wchodzącą w rachubę grupę AB Mika Fontaine.

Poprawność założenia została udowodniona. Harry był ojcem obu dziewcząt. Lecz założenia nie są dowodami.

Gdyby tylko wiedział dokładnie kiedy Christine się urodziła. I gdzie... Lecz być może nikt tego nie wiedział. Z wyjątkiem samej Alice.

XXX

Damon Rhys spacerował tam i z powrotem po salonie nie zauważając, że zapadający za oknami zmrok czyni kąty pokoju niemal niewidocznymi.

— Chryste — mamrotał pod nosem. — Chryste... Annie i Margot na wpół leżały na kanapach, a krótkie

spódniczki odsłaniały długie, zgrabne nogi bielejące w zapadającym zmierzchu. Obie sprawiały wrażenie zamyślonych, chociaż oczyma wodziły za krążącym po pokoju Damonem.

— Cholera— odezwał się swoim tubalnym głosem. — Olać to. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć...

Miał na myśli Harmona Kurtha i szokującą wiadomość o jego samobójstwie. Damon poznał trochę Kurtha przez te wszystkie lata i był szczerze zaskoczony samounicestwieniem tak potężnego człowieka.

Instynkt pisarza skłaniał go do zastanowienia się nad niewidzialnymi nitkami czyjegoś wpływu, zagrożenia, a nawet obłędu, które mogły utkać pajęczynę pod dobrotliwą, ojcowską powierzchownością Rhysa. Nie mógł powstrzymać wręcz klinicznego zainteresowania psychologa tym niefortunnym wydarzeniem.

Śmierć, jak zawsze, wpływała inspirująco na Damona, co wprowadziło go w drażliwy, pełen napięcia nastrój.

Samobójstwo, a także życie wewnętrzne było tematem nurtującym jego' pisarstwo. Widzieć Kurtha od-

chodzącego przed nim w taki sposób, to prawie tak, jak ujrzeć w przelocie przez otwarte drzwi mignięcie własnej, wybranej przyszłości.

— Cholera — powtórzył, przerywając, aby napić się whisky ze stojącej na stoliku szklaneczki... — Ten facet był dupkiem. Wiedziałem o tym. Za swoją marmurową fasadą był zwykłym rzeźnikiem. Ale to jest właśnie to: .duppek nie odbiera sobie życia. Trzyma się kurczowo każdej ostatniej drobiny... Och, dobrze.

Margot nic nie powiedziała. Wiedziała, że Damon będzie dziś pił więcej niż zwykle i prawdopodobnie obudzi się przed północą z monsturalnym kacem, który nie pozwoli mu ponownie zasnąć aż do świtu. Tak zazwyczaj bywało, gdy jakieś wydarzenia szczególnie go poruszały. Widywała to często podczas ostatnich bólów porodowych *Brzemiennego zaulka*. Dzisiejszej nocy, kiedy się obudzi, będzie przy nim z aspiryną, wsparciem moralnym i masażem pleców.

Christine pod maską Margot była spokojna. Wiedziała, że zaabsorbowanie Damona tymi emocjami będzie krótkotrwałe. Niedługo znów wróci do pracy, ponieważ niedługo, po usunięciu Kurtha z drogi, *International* lub jakieś konkurencyjne studio zaoferuje finansowanie i produkcję *Brzemiennego zaulka*.

Połowa jej pracy została zrobiona. Druga połowa pozostawała w umyśle człowieka spacerującego przed nią tam i z powrotem.

Z kolei Annie zerknęła z uśmiechem na wędrówki Damona po pokoju i słuchała z rozrzewnieniem echa jego słów w półmroku. Dźwięk jego głosu był jej tak drogi jak chaos panujący w tym domu. Lecz oba wydawały się kruche i narażone na niebezpieczeństwo w obliczu śmierci Kurtha.

Nie dlatego, że istniało jakieś realne zagrożenie. Przeciwnie, śmierć Kurtha oznaczała prawdopodobnie początek ostatniej i najświetniejszej epoki Damona jako artysty.

Nie mniej jednak wydawało się, że dzisiejszego wie-

czoru śmierć okryła swoją bladością wszystko. Nic nie było bezpieczne i trwałe. Żaden fundament, nawet bardzo mocny, nie mógł uniknąć skruszenia przez twardą pięść czasu.

Annie zbudowała pięć lat swojego życia na wojnie przeciwko armii bez twarzy, której dowódcą był Harmon Kurth. Wygrała w tym konflikcie desperackie bitwy i odniosła gorzkie porażki. Nosiła blizny, które pozostaną jej już na zawsze.

A teraz, tak po prostu, Kurth odszedł. Wyeliminowany przez niewidzialne, a nawet niewyobrażalne siły. Wreszcie była wolna od jego złośliwych, nie kończących się prześladowań.

Lecz Annie nie odczuwała ulgi. Nie podzielała też grozy Damona z powodu makabrycznych niespodzianek, jakie życie trzyma w zanadrzu dla tych, którzy się niczego nie spodziewają.

Przeciwnie, odczuwała pustkę zbyt osobistą i zbyt totalną, by się nią podzielić z Damonem i Margot, pustkę, którą los zarezerwował wyłącznie dla niej.

Minęło prawie dwa tygodnie, od kiedy Frank McKen-na zatelefonował, żeby odwołać ich ostatni obiad. Od tamtej pory milczał.

Pożegnanie w jego głosie brzmiało bardzo prawdziwie. Przez sześć kolejnych dni próbowała je zapomnieć, lecz pobrzmiewało ono ciągle jak dzwonięcie przeznaczenia w ciszy, która po nim nastąpiła.

Oczywiście zastanawiała się nad przyczynami. Lecz była zadowolona, iż nie okazała zbyt dużego pośpiechu, czy zdesperowania i nie zapytała o nie tamtego wieczoru, kiedy zadzwonił. Kobieta nie oferuje zachęty własnej zgubie pytając dlaczego.

On już więcej nie przyjdzie. Teraz to wiedziała.

Annie znów była sama.

XXXI

Sandy Tatera leżał w łóżku, w swoim mieszkaniu w Los Angeles, delektując się wiszącą w powietrzu aurą Christine. Pieściła każdą cząstkę jego ciała.

Co za kobieta! Jakże szczodre i profesjonalne było z jej strony oddanie mu się wraz z trzema tysiącami dolarów, które mu była winna. Będzie spoglądał w przeszłość na tę robotę z męską, zmysłową satysfakcją, a także z dumą rzemieślnika. Ona jest bez wątpienia najśłodsza i najcudowniejszą dupą na świecie.

A jaką aktorką! Przedstawienie z Kurthem było szczytem kunsztu. Mało tego, że odegrała swoją rolę perfekcyjnie, tolerując znaczny skądinąd ból, to jeszcze udzieliła Sandy'emu takich korepetycji z montażu, że w gotowym już filmie wyglądała jak przestraszona uczennica w sadystycznych szponach Kurtha.

Sandy miał obiekcje co do części operacji, którą zrealizowali w Palm Springs. Wzbraniał się przed tym, dopóki Christine nie przekonała go, że jego obecność z ukrytą kamerą jest niezbędna, w czasie gdy ona będzie załatwiała sprawę z żoną i córkami Kurtha.

Zrobiła to w sposób godny podziwu, sterując nimi za pomocą historyjki o tajemniczej niespodziance od tatusia i wyświetlając najbardziej odrażające sceny z taśmy wystarczająco długo, by Sandy zdążył zarejestrować kamerą ich reakcje, zanim wybiegły z pokoju. To wszystko trwało ułamek sekundy, ale dało pożądaną efekt. W zamieszaniu, jakie nastąpiło później, Christine i Sandy wymknęli się z łatwością.

Kiedy teraz wracał do tego myślami, był ponownie pod wrażeniem jej umiejętności w postępowaniu z dziećmi. Zachowywała się dokładnie jak uwielbiająca figle cioteczka, czy starsza siostra, do momentu, aż olała całą tę zabawę i puściła taśmę.

To było okrutne, nie da się ukryć. Sandy był wstrząśnięty zarówno patrząc na to, jak i filmując, a jednocześnie pełen podziwu dla Christine. Była wspaniałą aktorką i wielkim umysłem.

Kiedy usłyszał wiadomość o pogrzebie Kurtha, stało

się dla niego jasne, że taśma miała z tym jakiś związek. Zastrześlił się dlatego, żeby go nie przycisnęli. To, czyjego samobójstwo było częścią planu Christine, czy też zniweczyło jej zamiar szantażu, nie interesowało Sandy'ego.

Każdy dobry profesjonalista powinien wiedzieć, co należy do zakresu jego obowiązków. Wykonywać swoją robotę dobrze i nie wtykać nosa w cudze sprawy. Nawiązywać przyjaźnie i podtrzymywać je. To był kodeks Sandy'ego. Wyświadczać przysługi ludziom równym sobie, a także wyższym rangą organizacjom, od których oni wszyscy byli uzależnieni. Żaden człowiek nie jest samotną wyspą.

Wykonał swoją robotę dla Christine, a ona zapłaciła mu zgodnie z umową. Ale na tym się nie skończyło. Musi dbać o własne interesy, tak samo jak ona.

Już kilka miesięcy temu obito mu się o uszy, że Coronowie wydali na Christine wyrok. Zbliżenie z nią nie dostarczyło mu co prawda żadnych informacji na ten temat jej prawdziwej tożsamości, ale odpowiadała doskonale rysopisowi. A Sandy uświadomił sobie w pełni, kim była, widząc ją przy pracy, ponieważ znał krążące o niej opinie.

Szepnięcie Samy'emu Coronie słówka o tym, gdzie ona się znajduje, byłoby warte dla niego dwa tysiące dolarów.

A przysługa wyświadczona Coronom mogłaby być warta o wiele więcej niż dwa tysiące dolarów.

Żaden człowiek nie jest samotną wyspą. Taka jest natura biznesu. Dobro wszystkich musi wyprzeć korzyść jednostki.

Sandy sięgnął po słuchawkę telefonu.

XXXII

W kilka dni po przedwczesnej śmierci Harmona Kurtha, pogrążone w żalu kierownictwo *International*

Pictures przeprowadziło kontrolę aktywów i pasywów korporacji. Ludzie ci, ściągnięci w dużej części przez Kurtha ze świata biznesu, nie byli obeznani z twórczą stroną spraw filmowych. Nie mogli, na przykład, zrozumieć upartej niechęci towarzystwa do finansowania *Brzemiennego zaulka*, filmu sprawdzonego autora przebojów kasowych.

Zorganizowano zebranie, na którym oceniono „potencjał kasowy” Annie Havilland i jakość scenariusza. Nikt nie był w stanie znaleźć najmniejszej choćby skazy w „chodliwości” tego towaru. Oczywiście w Hollywood nie istniało już nic pewnego, lecz dzieło Rhysa wydawało się zbyt solidnym produktem, by pozwolić mu się wymknąć.

Zdecydowano zatem przyjąć w tych trudnych czasach konserwatywną linię i pozostać przy sprawdzonych, utartych ścieżkach. *International* będzie finansował i kierował dystrybucją *Brzemiennego zaulka*, projektu stosunkowo niedrogiemu w porównaniu do kilku gigantycznych przedsięwzięć filmowych zrealizowanych w ostatnim czasie. Żywiono nadzieję, że podobnie jak w przypadku innych filmów Rhysa, nastąpi typowy dla niego zwrot kosztów w postaci trzydziestu, do czterdziestu milionów dolarów.

Zauważono słusznie, że po ogromnym sukcesie *Godziny nocy* i sensacji wokół przerwanej wypadkiem kariery Annie Havilland, nowy film Rhysa może okazać się niespodziewaną żyłą złota.

Publiczność może na niego tłumnie przybywać choćby tylko po to, by zobaczyć nową twarz tej Havilland.

Trzymając zbiorowo kciuki, osieroceni działacze *International* zadzwonili do Rhysa z nowiną.

Damon zaczął natychmiast działać.

Przekazał Ciffowi Naumesowi energiczne wskazówki odnośnie wstępnej fazy produkcji filmu, podpisał z Markiem Salingerem kontrakt na sesję zdjęciową, zaczynającą się za sześć tygodni i rozpoczął negocjacje z agentami

trzech aktorów, którzy jego zdaniem nadawali się do zagrania ról mężów Daisy.

Okazało się, że produkcja odwlecze się co najmniej o dwa tygodnie, ponieważ najważniejszy operator, Duncan Worth, ma zobowiązania aż do końca września. Damon nie chciał zaczynać zdjęć bez niego.

Wszyscy pozostali dostosowali się bez problemów. Kenji Nishimura zgodził się skomponować muzykę do filmu. Jerry Falkowski będzie dźwiękowcem, a Eileen Mahler, choć załamana nawrotem raka piersi, zajmie się montażem.

Plenery będą nakręcane na środkowym zachodzie, gdzie jest wiele otwartych przestrzeni, a niektóre sceny zostaną sfilmowane w Chicago. Te zostaną próbnie wykonane w najbliższych tygodniach. Film nie będzie drogi w realizacji ani trudny technicznie.

Lecz kreacja ról będzie dla aktorów wyzwaniem. Damon czuł już męczarnie powtarzania do znudzenia kolejnych ujęć.

Należało także rozważyć charakteryzację Annie. Praca nad poprzednim filmem mogła jej nie przygotować do tego, co będzie musiała teraz wycierpieć. Trzeba będzie nie tylko zamaskować jej blizny, lecz musi także w tym filmie dorosnąć z siedemnastu do trzydziestu czterech lat.

No dobra, pomyślał Damon. Więc to będzie dla niej piekło. Aktorzy są dobrzy w przechodzeniu przez piekło i wychodzeniu z niego cało.

Pełna podniecenia, nerwowa atmosfera ogarnęła dom w kanionie, kiedy wszyscy uświadomili sobie, że *Brzemienny zaulek* nie jest już jedynie projektem na papierze, lecz prawdziwym filmem, w którego produkcję zaangażuje się być może ze dwustu ludzi, i który musi zostać nakręcony i zapakowany do puszki w ciągu niespełna roku. Wszyscy byli podminowani, spięci, ale zadowoleni.

Damon wrócił do swojego służbowego rozkładu dnia, który oznaczał inną organizację zajęć i zdecydowanie mniej picia, lub przynajmniej, w jego wypadku, inne podejście do alkoholu.

Wstawał wcześnie, dzwonił do *International*, jadał lunch albo z dyrektorem do spraw personalnych, albo z kierownikiem produkcji, czy też jednym lub dwoma członkami obsady i ich agentami. Popołudnia spędzał w swoim biurze w studio, niemal cały czas wisząc na telefonie. Obiady rezerwował sobie zazdrośnie dla „rodziny”, to znaczy dla Annie i Margot, które do symulowanej roli ukochanych do szaleństwa córek dodały obecnie status faktycznych współpracownic.

Margot spędzała z Damonem całe dni robocze, a także, od kiedy okazało się, że jej anonimowy przyjaciel był niewart zachodu, wieczory. Była radosna jak zawsze, więc ani Damon, ani Annie nie martwili się zbytnio rozpadem tego związku.

Inaczej przedstawiała się sprawa z Annie. Była przeraźliwie świadoma tego, iż Margot i Damon, pomimo taktownego milczenia, wiedzieli, że jej związek z Frankiem należy do przeszłości i że ta strata nie była jej bynajmniej obojętna.

Czuła się rozdarta między potrzebą uczepienia się ich kurczowo i błagania o wsparcie duchowe, a jeszcze większą potrzebą ucieczki od zakłopotania z powodu bycia obiektem ich współczucia i chęcią wylizywania swych ran na osobności.

Tymczasem, mając w perspektywie rolę Daisy, żyła w stanie tak gorączkowego podniecenia, że codzienne zajęcia domowe nie były w stanie jej uspokoić.

W ciągu ostatnich tygodni spędzała dużo czasu z Tiną Rusch, małą Natalie i jej nowym braciszkiem Davidem, a także złożyła wiele wizyt Normie Crane i jej wnuczkom. Chciała mieć jak najwięcej kontaktów z dziećmi, starając się wejść w skórę Daisy, kobiety, która z granicznym z obłędem poddaniem się, zatraciła się w małżeństwie i wychowywaniu dzieci.

To był bolesny proces. Daisy była na swój sposób takim przeciwieństwem Annie, jak poprzednio Lianę, i reprezentowała wartości, których Annie przez całe życie w sobie nie akceptowała. A jakby ten kryzys twórczy nie wystarczał, dręczyła ją jeszcze kwestia

powrotu na ekran z nową twarzą. Sama myśl o tym, że znów będzie musiała stanąć przed kamerą, napełniała ją paniką.

Ogółem biorąc, wszystko to stanowiło dla niej zbyt duży ciężar.

Wiedziała, że nie podola temu bez samotnych chwil medytacji.

Tak więc ostatecznie, zważywszy wszystkie za i przeciw, poinformowała Damona i Margot o swojej decyzji i spakowała tyle rzeczy, by wystarczyło na dłuższy pobyt poza domem w kanionie. Pomimo skręcającego ją poczucia odosobnienia, postanowiła wyruszyć w podróż powrotną do swojego apartamentu w Hollywood, z którego nie zrezygnowała po wypadku.

Ostatni raz przebywała w tych skromnych pokojach w dniu, kiedy wybrała się do Eryka Shaina, aby go powiadomić, że jest z nim w ciąży. To był jej własny, mały domek, czy raczej to, co z niego zostało. Choć dom Damona był dla niej najdroższym miejscem na świecie, wiedziała, że musi stawić czoła samotnej egzystencji, zanim przywoła Daisy do życia.

W dziwny sposób czuła, że jeśli ma skutecznie ją wykreować, musi być bliżej ponurego związku z Erykiem i utraconego dziecka, tak jak i nowej pustki pozostawionej w jej życiu przez Franka.

Musi pojechać do domu.

Margot pomogła jej przywieźć bagaże. Usiadły w salonie z kanapą, stolikiem i krajobrazami starej Kalifornii na ścianach, tak niegdyś bliskimi Annie.

Były obie doskonale świadome, że w tym starym otoczeniu Annie odbierała telefony Eryka, czytała jego liściki, czekała na jego wizyty i liczyła na niego jak na uosobienie siły, na której mogła się wesprzeć we wrogim świecie.

Przed wyjazdem odmówiła Margot i Damonowi pójścia z nimi na obiad. Nie zabrała też na drogę wspaniałego posiłku przygotowanego-przez Conchatę. Pożegnała ich rano z zamiarem zrobienia po południu jakichś zakupów

i przygotowania sobie obiadu. Pragnęła samotności, jaką niegdyś знаła. W swym mieszkaniu musiała stanąć twarzą w twarz z duchami Eryka, dziecka i, być może najsmutniejszego ze wszystkich, Nicka, który znalazł to miejsce dla niej po jej przyjeździe do Hollywood.

Później, kiedy Margot pomogła jej wnieść rzeczy do sypialni, Annie rozejrzała się dookoła.

— Czegoś tu brakuje. Czego mogłam zapomnieć? Obie dziewczyny zlustrowały uważnie pokój.

— Wiem — odezwała się nagle Margot. — Zapomniałaś fotografii tatusia.

— Rzeczywiście.

Annie uświadomiła sobie, że dom Damona stał się tak bardzo jej domem, że zostawiła tam zdjęcie Harry'ego jako nieświadomy przejaw niechęci do wyjazdu. Damon był teraz jej ojcem i część w niej wierzyła, że należy do niego, chociaż reszta, teraz już prawie zdrowa, potrzebowała niezależności i prywatności.

— Żaden problem — powiedziała Margot — przywiozę ci ją jutro.

Annie wiedziała, że Margot chce ją mieć na oku i upewnić się, że nie jest przygnębiona w tym potencjalnie samotnym miejscu.

— W porządku — skinęła głową. — Przygotuję dla ciebie lunch.

Margot ruszyła w kierunku drzwi i zatrzymała się z ręką na klamce.

— Czy jesteś pewna, że będzie ci tu dobrze? Będzie nam ciebie brakowało.

— Mnie również — odpowiedziała Annie, ściskając mocno nową przyjaciółkę. — Ale muszę być teraz sama. To po prostu moja metoda pracy. Wszystko będzie świetnie, naprawdę. Opiekuj się naszym „tatuśkiem”, dobrze?

— Ma się rozumieć — Margot wzruszyła ramionami jak wytrawny dyplomata, wyspecjalizowany w kierowaniu na pół szaloną egzystencją Damona Rhysa. — Zobaczymy się więc jutro?

— Na pewno.

Było rzeczą oczywistą, że Annie do czasu rozpoczęcia zdjęć powinna kontynuować regularne treningi w pokoju rekreacyjnym i pływać w basenie pani Guenther, a potem musiała dostosować je do terminów zajęć na planie tak często, jak to tylko okaże się możliwe. Tak więc definitywne, bolesne zerwanie z domem Damona zostało odłożone do czasu ukończenia prac nad *Brzemiennym zaułkiem*.

Myśl o takim rozstaniu wydawała się prawie niemożliwa po szesnastu miesiącach spędzonych pod tym dachem, lecz Annie nie mogła zaprzeczyć, że krok jaki zrobiła przyjeżdżając tu dzisiaj, był prawdopodobnie pierwszym krokiem na drodze wiodącej do samodzielnego życia. To było trudne, lecz nieuniknione.

W pewien sposób czuła się jak starsza córka opuszczająca na jakiś czas dom, podczas gdy Margot, jej młodsza siostra, została w domu z ojcem. Lecz przyszłość Margot z Damonem była także niepewna. Annie i Damon wątpili, by zaakceptowała propozycję pozostania na stałe jego sekretarką i asystentką.

Choć mógłby „wyrwać z jej duszy ziemię rodzinną”, jak mawiała Margot, nie był w stanie zmienić jej decyzji pozostania profesorem. Ona nie zrezygnuje ze zrobienia dyplomu. Była w tym względzie tak niezależna, jak Annie.

I, wcześniej czy później, znajdzie bez wątpienia odpowiednią partię i wyjdzie za mąż.

Annie uśmiechnęła się smutno na myśl o tak totalnym rozpadzie wyimaginowanej rodziny Damona. Kiedy obie dziewczyny odejdą, Damon, czcigodny ojciec, pobłogosławi je na drogę, a potem będzie czekał na ich listy i być może odpowiadał na nie swoimi ironicznymi anegdotami i narzekaniami na temat świata, filmu i literatury. A któregoś dnia zaczną wyglądać ich odwiedzin z wnukami, których nigdy nie miał. Lecz to wszystko należało do przyszłości. Teraz, trzy odrębne osobowości znalazły wspólny dom w czasie ciężkiej próby. Annie była pierwsza, która miała spróbować swych skrzydeł poza azylem ciepła i bezpieczeństwa.

Jej przeznaczenie leżało w Daisy i w beznamiętnym oku kamery filmowej. A temu musi sama stawić czoła.

Annie siedziała myśląc o tym wszystkim przez kilka minut po odejściu Margot, a potem zeszła na dół, gdzie pani Hernandez powitała ją filiżanką herbaty i mnóstwem pytań oraz nowinek na temat rodziny. Szczęśliwie dla Annie starsza kobieta przywykła już do jej zmienionego wyglądu, widując ją kilkakrotnie w ostatnich miesiącach, tak więc mogła się zachowywać jak gdyby Annie przez cały ten czas nie ruszała się z domu. Z drugiej strony, ta zmiana aparycji okazała się -bardzo przydatna, kiedy Annie wyszła zrobić zakupy na jutrzejszy lunch z Margot. Nikt jej nie rozpoznał ani w okolicznych sklepach, ani na ulicy.

W kilka godzin później, po zjedzeniu niewyszukanego obiadu, spędzeniu wieczoru na studiowaniu roli Daisy i przypominaniu sobie wskazówek Damona, leżała w łóżku kołysana do snu dobiegającymi zza okien odgłosami Anita Street.

Obserwując w półmroku cienie gałęzi drzew poruszające się na ścianie, złapała się na tym, że wspomina czasy, kiedy żył Nick, kiedy Damon Rhys był dla niej wyłącznie sławnym nazwiskiem z dołączoną do niego nieprzeniknioną twarzą, i kiedy praca aktorki wypełniała jej życie, czyniąc wszystko inne nieważnym i bezbarwnym.

Jakże to było dawno temu! A mimo to, tamten czas przyzywał ją teraz z dziwnym powabem, zmuszając, by raz jeszcze przeżyła zapomniane miesiące i lata, których przemijanie ledwo zauważyła zajęta przetrwaniem z dnia na dzień, a których odejścia nie zamierzała opłakiwać. Przeszłość była obok niej i w niej, zupełnie taka jak wtedy, kiedy trwała, lecz w inny, prześladowający sposób...

Nie mogła nie myśleć o tysiącu naturalnych wstrząsów, które rozdarły jej życie na kawałki i zrekonstruowały je z kalejdoskopową różnorodnością i nieprzewidywalnością. Dziś czuła, że zna samą siebie gorzej niż kiedykolwiek.

Została bez swojego starego rozkładu jazdy, bez

Harmona Kurtha, którego mogła nienawidzić, bez zwykłego optymizmu, bez dziecka, które mogłoby się stać ośrodkiem jej przyszłości.

Miała za to Daisy i *Brzemienny zaulek*.

Pomyślą o Prouście i jego „małych ja”, i o sentencji Roya Derana, że aktor może odnaleźć siebie tylko poprzez kreowaną postać. Być może znajdowała się w niewidzialnym punkcie zwrotnym, który oderwie ją od ustalonych nawyków i zmieni jej życie na zawsze. Niepokój, jaki dziś odczuwała, zdawał się obiecywać, że wielka wewnętrzna rewolucja była tuż, tuż.

Czyżby pogląd Roya okazał się proroczy? Czy następne wcielenie Annie Havilland zależy w całości od Daisy?

Dlaczego nie? Czasem postać sceniczna może mieć większy wpływ na czyjeś życie niż prawdziwi ludzie. Ponieważ prawdziwi ludzie pozostają odosobnieni, zakorzenieni we własnych przeznaczeniach, podczas gdy postać sceniczna, nieprawdziwa i przez to nieśmiertelna, będąca wszędzie, mogła przerobić aktora na zawsze tak, że nie było odwrotu... Lecz osobowość Daisy było tak trudno ogarnąć. A Damon uczynił z niej błędny ogień, przy którym najlepsza aktorka cierpiałaby z powodu nocnych koszmarów, próbując go uchwycić. Paraliżował ją strach, że spartaczy to największe wyzwanie, podczas gdy Damon pokładał w niej tak dużo wiary. A porażka w zagranium Daisy równałaby się utracie części siebie.

Nie mniej jednak była znów w domu, choć to pojęcie miało dla niej słodko-gorzki smak. Jej niegdyś znajome łóżko przyjmowało ją gościnnie, a ciemne ściany otaczały jak starzy, troskliwi przyjaciele. Pchały ją w kierunku snu, który oczyści ją z trosk i otworzy na nowy, pełen obietnic dzień.

I rzeczywiście, już unosiła się w kierunku tego mistycznego królestwa, do którego tylko sen dzierżył klucz. Jej ciało, zdeorientowane zmianą miejsca, w wyniku której wylądowało w tym zapomnianym łóżku, jakby po przejeździe czarodziejskim dywanem, teraz przeszukiwało różne pomieszczenia własnej pamięci, by znaleźć znaki mogące przywrócić mu równowagę. Z Richland,

z Manhattanu, z domu Damona w kanionie ustawiały się teraz przed nią, lecz wszystkie zupełnie zmienione, wszystkie dotknięte zaklęciem snu, który zmienił je w rydwany, wirujące orbity, unoszące ją daleko, daleko... Annie pogrążyła się w utęsknioną drzemkę z łagodnym uśmiechem na ustach, kiedy uświadomiła sobie, że dzwoni telefon.

Usiadła półprzytomna na łóżku, lecz dzwonienie już ustało. Zanim zdążyła się zastanowić, ile dzwonek przyspała, usłyszała brzęknięcie automatycznej sekretarki przyjmującej rozmowę.

Teraz przypomniła sobie, że włączyła ją po południu. Była nieczynna podczas jej długiej nieobecności, gdyż nie korzystała z niej u Damona, gdzie on sam lub Conchata odbierali telefony.

Lecz w tej chwili działała, jak niezawodny żołnierz przydzielony do służby, nagrywając wiadomości i nastawiając się na nowo z serią brzęknięć i trzasków. Zapadła cisza i zobaczyła zielone światełko, mrugające, aby ją poinformować, że był do niej telefon.

Spojrzała na zegar. Północ. Nacisnęła przycisk i obserwowała przewijającą się taśmę. Obracała się dość wolno, tak, że Annie zaczęła się zastanawiać, czy nie zaszkodziły urządzeniu zbyt długie wakacje lub czy ono samo nie zapomniało rytmów swojego normalnego funkcjonowania. Wreszcie taśma stanęła i maszyna zaczęła odtwarzać. Annie odszukała w ciemnościach pokrętło głośności i podkręciła je.

Głos, który usłyszała, sprawił, że zaczęła szybciej oddychać.

Cześć, Annie. To ja. Dlaczego do mnie nie dzwonisz? Tęsknię za tobą.

Annie wyprostowała się. Frank...

Jej ręka znajdowała się w połowie drogi do maszyny, żeby zrobić jeszcze głośniej. Lecz kiedy barwa głosu wsiąkła w ciemność, ogarnęła ją taka panika, że wyłączyła urządzenie, nie chcąc go więcej słuchać.

Krew przestała krążyć w jej żyłach.

Oparła się o ścianę, przyciskając kurczowo poduszkę.

To, co usłyszała, było nieprawdopodobne. Eryk nie zadzwoniłby do niej po tak długim czasie.

Jednak zwariowana logika zrodzona z utrzymującej się senności mówiła jej, że ten telefon miał jakiś sens. Mimo wszystko była na powrót tutaj, w pokoju, w którym poznała Eryka, w którym spędzała samotnie dni czekając na jego telefony, jak na jedyne lekarstwo posiadające moc oderwania jej od samej siebie i przeniesienia do miejsca, gdzie mogła się czuć bezpieczna. Nic zatem dziwnego, że jego głos powitał ją dziś wieczorem.

A jednak to nie mogło być prawdą. Głos, który usłyszała, był głosem ducha. Zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle coś słyszała. Zielone światelko już nie mrugało. Maszyna odtworzyła swoją wiadomość...

Annie wlepiła w nią wzrok, rozważając różne możliwości. Być może, zadumała się, taśma przesunęła się kawałek za daleko i odtworzyła wiadomość nagraną o wiele wcześniej. Wiadomość z nocy wypadku, całe życie temu...

Dlaczego nie dzwonicz? Tęsknię za tobą.

Z drzeniem pomyślała o Eryku, o tamtych ostatnich fatalnych godzinach przed wypadkiem, o scenie w sypialni w jego domu w Malibu, o oczach Eryka wpatrujących się w nią, o drzwiach zamkniętych jakby przed jej przyszłością, tak samo jak za przeszłością. Czy jego głos mógł wypływać z tamtego wypędzonego czasu wzywając ją do cierpienia, które pogrzebała w ciągu tych dwóch długich lat? Czy los i przypadek mogły być tak kapryśne, by naigrawać się z niej w ten sposób?

Nie, zdecydowała. Nerwy musiały jej spleść figła. Takie rzeczy się nie zdarzają.

Zupełnie już teraz przebudzona zapaliła światło. Siłą woli opanowała drzenie rąk i nacisnęła przycisk odtwarzania, aby maszyna powtórzyła wiadomość.

Cześć, Annie usłyszała. Teraz dostrzegała jowialny, jakby zakłopotany ton w głosie, którego przedtem nie zauważyła. To ja. Dlaczego nie dzwonicz? Tęsknię za

tobą. Potem rozległ się urywany śmiech i słuchawkę odłożono.

W końcu dotarła do niej prawda. Głos należał do kogoś zupełnie obcego, kto przypadkowo wykręcił jej numer. Kimkolwiek był, z ciekawości wysłuchał jej głosu nagranego w „sekretarce” i dla kawału zostawił swoją wiadomość. Teraz, kiedy wsłuchiwała się dokładnie, mogła stwierdzić, że był on prawdopodobnie podpity.

Ktoś zupełnie obcy.

Annie odetchnęła głęboko nastawiając ponownie urządzenie. Potem położyła się z powrotem do łóżka i naciągnęła na siebie koc, gdyż mimo ciepłej nocy wstrząsały nią dreszcze.

Przez chwilę uśmiechała się na myśl o absurdalności tego incydentu i o własnej pomyłce. Nie mogła zaprzeczyć, że szczerze uwierzyła w to, iż słuchała głosu Eryka Shaina.

Potem skurcz w gardle stał uśmiech z ust. Oczy napełniły się łzami.

Przez moment walczyła z nimi dzielnie, lecz w końcu poddała się i pozwoliła im spływać po policzkach na poduszkę.

Dlaczego uciekać przed prawdą? Eryk żył w niej dzisiejszej nocy razem z tą dawną Annie, kochającą go całym swoim naiwnym, ufnym sercem. A jego utrata była dla niej tak świeża, jak cierpienie wykluwające się teraz w piersiach.

Lecz cierpienie nie ograniczało się do jednej rany. Ponieważ, o ironio, tej nocy było więcej Annie, które cierpiały, niż dwa lata temu. Frank McKenna, którego głos zabrzmiał jej w uszach, zanim zdecydowała, że to głos Eryka, był kolejną pustką w niej, równie straszną jak ta pierwsza. Frank, którego obecność nigdy nie dotknęła tych pokoi, którego głos nigdy nie zabrzmiał w słuchawce tego telefonu ani nie został nagrany przez tę maszynę...

Tak, pustka w niej była tak śmiertelna, jak tylko śmierć może być. Jej straszliwa moc wypływała z faktu, że w sercu nic nie umiera, że żadna blizna nie goi się do końca. Kruchomość pamięci może zadowolić budzące się ja, lecz cierpienia głębsze niż pamięć trwają na zawsze. Nie

można wypędzić żadnego człowieka, skoro już raz otworzyło się dla niego serce.

Ból odczuwany przez Annie był gorszy od wszystkich, jakie doświadczyła od momentu wypadku, ponieważ wyrastał z kwintesencji niej samej, a nie uderzał ze świata zewnętrznego. Był jednocześnie śmiertelnym wrogiem i jedynym przyjacielem, najstarszym znajomym, władcą zakazanego królestwa jej własnej jaźni.

Mijały godziny, a ona leżała czepiając się poduszki, wiedziona do nikąd przez strumień myśli zbyt chaotycznych, by je ująć w słowa, myśli, których jedynym wspólnym mianownikiem była strata.

Kiedy świt cierpliwą szarością zaczął ogarniać konary drzew za oknem, napłynęły do niej nowe sny, tym razem niespokojne i złowróżbne.

Lecz zanim jej skołatany umysł opuścił ten budzący się smutno świat, zaświtała w nim nowa myśl. Myśl ta uspokoiła ją i otworzyła maciupeńkie drzwiczki w dalekim końcu tunelu, do którego wkraczała. Długie oczekiwanie, w którym trwała, przyniosło jej ironiczną nagrodę. Teraz Annie wiedziała, że mimo wszystko jest w stanie zagrać Daisy. Odnalazła ją dzisiejszej nocy.

XXXIII

Carmin Gamino był chyba najokrutniejszym zbirzem na wschód od Missisipi. W wieku czterdziestu ośmiu lat miał za sobą setki wykonanych zleceń dla rodzin z sześciu miast i pełnił ważną funkcję w organizacji Sama Corony w Miami.

Rozpoczął karierę w Detroit jako szeregowy „żołnierz”, zastraszając, kalecząc i zabijając, jeśli wymagały tego przestępcze operacje jego szefa. Ulubioną bronią, jaką posługiwał się w tamtych dniach, było uderzenie karate, którego nauczył się w Korei. Mogło ono, w zależ-

ności od uderzenia części ciała unieszkodliwić, okaleczyć lub zabić. Precyzja Carmine była równie sławna jak jego szybkość i refleks, szkolone ustawicznie poprzez ciężkie ćwiczenia i grę na automatach. Potem przydarzył się wypadek.

Kiedy Carmine pomagał w warsztacie kumplowi naprawić należącą do mafii limuzynę, środkowy palec lewej ręki dostał się w metalową prasę. Lekarze z *Detroit General* zdołali uratować go przed amputacją, ale po dwóch operacjach pozostał on zupełnie zrośnięty we wszystkich trzech stawach. Sterczał odgięty w środku dłoni jak ironiczne „fuck you” dla świata.

To śmieszyło Carmine. Wkrótce stało się przyczynkiem do narodzin pewnego pomysłu.

Zaczął trenować twardy, sztywny, przyrośnięty krzywo paluch, aby móc go używać jako broni.

Wykonywał ręką pchnięcia w górę, koncentrując całą wagę ciała w tym jednym palcu. Łamał nim bezboleśnie drewniane powierzchnie i ściany. Ściągną były jak stal.

Wypracował sobie skierowane w górę, kłujące uderzenie, które stało się jego znakiem firmowym. Dźgał niespodziewanie swoją ofiarę w genitalia, brzuch czy między żebra i obserwował padającą na ziemię w mężczyznach. By spowodować natychmiastową śmierć wystarczyło uderzyć w tchawicę lub oko. Wszelkie inne stadia tortur zależały od szybkości pchnięcia i toru, po jakim poruszał się palec.

Sława Carmine wyprzedzała go wszędzie, gdzie się pojawiał. „Paluch” był znakomitością.

Sam widok przyrośniętego, zrogowaciałego narządu wystarczał często, by zastraszyć przeciwników i zmienić ich w przerażonych, pokornych poddanych.

Carmine, człowiek pozbawiony wyobraźni, lecz zawzięty, sprytny i zupełnie bezlitosny, był dumny ze swoich osiągnięć i kunsztu. Lubił okrutną pogardę okazywaną światu przez jego kaleki palec i szacunek, jakim cieszył się między podobnymi sobie zbirami.

Takimi, jak stojący teraz przed nim facet w prąż-

kowanym, ciemnym garniturze i z aktówką ze skóry aligatora pod pachą. Wiedział, że Sam Corona zgodził się „wypożyczyć” go temu fircykowi, mającemu najwyraźniej jakiś naglący interes za wysoką cenę, i to mu pochlebiało, gdyż podkreślało jego ważność.

Uśmiechnął się grzecznie i uniósł pytająco brwi.

— Cieszę się, że to będziesz ty, Carmine — powiedział Tony Pietranera.

— Jestem pewien, że nikt inny nie nadaje się do tego tak dobrze.

— Zawsze do usług — odpowiedział Carmine z fałszywą skromnością, unosząc lewą ręką szklanę z Barolo tak, że zrośnięty palec celował prosto w rozmówcę.

— To delikatna robota — mówił dalej Tony. — Chcę, żebyś odszukał pewną kobietę. Pracowała kiedyś dla mnie. Nie wywiązała się i zwiąła. Nie rób jej krzywdy. Musi być zdrowa. Ale nie mogę ryzykować. To nie jest taka normalna dziewczyna.

Carmine spojrział na Tony'ego oczyma bez wyrazu. Wiedział, że ten jest mało znaczącą figurą w mafii. Bez pozycji, bez prawdziwego poważania, mięczak. Lecz dobre wychowanie wymagało, by ukrył swoją pogardę i, w imieniu Sama Corony, potraktował tego mydłka z uszanowaniem.

— Uwierz mi — nalegał Tony, rozumiejąc opacznie puste spojrzenie Carmine — jeśli wyślę po nią jakiegoś zapijaczzonego dupka, ona odetnie mu jaja i przyśle mi je zapakowane w papier toaletowy. Jest elegancka, ale niebezpieczna. Zabicie faceta to dla niej pestka.

Odchrząknął.

— Tak więc potrzebuję stanowczości, Carmine. Stanowczości i dyscypliny. Po prostu ściągnij ją z powrotem do mnie tak, żeby zrozumiała, że nie mam urazy dla obu stron, dopóki wywiązują się ze swoich zobowiązań. Prosiłem Sama, by wyświadczył mi uprzejmość i umożliwił skorzystanie z twoich usług, gdyż wiem, że mogę na ciebie liczyć, i ponieważ nikt inny nie ma twojej klasy.

Carmine pokiwał głową, a krzaczaste brwi nad ogorzałymi policzkami uniosły się nieco w dowód wdzięczności za komplement. Jego pogarda dla Tony'ego rosła w szybkim tempie. Ten typek za dużo mówił, zbyt dla siebie pochlebiał i bał się kobiet. Zastanawiał się, dlaczego Sam Corona zwraca sobie głowę wyrządzeniem przysług takiemu zeru.

Tony ponownie odchrząknął, tym razem bardziej nerwowo. Był widocznie przerażony aparycją Carmine. Przy wzroście 195 centymetrów i blisko stu kilogramach wagi, Carmine sprawiał wrażenie ociosanej skały. W jego pustych, czarnych oczach nie było śladu litości czy człowieczeństwa. Jasne było, że nie zabija dla przyjemności ani tym bardziej dla pieniędzy, lecz dla dumy, dumy drapieżnego zwierzęcia. Pomimo zakłopotania wyływającego z przebywania w towarzystwie takiego zwierzęcia, Tony czuł, że wściekłość z powodu zniknięcia Christine słabnie, a żądło zazdrości mięknie. Znalazł sposób, by ją odzyskać. Nie był sam. Przed nim stał ktoś będący jednocześnie autorytetem i dzikusiem, bezlitosną siłą samej organizacji ucieleśnioną w ludzkich kształtach. Nawet jej sztuczki nie były w stanie tej siły poskromić.

Dzięki Coronom i ich kontaktom znał teraz miejsce jej pobytu. Kiedy Carmine przywiezie ją z powrotem, Tony przekona ją pod groźbą śmierci, że musi z nim pozostać na zawsze, i jeżeli podejmie ucziwie swoje poprzednie obowiązki, wybaczy jej wszystko i zapomni.

Jego serce podskoczyło na myśl o tym, że będzie ją znów miał. Nie dbał o to, co przyniesie mu przyszłość ani o to, czy śmiertelna klątwa, jaką rzuciła na jego życie, zostanie kiedykolwiek zdjęta.

Wiedział jedynie, że ona wraca.

— Czy to jest właściwy adres? — Carmine pokazał mu kawałek papieru. Tony skinął głową.

— A teraz słuchaj. Ona przebywa w towarzystwie sławnych osobistości. Ważne jest, żeby wydostać ją stamtąd bez hałasu. Nie wolno alarmować tych ludzi. Ten facet Rhys jest wielką szychą i może mieć wielu

potężnych przyjaciół. Zrób tak, żeby zniknęła cicho. Może zostawić jakiś poźegnalny liścik, ale to wszystko.

Carmine pokiwał głową, lecz jego oczy pozostały nieprzezroczyste jak węgle.

— I cokolwiek zrobisz, nie spuszczaaj jej z oka, kiedy już ją dopadniesz.

Ani na sekundę. Jasne?

— Jasne — uśmiechnął się Carmine.

XXXIV

Wally Dugas miał twardy orzech do zgryzienia.

Wskutek jego wysiłków przeszłość, która tak interesowała Harmona Kurtha ożyła i zniszczyła go. Kat stał się ofiarą. Lecz kiedy Kurth zniknął z pola widzenia, śledztwo Wally'ego w sprawie Annie Havilland straciło rację bytu. Obecnie zajmowały go dwie nowe, zbieżne ze sobą i trudne sprawy. Pora umyć ręce od starych.

Jednakże wątpliwości dotyczące pokrewieństwa pomiędzy Annie a tajemniczą Christine prześladowały go nadal. Był przekonany, że ustalenie, kto jest ojcem tych dwóch dziewcząt stanowiło klucz do ich historii. Próbował sobie wmówić, że nawet gdyby znalazł Alice, ona mogłaby nie wiedzieć, który z setek jej kochanków był ojcem Christine, lecz w końcu kurczowo uczeplił się tej możliwości. Ona musi to wiedzieć. Lub co najmniej podejrzewać. Dowodem na to był przede wszystkim fakt, że donosiła ciążę do końca.

Co zobaczyła w oczach nowo narodzonej Christine, w jej włosach i innych cechach, że dotarło to do najokrutniejszego ośrodka jej osobowości i spowodowało, że podjęła tę okropną decyzję o jej wychowaniu?

Co przypieczętowało los Christine na oddziale położniczym nieznanego szpitala dwadzieścia cztery lata temu?

Czy Christine pragnęła to poznać? Czy myślała o człowieku nazwiskiem Harry Havilland i o córce, którą wychowywał w Richland? Czy zastanawiała się, co w nim było takiego, że sprowokowało jego żonę do porzucenia

go i urodzenia z czystej, morderczej ciekawości drugiego dziecka, by potem, rzucając jakąś wyimaginowaną monetą jak kapryśna bogini, zatrzymać i raczej zniszczyć, niż zostawić gdzieś na progu?

Czy Christine teraz, u boku swej siostry, rozmyślała nad tym kaprysem losu, który zrujnował jej życie, podczas kiedy mogła być spokojnie przebywać w niebycie, nie rodząc się wcale.

Zakładając, że Harry był ojcem.

Zakładając, że te dwie dziewczyny były rodzonymi siostrami.

Ta kwestia nie dawała Wally'emu spokoju. I tylko Alice знаła odpowiedź. Wiedział, że ona żyje. Czuł jej obecność na tym świecie.

Tak, żyje. Pod szanowanym przebraniem, z dala od ludzi, których niegdyś znała, na zawsze odsunięta od spraw, które niegdyś wypełniały jej życie, nie identyfikująca się z rzeczami, które robiła.

Wally zerknął na jej fotografię z Christine na plaży. To był bezspornie koszmar, kiedy patrzyło się na oczy dziecka, pełne cierpliwości wobec upiornego świata, w którym zamknęła ją jej matka.

Lecz był to także dokument. Bowiem o ile wygląd Christine został zmieniony przez czas, o tyle aparycja Alice nie mogła ulec żadnej istotnej zmianie. Dorosłym obca jest gwałtowna metamorfoza, jakiej podlegają dzieci, dlatego zmieniają się powoli. A Alice nadal była młodą kobietą. Znajdę cię — pomyślał Wally. W gruncie rzeczy śmierć Kurtha czyniła tę sprawę nawet bardziej nagłą. Musi to przeprowadzić do końca.

Ale na to potrzeba czasu. Dużo wolnego czasu. Może lat. Niech zatem ta planeta dokona jeszcze kilku obrotów. Ten, kto jest cierpliwy, doczeka się.

Wally miał się już wkrótce przekonać, ku swemu zaskoczeniu, że tym razem nie musiał odwoływać się do cierpliwości. Jakiś czas później, kiedy odwalał jakąś robotę w zachodniej części Los Angeles, ta, której szukał, nagle przesunęła się tuż obok niego.

XXXV

Rozmaitości Codzienne, 16 września 1972

Wczoraj w Culver City rozpoczęły się zdjęcia do nowego filmu Damona Rhysa Brzemienny zaulek, utrzymywanego przez International Pictures w najgłębszej tajemnicy, a mającego szansę stać się kolejną „bombą filmową”.

Dziennikarze nie zostali wpuszczeni na plan, w związku z czym nie dostąpili przywileju ujrzenia gwiazdy, Annie Havilland, próbującej stworzyć to, co Rhys nazwał najbardziej skomplikowanym charakterem scenicznym wśród wszystkich jego bohaterów.

Wydaje się, że określenie „skomplikowany” nie oddaje całej prawdy. Panna Havilland ma wcielić się w bohaterkę, której ekranowe istnienie przypada między siedemnastym a trzydziestym czwartym rokiem jej życia. Kolosalna praca charakteryzatorska musi się rozpocząć od surowca, jakim jest nowa twarz aktorki, radykalnie zmieniona przez operacje plastyczne, wykonane po wypadku samochodowym, którego stała się ofiarą dwa lata temu. Mówi się, że Havilland posiada prywatną, nie odstępującą jej na krok charakteryzatorkę, która będzie doglądała jej makijażu, dostosowując go do fikcyjnego wieku w każdej nakręcanej scenie. Sesja zdjęciowa będzie niewątpliwie wyczerpująca dla ciągle jeszcze osłabionej gwiazdy, która według doniesień reporterów nadal posiada niedowagę i odczuwa dokuczliwe bóle, pomimo długiego okresu rehabilitacji.

Frank McKenna odłożył gazetę i wyjrzał przez okno swego mieszkania na zadymiony widnokrąg Zachodniego Hollywoodu. Krajobraz ten nigdy dotąd nie wydawał mu się tak przygnębiający. A więc Annie zaczyna od nowa. Bryły biurowców za oknem wydawały się pełzać markotnie pod brązowym niebem. Za nimi, ukryte w smogu, znajdowały się pałacowe rezydencje hollywoodzkiego bractwa, którego szczególne obyczaje i drobne grzeszki tak nie pasowały do przyszłości, jaką Frank zaplanował dla siebie. To było cieplarniane królestwo, kryjące się za ekranem, a jego książęta i księżniczki byli jedynie promieniami odbitego światła w przyciemnionych kinach, żyjąc z marzeń tych, którzy płacili za to, żeby ich zobaczyć.

Któregoś dnia, może już wkrótce, Annie stanie na czele tego królestwa. Potężne dłonie Franka zwały się w poczuciu zawodu, gotowe rozszarpać gazetę na strzępy, czy wybijać wściekle dziury w szydzących z niego ścianach mieszkania, które wydawały mu się rosnącymi murami, oddzielającymi go od Annie. Murami, których nie mógł przeskoczyć. Te dłonie sięgały po słuchawkę tysiąc razy od czasu ich ostatniej rozmowy telefonicznej, od wieczoru, kiedy zadzwonił, by odwołać spotkanie. Ciągłe jeszcze słyszał nutkę zawodu i niepokoju w jej słowach, kiedy przyjmowała jego wyjaśnienia i zegnała się z nim. Dźwięk tego głosiku był jak sztylet przekłuwający powoli serce.

Frank żył teraz w ustawicznej wściekłości, milczącej i ledwie kontrolowanej. To była wściekłość na siebie za posiadanie uczuć, które nie dawały się ze sobą pogodzić. Wściekłość na przeszłość, za uczynienie z Annie istoty, która nie mogła należeć wyłącznie do niego jednego. Wściekłość na przyszłość, za tak tchórzliwe zrezygnowanie z walki o nią, za bezcelowe i ponure pozostawanie w cieniu.

Zaprzestał rozmyślać o tym, czy ona za nim tęskni i czyjego raptowne usunięcie się z jej życia jest okrucieństwem i brakiem honoru. Takie spóźnione wątpliwości były ponad jego siły.

Lecz myślał wciąż obsesyjnie o Harmonie Kurthie i odczuwał żądło ironii czasu. Nie mógł się powstrzymać od roztrząsania tego, jaka byłaby przyszłość, gdyby ta ostatnia rozmowa w biurze Kurtha nigdy się nie odbyła. Gdyby tajemnicza śmierć nadeszła o kilka dni wcześniej, oszczędzając Frankowi zdzierania zasłony z oczu.

Ale co się stało, to się nie odstanie. I kiedy Frank próbował sobie wyobrazić ewentualne życie z dala od ostrych pazurów prawdy, w błogiej nieświadomości, duma brutalnie ściągała go na ziemię. Był gorzko zadowolony, że nigdy nie żył w raju głupców, że nie dał się wystrychnąć na dudka tej, która oddawała się każdemu.

Nie mniej jednak życie z Annie mogłoby w pewien sposób złagodzić to upokorzenie, uczynić je znośnym.

Frank poczuł przebłysk zrozumienia dla wielkich, poniżających się literackich i filmowych kochanków, którzy usychając z tęsknoty znosili z nadludzką cierpliwością uzależnienie od kobiet fatalnych, czy obojętnych po-żeraczek męskich serc, delektując się nawet swoim cierpieniem; dopóki jego przyczyną była ta jedna, ukochana...

Lecz nie dla niego był taki los. Jego duma nigdy by na to nie pozwoliła. Tak więc Frank kipiał ze złości. Przeżywał swoje dni z zaciśniętymi zębami i pięściami, chłodno uprzejmy dla swoich współpracowników, w głębi ducha marząc o znalezieniu jakiegoś kozła ofiarnego, którego mógłby zmiażdżyć w swoich wielkich łapskach, aby uspokoić skołatane nerwy do czasu, aż straszliwa intensywność jego bólu nie zacznie wreszcie tracić na sile.

Zerknął raz jeszcze na artykuł w *Rozmaitościach*. Wyobraził sobie Annie na planie, jej partnerów filmowych, całe to gorączkowe preludium do przyszłego gwiazdorstwa. Choć nigdy nie był świadkiem czytania przez Annie kwestii Daisy, wiedział z relacji Damona, że cudownie wyczuwała nową rolę.

Co do tego nie było wątpliwości. Znów się odnajdowała. A jej nowa, nieskalana twarz będzie częścią nowej kariery, która zdystansuje tę wcześniejszą.

Przyszłość nie miała dla Annie granic.

A to co minęło, już nie wróci.

Ciągle jeszcze czuł w rękach kruche ciepło jej drobnego ciała, przypominał ją sobie wszystkimi zmysłami, czując na wargach jej smak, widząc błyszczące, srebrzyste oczy wpatrujące się w niego z tak ujmującą szczerością.

Zmusił się do zlustrowania wzrokiem pokoi, w których z nim przebywała, gdzie widział jej zadziwiająco ostrożne stąpanie, jej płynne, bezszelestne ruchy. Spojrzał na kanapę, na której siadywała i na szafę, w której wieszła starannie płaszcz, zanim wyciągnęła do niego ramiona.

Pamięć była w równym stopniu linią ratunkową, co przekleństwem.

Ponieważ rzeczywistość sygnalizowana

przez nią, jedyna, dla której warto żyć, była jednocześnie tą, którą wyrzucił z siebie na zawsze.

Jakże dobrze poznał to umęczone ciało, jego blade, gładkie kształty i subtelne wdzięki! Poznał w nim wszystko prócz dręczącego je bólu, bólu znoszonego bez słowa skargi.

Bólu tak niepoznawalnego jak przyjemność, która również była wyłącznie jej, tajemna przyjemność, której nie mógł dostrzec, przyjemność być może nieodzowna dla niej...

Potrząsnął głową, usiłując powstrzymać przyływ rozgoryczenia spowodowanego tymi myślami.

Powiedział sobie, że teraz ona jest znów na, swoim miejscu, a jej obraz schwytyany przez kamery rozprysnie się na milion kawałków i dotrze do wszystkich zakątków świata, pożądany i należący po części do milionów widzów, milionów wielbicieli, lecz tak naprawdę nie należący do żadnego z nich.

To „rozkawałkowanie” było tym, co czyniło gwiazdę inną od zwykłych ludzi. Nie dającą sobą zawładnąć, niepoznawalną... W tym punkcie Kurth miał rację.

Gdyby Frankowi udało się jakoś przekonać ją, by połączyli swoje losy, ta jej ulotność w końcu by go zabiła. Ponieważ cała przeszłość nawiedzałaby jego umysł, jak wiecznie żywa scena, w której należała do tak wielu innych, oddając się chętnie, być może tak, jak oddała się jemu. A jeśli przeszłość musi się naigrawać z jego naiwnej potrzeby posiadania Annie na własność, przyszłość musi dotrzymać jej kroku ze wszystkimi swymi pokusami. Bardzo prędko sam czas stałby się surowym krytykiem dla jego wątpliwości, nieśmiertelnym koszmarem, w którym on nie byłby w stanie zaspokoić jej wygórowanych potrzeb, wyśnionym marzeniem, którego nie mógłby z nią dzielić, szaloną drogą w dół, którą nie mógłby za nią podążać...

Nie, zdecydował, nie można posiadać takiej kobiety. Poznał ją w bolesnej przerwie między jednym a drugim sukcesem i już na zawsze będzie do tej przerwy przypisany. Był mało znaczącym przerywnikiem w jej życiu.

Może właśnie tego w tamtym okresie potrzebowała. Był kimś niezbędnym dla jej normalnego funkcjonowania.

Kimś, na kim mogła polegać przez krótki moment, kimś, na kogo mogła rzucić trochę swego niezwykłego światła, bez składania czy wymuszania obietnic, bez uzależnienia się.

To nie było dobre dla niego, że spotkał ją, kiedy śmierć trzymała w swych szponach zarówno jej ciało, jak i przygnębiony umysł, i że obserwował, jak pazurami wydrapywała sobie drogę powrotną do życia z żelazną wytrwałością i uporem w sercu. Jako że poza pewnym elementem tajemniczości, Annie była ludzka, bardziej niż ludzka. Udowodniła to swoją odwagą.

I dlatego na zawsze pozostanie jedyną kobietą dla niego. Nie mogło być okrutniejszej ironii losu.

No cóż, niech zatem tak będzie. Czyż nie przynosił mu pewnej pociechy fakt, że nic nie mogło odebrać tej ukradzonej przerwy, w czasie której ją poznał, gdyż należała bezpiecznie do przeszłości?

Nie, pomyślał. Nie! To nie wystarcza, to nigdy nie będzie wystarczało. Annie zrodziła w nim głód, pogłębiającą się pustkę, czyniącą każdy kolejny dzień bardziej niemożliwym do zniesienia.

Lepiej jest kochać i utracić, niż nie kochać wcale.

Ta stara maksyma stanęła przed oczyma jego duszy jak kaleka, którego wieściami nikt nie jest zainteresowany.

Słaba pociecha. Bezużyteczna mądrość.

Frank wrzucił gazetę do kosza na śmieci.

XXXVI

Kości zostały rzucone.

Zdjęcia na planie *Brzemiennego zaułka* były w toku intensywnej realizacji. Takie tempo miało utrzymać się przez mniej więcej trzy miesiące, do ukończenia prac.

Dla Annie wszystko rozpoczęło się nie najlepiej.

Z powodu tzw. trudności kontraktowych, chwilowo

nie mógł stawić się na planie jeden z jej partnerów, w związku z czym nie można było zacząć od kręcenia przygotowywanych przez nią tygodniami scen z młodzieńką Daisy. Musiała wskoczyć w sam środek drugiego małżeństwa Daisy, kiedy ma już jedno dziecko, jest w ciąży z drugim i właśnie dowiedziała się o niewierności swojego drugiego męża.

Był to bardzo trudny moment w samym środku rozwijającej się akcji filmu i Annie niemal z dnia na dzień musiała przygotować się do sprecyzowania i wyrażenia motywacji swej bohaterki. Złapała się na tym, że wciąż wraca myślami do związku z Erykiem i do utraconego dziecka, i po raz setny odniosła wrażenie, że granie Daisy stanowiło prawdziwe zagrożenie dla jej zdrowia psychicznego.

Lecz Damon tak to zaplanował i tak musiało być. Annie grała te sceny najlepiej jak umiała, wstrząsana makabrycznymi uczuciami. Nikt jednak nie zauważył niczego złego, więc z zaciśniętymi kciukami przystępowała każdego dnia do pracy.

Jej problemy nie ograniczały się jednakże tylko do tych natury artystycznej. Jako że od wypadku nie udało jej się odzyskać normalnej wagi, Andie Ritchie i jej koledzy charaktery zatorzy musieli stawać na głowie, żeby wyglądała na ciężarną.

A co jeszcze gorsze, nadmierny wysiłek spowodował nasilenie się bólu w plecach i karku. Na plan przyniesiono krzesło ortopedyczne, aby mogła z niego korzystać między ujęciami. Chociaż przyjęła to z wdzięcznością, nie przynosiło ono większej ulgi i nie umniejszało rwącego bólu. Nie ośmielała się zażywać żadnych silnych leków z obawy przed zaburzeniami koncentracji, tak więc zaciskała zęby i robiła co mogła. Szaleńcze tempo zdjęć spowodowało też bezsenność, gdyż zamartwiała się tym, że nie jest dostatecznie dobra i że jej wysiłki pójdą na marne. Wskutek tego zaczęła wyglądać na przemęczoną i senną.

— Kochanie — powiedział któregoś dnia Mark Salinger, po obejrzeniu na taśmie efektów całodziennej pracy — chcemy, abyś wyglądała mizernie, ale to już jest

przesada. Ty wyglądasz na chorą. Może odpoczniesz parę dni, a my moglibyśmy w tym czasie nakręcić wnętrze. Potrząsnęła głową.

— Wezmę dziś wieczorem pigułkę. Wszystko będzie dobrze. -

Zmuszała się, by w tych trudnych warunkach wkładać w Daisy to, co miała najlepszego, nie tylko dlatego, że nie chciała zawieść Damona i innych, lecz dlatego, że żarliwie chciała dać z siebie wszystko.

Niesamowita aura natchnienia Damona udzieliła się już całej ekipie, tak jak to było w przypadku *Godziny nocy*. Wszyscy żyli w ogromnym napięciu emocjonalnym, przykuci do pracy niesamowitym zaangażowaniem, promieniującym od Damona.

Ponad tym wszystkim unosiło się przekonanie, że *Bezimienny zaulek* jest czymś niezwykłym, czymś przeznaczonym do zajęcia trwałego miejsca w historii filmu. Każdy chciał dać z siebie to, co najlepsze i Annie nie była wyjątkiem.

Tak więc, kiedy jej spóźniony partner pojawił się wreszcie po dziesięciu dniach, a zdjęcia przeskoczyły w czasie do lat szkolnych Daisy, Annie rzuciła się w tę nową rolę każdą cząstką swego talentu i włożyła całe swe poświęcenie. Z dnia na dzień przeobraziła się w młodszą osobę. Jej chód, uśmiech, głos, wszystko promieniowało naturalnością, niewinnością, której nie było w scenach granych zaledwie kilka dni wcześniej.

Uświadomiła sobie, że albo przebrnie jakoś przez tę sesję zdjęciową, albo umrze próbując to zrobić. Każdego dnia czuła się tak, jakby odkładała gdzieś w środku dawkę psychicznego i fizycznego wyczerpania, która pozostanie tam, aż do zakończenia pracy nad filmem. Obawiała się, że w przyszłości zapłaci za to skrajnym wyczerpaniem emocjonalnym, czy nawet załamaniem nerwowym.

Zastanawiała się ironicznie, czy ten film postarzy ją o piętnaście lat, tak jak miało to miejsce w wypadku Daisy.

Lecz rola jakoś ciągle pchała ją naprzód. We własnych żyłach czuła chorobliwe skłanianie się Daisy ku uzależ-

nieniu, jej głód mężczyzn-zbawicieli, jej rozpaczliwą miłość do dzieci i jej nikłe, lecz ustawiczne ciągoty do prawdziwej niezależności.

Daisy była cichym polem bitwy pomiędzy samopo-znaniem a samounicestwieniem. *Brzemienny zaułek* był wyścigiem pomiędzy tymi dwoma zaciekłymi wrogami, wyścigiem, na mecie którego stała śmierć. Podobnie jak inni pracujący nad filmem, Annie nie mogła się oprzeć uczuciu, że złowieszczy los, jaki Damon przeznaczył swojej bohaterce, pozostawi piętno na nich wszystkich.

Napięcie na planie pochodziło w równej mierze ze strachu, co z podniecenia.

Teraz już nie można było się zatrzymać.

XXXVII

Ta ulica należała do najbogatszych i najspokojniejszych w Palm Springs. Dom w stylu Tudorów, z widocznymi na narożnikach okapów i framugach okien elementami architektury hiszpańskiej, był świadomie najbardziej nowobogacki ze wszystkich. Zza szpaleru rosnących wzdłuż chodnika drzew wyglądały wierzchołki gór. Pustynia znajdowała się poza zasięgiem wzroku.

Wally zatrzymał samochód na okrągłym podjeździe. Potem rzucił po raz ostatni okiem na artykuł wycięty w ubiegły czwartek z *Biuletynu Południowokalifornijskiego*. Dołączone do niego zdjęcie ukazywało grupę należących do śmietanki towarzyskiej kobiet, odbierających nagrodę stanową za działalność charytatywną na rzecz rezerwatów Indian z plemienia Cahuilla i Soboba.

To była ona, w tylnym rzędzie, widocznym wyraźnie jak na dłoni.

Wyglądała starzej i inaczej, lecz Wally rozpoznał ją z łatwością, która chwilowo zdumiała go samego.

Zdjęcie musiało być zrobione niespodziewanie, co mogłoby tłumaczyć fakt, że pozwoliła się sfotografować. Być może dała się zaskoczyć, albo nie mogła zaprotestować bez składania kłopotliwych wyjaśnień. A może po

prostu stała się zbyt pewna siebie w swoim nowym życiu.

A było to rzeczywiście wygodne i spokojne życie. Dziewięć lat temu poślubiła członka kierownictwa banku w Palm Springs nazwiskiem Ralph Sonderborg. Dziś był on prezesem *First National Bank*, przygotowującym się do przejścia na emeryturę i wejścia w skład Rady Nadzorczej.

W trakcie pospiesznego dochodzenia przygotowującego go do tej wizyty, Wally uzyskał informacje, że spotkała Sonderborga na polu golfowym, przedstawiając się jako wdowa zbyt przytłoczona smutkiem, by mówić o swoim minionym życiu. Narzeczeństwo trwało krótko, a monotonię następującego po nim małżeństwa przerywały jedynie regularne podróże do Europy i Meksyku.

Należała do klubu brydżowego, prowadziła działalność charytatywną i społeczną w organizacjach kobiecych i była aktywistką w Partii Republikańskiej.

To była Alice Havilland we własnej osobie.

Wally wysiadł z samochodu. Obok najnowszego modelu zaparkowanego na podjeździe rolls-royce'a stał leniwie szofer. Przez otwarte drzwi garażu Wally widział szarego mercedesa.

— Czy mogę panu jakoś pomóc? — spytał szofer, dobrze zbudowany facet po trzydziestce, pełniący najprawdopodobniej również funkcję goryla. Trzecie piętro domu wyglądało, jakby znajdowały się za nim pomieszczenia dla służby.

— Tak, dziękuję bardzo — odpowiedział Wally. — Obawiam się, że pani Sonderborg nie spodziewa się mnie. Lecz byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mogła poświęcić mi chwilę czasu. Jestem przejazdem z San Francisco i czas mnie nagli. Może mógłby jej pan przekazać moją wizytówkę...

Słowa *Biuro Detektywistyczne Dugasa* z numerem telefonu, były wygrawerowane w niedbały sposób na frontowej stronie wizytówki. Z tyłu były zapisane trzy nazwiska.

Wally przemyślał dokładnie całą sprawę, zanim zdecydował, jak i kiedy wziąć ją przez zaskoczenie.

Szofer spojrzął na wizytówkę. Jego ciemne oczy nie zdradzały żadnych myśli. Odwrócił się bez słowa, zadzwonił do drzwi frontowych i podał wizytówkę komuś w środku.

Wally przechadzał się wokół rolls-royce'a, czując jak poranna gorączka pustyni pali jego ramiona. Był zadowolony, że kapelusz chroni mu głowę przed słońcem.

— Niezły wóz — zagadnął. Szofer nie odpowiedział.

Minęło dziesięć minut. Samochód Wally'ego nie miał klimatyzacji, szukanie w nim schronienia przed słońcem nie miało więc sensu. Wahał się, czy nie wejść do garażu i lustrował trawnik przed domem szukając cienia, kiedy drzwi frontowe otworzyły się.

— Pani Sonderborg przyjmie pana — powiedziała wyniosła pokojówka ubrana w nakrochmalony mundurek.

Poprowadziła go przez wypełniony antykami i oryginalnymi pejzażami salon. Orientalny dywan musiał kosztować więcej, niż stojący na zewnątrz rolls. Wszystko zdawało się tak przesadnie na swoim miejscu, że strach było zdmuchnąć pyłek z jednego z popiersi na obramowaniu kominka, żeby cała iluzja nie rozpadła się na kawałki.

Był to wyraz nie tylko bogactwa, lecz także staro-kalifornijskiej zasady urządzenia domu, która sprawiała, że jego mieszkanie wyglądało jak komuna hippisów.

Wally podążał za pokojówką do małego solarium na tyłach domu. Było ono wypełnione hibiscusami, oleandrami i innymi egzotycznymi roślinami w ceramicznych doniczkach.

— Proszę usiąść — pokojówka wskazała mu wygodną kanapę stojącą obok stolika do kawy.

Wally zerknął przez okno na przeogromny trawnik z tyłu domu.

Wymodelowane drzewa i krzewy kryły fontannę. Kilkadziesiąt metrów dalej widoczny był kort tenisowy.

Wally usiadł. Minęło kolejne pięć minut, gdy pojawiła

się druga pokojówka i zapytała go, czy napije się kawy lub mrożonej herbaty. Poprosił o herbatę. Kiedy ją przyniesiono i zdążył uraczyć się kilkoma odświeżającymi łykami, stwierdził, że znajduje się w posiadłości Ralpa Sonderborga już trzydzieści minut. Podniecenie łączyło się z klimatyzacją, wciągającą krew głębiej w ciało, sprawiając, że w palcach rąk i nóg odczuwał chłód.

Przygotowuje sobie teraz mowę — pomyślał z uśmiechem, obserwując spływające po zroszonych ścianach szklanki strumyczki wody.

Wreszcie w holu rozległy się odgłosy cichych kroków. W drzwiach pojawiła się niezwykle przystojna kobieta, ubrana w staromodną letnią spódnicę i bluzkę, z uśmiechem tak wystudiowanym jak jej otoczenie.

— Panie Dugas — zbliżyła się do niego nie podając mu ręki. — Proszę nie wstawać. W czym mogę panu pomóc?

Jest młodsza ode mnie. Ta myśl uderzyła Wally'ego jak obuchem. W wieku czterdziestu sześciu lat wyglądał o wiele starzej niż ta dobrze zakonserwowana i bardzo piękna kobieta. Przez tak długi czas myślał o niej w kategoriach niemal prehistorycznych, że spodziewał się zobaczyć staroświecko i złowieszczo wyglądającego babsztyla. Nie da się ukryć, że czuł się nieco zszokowany jej prezencją.

Naprawdę była bardzo młodzieńcza i niemal do przesady naturalna.

Nosiła swoje nowe *ja* jak sztandar głoszący oczywistą niemożliwość przynależenia przez nią do ponurej przeszłości, tak dokładnie zbadanej przez Wally'ego.

A jednak w jego kieszeni znajdowały się dwie fotografie udowadniające czarno na białym, że to była ona. Ona, nie ktoś inny.

Co za aktorka!

A do tego atrakcyjna. Wally wiedział, że Ralph Sonderborg był dobrze po sześćdziesiątce. Musiał być dla niej łatwą zdobyczą.

Jej oczy były zdumiewająco łagodne i zachęcające. Ich spojrzenie zdawało się podkopywać zdecydowanie Wally'ego, wyprowadzając go z równowagi.

— No cóż, nie jestem tak do końca przekonany, czy powinienem zajmować pani czas czymś, co ledwo pani dotyczy. To sprawa z gatunku tych, w których trzeba dokładnie wyjaśnić wszystkie szczegóły. Żeby zbudować dla niej tło, rozumie pani?

Recytował słowo po słowie przygotowane przez siebie przemówienie, chociaż pochrząkiwał i zacinał się obserwując jej reakcję.

— Można by powiedzieć, że śledzę jedną osobę z powodu drugiej osoby — uśmiechnął się nieporadnie. — To nic poważnego. W grę nie wchodzi żadne przestępstwo. Jednakże gdyby mogła mi pani pomóc swoimi wspomnieniami, zaoszczędziłoby mi to ogromnej roboty i chodzenia.

Usiadła z wdziękiem w obitym kwiecistą tkaninę fotelu, ustawionym pod kątem prostym do kanapy, na której siedział Wally. W rękę trzymała jego wizytówkę.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — powiedziała.

— Dobrze — zaczął Wally. — Postaram się streścić całą sprawę, żeby nie zajmować pani zbyt dużo czasu — mówił, celowo nie zaglądając do notatek. — Proszę mnie poprawić, jeśli się pomylę. W kwietniu 1946 urodziła pani córkę. Jej ojca spotkała pani w Buffalo, gdzie zdawał egzaminy adwokackie i gdzie pani związana była z *show-biznesem*. Po kilku latach wasze małżeństwo się rozpadło. Odtąd kierowała pani swoją karierą na własną rękę.

Nie odpowiedziała nic. Jej oczy miały ten sam wyraz uprzejmej łagodności, chociaż w ich głębi, niemal niedostrzegalnie zapaliło się czujne światełko. Nie była w stanie go ukryć. Tego nie mogła zrobić żadna ludzka istota.

Ale usilnie się o to starała. Była tak opanowana, jakby Wally był facetem z ubezpieczalni lub zwykłym domokrażcą.

— Dalej — kontynuował wolno, upiwszy łyk herbaty. — Wiele pani podróżowała w następnych latach, co wynika z opowieści pani przyjaciółek i współników. Miała pani drugie dziecko, też dziewczynkę. Pozostała z panią do momentu, kiedy w wieku dwunastu czy trzynastu lat opuściła dom. Czy to się mniej więcej zgadza?

Patrzył dobrotliwie w jej oczy. Wiedział, że te kilka słów, w połączeniu z nazwiskami na wizytówce, musiało ją zaniepokoić. Choćby z tego powodu, że nikt w jej obecnym życiu nie wie nic o jej prawdziwej przeszłości.

— Tak — powiedział swoim opatentowanym, prowincjonalnym tonem — tak jak mówię, proszę pani, sprawa nad którą pracuję nie dotyczy pani bezpośrednio. Ale muszę parę rzeczy wyjaśnić do końca, a zatem będę po prostu mówił, a pani zdecyduje, czy może mi pomóc — uśmiechnął się.

— Sądzę, że nie utrzymuje pani specjalnych kontaktów z rodziną w stanie New York. To znaczy tam, gdzie została wychowana pani pierwsza córka...

Poruszyła się niespokojnie na krześle. Poczul zapach kosztownych perfum zmieszany z aromatem kwiatów. Pomyślał, że jej nogi były więcej niż atrakcyjne. Figura tej kobiety była wspaniała.

Nadal milczała. Jej oczy były nieporuszone jak gęste kałuże.

Wally odchrząknął.

— A co z drugą dziewczynką? Wie pani, gdzie ona jest?

Tym pytaniem dał jej do zrozumienia, że zaczyna grać w otwarte karty. Cierpliwy uśmiech w jej oczach stwardniał niezauważalnie. Ręce trzymała złożone na kolanach. Milczała.

— Czy wie pani, co się dzieje z panem Leonem Gutrichem? — wymienił pierwsze z trzech nazwisk wypisanych z tyłu wizytówki.

Nie odpowiedziała.

— Z panem Mike Fontaine?

Oczy kobiety pozostawały tak nieprzeniknione jak jej milczenie.

— A z panem Charlie Grzybkiem?

Jej usta wykrzywił słaby, pytający uśmiech, absolutnie nic nie znaczący. Powiedział już wystarczająco dużo. Nadszedł czas na dodatkowe argumenty.

Wyjął z kieszeni jej fotografię z Christine na plaży w Chesapeake i umieścił ją ostentacyjnie na stoliku. Jej

ciało nie poruszyło się, lecz oczy powędrowały w dół, by spojrzeć na zdjęcie.

— Panie Dugas — odezwała się w końcu — wątpię, bym mogła panu pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pańskie pytania. Może gdybym wiedziała dokładniej, o co panu konkretnie chodzi...

Wyraz jej oczu momentalnie zdenerwował Wally'ego. Pod przykrywką ugrzecznionych form towarzyskich czyhała bezlitosna gotowość do przyjęcia kontroli nad rozmową. Miała na sobie najpiękniejszą zbroję ze wszystkich niegodziwców, z którymi Wally miał do czynienia. Z wyjątkiem Christine.

— Tak jak mówię — powtórzył — o nic, co było ważne dla pani osobiście. Rozumie pani, że nie mogę ujawnić tożsamości mojego klienta i natury śledztwa. Nie muszę też chyba mówić, że wszystko, co pani powie zostanie zachowane w najgłębszej tajemnicy. Poufny charakter moich źródeł informacji jest dla mnie świętością.

Spojrzała ponownie na fotografię. Przypomniał sobie Christine siedzącą przed nim w motelu w Miami, spoglądającą na to samo zdjęcie oczyma w obramowaniu złocistych rzęs.

Jaka córka, taka matka. Łagodność spojrzenia, ukryte zamiary, błyskawiczny refleks, przed którym żadna ofiara nie mogła uciec, gdy nadchodził moment ataku. Czy ta kobieta byłaby dumna wiedząc, z jaką łatwością jej córka wyprawiła Harmona Kurtha na tamten świat?

I, na innej długości fali, jakby dostrajając pasmo transmisji na falach krótkich, Wally widział Lianę w *Godzinie nocy*, przyglądającą się badawczo Erykowi Shainowi, z ustami gotowymi do wypowiedzenia śmiertelnych, uwodzicielskich słów.

Jaka córka, taka i matka. I oto miał ją: brakujące ogniwo w tajemniczej układance.

A dla Wally'ego była czymś więcej. O wiele więcej. Była częścią cienia padającego na jej ciało.

Wlepiła wzrok w jego twarz. Oceniające go oczy błyszczały tak intensywnie, że miał wrażenie, jakby ktoś obmacywał jego skórę twardymi rękami.

— Mogę udzielić pani kilku z tych odpowiedzi — uśmiechnął się ironicznie. — Mike Fontaine został zabity podczas bójki w barze około siedemnastu lat temu. Charlie Grzybek prowadzi knajpę na wschodzie. Rozmawiałem też niedawno z Leonem Gutrichem. Cieszy się dobrym zdrowiem i nadal jest farmerem. Sprawiał wrażenie, że pani nie pamięta, miał jednak pocztówkę, którą mu pani kiedyś posłała. Z hotelu w Buffalo. Jej spojrzenie stało się bardziej hipnotyzujące. Wally z trudem je wytrzymał. Wydawało mu się, że tonie.

— A jeśli chodzi o tego młodego prawnika, którego pani poślubiła, to zmarł około ośmiu lat temu. Miał kłopoty z sercem. Jest pochowany w rodzinnej kwaterze na cmentarzu w Richland.

Bawiła się jego wizytówką w taki sposób, w jaki kot opukuje kręgosłup zdychającej myszy.

— Obie pani córki są teraz zupełnie same na tym świecie. Ani matki, ani ojca. Oczywiście, jak już powiedziałem, to nie moja sprawa, pani Sonderborg. Ale nie byłbym zaskoczony, gdyby zainteresowało je to, gdzie pani przebywa.

— Panie Dugas — przemówiła w końcu, patrząc na frontową stronę jego wizytówki — mój mąż ma adwokatów...

Uniósł w górę obie ręce.

— Nie widzę powodu, by zwracać pani mężowi głowę tymi sprawami. Żadnego powodu. Jak mówię, to nie jest takie ważne, to naprawdę stara historia, a wiem, że pan Sonderborg jest bardzo zapracowanym człowiekiem.

— Z drugiej strony — powiedziała z niezmiennym wyrazem oczu — odnoszę wrażenie, że odpowiedział pan sobie wystarczająco na własne pytania. O ile nie ma pan jeszcze czegoś...?

— Tylko jedna rzecz, ostatnia. Bardzo ważna rzecz. Ale mogłaby mi niesłychanie pomóc. Oszczędzić mi chodzenia, jak powiedziałem. Proszę mi zdradzić, kto był ojcem pani drugiej córki, pani Sonderborg. Tylko to i nic więcej.

Czekał. Jedynym dźwiękiem w pokoju był szelest

wizytówki ocierającej się o tkaninę okrywającą jej udo. Błyszczące oczy były teraz zimne i mierzyły go przenikliwie. Była wstrząsająco piękna w swojej czujności. Bez wątpienia została osaczona. Wiedziała, że przed jej progiem stanął największy wróg: przeszłość.

I to był właśnie powód, dla którego Wally znajdował się tutaj. Żeby straciła pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa. Żeby wiła się, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Żeby uświadomiła sobie, że przeszłość jeszcze nie minęła i nigdy nie minie. Żeby zobaczyć ten zmijowa-ty, pozbawiony radości uśmiech, jaki Christine musiała oglądać tysiące razy w ciągu tych lat, kiedy była za mała, by się przed nim obronić.

Żeby zobaczyć, jak pokazuje kły i prycha.

— Panie Dugas — powiedziała z rozmysłem — wierzę, że to pomyłka. Doprawdy, nie sądzę, abym mogła panu pomóc. Jakkolwiek mogłabym zaprzeczyć, że pomylił się pan w doborze osoby, która by mogła udzielić panu informacji.

Posłała mu najbardziej promienny uśmiech gospodyni, który rozprzestrzenił się po jej twarzy jak zasłona.

— Cóż — Wally klepnął się w uda i wstał — wie pani, co mówią o nas, detektywach. Zostaliśmy zesłani na ziemię, by wiercić dziury w brzuchu i zajmować ludziom czas. Wygląda na to, że jechałem tu na próżno. Ale taki już nasz los.

— Żałuję, że na nic się panu nie przydałam — podniosła się, aby go odprowadzić. — Jest pan zupełnie pewien, że to już wszystko?

Czuł, że chowa kły i zaczyna się rozluźniać.

— Wszystko, proszę pani — przeciągał słowa, obracając w dłoniach słomkowy kapelusz. — Dobrze jest wiedzieć, że pani jest właśnie tutaj, cieszy się dobrym zdrowiem i wyśmienicie jej się powodzi. W naszym świecie niełatwo jest to osiągnąć.

Pozwolił słowom zawisnąć w powietrzu. Potem spojrzał na nią oczyma pełnymi radosnej niemal usłużności, wciskając kapelusz na głowę.

Miał ją w garści i ona o tym wiedziała.

— Och, to nie jest takie trudne — jej głos świszcział

jak szpada wysuwająca się z pochwy —jeśli się wie, jak się koło siebie zakręcić. A pan z pewnością wie, panie Dugas.

I teraz obdarzyła go spojrzeniem, na które cały czas czekał. To był błysk triumfującego okrucieństwa i ostrzeżenia, przebijający spod chłodnego uśmiechu. Odpłacała mu się nim za jego ostatnią zawołaną pogroźkę. — Pozwoli pan, że go odprowadzę — powiedziała, wskazując na salon. Jej ton był znów grzecznie obojętny.

— Nie ma potrzeby. Pamiętam drogę. A tak nawiasem mówiąc, to nie widziałem takiego salonu od czasu wizyty w Białym Domu. Sam wyjdę, pani Sonderborg. Życzę miłego dnia.

Kiedy przecinał trawnik idąc do samochodu, czuł na sobie wzrok obserwującego go przez okno dozorca. Nieporuszony szofer stał w milczeniu obok połyskującego w słońcu rollsa. Willy zapalił silnik i ruszył w dół ulicy.

W tym samym czasie na drugim piętrze domu rozległy się ciche odgłosy kroków. Ktoś otworzył, a potem zamknął szufladę.

Jakaś twarz przyglądała się sobie w lustrze. W rozszerzonych źrenicach zaświecił jakiś zamysł, po czym zniknął pod wystudiowaną maską obojętności.

XXXVIII

Nie tylko Annie czuła się zagubiona.

Dla Damona Rhysa żadne zdjęcia nie były do tej pory tak wyczerpujące, jak te do *Brzemiennego zaułka*.

Początkowo myślał, że głównym źródłem jego rozterek jest sama Annie. Tworząc dla niej Daisy, nie był zupełnie przygotowany do obserwowania tej cichej gwałtowności, z jaką obecnie grała tę rolę.

Przychodziła obowfązkowo na plan, z tymi anielskimi, wypełnionymi bólem oczyma i rzucała się w samo-niszczącą bierność Daisy z taką mocą, że ścisnęło go w gardle, gdy na to patrzył. Co więcej, od kiedy zobaczył

wychudzone ciało Annie, nie mógł przestać myśleć o jej utraconej miłości, o wypadku i o martwym dziecku.

Sceny kręcone z małymi aktorami grającymi role dzieci Daisy, rozdzierały serce. Miłość Annie do nie narodzonego dziecka pobrzmiewała w każdym jej uśmiechu i geście.

To było zupełnie coś innego niż obserwowanie, jak kształtuje swoją czystą, prostolinijną osobowość, by wcielić się w zło Lianę w *Godzinie nocy*. W tamtej opowieści Shain był ofiarą. Lecz teraz, po wszystkich swoich przejściach, wiedząc już, co to znaczy być ofiarą, Annie wikłała się coraz bardziej w tragiczne problemy Daisy i robiła to dla niego, dla Damona.

Zaczął się zastanawiać, czy nie było to trochę za dużo, niż mógł tym razem strawić.

Lecz kiedy minęły pierwsze tygodnie, uświadomił sobie, że to nie tylko Annie była czynnikiem podkopującym jego siły i wyczerpującym odwagę. To było coś więcej, jakieś niewidzialne i nieuchwytnie krzyżowanie się *Brzemiennego zaulka* z jego własnym życiem wewnętrznym jako artysty.

Nie mógł zaprzeczyć, że ten film może być jego ostatnim. Natchnienie podobne do tego może już nigdy nie nadejść. Starzał się, a intensywność tego procesu zaczynała być czymś, czego nie mógł znieść.

Zmiany, jakie nanosił każdej nocy w scenariuszu były jak małe oparzenia i trujące zastrzyki wewnątrz jego jaźni.

Natchnienie nie było już w nim, lecz poza nim, unosząc się w półmroku jego domu, wlatując i wylatując przez otwarte okna, naigrawając się z niego, nieuchwytnie, a jednak osiągalne, mimo to zawsze niebezpieczne. Było jak bezosobowa siła twórcza, nie mająca w pewnym sensie nic wspólnego z nim. Był jedynie słabym, ludzkim łącznikiem, którego potrzebowało, by się spełnić.

Łaknął desperacko jakiejś gigantycznej popijawy, na którą nie mógł sobie pozwolić. Czuł się jak na karuzeli, z której nie można zsiąść, dopóki się nie zatrzyma. Było to dlatego, że jego palce artysty zapuszczały się drżąc

w coś większego i ważniejszego niż wszystko, czego się do tej pory podejmował.

Był kompletnie zagubiony, unoszony na fali zamętu i odpowiedzialności, której już nie mógł znieść.

I stąd, w paradoksalny sposób, jego umysł zaczęła ogarniać dziwna, nowa świadomość, odsuwając w cień wszystko inne.

Dotyczyła ona Annie i Margot.

Margot odwoziła go do domu po każdym dniu wyczerpujących zdjęć i pomagała Conchacie przygotować dla niego obiad, podczas gdy on popijał i grał na skrzypcach. Odbierała też za niego telefony i wreszcie kładła się wcześniej do łóżka po to, żeby wstać w środku nocy i zapisać zmiany dokonane przez niego w scenariuszu.

Annie jechała do siebie, gdzie studiowała swoje kwestie, uczyła się na pamięć roli i usiłowała się wysypiać. Przyjeżdżała do nich na weekendy, odbywała trening z Margot i pokpiwała wesoło z Damona w trakcie żywiołowych dyskusji nad scenariuszem.

W takich momentach Damon doznawał czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni, koncentrując połowę uwagi z chorobliwym natężeniem na *Brzemienym zaułku*, gorączce zdjęciowej i zbliżającej się długiej fazie końcowej produkcji filmu, podczas gdy druga połowa oddawała się fascynacji tymi dwoma dziewczynami, które stały się jego duchowymi córkami.

Początkowo był to tylko ojcowski podziw i porównywanie, od którego nie mogło się powstrzymać jego oko artysty.

Annie i Margot były jednocześnie zupełnie różne i dziwnie podobne.

Obie były silne, odważne, rezolutne i gotowe chronić się nawzajem. Nade wszystko jawna odwaga fizyczna Annie wprawiała Damona w nieustający podziw. Ale przecież Margot była równie odważna. Czyż nie widział, jak w domu w Mojave, nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, rozgniotła sandałem skorpiona, którego zauważyła obok leżaka Annie?

Obie szybko się uczyły. Annie z nudów, a Margot

z czystej chęci niesienia pomocy, opanowały metody gotowania Conchaty i obie cerowały wyświechtaną garderobę Damona, który zabobonnie nigdy nie wyrzucał podniszczonej odzieży. Margot potrafiła zreperować wszystkie urządzenia mechaniczne i niektóre elementy instalacji w obu domach, przez co prawdopodobnie zaoszczędziła mu setki dolarów za rachunki za drobne naprawy: A wykonywane przez nią masaże były świadectwem siły jej palców i znajomości ciała.

Obie były uczciwymi, błyskotliwym dziewczynami o twardych charakterach, nieskłonny do poddawania się nieszczęściu czy rozpacz. Dźwigały własny ból jak osobisty ciężar: Margot swe tajemnicze krzywdy z rąk anonimowego mężczyzny, a Annie całą udęczoną przeszłość z Erykiem Shainem, martwym dzieckiem, ciężką fizyczną próbą i ostatnio, rozstanie z Frankiem McKenną, będące ciosem, którego siły Damon, jako postronny obserwator, nie był w stanie oszacować.

Jako siostry były podobne, a jednak różne, tak jak różne muszą być siostry. Annie była starsza, bardziej skomplikowana, stąd doskonała w dziedzinie aktorstwa, które wymaga niewyczuwalnej głębi charakteru, jakiej odtwórca sam nie jest nigdy do końca świadom.

Z drugiej strony Margot była psychologicznie prostsza z nich dwóch, ze spokojną, nie zmaconą tragedią powierzchnią życia, ulubienicą zakochanych w niej rodziców i trzech wielkich braci. Tryskająca zdrowiem

i radością, pewna siebie i naturalnie uprzejma, stapała z doskonałą równowagą po twardym gruncie, podczas gdy Annie ślizgała się niebezpiecznie po cienkim lodzie.

A jednak Margot nie była tak prosta, jaką udawała. Była wrodzoną intelektualistką, myślącą i dociekliwą. Uwidaczniało się to w jej autentycznym rozumieniu jego prac i w ogromnym wkładzie, jaki wniosła do *Brzemiennego zaulka*.

Był przekonany, że źródła jej inspiracji leżały głębiej, z czego nie zdawała sobie sprawy. Jak troskliwy ojciec ostrzegął ją, żeby nie marnowała swojego talentu ucząc literatury innych ludzi. Chciał, by sama pisała sztuki, a może także powieści i krótkie opowiadania.

Lecz jak uparta córka, której głos wewnętrzny nakazywał odwrócić się od niepewnego losu wyrobnika sztuki, uczepiła się swojego planu uczenia w szkole, odpierając zdecydowanie jego ataki.

Tymczasem władała swoim pięknym, kobiecym ciałem z kocim wdziękiem i spokojną akceptacją swojej seksualności, tak odmienną od niemal nawiedzzonego sposobu poruszania się, gestykulowania czy mówienia Annie.

Tak, różnice między tymi dwoma dziewczynami były dziwnie dobrane. Margot, chłodna intelektualistka, mimo iż mniej skomplikowana niż Annie i bardziej przyziemna, została jednak obdarzona bardziej analitycznym umysłem, a co więcej, emanowała nieukrywanym erotyzmem.

Natomiast Annie, o mniejszych ambicjach intelektualnych, była wielką artystką, która posiadała zarówno talent, jak i wyzierający z tajemnych zakamarków jej osobowości erotyzm. To właśnie ta wewnętrzna sprzeczność, ta pogmatwana osobowość pchnęła Damona do obsadzenia jej w roli Lianę. Uważał, że czyniła ona Annie erotyczną i prowokującą, choć sama Annie nie zdawała sobie sprawy z jej siły.

Dziwny duet: aktorka i intelektualistka, kontrolowany talent i uśmiechnięta, spontaniczna farmerka, nawiedzona kusicielka i spokojnie przepojona zmysłowością dziewczyna z Iowy.

Tak, one były jak siostry. Kiedy biegały po domu w szortach i skąpych koszulkach, w sandałach lub tenisówkach, z długimi włosami spływającymi u jednej rudawą, u drugiej cudownie czarną kaskadą, Damon zauważał, że obie były obdarzone przez naturę długimi, pięknymi nogami, smukłymi kostkami, biodrami, ślicznymi ramionami i małymi, jędrnymi piersiami.

Czasem niemal zapierało mu dech, kiedy widział, jak wchodziły razem do pokoju, by ucałować jego ogorzałe policzki, porażając blaskiem młodości i zdrowia. Były jak dwie śliczne, żywe lalki, stworzone z tej samej substancji, a jednak zachwycająco różne.

I czuł, że tajemniczym kaprysem losu został wy-

brany, by grać rolę ich ojca. Podchwytując jego sakramentalne stwierdzenie, że nigdy nie miał córek i chcąc się zabawić, obie żartowały sobie z niego, określając go pieszczotliwie takimi przydomkami jak „tatuś”, „papcio”, czy „nasz tatusiek”, które Margot lubiła najbardziej dlatego, że było takie dziecinne i domowe.

Rozmyślając nad swoim symbolicznym ojcostwem, zerkając na ich dojrzałe, młode ciała i słuchając szczebiotu dziewczęcych głosów w żartobliwym przekomarzaniu się, Damon odczuwał dziwny dreszcz. Uśmiechał się na myśl o swoim starzejącym się *libido*, dla którego pociechą i nagrodą była ich obecność pod jego dachem, ich śmiechy i całusy, ich spokojne pieszczoty i masaże pleców wykonywane przez Margot.

Dlaczego nie? To było zabawne i doskonale niewinne. Już dawno temu postanowił utrzymywać stosunki seksualne wyłącznie z kobietami w jego wieku i trzymał się tego zarówno tutaj, jak i w Nowym Jorku czy na pustyni, gdzie pewna apetyczna dama oczekiwała jego wizyt.

A jednak odczuwał ogromną przyjemność widząc tę wonną paradę młodzieńczej seksualności, tańczącą przed nim niemal codziennie. Dano mu jako ojcu szansę bycia chcianym, potrzebnym i opiekuńczym, ale także rozpieszczanym i hołubionym. I jak każdy cieszący się swoimi córkami ojciec, doświadczał pewnego rodzaju kazirodczych uczuć.

Ten stan rzeczy uległ jednak zmianie, kiedy Annie odeszła.

Miał wrażenie, że Annie, starsza i bardziej niezależna, opuściła dom ukrywając się we własnej dziupli, zajęta pracą, osobistymi strapieniami oraz wzlotami i upadkami swojego życia miłosnego.

Lecz młodsza, ta która fizycznie i uczuciowo bardziej przypominała Damona, pozostała w domu.

Sama z nim.

To była oczywiście tylko cicha myśl. Niekontrolowana próżność. Lecz kiedy już raz zagościła w jego głowie, nie mógł jej stamtąd przepędzić. Jak zdradzieckie ziarenko zaczęła pęcznieć i otwierać się, zakwitając i owocując obsesją.

Kiedy byli sami w domu, nie spuszczał oczu z Margot.

Robiąc dla niego notatki w swoim żółtym notatniku siadywała na kanapie z podwiniętymi nogami. Siedząc przy biurku i pisząc na maszynie krzyżowała nogi na krześle jak uczennica. Czasem leżała na boku na kanapie z książką, z długimi włosami rozsypanymi w bujnym nieładzie na starej tkaninie.

Stapała po domu bezszelestnie jak kotka, a potem opadała na krzesło, z nogami na jego oparciu, z bosymi stopami, z udami obnażonymi przez szorty lub mini spódniczkę przylegającą do kształtnych bioder.

Czuł jej zapach, kiedy nalewała mu herbatę lub obejmowała go ramieniem. Ten zapach pulsującej kobiecości przenikał go do szpiku kości.

— Jakich ty perfum używasz, córeńko — usiłował śmiać się z tego — pachniesz bosko. Już niedługo będziesz tu miała stado samców miauczących pod oknami.

— Nazywają się Baiser, jeśli cię to interesuje. I cieszę się, że ci się podobają. Kosztowały mnie majątek.

— W języku francuskim „baiser"! to bardzo brzydkie słowo — uznał za stosowne ją poinformować.

— Naprawdę? — spytała, gdyż poczuła się dotknięta w swoim instynkcie lingwistycznym. — Myślałam, że to znaczy „całować”.

— To świńskie słowo, kochanie. Świńskie. Możesz sprawdzić, jeśli mi nie wierzysz.

Następnego dnia sprawdzwszy w słowniku, że słowo to ma jawnie seksualne znaczenie, poklepała go lekko po policzku.

— Jakie ty masz brudne myśli, papciu.

— Tak samo, jak producenci perfum.

Roześmiali się oboje, a potem kontynuowali rutynowe zajęcia jak dobrze naoliwiona maszyna, konsultując się ściszym tonem w kwestii planu filmowego, wymieniając uwagi na temat słabszych czy problematycznych punktów scenariusza.

Lecz powoli, niezauważalnie, masaż po masażu, pieszczota po pieszczocie, wieczór po wieczorze na werandzie lub w domu, Margot zaczęła się odłączać od tego zuchwałego duetu, jaki tworzyły z Annie.

*Przechadza się w moim mózgu Jak gdyby w swym apartamencie,
Przecudna kotka, gibka, czarująca i słodka. Gdy mruczy z cicha, słucham
jej z lękiem, Bo jej głosik rozbrzmiewa tak tęsknie...*

Damon nie był pewien, czy pamięta poprawnie wersy z Baudelaire'a. Ale kiedy zastąpił słowem *ona* absurdalny francuski rodzaj męski i logicznie wyobraził sobie kota jako kobietę, wiersz zaczął dręczyć jego umysł każdorazowo, kiedy Margot była w pobliżu.

*Tak słodko pachniała jej sierść,
Że wargami musnąłem puszysty brąz,
Wyłuskując językiem kosmyk blond,
Gdy przeżyła się, mrucząc: „Pieść mnie, pieść!”*

Czy ona była w jego domu, czy w jego sercu? Wiedział jedynie, że zawładnęła jego myślami. A myśli te były niespokojne, tak jak jego zmysły.

Teraz, gdy przebywał z nią sam na sam, odnosił wrażenie, że wypełnia pokoje nie tylko swoją żywiołową atrakcyjnością, ale także czymś na kształt mistycznego uroku Annie. Były jak bardzo bliskie i zaufane przyjaciółki, jak dwie połówki tej samej drogocennej perły, z których każda obowiązkowo nosiła w sobie cechy drugiej.

Wrażenie to potęgował jeszcze fakt, że często zamieniały się rzeczami. Garderoba jednej zawsze zdobiła drugą z dziwną pikanterią. To było tak, jakby jedna posiadała w sobie odrobinę kwintesencji drugiej. Pojawienie się w pomieszczeniu jednej z nich wyzwalało urok także tej nieobecnej. — Chodź tu, maleńka — mawiał do Margot. — Uściskaj swojego tatusia. A kiedy podchodziła, czysta i śliczna, aby przyklęknąć u jego boku, ucałować i popieścić go, przebiegać palcami po jego kręconych włosach, prosząc, by pozwolił jej je ściąć, zauważał, że jej sukienka czy szorty należą do Annie. On, poeta, miłośnik dziwnych rzeczy i zagadek, nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest

źródłem tego tajemniczego podobieństwa między jego przybranymi „córkami”.

Lecz im bardziej Margot przypominała Annie, tym bardziej stawała się niepodobna do siebie. Im bardziej stawała się blondynką w porównaniu z ciemnymi włosami Annie, im bardziej błyszczał jej seks na tle mrocznej, złożonej zmysłowości Annie, tym stawała się przystępniejsza w porównaniu ze swą nieobecną i pochłoniętą własnym życiem siostrą. Im bardziej rozdzielone, tym bardziej nierozłączne. Im bardziej podobne, tym bardziej wspaniale różne. To było oszałamiające. Coś ze srebrzystych oczu Annie odbijało się w zielonych oczach Margot. Coś z wykroju ślicznej bródki Margot było wyraźnie widoczne w uduchowionej twarzyczce Annie.

Jednakże mając je obie w tym domu, będąc przez obie uznany za przyszywanego, autokratycznego „tatuś-ka”, nieuchronnie z każdym dniem zbliżał się po trochu do jednej z nich, tylko do jednej.

Margot.

Chryste — wściekał się na siebie Damon, próbując okiełznać rozszalałą wyobraźnię. Kompletnie głupieję.

Lecz wymówki pod własnym adresem nie na wiele się zdały.

Brzemienny zaułek wciągał go coraz głębiej w swój wir, jak wieloryb przeklinającego, uczepionego jego ogromnego cielska Ahaba.

A dziwny zamęt, który zagościł w jego uczuciach nie mijał, stając się z każdym dniem większy, słodszy, niebezpieczniejszy.

XXXIX

Aktorzy i ekipa techniczna *Brzemiennego zaułka* byli kompletnie wyczerpani. Wszystko szło źle, gdy nakręcali scenę, w której Daisy przywozi swoje drugie dziecko ze szpitala do domu. Niemowlę dostało kolki i krzyczało głośno, przez co dwa ujęcia były zupełnie do

niczego. W dodatku nawaliła instalacja elektryczna, czego skutkiem była czterdziestopięciominutowa przerwa w zdjęciach. W jej trakcie Damona ogarnęły wątpliwości co do doboru słów w wypowiedzianej przez Annie kwestii, zaczął więc próbować dwie inne wersje.

W środku tego całego zamieszania Margot opuściła stanowisko dźwięku, by na prośbę Damona odszukać w biurze pierwotny szkic tej sceny, który jego zdaniem mógłby mu pomóc.

Mrużąc oczy wyszła na światło słoneczne kierując się do budynku, który mieścił biura kierownictwa, gdy poczuła ciężką rękę zaciskającą się na jej ramieniu.

Odwróciła się i ujrzała atletycznie zbudowanego mężczyznę po czterdziestce, gapiącego się na nią pustymi, czarnymi oczyma. Jego ogorzała cera niemal doskonale współgrała z brzydkim brązem garnituru. Nie wiedziała, kim jest. Ale zrozumiała natychmiast czym jest.

— Chodźmy, Christine. Jest jeden facet w Nowym Jorku, który chce z tobą pogadać.

Zawahała się. Trybiki w jej umyśle pracowały na przyspieszonych obrotach.

— Posłuchaj... — wymamrotała zaalarmowana widokiem przechodzących obok statystów i personelu studia.

— Tu nie ma nic do słuchania — przerwał jej mężczyzna, rozluźniając uścisk.

Zauważyła, że ma groteskowo zrośnięty środkowy palec lewej dłoni. Wyglądało to obscenicznie.

— Nie rób zamieszania. Nie chcesz chyba rozdmuchiwać swojej prawdziwej tożsamości między ludźmi tutaj, prawda? Chodź! Nie zrobię ci nic złego. Zabieram cię z powrotem do Tony'ego. Kiedy już tam będziemy, możesz sobie robić z nim, co ci się żywnie podoba.

Christine rozważała szybko wszystkie za i przeciw. Kiedy zobaczyła ten palec domyśliła się, kim jest jego właściciel. Wszyscy znali jego reputację.

— Skąd mam wiedzieć — zapytała bojaźliwie — że mi nic nie zrobisz? A co będzie, jeśli zacznę krzyczeć? Tu są strażnicy.

— Czy sądzisz, że przyjechałbym po ciebie właśnie

tutaj, gdybym miał zamiar cię skrzywdzić? Gdybym tego chciał, byłabyś martwa już zeszłej nocy. Bądź rozsądna. Możesz wszystko obgadać z Tonym. Kiedy znajdziemy się w Nowym Jorku, ja znikam.

Ruszyła z nim w kierunku bramy, lecz po chwili stanęła.

— Zauważą, że mnie nie ma — zwróciła się do niego. — Będą mnie szukać. Pozwól mi tylko zostawić wiadomość. Możesz ją nawet sam napisać.

— To już załatwione. Wiadomość jest u sekretarki w biurze Rhysa. Masz chorobę w rodzinie. Będiesz w kontakcie.

Uśmiechnął się, lecz jego oczy były zimne jak u jaszczurki.

— Idziemy?

Pomyślał o wszystkim. Albo Tony pomyślał. Nie ma wyboru. Musi z nim pójść.

Bez słowa pozwoliła mu poprowadzić się do bramy.

XL

— Jak się czujesz?

Cichy głos Marka Salingera zabrzmiał w uszach Annie, podczas gdy przed jej na wpół przymkniętymi oczyma przesuwały się leniwie sylwetki członków ekipy technicznej.

— Boli?

Potrząsnęła głową.

— Wszystko w porządku. Dzięki za troskę.

Poklepał ją po ramieniu, łagodnością dotyku pokrywając zaabsorbowanie przygotowaniami, które odbywały się za jego plecami. Miał ochotę wyszukać szorstkie polecenia dla zespołu, ponieważ widział szansę na ukończenie dzisiaj sceny powrotu ze szpitala do domu i był boleśnie świadomy, jak trudno będzie jutro zaaranżować na nowo takie same warunki zdjęciowe.

Dziecko, prawdziwy kawalerzysta, zostało uspokojone przez matkę i przeszło przez cztery dalsze ujęcia

z Annie. Lecz Damon, nadal niezdecydowany co do jednej sceny, próbował ją na trzy różne sposoby, cały czas spoglądając na zegarek, a w końcu wyszedł, żeby zobaczyć, co zatrzymuje Margot.

Teraz wszyscy stali wokół w wyczerpującym letargu, czekając na jego powrót jak na coś, co doda im energii, by znów rzucić się w wir pracy.

Oczy Annie zamknęły się zupełnie, kiedy leżąc na krześle ortopedycznym słuchała Marka konsultującego z Duncanem Worthem sprawę oświetlenia do następnego ujęcia. Skłamała. Ból był bardzo dokuczliwy, zarówno w kręgosłupie, jak i w biodrach. Ale wiedziała, że zostało jej dość siły, by przebrnąć przez resztę dnia.

Teraz, kiedy zdjęcia osiągnęły szczególną intensywność, osobiste uczucia, zarówno pozytywne, jak i negatywne, nie miały dla niej większego znaczenia. Była w szponach Daisy, wyobcowanej jednostki, wiodącej ją naprzód zgodnie z jej wewnętrznymi potrzebami i impulsami, których nie mogła ani zrozumieć, ani przed nimi uciec, a tylko odgrywać przed kamerą.

Ten wysiłek wyczerpywał ją bardziej, niż wszystko, czego doświadczyła wcześniej. Czuła, jak w każdym momencie przepływają przez nią słabe fale energii, jakby *Brzemienny zaulek* był psotnym duszkiem zdecydowanym wykorzystać ją do maksimum, a potem rzucić ją obojętnie z wielkim hukiem.

Nawet teraz odczuwała pulsowanie tego trawiącego ją wewnętrznego napięcia, siłę gotową cisnąć ją do swych stóp dla dobra następnego ujęcia, co więcej, zdolną spowodować, że będzie pragnęła tego podniecenia związanego z tworzeniem się filmu, bez względu na cenę, jaką jej przyjdzie za to zapłacić. To bezosobowa, krytyczna siła brzęczała bezustannie w niej i wokół niej.

Lecz teraz jej wołanie zostało zagłuszone przez Da-mona, który stanął przed Annie ze zmartwionym wyrazem twarzy.

— Kochanie — powiedział pochylając się nad nią — Margot wyjechała. Popatrzyła na niego zaniepokojona.

— Co się stało?

— Jakaś choroba w Iowa — podał jej złożoną kartkę. — Pisze, że będzie z nami w kontakcie.

— Nie przejmuj się Damonie — ujęła jego rękę. — Wkrótce będziemy mieć od niej wiadomości. Wierzę, że wszystko będzie dobrze.

Lecz on nie wyglądał na uspokojonego. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziała go tak strapionego. I tak postarzałego.

XLI

Jechali taksówką do motelu, w którym zatrzymał się Carmine. Nie pozwolił jej zabrać swoich rzeczy z domu Damona.

— To, co masz na sobie w zupełności wystarczy. Tony zatroszczy się o ciebie, kiedy już będziesz w domu.

Zbadał dokładnie zawartość jej torebki i nie spuszczał z niej wzroku ani na sekundę.

— To przykre, ale tak to już bywa — skomentował.

Miał wiele wspólnego z Tonym, jeśli chodziło o zachowanie konwenansów i tendencję do używania zwrotów zbyt górnolotnych dla jego poziomu wykształcenia. Znany był z tego, że na chwilę przed okaleczeniem lub zabiciem swojej ofiary przeproszał ją za to co nastąpi, stosując wyszukane, eleganckie sformułowania.

— Zostaniesz ze mną przez noc — powiedział do Christine. — Mamy zarezerwowane bilety na pierwszy Jutrzejszy poranny lot.

— W porządku. Ale jest jeden problem. Spojrzał na nią, unosząc brwi ni to podejrzliwie, ni to z rozbawieniem.

— Dostałam okres — odezwała się głośno, nie kępując się zupełnie obecnością taksówkarza. — Potrzebuję paru rzeczy z apteki.

Czarne oczy spoczęły na niej ze spokojem płaza, leniwe i nieludzko cierpliwe.

— Chyba, że lubisz sypiać w upapranej na czerwono pościeli — dodała.

Wreszcie w wyrazie jego twarzy mignął przebłysk troski.

— Panie szofer, przystopuj pan przed najbliższą apteką — polecił, nie spuszczać oczu z Christine.

Taksówka zatrzymała się przed dużym składem aptecznym i Christine dotknęła klamki. Twarda jak żelazo dłoń zacisnęła się wokół jej przegubu.

— Idziemy razem. Niech pan tu na nas zaczeka. Weszli do sklepu i ruszyli w kierunku stojącej z tyłu lady.

— Mam nadzieję, że masz forszę — powiedziała Christine. — Jeśli mi nie ufasz, możesz sam kupić to wszystko. Potrzebuję paczkę tamponów, paczkę dużych podpasek, damski dezodorant osobisty i kilka par zapasowych majtek. Zaraz ci powiem, jakiej firmy...

Cienkie wargi Carmine wykrzywił niesmak. Wręczył jej dwudziestodolarowy banknot.

— Kupuj sobie sama. Poczekam przy wyjściu. Podeszła do lady, za którą znudzona sprzedawczyni piłowała paznokcie. W wypukłym lustrze na suficie widziała Carmine przesuwającego się między półkami w kierunku drzwi.

Ekspedientka podniosła na nią wzrok bez większego zainteresowania.

— Czym mogę pani służyć?

Christine zaczęła wymieniać potrzebne jej artykuły, kalkulując jednocześnie w myślach ich koszt. Ściskając w dłoni banknot otworzyła torebkę.

Carmine przerzucał stronicę magazynu podróżniczego, zerkając z monotonną regularnością co pięć sekund na Christine.

Kiedy cały asortyment towarów leżał już na ladzie, Christine przejrzała go starannie. W rękę miała czterdzieści dolarów. Rzucając ostatnie spojrzenie na odbicie Carmine w lustrze, poprosiła sprzedawczynię o jeszcze jeden artykuł.

W chwilę później przemierzała sklep niosąc w przygotowanej do inspekcji torbie wszystkie zakupy.

Z wyjątkiem jednego.

XLII

Jechali autostradą z San Diego, mijając miejskie krajobrazy, które Christine często widywała, kiedy w przebraniu Margot towarzyszyła Damonowi na międzynarodowe lotnisko w Los Angeles.

Lecz teraz jechali dalej na południe, do Inglewood, gdzie kierowca zatrzymał się obok skromnego motelu, oddalonego zaledwie o kilka minut drogi od lotniska.

Minęli recepcję i udali się prosto do pokoju. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Carmine wyjął małą butelkę i nalał sobie drinka nie proponując Christine nic do picia. Włączył telewizor i w milczeniu sączył alkohol.

Najwidoczniej zamierzał zamówić obiad w pizzerii i spędzić wieczór pilnując Christine. Prawdopodobnie nie powie już ani słowa aż do rana. Kiedy gapił się w ekran, ciemne oczy i krzywy nos nadawały mu wygląd dzikiego zwierzęcia, które przez pomyłkę znalazło się w pomieszczeniu przeznaczonym dla ludzi. Zrośnięty palec w obejmującej szklankę dłoni sterczał jak groteskowa parodia delikatnego, damskiego małego palca, twarde i zrogowaciały. Wyraźnie lubił trzymać tę swoją deformację na widoku i nie ukrywał jej, używając tylko zdrowej ręki.

Christine położyła się na łóżku i udawała, przez czterdzieści pięć minut, że śpi, podczas gdy jej umysł pracował intensywnie.

Znała dobrze reputację Carmine. Był jednym z najniebezpieczniejszych ludzi w swojej profesji. Tony nie wybrałby go do tej roboty, gdyby nie pragnął zdecydowanie mieć ją z powrotem, nie uszkodzoną, lecz ukaraną, oraz gdyby sam nie wierzył, że ona jest na tyle niebezpieczna, iż wymaga fachowego, potraktowania.

Nie odzywała się, gdyż wiedziała, że próba stopienia lodowej powłoki Carmine poprzez przyjazne nastawienie nie miała sensu. To wzmogłoby jedynie jego czujność.

Nie, jej plan ataku musi być bardziej wyrafinowany.

Była zadowolona, kiedy zgodnie z jej przewidywaniami-

mi zamówił pizzę przez telefon. Nie chciał ryzykować, opuszczając pokój. Ona też nie chciała. Już raz widziano ją w jego towarzystwie. Tym świadkiem był taksówkarz. To było o jeden raz za dużo.

Z drugiej strony przebranie Margot było jej pomocne. Być może taksówkarz nie zapamięta jej. W Hollywood jest tak wiele ładnych dziewcząt... Z pewnością Carmine zrobił na nim większe wrażenie. Na wszelki wypadek zapamiętała jego nazwisko i numer rejestracyjny samochodu. Kiedy już będzie po wszystkim, podejmie niezbędne kroki, by się zabezpieczyć.

To jest, o ile jeszcze będzie żyła.

Pizzę dostarczono o siódmej. Christine zmusiła się do zjedzenia jednego kawałka, w czasie gdy Carmine przeżuwał swoją, kęs po kęsie, gapiąc się beznamyślnie w telewizor, nie fatygując się nawet zmienianiem kanałów. Od czasu do czasu bekał głośno bez skrępowania, nie zwracając sobie głowy przeprosinami.

Christine umyła zęby zakupioną w sklepie szczoteczką, a potem siedziała przez pół godziny na łóżku, patrząc w ekran telewizora i czekając, aż Carmine skończy jeść.

Następnie wstała i rozpięła sukienkę.

— Chcę wziąć prysznic. Mam zostawić drzwi otwarte?

Carmine bez słowa podniósł się z krzesła, pomaszerował do łazienki i zapalił światło. Nie było okna. Brodzik pod prysznicem był czysty, obok leżała kostka mydła zapakowana w biały papier. Christine ustawiła swoje nieliczne przybory toaletowe na półeczce nad umywalką wraz z tamponami i podpaskami.

Carmine wrócił do pokoju nadal przeżuwając kawałek pizzy.

— Drzwi otwarte.

Pokiwał głową nie patrząc na nią. Wylała do brodzika buteleczkę mydła w płynie i odkręciła gorącą wodę.

Oczy Carmine znów były utkwione w ekran telewizoro-

ra. Christine wyłoniła się z łazienki w krótkiej haleczce i położyła na łóżku złożoną starannie spódnicę i bluzkę.

Rozpięła biustonosz, zsunęła go z ramion i ułożyła obok spódnicy. Potem ściągnęła haleczkę, obnażając długie uda. Stała boso przed łóżkiem składając jedwabną bieliznę przy pozostałych częściach garderoby.

Odrzuciła włosy na tył głowy, poszukała w torebce spinek i upięła przy ich pomocy kok. Kiedy uniosła ramiona i wygięła się do tyłu, jej piersi rysowały się wyraźnie na tle padającego z łazienki światła.

W końcu zsunęła majtki i rzuciła je na łóżko. Naga odwróciła się plecami do Carmine i stąpając lekko udała się do łazienki.

Carmine powoli nalał sobie kolejną porcję szkockiej do plastikowej szklanki, stanowiącej własność motelu. Nie odrywał oczu od ekranu. Woda w łazience przestała lecieć. Jedynym dźwiękiem w pokoju był pomruk telewizora. Po chwili do uszu Carmine dotarło plaśnięcie bosych stóp wchodzących do gorącej wody. Moment później usłyszał jak jej miękkie ciało sadowi się w brodziku.

Przez pewien czas patrzył na ekran. Potem dokończył drinka i skierował się do łazienki. Ot tak, na wszelki wypadek, dla bezpieczeństwa.

Brodzik pełen był pachnącej piany, zakrywającej Christine od piersi do kolan. Twarz miała zaróżowioną, a jej kolana i ramiona były tak kształtne, że z przyjemnością się na nią patrzyło.

Nie poruszyła się. Przeciwnie, przyglądała mu się uprzejmie.

— Jak widzisz, nie ma tu nikogo oprócz mnie. Sprawiała wrażenie ufnej i posłusznej. Lecz w głębi

jej oczu coś drgało niezauważalnie.

Spuściła wzrok na jego brunatną rękę.

— Carmine, powiedz, jak to było z tym palcem? Uniósł go do góry z lekkim uśmiechem. Widziała

teraz dokładnie twarde jak stal ścięgno. Paznokcie były grube i zrogowaciały.

— Mały wypadek — powiedział z dumą. — Dawno temu. Nic nie bolało.

Z oczu Christine wyskoczyła pożądliva iskierka podziwu.

— Założę się, że załatwiłeś nim wielu chłoptasiów — zamruczała. — Mam rację?

Pokiwał skromnie głową, ustawiając palec w różnych pozycjach, żeby mogła mu się lepiej przyjrzeć.

Poruszyła się w wodzie. Z piany wyłoniły się różowe i stwardniałe koniuszki piersi.

— Czy mogę... czy mogę go dotknąć? Jego oczy pociemniały.

— Tylko raz — przymilała się. — Tony nie miałby nic przeciwko temu. Jego ostrożność została pokonana przez rzucającą się w oczy dumę. Carmine zrobił krok w kierunku toalety, usiadł na sedesie i umieścił dłoń na krawędzi brodziku tak, że unieruchomiony palec wycelowany był prosto w Christine.

Jej szczupła ręka poruszyła się z wahaniem, zbliżając się i cofając, jak gdyby straszliwy paluch zarazem przerażał ją i fascynował. W końcu dotknęła go, najpierw ostrożnym muśnięciem, potem z delikatną pieszczotą.

— Jest taki twardy — wyszeptała ze zgrozą. — Jak skała.

Westchnęła. Ręką śliską od mydła zaczęła gładzić jego dłoń wokół sztywnego palca. Jej oddech stawał się coraz szybszy i krótszy.

— Czy kiedykolwiek — spytała z nutą zawstydzenia w głosie — czy kiedykolwiek pieprzyłeś nim dziewczynę?

Carmine uniósł brwi. Christine nie puszczała jego palca, lecz przywarła do niego z kobiecą żądzą posiadania, jakby przyciągana jego okrucieństwem.

Nie odpowiedział. Ale też nie wycofał palca z jej delikatnego uścisku. Zaczęła przesuwając omdlewającą dłonią tam i z powrotem po zniekształconych stawach.

— Jest taki przyjemny. Taki twardy i sterczący... Spojrzała mu prosto w oczy. Przez ich tępotę przebijało wyraźne zainteresowanie.

— Czy... przelecisz mnie nim?

Nie spuszczał wzroku z jej oczu. Jej ręka tańczyła wokół palca zrećnie i rytmicznie jak zwinne zwierzątko.

— Tony nie miałby nic przeciwko temu — zapewniła go ponownie. — Masz do tego prawo, jeśli tylko chcesz...

Przez krótką chwilę zdawał się wahać, jakby rozpatrując możliwość wyboru. Potem powoli wolną ręką rozpiął guziki mankietu i podwinął rękaw.

Spojrzał na opakowanie ze środkami opatrunkowymi na półeczce, a następnie znów na Christine. Jej oczy uśmiechały się, spragnione i zachęcające.

Łagodnie pociągnęła jego rękę pod wodę i włożyła ją sobie pomiędzy nogi.

Nie oderwał od niej oczu, kiedy paluch wszedł w nią. Trzymała jego dłoń przy swoim kroczu wpychając w siebie i wyciągając zniekształcony organ, wijąc się pod pianą z ochrypłymi jękami rozkoszy.

Czuł, że do śliskości mydła dołączyła śliskość wypływająca z jej ciała. Poruszała się nadziana na jego palec jak kremowa, żywa lalka, a jej różowe piersi drgały na materacu z piany.

— Och... — westchnęła, kiedy łechtaczka zaczęła pulsować pod wpływem jego pieścizot. — Och...!

Kątem oka zauważyła, że wyraz jego twarzy uległ diametralnej zmianie. Rzut oka na rozporek upewnił ją co do dalszego rozwoju akcji. Jego członek był w stanie tak silnej erekcji, iż zdawało się, że zamek pęknie pod jego naporem.

— Nie! — zajęczała wyrywając palec z krocza z nienasyconym tchnieniem. — Chcę cię całego!

Twarz Carmine wykrzywił dziwny grymas. Dyszał ciężko. Szmer pękających baniek mydlanych akompaniował ich przyspieszonym oddechem.

Walczył ze sobą. Ta dziewczyna należała do Toriy'ego. Carmine szczylił się swoją sumiennością i niezawodnością. To była podstawa jego nieskazitelnej reputacji. Poczucie przyzwoitości wymagało, aby Tony zaoferował mu Christine zanim jej dotknie.

— Błagam cię, Carmine — jęczała podniecona dziewczyna. — Tony nie miałby żadnych obiekcji. I tak

pozwoliłby ci wziąć mnie w nagrodę za ściągnięcie z powrotem. Chodź... Wilgotną ręką gładziła jego kolano. Widział doskonały zarys jej pleców, smukłą kibić i jędrne piersi, kiedy pochyliła się do niego.

Teraz jej dłoń błędziła w okolicach rozporoka. Jak za sprawą czarów rozpiął się zamek i pasek. Ze zręcznością kieszonkowca wyłuskała z bielizny jego kutasa, żeby odetchnął gorącym powietrzem łazienki.

Trzymając jednocześnie w rękach sztywny paluch, napawała nim wzrok.

Carmine ponownie zerknął na podpaski i tampony na półce. Ich widok pomógł mu widocznie podjąć decyzję, gdyż podniósł się z sedesu.

Spodnie opadły mu do kostek.

Czekając na niego przenosiła wzrok z koślawego palucha na seks sterczący mu między nogami.

— Chodź — słowa śpiewały w jej gardle. — Wy pieprz mnie całym sobą. Nie każ mi dłużej czekać.

Carmine, dumny z podwójnej mocy swoich dwóch męskich „narzędzi”, rozebrał się flegmatycznie. Twarde mięśnie piersi łączyły jego ramiona pod okrągłymi, nie-dźwiedziowatymi łopatkami. Jego członek, krótki i gruby, skrzył się błyszczącymi kropelkami, ześlizgującymi się już w dół do jąder.

— O Boże — wymamrotała z respektem i zachwytem. — Jaki ty jesteś piękny...

Wyciągnęła do niego ramiona, wypinając piersi i rozszerzając kolana wśród bąbelków piany.

Wszedł ostrożnie do wody i usiadł okrakiem naprzeciw niej. W mgnieniu oka jej szparka odnalazła jego koguta i schowała go w sobie.

Jednocześnie ssała z upodobaniem jego palec, przesuwając spragnionym językiem w dół i w górę.

— Och — skamlała, zniekształcając słowa przez wypełniający jej usta palec. — Jesteś taki seksy... — mięśnie pochwy zaciskały się ze znanstwem na jego penisie. — Taki seksy...

Carmine miał w swoim życiu setki prostytutek. Nigdy jednak nie zaznał pieprzenia tak skończenie fachowego i zmysłowego, jak skręcanie się bioder tej dziewczyny,

ssanie jej ust i muzyka jej pomruków i jęków. Zazdrościł Tony'emu i rozumiał już, dlaczego ten tak desperacko pragnął ją odzyskać.

Napalony do granic wytrzymałości zaczął posuwać ją krótkimi, pewnymi pchnięciami, zachwycony sposobem, w jaki jej miękkie mięśnie drażnią jego koniuszek.

Uśmiechała się. Jej ręce, kiedy wciągała go głębiej w siebie, błędziły po jego biodrach, pieściły pośladki.

Zacząła wyczuwać u niego pierwsze nadchodzące dreszcze orgazmu.

Wsunęła zręcznie rękę między jego uda i znalazła jądra pod kopulującym członkiem. Kołysała je w dłoni i uciskała delikatnie, słuchając jego jęków przyjemności. Jednocześnie drugą ręką szukała pod wodą swojej broni.

— Taki seksy... — powtarzała całując i przygryzając okaleczony palec.

— Taki seksy...

Zaczął brykać mocniej. Jądra nabrzmiwały w jej palcach. Pod warstwą piany jej prawa ręka przesuwiała się wolno naprzód.

— O Boże! — krzyknęła, gdy ciałem wstrząsnęły dreszcze rozkoszy. — O Boże...

Sperma wytrysnęła w tej samej chwili, gdy Christine uderzyła.

Brzytwa była wykonana z hartowanej stali. Kosztowała prawie dwadzieścia dolarów. Nie miała niestety okazji jej naostrzyć, ale ufała, że i tak jest wystarczająco ostra.

Przeszła z łatwością przez mosznę, przytrzymywaną mocno lewą ręką dziewczyny. Krótki, ochryply krzyk wyrwał się z gardła Carmine, zanim opadł ciężko na Christine. Jego ciało zwiotczało, a penis dogorywał w niej gwałtownymi podrygami.

Był w szoku. Christine wiedziała, że za kilka sekund dojdzie do siebie i udusi ją, mimo targającego nim bólu.

Będąc ekspertem w dziedzinie męskiej anatomii, uniosła czym prędzej brzytwę do jego gardła, odnalazła puls i rozerwała tętnicę głębokim, rzeźnickim cięciem.

Krew trysnęła na jej twarz, włosy i ramiona. Carmine zaczął rzeźić. Ostrożnie wyśliznęła się spod niego. Leżał na brzuchu z twarzą w spienionej, purpurowej wodzie. Wyciągnęła zątyczkę i obserwowała spływającą, krwawą ciecz. Jednocześnie odkręciła oba krany czekając, aż lecąca z nich woda nabierze odpowiedniej temperatury. Delikatnie chwytając palcami wyciągnęła odciętego członka z pochwy.

Wstała i odkręciła prysznic. Stojąc nad konającym mężczyzną skierowała na siebie ciepły strumień. Przez kilka chwil splukiwała włosy, potem sięgnęła po małą butelkę szamponu i umyła je dokładnie. Piana kapiała na muskularne łydki Carmine.

Następnie umyła się cała, obserwując rozpryskującą się obok jej stóp wodę, zmywającą krew do przewodów kanalizacyjnych.

W końcu obmyła stopy i wyszła z brodzika, pozostawiając strumień prysznica skierowany na głowę i kark Carmine. Woda leciała przez cały czas, kiedy się wycierała. Przeszła do sypialni i ubrała się.

Obeszła cały pokój, wycierając starannie każdą powierzchnię, żeby usunąć odciski palców, sprawdziła, czy na łóżku nie zostały jej włosy, a potem wróciła do łazienki.

Ubranie Carmine leżało w nieładzie na podłodze. Po chwili namysłu zdecydowała, że zostawi je tak, jak było.

Spakowała swoje przybory toaletowe, tampony i podpaski do papierowej torby, którą postawiła przy drzwiach pokoju. Była noc. Nikt nie zauważy, jak będzie wychodziła.

Znów wróciła do łazienki.

Na ciele leżącego w brodziku Carmine rozpryskiwała się woda. Z jego szyi i pachwiny sączyły się już tylko małe kropelki krwi.

Christine wpatrywała się w niego spokojnie. Planowała ten moment od popołudnia. Wiedziała, co musi teraz zrobić.

Uważając, aby nie poplamić się krwią odwróciła ciało i umieściła je w pozycji siedzącej, i Następnie przykłęknęła z brzytwą w rękę, żeby dokończyć dzieła.

XLIII

Tego wieczoru o dziesiątej trzydzieści strapiony Damon Rhys odebrał zamiejskowy telefon od Margot.

— Córeńko! — wykrzyknął w słuchawkę. — Jak się masz? Twoja wiadomość brzmiała tak dziwnie. O co chodzi?

— Nic strasznego — dobiegł go dźwięczny głos. — Moja mamusia miała jakieś bóle w klatce piersiowej. Wszyscy oszaleli ze zdenerwowania. Jestem teraz w szpitalu. Nie jest z nią tak źle. Po tygodniu odpoczynku wszystko powinno wrócić do normy. Ale zostanę tu parę dni, żeby zaopiekować się moimi mężczyznami, o ile nie masz nic przeciwko temu. Bez kobiety kręcącej się po domu są zupełnie bezradni, jak dzieci.

— Na litość boską, skarbie, jasne że nie mam nic przeciwko temu. Możemy tutaj walczyć bez ciebie. A może chcesz zostać dłużej?

— Nie sądzę. To jeden wielki, fałszywy alarm. Słuchaj, Damon, postaram się przylecieć w niedzielę. Samolot jest na lotnisku w Los Angeles o czwartej trzydzieści. Odbierzesz mnie?

— Naturalnie. Nie mogę pozwolić, żeby moja dziewczynka wałęsała się sama wokół lotniska. Jaki jest numer lotu?

— Linie United 346 z Des Moines.

— Zrobione, kochanie, zrobione — wymamrotał Damon, szukając pióra, aby zapisać numer.

— Jesteś pewien, że nie sprawi ci to kłopotu? — zapytała matczynym tonem, który zwiększył jego poczucie ulgi.

— O Chryste, nie, maleńka — poprzez opary pijań-

stwa uderzyła go świadomość, że po raz pierwszy rozmawia z nią na taką dużą odległość. — Będę czekał z niecierpliwością. Zjemy razem obiad.

— Brzmi nieźle, papciu. Do zobaczenia.

— Pa, skarbie. Uważaj na siebie.

Christine odwiesiła słuchawkę i rozejrzała się badawczo po pokoju motelowym w Long Beach, z którego telefonowała.

W leżącym przed nią notatniku znajdowały się numery lotów, które podano jej w informacji. o ile samolot nie będzie spóźniony, weźmie po prostu taksówkę na lotnisko do Los Angeles i spotka się tam z Damonem. Jeśli zaistnieje jakieś opóźnienie dowie się tego dzwoniąc do linii United i przedzwoni do Damona do domu z informacją, żeby na nią czekał.

Przewidziała prawidłowo, że nie będzie jej pytał w jakim szpitalu leży matka lub dokąd posłać jej kartkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Damon był zbyt zaabsorbowany sobą, by przywiązywać większą wagę do problemów osób postronnych, szczególnie mając umysł zaprzątnięty *Brzemiennym zaulkiem*.

W dodatku nie znał ani jej adresu w Iowa, ani, co się z tym łączy, numer telefonu. Po tym epizodzie będzie musiała je spreparować i podać mu. Lecz póki co, była bezpieczna. Nie będzie niczego podejrzewał, oczekując na jej niedzielny przylot.

Spojrzała na zegarek. Przez następne dni nie będzie miała nic lepszego do roboty poza siedzeniem tutaj i gapieniem się w telewizor.

I czytaniem gazet.

XLIV

W czwartek w pokoju Shelton Motor Inn w Inglewood policja znalazła ciało znanego w świecie podziemnym przestępcy. Zostało ono zidentyfikowane jako zwłoki Carmine Gamino, który występując pod wie/oma nazwiskami uważany był przez

władze federalne za wysoko postawionego członka w hierarchii mafijnej rodziny Corona z Miami, a także za bezwzględnego, kontraktowego mordercę, zamieszanego w dziesiątki niewyjaśnionych przestępstw popełnionych w ciągu ostatnich jedenastu lat. Gamino został znaleziony w brodziku wynajętego przez siebie pokoju w motelu. Jego nagie ciało było częściowo okaleczone. Został zamordowany w sposób, który policja określiła jako typową gangsterską egzekucję.

Detektywi obecni na miejscu zdarzenia powiedzieli dziennikarzom, że nie mają żadnych podejrzanych o dokonanie tego zabójstwa...

Reporter *Timesa* zakończył swoją relację stereotypowymi sformułowaniami.

— W porządku — powiedział do siebie, przesuwając egzemplarz na biurku. — Teraz tylko trzeba to zanieść do Stana, a potem do działu redakcyjnego.

Potrząsnął głową, spoglądając na rozłożone notatki. Carmine Gamino dostał wreszcie za swoje.

Co prawda miejsce, w którym dokonano morderstwa było w pewien sposób zaskoczeniem. Po pierwsze dlatego, że Carmine raczej nie zapuszczał się w interesach na zachód. Zatem kiedy go dopadli, znajdował się daleko poza własnym terenem. Należało się raczej spodziewać, że uderzenie nastąpi w Miami lub Baltimore. Tak więc cała ta sprawa była cokolwiek dziwna.

W każdym bądź razie Carmine był najlepszym z najlepszych. Żeby go sprzątnąć z tego świata trzeba było chyba całego batalionu.

Dziennikarz zmiął notatki i wrzucił je do kosza. Wzruszył ramionami.

Musiał naturalnie trochę „dosłodzić” tę historyjkę. Gliniarze uczestniczący w oględzinach zwłok nie byli zbyt zbulwersowani znajdując takiego oprycha jak Gamino z jądrami wpakowanymi w usta. Bo właśnie w taki sposób to zostało zrobione.

Nie można jednak serwować tak drastycznych opisów szerokiej rzeszy czytelników. To nie wyszłoby na dobre gazecie.

XLV

Damon spędził piątkowy i sobotni wieczór sam, grając na skrzypcach i pijąc więcej niż zwykle. Odwołał obiady z ludźmi z produkcji, decydując się, z niejasnych dla siebie samego przyczyn, na samotność.

Już od ponad roku ten dom nie był taki pusty. Ciszę mąciło jedynie odległe wycie kojota. Damon czułby się osierocony i trochę przerażony czekającą go samotną nocą, gdyby nie świadomość, że Margot wraca do domu.

Wraca do domu! Było niemal przyjemnością rozstać się z nią, po to, by móc się cieszyć pikanterią jej powrotu. Cisza wokół niego była teraz pieszczotą, ponieważ za niecałe dwadzieścia cztery godziny te pokoje usłyszą znów szelest jej lekkich kroków.

Damon rozmyślał nad swoimi pragnieniami, popijając whisky. Czuł dzwonięcie w zmysłach. Próbował je zgłębić, ale zrezygnował.

Te uczucia były z pewnością rezultatem napięcia spowodowanego zdjęciami. Być może sprawę pogarszały jeszcze wątpliwości związane z wiekiem, możliwościami twórczymi i przyszłością jako pisarza.

Nic więcej! Tylko to.

A jednak, a jednak... Dźwięk jej głosu przez telefon był tak kojący, tak czysty, tak zuchwały i tak czarowny...

Jak mógł tak ni stąd, ni zowąd, po tylu miesiącach traktowania jej jako atrakcyjnej sekretarki i symbolicznej córki zobaczyć w niej niesamowicie zmysłową kobietę?

Co się działo?

Dlaczego tak nagle?

Kiedy sobotni wieczór stał się niedzielnym porankiem, Damon przeszedł na palcach przez puste pokoje, wiedząc, że jego bezskuteczne próby cofnięcia czasu zostały zniweczone przez jego oczekiwanie na Margot.

W niedzielne popołudnie pojechał na lotnisko, aby ją odebrać.

Zmizerniała nieco, co było zrozumiałe, gdyż martwiła się o matkę i opiekowała rodziną.

Zaskoczyła go jednak tym, że zmieniła uczesanie. Włosy były teraz mniej falowane i opadały na jej szczupłe ramiona z bardziej wypracowaną elegancją. Wyglądała nawet korzystniej, gdyż nowa fryzura dodawała jej smaczku, który przypominał mu Annie.

Wydawała się też bledsza, co potęgowało jeszcze to wrażenie. To również było zrozumiałe, ponieważ na zapomnianym przez Boga i ludzi środkowym zachodzie było teraz cholernie zimno.

— Na Boga, Margot — powiedział, ujmując ją za ramię — zmieniłaś się. Jak cztery dni mogą tak zmienić człowieka? Czy było gorzej, niż powiedziałaś przez telefon?

— Ależ skądże — roześmiała się. — Nudziłam się snując po domu, więc dla rozrywki zmieniłam uczesanie. I zdecydowałam się zastosować błyskawiczną dietę, kiedy zobaczyłam moją kuzynkę Cindy, która jest tak szczuplutka, że czułam się przy niej jak beczka. Od teraz będę musiała uważać na przysmaki Conchaty. Jak ci się podobają moje włosy?

— Cudowne — powiedział, chłonąc zapach jej perfum, który drażnił jego nozdrza, gdy szedł obok niosąc walizkę.

W drodze do domu, w samochodzie, wydawała się trochę wyciszona, uśmiechając się do niego łagodnie lecz niewiele mówiąc. Jej zwykły rubaszny humor zdawał się być przytłumiony przez słodką ociężałość, która jednocześnie czarowała go i powodowała niepokój o to, czy ona naprawdę dobrze się czuje.

Kiedy napomknął o tym, szybko się rozjaśniła prezentując mu przebłysk swojego typowego „ja”, targając mu włosy i żartując na temat jego cerowanej koszuli. Potem znowu popadła w cichą rezygnację.

— Chyba miło było spotkać się znowu z rodziną? — spytał, trzymając ją za rękę.

— O tak — uśmiechnęła się. — Ale muszę przyznać, że naprawdę się cieszę, iż jestem znów tutaj. Nie zostało we mnie zbyt dużo ziemi rodzinnej, tatuśku. Wczoraj byłam już potwornie zmęczona Iową. Jeśli kiedykolwiek zrobię dyplom, założę się, że skończę w UCLA, USC lub

CUNY, oczywiście jeśli mnie zechcą. — Uścisnęła jego rękę. — W każdym bądź razie miło jest podróżować tysiąc pięćset mil ze świadomością, że nie opuściło się ani na chwilę domu.

— To cała moja dziewczynka — zagrzemiał Damon. — Wiesz, gdzie jesteś potrzebna. A czeka na ciebie cholernie dużo roboty. Chryste, plan filmowy bez ciebie przypominał dom wariatów.

Odmówiła wyjścia na obiad, twierdząc, że ma dla niego niespodziankę. Kiedy już się rozpakowała, zaczęła się krzątać po kuchni, a on słuchał dobiegającej stamtąd muzyki na skrzypcach i popijał.

Obiad stanowiła wyśmienita duszona pieczeń wołowa, której szacowny status specjalności domu stał się oczywisty od pierwszego kęsa. Margot podała ją ze świeżą dynią z pól Iowy i uzupełniła posiłek pikantnym ciastem domowej roboty, którym wprawiła Damona w zdumienie.

— Co o tym sądzisz? — spytała, kiedy skończyli jeść.

— To wprost nie do wiary. Dziecko kochane, nigdy nie przypuszczałem, że potrafisz gotować takie pyszności.

— To typowe dania z naszej regionalnej kuchni. Jedyne co potrafiłam gotować, zanim przeszłam przez szkołę Conchaty. Przepis na pieczeń stanowił kulinarną tajemnicę rodziny matki. Ciasto jest specjalnością ciotki Winnie.

— Myślę, że ciotka Winnie przeszła samą siebie — promieniał Damon.

— Wiesz, nie jadłem takiego ciasta od dwudziestu, a może nawet trzydziestu lat. Miałem kiedyś dziewczynę, która umiała je piec.

Oczywiście nie było tak dobre jak twoje, ale wtedy mi smakowało.

Spojrzała na niego przez stół z czarującą przekorą w zielonych oczach.

Na dworze zapadał zmierzch, a światło świec nadawło jej policzkom ciepły, złotawy odcień.

— Jaka ona była?

— Kto?

— Tamta kobieta. Twoja dziewczyna. Wzruszył ramionami.

— Kto to pamięta. Aktorka. To było w niezbyt dobrych dla mnie czasach. Byliśmy jakiś czas kochankami. Była w pewien ponury sposób kimś. Pochodziła z przeciętnej rodziny ze środkowego zachodu. Już wówczas miała w sobie trochę z dziwki. Potem nigdy jej nie widziałem.

Przypuszczam, że wyszła za jakiegoś bufona mieniącego się podporą społeczeństwa albo prowadzi dom publiczny. To do niej podobne. W teatrze spotykało się różne typy ludzi.

Zmarszczył brwi.

— Dziwne — powiedział po przerwie. — Niby to wszystko była błazenada, takie kręcenie ze sobą bez celu. A jednak okazało się, że ona naprawdę chciała złapać mnie na męża. Wyśmiałem ją i nie robiłem też z tego tajemnicy. Dla mnie ona była po prostu... no wiesz czym. Ale nie dziwiłbym się, gdyby mnie za to znienawidziła na całe życie. Za to, że nie brałem jej bardziej poważnie. To był jeden z tych niuansów, które nie od razu spostrzegasz — westchnął. — W każdym bądź razie jej ciasto nie było ani w połowie tak wyśmienite jak twoje.

— To dobrze.

Zostawiła niedojedzony kawałek i bawiła się z roztargnieniem kieliszkiem z winem, rzucając mu od czasu do czasu nieobecne spojrzenia.

— Wyglądasz na zaabsorbowaną czymś, dziewczyno — powiedział, wyczuwając w jej nastroju dziwny stan. — Oddałbym ostatniego centa, żeby się dowiedzieć, o czym myślisz.

— Jestem po prostu szczęśliwa będąc tutaj. Szczęśliwa będąc tutaj z tobą, tatuśku.

Uparła się, że sama pozmywa naczynia po obiedzie. Siedział w salonie, sącząc brandy. Nie włączył żadnych świateł. Cienie z kanionu czały się w kątach jak intruzi.

Powodowany impulsem włączył stereo. Na tarczy gramofonu znajdowała się jak zwykle partita D Minor w wykonaniu Szerynga. Na kilka minut pusty pokój wypełnił dojrzały, basowy głos skrzypiec. Perfekcyjne — pomyślał Damon smutno.

Jednak po chwili Bach dotknął jakąś złą strunę w jego psychice, wstał więc, aby wyłączyć płytę.

— Pozwól, że ja to zrobię — powiedziała Margot, wchodząc do pokoju boso, w szortach i koszulce bez pleców, czytając bez trudu w jego myślach. — Chcesz to wyłączyć?

Pokiwał głową i patrzył w zachwycie jak ruszyła w jego kierunku na sprężystych, młodych nogach i osunęła się na podnózek u jego kolan. Emanowała niewidzialnym światłem doskonałego zdrowia i czystego, młodzieńczego seksu, a jednak jej przygaszone zachowanie uderzyło go raz jeszcze.

— Wiesz, maleńka — powiedział, kiedy aromat brandy wymieszał się z zapachem jej perfum — ja chyba głupieję. Wy dwie wyglądacie jak siostry.

— Ja i kto?

— Annie oczywiście. A kto inny w moim otoczeniu mógłby być porównywany z tobą?

— Ja i Annie? — w jej głosie było coś niemal prowokacyjnego. — Cóż, nie sędzę, aby to podobieństwo przyniosło mi jakąś dużą rolę w tym sezonie. Damon czuł, że dygocze. Była taka delikatna i niewinna w tych szortach i koszulce, beztroska jak pensjonarka. Wydawało się, że dzisiejszego wieczoru posiadała cały kruchy urok Annie, nie przestając być sobą. Ulga spowodowana jej powrotem przerodziła się w falę pokornej wdzięczności za jej obecność. Miło było być z nią, czuć ją tak blisko siebie. Lecz nagle jego oczy spoczęły na słodkich, jędrnych piersiach i krągłościach jej bioder. Pod szortami dziewczyny wyczuwał kobiecy, pachnący seks. Była jak kwiat, świeży, mieniący się barwami, trujący kwiat. Poruszyła się na podnóżku.

— Więc przypominam ci ją, tak? — coś filuternego w jej głosie wypełniło go pieśczołą od stóp do głów. Nie mógł znaleźć słów, by jej odpowiedzieć. — A więc nie jest ze mną jeszcze tak źle, skoro ci się podobam.

Roześmiał się nienaturalnie.

— Podobasz mi się? To za mało powiedziane, najdroższa. Ubóstwiam cię! Jesteś niezastąpiona...

Nagle uświadomił sobie, jak niewłaściwie były zaadresowane jego słowa. Zawisły żałośnie w powietrzu, powstrzymane widokiem zarysowującej się w półmroku piękności.

Chryste, spraw, abym jej nie pożałował. Zanim zdążył skończyć tę niemą modlitwę, naturalnym i spontanicznym ruchem małej dziewczynki osunęła się i położyła głowę na jego kolanach jak kotka.

To było okropnie kłopotliwe. Ona, tak słodka i niewinna w swojej potrzebie kontaktu z kimś bliskim, podczas gdy jego seks nabrzmiewał i drgał niespokojnie pod ciężarem jej twarzy.

Musiała wyczuć jego zmieszanie, ponieważ wyprostowała się i uśmiechnęła, jakby nic się nie stało.

Damon popatrzył w jej oczy. Słowa nie przychodziły. Cała jego jaźń została złapana w pułapkę na krawędzi czegoś niebezpiecznego. Czekał, aż zaklęcie zostanie zdjęte, gdyż brakowało mu siły woli, by zrobić to samemu. Jego ręka uniosła się, by ująć szklanekę z drinkiem.

Zatrzymała się jednak w połowie drogi, kiedy zobaczył, że Margot sięga szczupłymi palcami za siebie, jakby chciała dotknąć zmęczonej szyi.

Zapinana na karku bluzeczka opadła, wystawiając na widok jego zdumionych oczu dojrzałe, młode piersi.

Damonowi nie drgnął nawet mięsień. Na usta cisnęły się mu słowa protestu, które umierały bezradnie na jej widok. Chciał znaleźć odpowiednie sformułowania, żeby powstrzymać ją przed obnażaniem tych perfekcyjnych kształtów, pohamować ją wymówkami, zanim będzie za późno.

Lecz ona dalszymi kilkoma ruchami pozbyła się zupełnie koszulki i odrzuciła ją na podłogę. Rozpięła szorty, zsunęła je z nóg i teraz tylko majtki przylegały jak kwiat do jej białego ciała. Z włosami świecącymi w półmroku sprawiała wrażenie alabastrowego ducha.

Damon łapał oddech chcąc jej powiedzieć, żeby przestała, zmusić ją obcesowym śmiechem do ubrania się.

Lecz nie był w stanie tego zrobić.

Ściągnęła majtki i wśliznęła się miękko na jego kolana. Siedząc na nich okrakiem, z palcami w jego

włosach, przyciągała jego twarz do swojej z niemym błaganiem będącym jednocześnie stanowczym rozkazem. Pochyliła się i wsunęła język w jego usta.

Wstrząsnął nim potężny dreszcz. To było tak, jakby był całowany przez anioła.

Nagle jej mądre ręce rozpięły guziki koszuli i pieściły tors. Potem błądziły po jego czole, policzkach, brzuchu, aż dotarły do paska i rozpięły go.

Wreszcie odzyskał oddech, by zaprotestować.

— Kochanie...

Uciszyła go pocałunkiem tak śmiałym, tak głębokim, że pomyślał iż za chwilę spuści się w majtki z rozkoszy.

Potem, gdy gapił się na nią bezradnie, pociągnęła go do pozycji półleżącej i ściągnęła z niego spodnie wraz ze slipami. Pachnąca grzywa włosów okryła jego uda jak satynowa narzuta, kiedy bez wahania wzięła jego członek do ust i zaczęła go powoli ssać.

Patrząc na jej nagie ciało, na smukłą kibić i długie, piękne nogi uświadomił sobie jak wiele z jego energii seksualnej zostało w ciągu tych ostatnich lat przelane w pracę, kiedy to pochlebiał sobie, że menopauza uwolniła go od infaltylnej potrzeby uwodzenia młodych dziewcząt.

Wystrychnął sam siebie na dudka.

Płonął cały, kiedy poruszała swoją śliczną główką nad jego penisem. Z dziecięcą naturalnością bawiła się nim jak zabawką, liżąc go i ssąc, suwając delikatnymi palcami w górę i w dół. Z gardła Damona wyrwały się niskie jęki zachwyty.

Potem wczółgała się z powrotem na jego kolana, pieszcząc jego piersi i ramiona, sprawiając, że czuł się młody, żywotny i szaleńczo samczy. Po chwili nasunęła się na jego członek, rozluźniając i zaciskając niewiarygodnie silne mięśnie swojej rozkosznej cipki.

Boże, te śliskie ścianki jej szparki były jak ręce. Drżały, drażniły i falowały, pieszcząc każdy cal jego fiuta rytmicznymi skurczami.

Znów go pocałowała. Otoczył rękami jej plecy, znalazł pośladki, potem pachwiny, poczuł jak mokra lepkość opływa jego palec.

Ośmielił się spojrzeć jej w oczy. Patrzyła na niego

przez skośne szparki z figlarnym wyrazem dziecięcej radości.

Pojękiwała cichutko, a łaskoczące ściskanie jej pochwy stało się nagle tak gwałtowne, że nie mógł się już dłużej opanować. Sperma eksplodowała w nią gorącym strumieniem, tak podniecająco, że prawie krzyknął.

W sekundę było po wszystkim. Odpoczywała na nim, pieszcząc mu twarz i kark, poklepując i kojąc. Czuł na policzku jej uśmiech. Całowała jego oczy. Kiedy w końcu wyśliznął się z niej, wydała westchnienie żalu.

— Nie ruszaj się — szepnęła wstając. — Zaraz wrócę.

Po chwili była z powrotem z opakowaniem chusteczek higienicznych.

Wytarła go delikatnie, całując jednocześnie jego brzuch, uda i zwiotczały członek. Zapach seksu wypełnił powietrze jak zapach deszczu po burzy.

— Maleńka — westchnął ze spóźnioną siłą woli — dlaczego mnie do tego sprowokowałaś? Jest mi tak głupio i przykro...

— Nie powinno być ci przykro, tatuśku. Dałeś mi tyle szczęścia!

— Jezu Chryste...

Kiedy skuliła się na jego kolanach, a on gładził jej włosy, miał wrażenie, że uległ jakiemuś obłędowi. Widział w niej nie tylko anielską, czy nawet świętą pielęgniarzkę ratującą jego starzejące się *libido*, oczyszczającą każdy dotykany przez siebie kawałek ciała, ale także córkę. I w przedziwny sposób czuł się z niej dumny. Jak gdyby ta córka, której zresztą nigdy nie miał; otworzyła się dla niego i sprezentowała mu swą zdrową kobiecość będącą owocem jego własnych lędźwi, jego dumą i radością.

Dumny z tego, że spółkował z rodzoną córką! Tracę zmysły — pomyślał.

Tylko szaleniec mógł mieć takie myśli.

Lecz myśli te nie opuszczały go, kiedy ona tuliła się do niego, muskając pocałunkami jego twarz jak prosta, wiejska dziewczyna, która podziwiała go i dała mu to, co uważała za najbardziej naturalny dar.

Minuty mijały w ociążalej, sennej atmosferze. Dawna,

intuicyjna zażyłość czyniła słowa zbytecznymi nawet w tym nadzwyczajnym momencie. Damon czuł, jak jej krocze dotyka jego krocza. Jej nogi oplatały go z dziewczęcą zaborczością. Jej pocałunki raz po raz zaszczycały jego usta.

Niewysłowiony spokój koił jego zmęczone członki, słodszy niż wszystko, co czuł kiedykolwiek przedtem, jakby cudowne stworzenie trzymane w ramionach raczyło mu podarować łaskawie tę jedną rzecz, o którą nieświadomie błagał przez całe życie.

W jego wyobraźni filmowca skromna koszulka bez pleców spadała ciągle od nowa, jędrne piersi unosiły się, kruche żebra i zgrabne biodra prezentowały się z dojrzałym uśmiechem dziewiczego ciała...

Jak to się mogło stać? Jak ona mogła być tak sprytna, tak piekielnie sprytna żeby wiedzieć, kiedy jest bezbronny, kiedy jego męskie poczucie przyzwoitości jest bezradne wobec jej zachcianek?

Na myśl o tym jego męski organ uniósł się ponownie, napierając gwałtownie na jej prężne uda. Miękkie pocałunki Margot stały się bardziej agresywne, a język znów drażnił jego język. I ruchem tak płynnym i ładnym, że marzył, aby trwał wiecznie, wsunęła się pod niego i po raz kolejny wprowadziła go w siebie.

— Nie przejmuj się. Zrób mi to jeszcze raz.

I zrobił. Zdumiony własną walecznością i przeogromnym apetytem na dziewczęce ciało, poruszał się na niej wolno, świadomie. Czuł zachwycający rytm jej seksu pieszczącego jego męskość i wdychał jej czysty, młody zapach, przemieszany teraz z wonią miłości.

Mruczała łagodne słowa zachęty jak młodziutka nauczycielka, a jej głos był tak zmysłową pieszczotą jak ręce.

— Jeszcze Damon. Och, proszę, jeszcze... Robisz to tak wspaniale.

Mistrzowska gra zręcznych palców na jego pośladkach, a potem wewnętrznych stronach ud zrobiła swoje. Szczytował z wielkim spazmem, z orgazmem oderwanym od niego przez jej szepty, jej piękność, jej niewiarygodną gotowość. Kiedy ostatnie ziarenko zatraciło się

w jej ciepłych lędźwiach, z jego piersi wyrwało się potężne westchnienie. Leżał na niej wyczerpany, z członkiem ciągle jeszcze twardym, ciskającym się i drżącym. Margot bawiła się jego włosami.

— Tatuśku — westchnęła — dziękuję.

Damon potrząsnął głową tylko w myślach. Czuł, że dwa razy zapukał do drzwi katastrofy. Zdrowy rozsądek nakazywał, żeby podwinął ogon i uciekał póki czas. Lecz miękki kociak, który go teraz trzymał, nie pozwoliłby mu odejść i stukałby do drzwi, dopóki by mu nie otworzył. Wiedział to.

Jej nogi oplatywały jego biodra, jej ramiona otaczały jego plecy, jej usta składały lekkie pocałunki na jego karku.

Zapatrzył się w stare poduszki na kanapie, jakby to była czarna, kryształowa kula, której głębia zawiera jego przeznaczenie.

Nie widział jej oczu, wpatrzonych w noc, błyszczących i spokojnych.

XLVI

W poniedziałek ósmego listopada Tony Pietranera otrzymał dostarczoną przez posłańca przesyłkę. Nie było na niej stempla.

Położył ją na biurku i przyglądał się długo i intensywnie. Była dość ciężka, co najmniej trzy, cztery funty.

W końcu otworzył ją i wrzucił opakowanie do kosza.

Wewnątrz znajdował się gruby plik papierów, w większości fotokopii.

Była także mniejsza, zapakowana oddzielnie paczuszka.

Przeglądając strona po stronie papiery, Tony robił się coraz bledszy.

Zawierały one szczegółowy zapis jego szantaży i dokumentowały jego działalność w ściąganiu należności od dłużników mafii w ciągu ostatnich czterech lat. Były to fotokopie czeków i listów, kompromitujących fotografii i kartek z pogroźkami.

W sumie wszystkie te materiały wystarczyłyby, żeby posłać Tony'ego do więzienia stanowego lub federalnego na trzydzieści lat.

Do pierwszej strony dołączona była mała karteczka.

Pewni ludzie posiadają oryginały i kopie tych i innych materiałów — przeczytał. — Jeśli coś mi się stanie, podejmą odpowiednie kroki.

Żegnaj, Tony.

Nie było podpisu.

Patrząc na te papiery, Tony odczuwał wściekłość i niemoc. Lecz jeszcze potężniejsza była przelewająca się przez niego fala smutku.

Przecież chciał mieć Christine z powrotem nie po to, by ją ukarać, lecz po to, żeby ją kochać.

A teraz nie zobaczy jej już nigdy.

Nigdy.

Stał gapiąc się przez chwilę w przestrzeń, po czym jego wzrok przyciągnęła mała paczuszka.

Kiedy ją rozpakowywał, w nozdrza uderzyła go dymiąca cierpkość suchego lodu. Z zapartym tchem otworzył pudełko.

Wewnątrz znajdował się blady i zakrwawiony, koślawy paluch Carmine Gamino.

XLVII

Po czternastu tygodniach morderczego wysiłku obsada i ekipa techniczna *Brzemiennego zaułka* odetchnęła. Zdjęcia zostały zakończone.

Cała załoga produkcji popadła w chwilowe skrajne wyczerpanie nerwowe. Żaden film nie powodował dotąd tak wiele niepewności i obaw u jego twórców.

Wyrafinowane wyzwanie rzucone charakteryzatorom w miarę jak Daisy starzała się było tak trudne, że Andie Ritchie stworzyła z pojedynczych zdjęć klitek filmu poważny „dziennik pokładowy” po prostu po to, żeby utrwalić efekty swojej harówki.

Praca z siedmioma dziećmi — aktorami grającymi

dzieci Daisy w poszczególnym wieku — wykończyła Marka Salingera nerwowo.

A donkiszotowskie lecz żarliwie uporczywe zmiany dokonywane nagminnie przez Damona Rhysa w scenariuszu, niemal doprowadziły wszystkich do szaleństwa.

Teraz, kiedy to się skończyło, Damon modlił się, aby z pomocą Aileen Mahler i jej montażystów poskładać film w kopię ekranową, która sprostą jego oczekiwaniom. Trzymał kciuki, lecz złożoność filmu uniemożliwiała zorientowanie się po fragmentach, czy on i Marek uzyskali właściwy wydźwięk, właściwy wyraz i perfekcyjne tempo.

Dla Damona tylko jedno było pewne: że Annie była wspaniała jako Daisy.

Kiedy obejrzał kopię roboczą — straszny moment dla każdego filmowca, gdy ma wszystkie sceny przed oczyma, choć jeszcze ostatecznie nie zmontowane, a nawet bez retuszu koloru i dźwięku — wiedział natychmiast, że Annie uniesie na sobie ciężar całego filmu i porwie widzów.

Stworzyła postać Daisy z perfekcją przewyższającą jego najśmielsze marzenia, wcielając się w rolę młodej kobiety, która odmawia zaakceptowania swego szczęścia i nieświadomie dąży do samozagłady przy pomocy broni, jaką są dla niej poślubieni przez nią mężczyźni. Annie znalazła sposób na odczytanie niektórych kwestii z dziwną pogodą ducha, z niemal humorystycznym odcieniem, który przyćmił ich smutek, wywierając jednocześnie podświadomy efekt na publiczność. To było największe manipulowanie podświadomością widza, jakie Damon kiedykolwiek oglądał. Stwierdził, że Annie jest genialna.

Oglądanie tego przez kogoś, kto znał Annie, wywoływało niesamowite wrażenie. Annie była przecież tak uparta w dążeniu do celu i przepełniona afiliacją życia, a Daisy tak ogarnięta dążeniem do samozagłady. Annie sprawiała swą grą, że w widzu rosły nadzieje co do losów Daisy, podczas gdy świat stworzony przez Damona boleśnie zaprzeczał tym nadziejom. Przedłużające się

konanie Daisy przybierało kształt słodkogorzkiego piękna, które trwało w umyśle jak obsesja.

Jak Annie słusznie zauważyła po pierwszym obejrzeniu wersji ekranowej, *Brzemienny zaulek* był rzeczywiście jak smak jedzonego po raz pierwszy kawioru: początkowo trudno się było do niego przyzwycząić, lecz potem nie można było zapomnieć.

Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, co Damon rozumiał doskonale od samego początku, że to jej własny talent był kluczem do uzyskania tego unikalnego smaku.

Przez pierwsze tygodnie po zakończeniu zdjęć Damon był w stanie bliskim załamania, wędrując godzinami po domu lub grając na skrzypcach, to popadając w całkowite milczenie. Do biura włókł się z największą trudnością i niechęcią.

Margot była cały czas przy nim pilnując, by jadł, kontrolując jego picie, wstając w środku nocy, aby mu towarzyszyć i zapobiec pijackim wypadom poza dom. Wiedziała, że po harówce nad *Brzemieniem zaulkim* jego energia twórcza była wyczerpana. Depresja była stałym zagrożeniem. Potrzebował życiowego wsparcia.

Nie musiała się martwić, że wyjedzie w jakiś dłuższy pijacki „ciąg”. Zbyt jej potrzebował.

W tygodniach, które nastąpiły po jej pamiętnym powrocie „z Iowy”, kochali się codziennie. Margot dodała po prostu swoje pieśczęty i miękka ustepliwość własnego ciała do wielu innych sposobów troski o Damona.

Kochali się o świcie, przed rozpoczęciem codziennych zajęć. Spoglądał potem na nią ze swojego fotela, skuloną z notatnikiem, uważną jak zawsze, lecz z ciałem pachnącym jeszcze jego namiętnością, z gładką skórą noszącą jeszcze ślady jego dotyku.

Niekiedy gwałtowne pragnienie posiadania jej uniemożliwiało mu zapadnięcie w pijacki sen i o dziesiątej wieczorem, kiedy Conchata opuszczała dom, wchodził trochę zażenowany do jej pokoju.

Patrzył na leżącą Margot i słuchał jej równego oddechu nie chcąc jej budzić. Podświadomie wyczuwała

jego obecność i szczupłe ramiona wyciągały się, by go przyciągnąć. W weekendy, kiedy byli sami, kochali się o wszystkich porach dnia. Kochali się w kuchni, gdzie odrywał ją od przygotowywania lunchu, kochali się w salonie przed porą na koktajl, kochali się rano, zaraz po przebudzeniu, żeby pięknie rozpocząć dzień.

Jej słodycz, jej bezwarunkowa dostępność, były dla niego narkotykiem, od którego nagle się uzależnił. Smakując jej pocałunki, wchłaniając z rozkoszą jej świeży, kobiecy zapach, spoglądając w zdumieniu na skończenie doskonałe kształty jej ciała, odczuwał dziwne poruszenie i niepokój w swych męskich lędźwiach.

Przez trzydzieści lat żartował z tego, że nie posiada dzieci. Zmarnował życie flirtując i cudzołóżąc, a teraz pozostawi swój dorobek literacki i filmowy potomności, zamiast własnym dzieciom. Hołdował przekonaniu, że większość rodziców niewłaściwie postrzega swoje potomstwo jako przedłużenie własnego życia, a on nie chciał być nieśmiertelny.

Lecz obecnie, kiedy kontemplował tę cudowną nimfę znającą jego duszę niemal lepiej niż on sam i poświęcającą własną egzystencję potrzebom i wygodzie, odczuwał zakazane pożądanie, by mieć z nią dzieci i zatrzymać ją u swego boku do czasu, aż uwiad starczy odbierze mu zdrowie i ciało.

Dlaczego nie? Musi jedynie poślubić ją i kochać, to wszystko. Kochać ją, by doświadczyć cudu oglądania owocu ze swego nasienia, a potem pozostawić jej wystarczająco dużo ze swoich znacznych oszczędności, by mogła zatroszczyć się o ich dzieci po jego śmierci.

Śmierci? Dlaczego? Przecież ma dopiero czterdzieści dziewięć lat! Może się razem z nią zestarzeć...

Lecz nie: pomyślał o swoim alkoholizmie. Nie spodziewa się żyć długo. A zatem dlaczego nie pozostawić czegoś po sobie, wspólnie z Margot? Pokusa była silna.

Tymczasem Annie zaczęła odczuwać silne wyczerpanie spowodowane wcielaniem własnego "Ja" w ekranową postać, uwiecznioną na tysiącach metrów taśmy filmowej, definitywnie i niezmiennie, nawet gdyby pocięto ją na kawałki.

Annie nie miała dokąd się udać ze swoją słabością, z zszarpanymi nerwami, z wyeksploatowanym talentem. Mogła jedynie siedzieć nieruchomo, czując się jak nie nakręcona, mechaniczna lalka.

Pustka pozostawiona w niej przez Daisy była tak totalna, że zaćmiewała każdy smutek, jaki mogłaby odczuwać z powodu osobistych tragedii. W gruncie rzeczy nie było to uczucie tak zupełnie nieprzyjemne.

Nie wiedziała, czy jeszcze kiedy zagra. Lecz wiedziała, że tym razem dała z siebie wszystko. Była wyczerpana wysiłkiem wcielania się w Daisy, największym i najbardziej wyczerpującym wysiłkiem, jaki kiedykolwiek podjęła. Źródła jej inspiracji jako aktorki zostały opróżnione przez Daisy.

W tym tkwiła głęboka, nawet jeśli nieco makabryczna, satysfakcja.

W międzyczasie miała rodzinę, która dbała o nią i dopingowała do działania. Większość dni spędzała w domu w kanionie, gdzie z Damonem i Margot koncentrowała się na bólach końcowej fazy produkcji

Brzemiennej zaulka.

Studiowali kopię roboczą, martwili o przedłużający się montaż, zastanawiali się głośno, czy poszczególne sceny mogłyby być lepiej wyważone, lepiej nakręcone, lepiej zagrane. Wypijali dziesiątki filiżanek kawy i herbaty, przemierzali tam i z powrotem salon, jedli lunch i obiady rozdarci pomiędzy relaksującym nastrojem spotkania towarzyskiego, a pełnym napięciem zaangażowaniem w sprawę „ich” filmu.

Kiedy nie mogli już tego dłużej znieść, popadali w impulsywne nastroje i wychodzili gdzieś razem, aby się po prostu zabawić i uciec na kilka godzin od dzielonej wspólnie obsesji. Jeździli do samochodowego kina, gdzie Damon pił whisky z butelki, podczas gdy dziewczęta zapychały się prażoną kukurydzą i batonikami. Jeździli na małe pola golfowe, do wesołych miasteczek, byli na

meczu Lakersów i na wyścigach konnych, gdzie płakały ze śmiechu, słuchając zjadliwych komentarzy Damona. Udali się do sklepu z męską odzieżą, gdzie po godzinnym przymilaniu się przekonały Damona, aby kupił sobie nową marynarkę w miejsce starej i zeszmaczonej, którą od dwudziestu lat wkładał na siebie wychodząc do restauracji.

Damon chodził też nad basen pani Guenther, gdzie pływały Annie i Margot. Stał na brzegu, słuchając ich śmiechu i plusku gibkich ciał w nagrzanym słońcem wodzie oraz uśmiechał się z ojcowską dumą na ich widok.

W jego spojrzeniu było jednak coś więcej niż duma. Kiedy patrzył na Margot, Annie łapała w jego spojrzeniu zamyślony, bardzo osobisty błysk. Czują wtedy, że w ich trójce coś się zmieniło, coś co ich zbliżyło, a mimo to było przejmująco gorzkie, gdyż oznaczało, że znajdowali się na krawędzi sytuacji, która nie mogła trwać wiecznie.

No cóż — pomyślała — czas jest zbyt surowym panem, by dogadzać życzeniom zwykłych śmiertelników. Jesteśmy przecież razem, a to oznacza wszystko, czyż nie?

Tak więc trzymała rękę Damona, wicherzyła jego włosy, pracowała i bawiła się z nim i Margot wyczuwając, że jej największym zobowiązaniem wobec życia było uwierzyć, przynajmniej teraz, że tak będzie już zawsze.

Lecz nigdy nie podejrzewała, że czas przyspiesza kroku jak wir odrywający się od dna morza.

XLVIII

Reporter Hollywoodzki, 20 marca 1974

Dziś po południu chodnik przed Grauman Chinese wzbogaci się o nowy komplet śladów stóp, za którymi kryje się jedna z najbardziej fascynujących i godnych podziwu opowieści w historii Hollywoodu. Odrodziwszy się z popiołów kontrowersyjnej kariery sprzed kilku lat, która przyniosła jej równie wiele upokorzeń jak sławy, Annie Havi/land zagrała w tym roku w Brzemiennym zaułku Damona Rhysa, który rzucił Hollywood tam, gdzie jego miejsce, czyli do jej stóp.

Film wprowadzony na ekrany późną jesienią, a zatem w ostatniej chwili, by mógł być brany pod uwagę przy rozdiale nagród Akademii za rok 1973, z pewnością odniesie wiele sukcesów, ponieważ już teraz został okrzyknięty jednym z największych filmów tego pokolenia. A miss Havilland będzie bez wątpienia pierwszą w szeregu po laury, kiedy otrzyma już nominację. Krytycy zgodni są co do tego, że połączenie talentu Damona Rhysa z talentem tej nadzwyczajnej aktorki może z powodzeniem zostać uznane za szczytowe osiągnięcie w ich karierach.

Niektórzy sądzą, że odważny powrót miss Havilland na ekran po tragicznym i wydawałoby się kończącym karierę wypadku, uczynił z niej tak wielką gwiazdę, iż zajmie dziś miejsce w panteonie Sida Graumana. Hollywood podziwia i nagradza najdzielniejsze ze swoich gwiazd za odwagę i nieugiętość ducha.

Lecz zdaniem ekspertów dwa przedstawienia panny Havilland zarejestrowane na taśmie celuloidowej, Godzina nocy / Brzemienny zaulek, tak odmienne, a mimo to tak uzupełniające się w demonstrowaniu jej nieporównywalnych zdolności, bardziej predystynują ją do unieśmiertelnienia jako jedną z aktorek i dam w historii tego przemysłu.

— To jest to, siostrzyczko, idziemy.

Margot otworzyła drzwi, wyciągnęła Annie z limuzyny i trzymając ją i Damona za ręce przeciskała się z nimi wśród błyskających fleszów do kwadratu mokrego cementu otoczonego przez hollywoodzkich dygnitarzy i setki podekscytowanych wielbicieli. Reprezentant *Grauman's Chinese* i konsorcjum odpowiedzialnego ze decyzję zaproszenia Annie do złożenia odcisków stóp w tym sławnym miejscu już na nią czekali. Po krótkim powitaniu podprowadzili ją do tej, w pewien sposób ironicznej, świątyni gwiazdorstwa. Przy szumie kamer filmowych i grzmiącym aplauzie zgromadzonych zsunęła buty. Przeniosła wzrok z uśmiechniętej Margot na Damona, który dziwnie ciężko pokiwał głową, jakby nakazując jej przyjąć sławę i światła reflektorów, których przez tak długi czas uważała się niegodną. Z uśmiechem zakłopotania i wdzięczności dotknęła jego ręki, po czym stąpnęła odważnie na mokry cement.

Aplauz stał się głośniejszy, a ludzie wykrzykiwali jej imię z szaleńczą miłością.

— Annie!

— Annie!

— Chcemy Annie!

Pomachała im ręką, starając się utrzymać równowagę, a potem wyszła z własnych odcisków stóp, by wyryć w cemencie swój podpis specjalnym przyrządem dostarczonym przez mistrza ceremonii.

Kiedy przyklęła, by wypisać swoje nazwisko, podniosła wzrok i spojrzała ponad dziesiątkami stwardniałych i zwietrzałych śladów stóp wielkich ludzi kina na rozentuzjasmowany tłum.

— Annie!

— Annie!

Uświadomiła sobie nagle, że ona sama dołączy teraz do rzędu „unieśmiertelnionych” przez Hollywood w tym kruchym cemencie, tych, których egzystencja w przeszłości kojarzyła jej się niegdyś ze szkolnymi podręcznikami do geologii.

Jakże solidna była z pozoru ta twardniejąca cementowa mieszanka! I jakże trwałą wydawała się sława tym, którzy jej poszukiwali!

Lecz niestety, ludzie, którzy odcisnęli te ślady byli tak ulotni, jak te strzelające flesze...

Jakże prawdziwe były słowa Damona mówiące o nieprzewidywalnych orbitach duszy ludzkiej, których dewiacje sprawiały, że niemożliwe stawało się możliwym!

Ta Annie Havilland, która pełna nadziei przybyła z Nowego Jorku, by wylądować w szponach Harmona Kurtha i która rozpoczęła karierę z sercem przepełnionym żądzą zemsty na nim, była teraz o krok od zdobycia Oscara dla jego studia.

A Kurtha już nie było. Był tylko wspomnieniem i jedynie ona знаła jego rolę w swym życiu. A te dwie białe stopy, których ślady właśnie odcisnęła w cemencie, nie były już stopami tamtej pierwszej Annie, ponieważ wycierpiały od własnych ran w wypadku, który zrodził się z *Godziny nocy*, w wypadku, który wykwitł fatalnie ze spotkania Lianę, Terry'ego, Annie i Eryka Shaina.

W wypadku, który zabrał jej dziecko mogące stano-

wić całą jej przyszłość. Z ilu filmów, ilu nominacji do Oscara zrezygnowałyby, aby je odzyskać, poświęcić mu swoje życie i kochać je? Czas był faktycznie okrutnym lecz szczodrym panem, rozrywającym na strzępy ludzkie marzenia nawet wtedy, kiedy zmuszał kogoś do skręcenia za róg, za którym oczekiwały nieuchwytnie niespodzianki, dary, radości i nowe smutki.

Jak można zrozumieć to wszystko? Jak można zgłębić i zaakceptować ideę tych niewidzialnych punktów zwrotnych, tych przedziwnych metamorfoz dokonujących się w człowieku bez jego wiedzy, kruszących podstawy czyjegoś ja, nawet gdyby stanowiły one jedyny grunt, po którym może stąpać?

Być może zrozumienie tego nie było ani możliwe, ani pożądane. Być może tylko serce odbierało ich sygnały, słyszało ich szepty i przechowywało tajemnice.

Roy Deran zwykł mawiać: „twoje *ja* nie należy do ciebie”. I chyba tak jest rzeczywiście. Ono przychodzi z zewnątrz. Jest darem, a nie własnością. Chyba że należy do innych, jak Margot, jak Damon, jak ci ludzie obserwujący ją teraz ze szczęśliwymi uśmiechami nadziei i podziwu. A jeśli nie, to takie „ja” nie jest nic warte.

Czas nie pozwoli jej posiadać i zachować własnego „ja”. Niech zatem wezmą je inni. Za tyle, ile było warte. Niech Lianę, Daisy i ludzkość staną się jego właścicielami i niech używają go zgodnie z własnym życzeniem. Po zakończeniu krótkiej ceremonii wokół Annie stłoczyli się fotoreporterzy z magazynów, gazet i serwisów prasowych całego świata. Pozowała im do zdjęć i odpowiadała na liczne pytania najgrzeczniej i najzwięźlejš, jak potrafiła.

Czuła się o wiele bardziej zmęczona niż przypuszczała, nie tylko dlatego, że tak długie stanie powodowało odzywanie się starego bólu w plecach i karku, lecz dlatego, że ta ceremonia pogłębiła jej wyczerpanie emocjonalne. Odnosiła wrażenie, że jej długa odyseja dobiegła końca, a przyszłość jest niezbadaną tajemnicą.

Złapała się na tym, że trzyma się kurczowo ciepłych rąk Damona i Margot, stojących u jej boku podczas wywiadów. Flesze trzaskały bez końca, a aparaty zamrażały jej wizerunek na kliszach. Lecz obok niej stali ludzie, których kochała i potrzebowała najbardziej. I na niejednej wykonanej tego popołudnia fotografii małe, niebieskie oczka Damona odpowiadały oku obiektywu swą arogancką intensywnością, podczas gdy zielone tęczówki Margot, nieprzywykłe do światła reflektorów śmiały się radośnie z wyrazem niezachwianej lojalności wobec dwojga stojących obok niej ludzi.

XLIX

Los Angeles Times, 22 marca 1974

ANNIE: KOBIETA, KARIERA, LEGENDA

Dzisiejszy odcinek „Przeglądu” poświęcony karierze Annie Havil/and, która w przyszłym tygodniu, na prezentacjach filmów nominowanych do Oscara, może osiągnąć szczyt kariery, o którym marzy każda aktorka. Zapraszamy naszych czytelników, by wspólnie z nami wrócili do wczesnych lat tej gwiazdy, które doprowadziły ją do oszałamiającego sukcesu.

OPIS FOTOGRAFII: (od lewej) Annie w wieku siedmiu lat na kolanach ojca, prawnika Harry'ego Havillanda w Richland, w stanie Nowy Jork; Annie w wieku szesnastu lat, druga od prawej, jako członkini drużyny pływackiej w szkole średniej w Richland: maturalne tableaux Annie; jej pierwszy pozowany portret w Cyrenie, Nowy Jork, 1964; Annie podczas zakończonych niepowodzeniem zdjęć próbnych do filmu Trzy na jeden, dwa lata przed zagranieniem roli w Godzinie nocy; Annie jako prowokacyjna rzeczniczka Beale'a i Cantele; Annie jako „dziewczyna od pasów bezpieczeństwa” w reklamówce Departamentu Komunikacji; Annie jako Lianę z Erykiem Shainem w scenie z Godziny nocy; skandalizujące, roznegliżowane ujęcie Lianę; pierwsze udostępnione publiczności zdjęcie po operacji plastycznej, która zmieniła jej twarz; Annie jako nastoletnia Daisy w Brzemiennym zaułku; Daisy po dwudziestce; Daisy przed fatalnym wypadkiem; Annie na planie z reżyserem Markiem Salingerem.

W ŚRODKU:

Annie w Teatrze Chińskim Graumana po odcisnięciu śladów stóp w słynnym cemencie. Towarzyszą jej Damon Rhys i Margot Swift, młoda absolwentka collegu w Iowa, sekretarka i asystentka Rhysa na planie Brzemienego zaułka bliska przyjaciółka Annie.

L

31 marca 1974

Pozostały dwa dni do wręczenia Oscarów.

Christine obudziła się sama w domu "w kanionie. Obok łóżka leżała kartka od Damona, na której pisał, że nie mógł zmrużyć oka do rana, w związku z tym poszedł wcześniej do biura.

Wiedziała, że w oczekiwaniu na ceremonię miał nerwy napięte do granic wytrzymałości. To samo odnosiło się do Annie, która od kilku dni siedziała w swoim mieszkaniu, kontaktując się z nią przez telefon, lecz nie dając się zaprosić na obiad ani kąpiel w basenie.

Christine przeciągnęła się i westchnęła. Spała spokojnie. Jej ciało ciągle pachniało pieścizotami Damona. Z niechęcią pomyślała o wstawaniu, gdyż i tak nie miała nic ciekawego do roboty. Damona zobaczy dopiero w porze lunchu.

W końcu podniosła się leniwie z łóżka, przeszła nago do łazienki i odkręciła prysznic. Postanowiła darować sobie poranną gimnastykę, a za to popływać dłużej i intensywniej po południu.

Stała długo pod spływającą wodą, czując jak jej zmysły budzą się do nowego dnia. Po wyjściu spod prysznic włożyła krótki płaszcz kąpielowy, zawinęła mokre włosy ręcznikiem i zeszła na dół do kuchni. Nalewała sobie właśnie soku pomarańczowego, kiedy zadzwonił dzwonek.

Podeszła do drzwi i otworzyła.

Stojąca w progu kobieta patrzyła na nią unosząc brwi.

— Dawno się nie widziałyśmy, maleńka.

Czujny umysł Christine potrzebował zaledwie sekundy na zidentyfikowanie wytwornie ubranego gościa.

Alethea zmieniła się. Wyglądała na dystyngowaną czterdziestolatkę. Najwidoczniej należała teraz do lepszych sfer.

Ta maskarada służyła jej. Podobnie jak wystudiowana elegancja w zachowaniu, ubranie i dodatki. Pasowało to do jej wrodzonej kobiecej elegancji, która cechowała ją zawsze, nawet w najbardziej poniżających okolicznościach.

Przewiewna wiosenna garsonka, którą miała na sobie, pochodziła z firmy *Rodeo Drive*. A więc mieszkała na wybrzeżu, zatem...

— Czy mogę wejść, moja droga?

Christine pomyślała o Carmine i o Tonym. Po chwili wahania zrobiła krok w tył i wpuściła matkę do środka.

Po co przyjechała? Co może zrobić?

Bose, jeszcze wilgotne po kąpieli stopy Christine zostawiały ślady na kafelkach, kiedy zamykała za Aletheą drzwi. Rzuciła spojrzenie na podjazd. Stał tam duży samochód, lecz nie było w nim kierowcy.

Alethea zatrzymała się w połowie drogi do salonu.

— Damon urządził sobie zupełnie przyjemne gniazdko. Ładnie tutaj.

Widzę, że przeszedł długą drogę. Ale już wtedy spodziewałam się tego po nim. Zawsze był rzutkim mężczyzną. Dobrze się zapowiadał.

Christine pomyślała o Conchacie. Na szczęście miała dzień wolny.

Teraz Alethea odwróciła się, zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu, podziwiając długie nogi, które pamiętała jako nóżki dziecka.

— A teraz ty jesteś częścią tego wszystkiego — powiedziała lodowato. — No cóż, nie mogę powiedzieć, żebyś wyrosła na pokrakę. W gazecie nie wyglądałaś najciekawiej.

Nasze zdjęcie.

Teraz Christine zrozumiała wszystko. Nigdy nie pozwalała się fotografować, aż do dnia ceremonii w *Gra-uman's Chinese*.

Wkalkulowane ryzyko okazało się porażką.

— Naturalnie rozpoznałam cię od razu — kontynuowała Alethea z uśmiechem wykrzywającym jej piękne

usta. — Matka zawsze pozna swoją córkę. Czyż nie mam racji, kochanie? Gestem ręki wskazała kanapę w salonie.

— Nie poprosisz, żebym usiadła?

Christine nie powiedziała ani słowa. Przyglądała się uważnie matce oczyma wypełnionymi nie nienawiścią, lecz chłodną kalkulacją i gotowością działania.

Co ona trzyma w zanadrzu? Jaką siłę posiada?

Alethea wzruszyła ramionami.

— A więc oni myślą, że jesteś przeciętną amerykańską dziewczyną z Iowy. To niezbyt ładnie, kochanie. Nie powinnaś oszukiwać ludzi w taki sposób.

Christine nadal milczała. Wiedziała, że wkrótce Alethea odkryje wszystkie karty.

— Nie tak wychowywałam moją córkę. Wierzę, że uczciwość jest najlepszą z cnót. Zgadzasz się, kochanie?

A więc to o to chodzi.

Zbyt późno Christine zaczęła sobie robić wymówki, iż nie przewidziała takiego obrotu sprawy. Było jej dobrze w roli, jaką odgrywała w tym domu. Starła się eliminować wszelkie zagrożenia dla jej spokojnej egzystencji u boku Damona. A kiedy po śmierci Carmine Tony został unieszkodliwiony, przypuszczała, że jest bezpieczna.

Lecz oto pojawiła się Alethea, uzbrojona jedynie w prawdę i zamierzająca tę prawdę ujawnić. Damonowi.

Christine uświadomiła sobie, że nie może do tego dopuścić.

Lecz nadal nic nie mówiła. Zastanawiała się, skąd Alethea zna Damona tak dobrze, by z góry ocenić jego reakcję na to, co mogłaby mu ujawnić. Skąd bierze się jej pewność?

Następne słowa matki odpowiedziały jej na to pytanie.

— Damon i ja byliśmy ze sobą bardzo blisko. Mówię o tym na wypadek, gdybyś nie wiedziała.

Zaśmiała się. To był ten nie wróżący nic dobrego śmieszek, który Christine słyszała tysiące razy jako dziecko. Chichot poprzedzający karę.

Więc co? — pomyślała z narastającym gniewem. Pokaż to: Pokaż, co masz.

— Widzisz — wyjaśniła Alethea, kołysząc się w tył i w przód na wysokim obcasie — poznaliśmy się przez teatr. O tak, znałam Damona na wylot. Bardzo uczuciowy facet. Jestem pewna, że potrafisz to docenić. Przerwała, ważąc efekt swoich słów.

— Po narodzinach twojej siostry miałam szczęście wpaść na niego znowu. Zupełnie przypadkowo, kiedy robiłam z małą zakupy w Buffalo. Życie było wtedy dla mnie takie nudne... Byłam zachwycona mogąc z nim spędzić popołudnie.

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Obawiam się, że biedna Annie zobaczyła coś, czego nie powinna. Ale biorąc wszystko pod uwagę, warto było to zrobić, a nawet więcej.

Przerwała ponownie. Po jej wargach błąkał się okrutny uśmieszek.

— Cóż, zgodnie z prawami natury po odpowiednim czasie ty przyszłaś na świat, moja droga. Wtedy już oczywiście byłam daleko od Annie i jej nudnego ojca. Lecz od razu wiedziałam, czym byłaś dzieckiem. O, tak. Spojrzała przenikliwie w oczy Christine, próbując odgadnąć, ile z tego co powiedziała było dla niej niespodzianką. Pokiwała z uznaniem głową, kiedy w oczach córki nie udało się jej wyczytać kompletnie nic.

Jej następne słowa przepojone były triumfem.

— Masz jego oczy, wiesz? — to stwierdzenie było dla Christine jak cios w żołądek. — Mała cząstka pomarańczy w samym środku tęczy. Jak półksiężyc wschodzący na błękitnym niebie.

Niewidoczny skurcz determinacji utrzymywał twarz Christine tak obojętną, jak chwilę temu.

— Nie sądzisz, że to ironia losu, iż nasze drogi się zeszły po całym tym czasie? To komplikuje sprawy, nieprawdaż? Orbity, które nigdy nie powinny były się przeciąć, jakby powiedział Damon...

Jej uśmiech stwardniał.

— Z drugiej strony, nic tak naprawdę nie dzieje się przypadkowo, czyż nie, kochanie? W gruncie rzeczy to

twoja wina, kiedy się o tym tak dokładniej pomyśli. Czy sądziłaś, że twoja mamusia nie wiedziała, iż znalazłaś jej głupie, małe zdjęcie z Damonem i zaczęłaś o nim marzyć? Myślałaś, że nie zauważy nawet, że je ukradłaś? O nie! Alethea zauważyła. Alethea wszystko wie. Zaśmiała się, kręcąc piętą po kafelkach.

— Po prostu pozwoliłam ci działać. To jedyne co jest zabawne w życiu, wiesz? Pozwolić ludziom działać i potem obserwować, co z tego wyniknie. Na przykład, kiedy ty uciekłaś zabierając ze sobą to zdjęcie, wiedziałam, że to w końcu do czegoś doprowadzi. Ponieważ znałam ciebie, kochanie. A mężczyźni to tacy głupcy...

Christine stała w odległości półtora metra do matki, milcząca, gotowa przyjąć wszystko, co musi nadejść.

— Tak więc czekałam. I popatrz, w jaki interesujący sposób wszystko się ułożyło! Nasza Annie zdołała znaleźć drogę do Damona, właśnie do niego, spośród tylu ludzi. Można to nazwać czystym przypadkiem. A może nie?

Dotknęła w zadumie swoich warg.

— Może nie ma czegoś takiego. W każdym bądź razie wiedziałam, że jest tutaj. Tak, miałam oko na tę sytuację. Lecz jeśli chodzi o ciebie, moja droga, dopomógł mi szczęśliwy traf. To zdjęcie w *Timesie* w ubiegłym tygodniu dostarczyło mi ostatniego fragmentu tej układanki.

Machała leniwie torebką, odwracając się twarzą do Christine.

— Tak więc jestem. Przyjrzała się córce uważniej.

— Mój Boże, jedno zdjęcie może być tyle warte, co tysiąc słów, prawda, maleńka?

Jej brwi uniosły się pytająco.

— Pieprzysz się z nim, czyż nie?

Pozwoliła, by słowa rozplynęły się w powietrzu, zanim westchnęła z udawanym żalem.

— Wierzę, że on troszczy się o ciebie. Naprawdę. Oczywiście zdenerwuje się, kiedy dowie się prawdy. Wiesz, w pewien sposób on jest bardzo pruderyjnym facetem, ten nasz Damon. Ale ma prawo wiedzieć, nie uważasz?

A więc...

Mimo dojmującego skurczu w sercu, Christine zmobilizowała się na tyle, by dopuścić do głosu siłę woli. Alethea rozegrała już wszystkie karty. — Widzisz — podsumowała, nadal wymachując torebką — żadne z was nigdy mnie nie wykiwało. I żadne z was nigdy tak naprawdę nie wyszło poza moją orbitę. Ponieważ Alethea jest zawsze w pobliżu i Alethea zawsze wie. Nigdy nie wątpiłam, że jeśli pofatyguję się, by odnaleźć ślady Waszych żalosnych egzystencji, to któregoś dnia nadejdzie moja kolej, żeby was zniszczyć. Ale muszę przyznać, że jestem zadowolona, iż udało wam się zaznać trochę szczęścia zanim się pojawiłam. To dodaje trochę smaczku tej sytuacji.

Christine wreszcie przemówiła.

— Dlaczego nie usiądziesz? — wskazała na salon. Zaalarmowana obojętnym tonem, Alethea zawahała się.

— Nie, dziękuję — powiedziała, odwracając się, by spojrzeć na kanapę i niski stolik do kawy. — Sądzę, że powinnam już pójść. Wkrótce będę... Wykorzystując moment, w którym zwrócona była do niej tyłem, Christine zsunęła ręcznik z mokrych włosów, skrzyła go błyskawicznie w gruby sznur i doskoczyła do matki, zaciskając go wokół jej szyi. Alethea upuściła torebkę. Podniosła ręce do gardła i zaczęła się szarpać. Przez chwilę walka była wyrównana. Lecz Alethea była starsza, delikatniejsza i nie mogła rywalizować z siłą Christine. Usiłowała złapać oddech, ale Christine zaciągała ręcznik coraz ciaśniej. Jej ręce zaczęły bezradnie trzepotać.

Z pomocą przyszła jej inteligencja. Posługując się jedyną posiadaną bronią wbiła z całej siły lewy obcas w bosą stopę córki.

Oczy Christine zalała purpurowa fala bólu, kiedy usłyszała trzask łamiącej się w jej stopie kości. Noga jej zupełnie zdrętwiała. Stała się bezużyteczna w walce, więc zastąpiła ją siłą ramion i zawisła z całej siły na szyi Alethei.

Upadły na podłogę. Alethea, mając na sobie Christine,

uderzyła brodą i brzuchem o kafelki. Przez sekundę wydawało się, że traci siły.

— Ty mała idiotko — wycharczała przez zakrwawione wargi i wybite zęby. — Ty idiotko...

Christine z całych sił ścisnęła jej gardło ręcznikiem, lecz był zbyt gruby i miękki, by zaciągnąć go dostatecznie mocno. Alethea ciągle oddychała.

— Przestań — wyszeptała rozpaczliwie uświadamiając sobie w pełni grozę sytuacji. — On nie musi wiedzieć...

Lecz Christine już rozglądała się za czymś, co ostatecznie pomogłoby jej zakończyć walkę. Na stole w odległości pół metra od niej zobaczyła ciężki posążek bożka płodności. Chwyciła go czym prędzej i uderzyła z całą siłą w skroń Alethei.

Ta nie zaniechała jednak walki. Z jej ucha sączyła się krew.

Nie. Już żadnej krwi.

Nagle zauważyła na stole starą, rzemienną garotę. W mgnieniu oka odrzuciła ręcznik, złapała za staroświeckie narzędzie tortur i zacisnęła je wokół szyi matki. Złapała uchwyty z całą mocą i pociągnęła.

Czując zbliżającą się śmierć Alethea wyrzucała z siebie ostatnie słowa.

— Pieprzyć się z własnym ojcem... mała idiotka... — krew wypływała z jej ust. — On i tak się dowie... znenawidzi cię... mężczyźni nie przebaczą...

Christine z determinacją szarpnęła uchwyty. Rozległ się suchy dźwięk pękającej tchawicy. Ręce Alethei trzepotały na kafelkach podłogi.

Nadal mamrotała jakieś słowa, choć jej głos był niezrozumiałym rżeniem. Widząc, że skóra matki sinieje, Christine pociągnęła jeszcze mocniej. Poczowała odór ekskrementów.

Ciało na podłodze wykręciło się nagle wstrząśnięte wielkim spazmem i legło nieruchome. Krew kapłała z ucha na kafelki.

Zwinnie jak kotka sięgnęła po ręcznik i podłożyła go pod głowę Alethei. Potem zdjęła szlafrok i wytarła nim krew. Dzięki Bogu nie zostały plamy. Dywan pod stołem nie był zbryzgany.

Pospieszyła do kuchni, skąd wróciła ze ścierkami i gąbką. Położywszy szlafrok pod Aletheę wyczyściła starannie podłogę.

Wsadziła posążek płodności pod kran i zmyła pod bieżącą wodą całą krew. To samo zrobiła z poplamioną w kilku miejscach garotą.

Wróciła do salonu, w którym unosiła się już woń śmierci, a także krwi i fekaliiów.

Wiedziała, że musi działać szybko.

Pobiegła do łazienki, znalazła zapasową zasłonę do prysznica, wróciła i zawinęła w nią ciało.

Ciągle naga, wstała i zbadła dokładnie całe pomieszczenie.

Dzwonek telefonu sprawił, że skoczyła na równe nogi.

Stała słuchając. Zadzwoił sześć razy, osiem, dziesięć. To był Damon.

Prawdopodobnie przypuszczał, że wyszła do ogrodu i dzwonił tak długo, aby dać jej czas na usłyszenie telefonu i podejście do niego.

Lecz oczywiście nie mogła go odebrać.

Spojrzała na kuchenny zegar. Dziesiąta piętnaście. Nagle wydało jej się możliwe, a nawet logiczne, że Damon zmieni plany i przyjedzie prosto do domu.

Wyjrzała przez okno na samochód. Dzięki Bogu Alethea przyjechała sama.

Pieprzyć się z własnym ojcem...

Zmuszając się do koncentracji Christine przeszukała leżącą na podłodze torebkę i znalazła kluczyki do samochodu. Był także mały portfel. W nim w plastikowej obwolucie znajdowało się prawo jazdy.

Pani Ralph Sonderborg

1818 Somerset Drive Palm Springs, CA 92263

A więc to tam mieszkała. Być może już od dawna. Christine zastanawiała się, kim mógł być Ralph Sonderborg.

Teraz wszystko było jasne. Gdyby nie fotografia w *Timesie*, Alethea mogłaby nigdy nie odkryć, że Christine jeszcze żyje, tym bardziej w przebraniu sekretarki

Damona Rhysa. Lecz fotografia dała jej broń do ręki. I wiedzona wrodzonym sprytem zdecydowała, że właśnie teraz, przed wręczeniem Oscarów, był dla niej najlepszy moment do ataku.

Nie przewidziała natomiast, że dla Christine jej broń okaże się podwójnie niebezpieczna.

Ponieważ Christine była w ciąży.

Ból w pękniętej stopie zaczął przyprawiać ją o mdłości. Oszołomienie ogłupiło ją kompletnie.

Ale ona miała dużo do zrobienia.

Ciągle naga podniosła słuchawkę telefonu i poprosiła o numer, który pasowałby do adresu Alethei.

Odpowiedział szorstki, damski głos. Angielka lub Walijka.

— Rezydencja Sond»rborgów.

— Czy mogłabym rozmawiać z panią Sonderborg?

— Pojechała na zakupy, proszę pani. Czy mam przekazać jakąś wiadomość?

— Nie, nie trzeba. To nie jest aż tak pilne. O jakiej porze najlepiej dzwonić, żeby ją zastać?

— Będzie w domu po południu. Jest umówiona na brydża.

— Dziękuję bardzo. Spróbuję zatem zadzwonić później.

— Do widzenia pani.

Christine oddychała powoli i głęboko. Nikt nie wiedział, że Alethea przyjechała tu dzisiaj. To miało sens, biorąc pod uwagę charakter jej misji.

Ból w stopie uderzył Christine ze zdwojoną mocą. Będzie musiała jak najprędzej opatrzyć skaleczenie. Ale to później.

Pochyliła się z zamkniętymi oczyma nad barem, próbując uporządkować myśli. Z jednej strony dochodziła do wniosku, że wszystko już stracone, lecz z drugiej strony wierzyła, że przy precyzyjnym działaniu sytuację można uratować.

W końcu otworzyła oczy. Ciało Alethei było gro-

teskowym, woniejącym nieprzyjemnie tobołkiem zapakowanym w zasłonę od prysznic.

Christine pokuśtykała do sypialni, ubrała się szybko w dżinsy i bluzkę, wróciła po kluczyki do samochodu i wysliznęła się na zewnątrz, by wyprowadzić wóz z garażu.

LI

Było późno. W biurze nie było już nikogo.

Frank McKenna siedział przy biurku wpatrując się w egzemplarz *Timesa* z fotograficznym montażem prezentującym karierę Annie. Leżał w szufladzie blisko tydzień. Jakoś nie mógł się zdobyć na to, by go wyrzucić.

Już tak dawno nie widział Annie. Jednakże te zdjęcia w gazecie, nade wszystko te przedstawiające okryte mgiełką tajemnicy lata zanim ją poznał, czyniły ją teraz

o wiele bardziej żywą. Kiedy je oglądał, stępione przez czas cierpienie natarło na niego z nową ostrością.

Annie w wieku siedmiu lat, siedząca na kolanach ojca...

Frank widział kiedyś zdjęcie Harry'ego Havillanda, które stało w pokoju Annie w domu Damona. Było to tamtego pamiętnego dnia, kiedy kochali się po raz pierwszy.

Zdaje się, że jej ojciec był prawnikiem. Mówiła o nim niewiele, lecz z uwielbieniem, które wywarło na Franku ogromne wrażenie.

Na zdjęciu była niewinną siedmiolatką z ciekawskimi i figlarnymi oczyma. A jednak już wtedy widniał w nich ten dziwny wyraz, który miał ją doprowadzić do tak kolosalnej sławy.

Annie posiadała jakąś wrodzoną cechę, niemal fizyczną aureolę, która promieniowała na całe jej ciało.

Te oczy patrzyły w oczy Franka z taką ufnością i miłością podczas spędzonych wspólnie tygodni... Osaczyły go wspomnienia.

Annie w wieku szesnastu lat...

W ciemnym kostiumie pływackim wyglądała jak syrena! I już wówczas jej figura, choć pełniejsza niż kiedy ją poznał, nacechowana była tą szczególną delikatnością, którą tak wielbił, gdy zrozumiał, że wszystkie te wgłębienia i wypukłości zostały ofiarowane właśnie jemu.

Frank zacisnął ręce. Zdjęcia z okrutną natarczywością przyciągały jego wzrok. Postanowił zamknąć gazetę i wyrzucić ją, gdyż nękający go ból stawał się nie do zniesienia.

Lecz zerknął raz jeszcze.

Annie podczas zakończonych niepowodzeniem zdjęć próbnych do filmu *Trzy na jeden*, dwa lata przed zagranieniem roli w *Godzinie nocy*...

To zdjęcie przykuło wzrok Franka nawet bardziej niż pozostałe. Było w nim coś niesamowitego. Naturalnie to była wcześniejsza Annie, sprzed lekcji gry u Roya Derana i doświadczenia scenicznego w Nowym Jorku. Zanim jeszcze naprawdę odnalazła siebie jako aktorkę i wstrząsnęła Hollywoodem jako Lianę Rhysa...

Tak, to było jak zapomniane wcielenie znajomej twarzy. A przecież zdjęcie to zrobiono zaledwie pięć krótkich lat temu. Dlaczego wydawało się takie dziwne?

Nagle nadeszła odpowiedź. Zdjęcie było dziwne z tej prostej przyczyny, że Annie nigdy nie wspominała Frankowi o zdjęciach próbnych do *Trzy na jeden*. Ani razu.

Dlaczego to pominęła? Mimo wszystko był to ważny incydent w jej życiu, w jej karierze. A opowiedziała mu całą resztę podczas spędzonych razem wieczorów, podczas długich pogawędek w jego mieszkaniu.

Wiedział o Cyrenie, o Halu Perrym i reklamie wody kolońskiej, o okresie jaki spędziła z handlarzami samochodów Cantelem i Bealem...

Nie, nie wspominała o *Trzy na jeden*.

Ale Kurth wspominał.

Była tak podniecająca, że nie mogłem się jej oprzeć... Chociaż jestem bardzo rodzinnym człowiekiem... Nie nadawała się do tej roli, więc nie mogłem jej obsadzić...

Frank zamknął oczy, ponieważ te słowa raniły go tak

bardzo, jak tamtego straszego dnia w biurze Kurtha. Próbował myśleć, doszukać się prawdy zaciemnionej teraz bólem.

Dlaczego nie powiedziała mu o tych zdjęciach próbnych? Czy aż tak bardzo wstydziła się tego, co zaszło między nią a Kurthem tamtej nocy? Chyba nie. Dlaczego miałyby się czuć zawstydzona z powodu jednej nic nie znaczącej nocy, skoro zdaniem Kurtha miała w życiu tak wielu mężczyzn?

Zdaniem Kurtha...

Z totalnym chaosem w głowie Frank wstał i zaczął przechadzać się po biurze. Próbował uwierzyć, iż Annie zataiła przed nim ten epizod powodowana świadomością, że będzie to dla niego bolesne.

Lecz może za tym kryło się coś więcej.

Nagle Frank zorientował się, że stoi przed podręczną szafką sekretarki, wypełnioną aktami osobistymi. Powodowany impulsem otworzył kartotekę pod literą „K” i znalazł teczkę oznaczoną KURTH, HARMON. Włączył lampę na biurku Urszuli i przekartkował akta. Pełno tam było papierów urzędowych, umów o pracę, formularzy ubezpieczeniowych, pokwitowań datków na cele dobroczynne i innych.

Na wewnętrznej stronie okładki była mała, czerwona kropka pełniąca funkcję odnośnika.

Frank wiedział, co ta kropka oznacza. Odnosiła ona Urszulę do ściśle tajnej kartoteki w biurze Martina Farrowa, kartoteki, z której ani ona, ani inne sekretarki nie mogły korzystać bez osobistej zgody Farrowa.

Frank pomyślał przez chwilę. Potem wzruszając ramionami wrócił do własnego biurka, aby raz na zawsze zamknąć tę sprawę.

Lecz na biurku leżała ciągle otwarta gazeta. Zobaczył znów zdjęcia Annie.

Trzy na jeden...

Ni stąd, ni zowąd jego umysł opanowała myśl o samobójstwie Kurtha. Samobójstwie, które nastąpiło zaledwie kilka dni po ich nieszczęsnej rozmowie o epoce *Trzy na jeden*, o przeszłości Annie.

Samobójstwo...

Frank podszedł do drzwi Martina Farrowa. Były zamknięte. Ruszył szybko do biurka Urszuli. Wiedział, że ona ma wszystkie klucze. Znalazł je w szufladzie. Otworzył i wszedł do biura Martina. Potem innym kluczem otworzył tajną kartotekę. Szybko odnalazł teczkę oznaczoną KURTH, HARMON, POUFNE. WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO. Teczka była zaskakująco gruba. Frank otworzył ją i zaczął przerzucać kartki. Niemal natychmiast ich zawartość zafrapowała go do tego stopnia, że zaczął pochłaniać je wzrokiem jedną po drugiej. Nie odrywając od nich oczu przesunął się powoli do biurka Martina Farrowa i włączył światło.

LII

1 kwietnia 1974 godz. 9:12

Damon siedział w ponurym nastroju w kuchni, pijąc kawę z ekspresu zaprawioną brandy.

Wczoraj wrócił do domu pijany, a mimo to prawie wcale nie mógł spać. Zdenerwowanie związane z bliską już ceremonią wręczenia Oscarów pogłębił dodatkowo nagły wyjazd Margot do Iowy.

Zadzwoiła wczoraj do jego biura i powiedziała, że jej matka jest znów chora i że zatelefonuje dziś wieczorem, aby go poinformować o rozwoju wypadków.

Tym razem sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej i wymogła na nim obietnicę, że nie będzie dzwonił do niej do Iowy, żeby nie pogarszać napiętej sytuacji rodzinnej, lecz będzie czekał, aż ona się z nim skontaktuje.

Damon był u kresu wytrzymałości. Był zadowolony, że umówił się na lunch z Annie, lecz jego nerwy były naprawdę zszarpane.

Chciał tego Oscara, bardziej dla Annie niż dla siebie. Ona potrzebowała go ze względu na swoją przyszłość. On już nie miał przyszłości. Czuł się, jakby *Brzemienny zaulek* zerwał w nim jakieś niewidzialne ścięgno. Nigdy nie doświadczył tak totalnego psychicznego wyczerpania. Pragnął długiego wypoczynku, jakiejś gigantycznej kilkudniowej pijatyki. Dobijała go świadomość, że może już nigdy nie być takim samym pisarzem. Kilka minut później kartkując z roztargnieniem *Timesa* natknął się na nagłówek o morderstwie.

ZABÓJSTWO W WYŻSZYCH SFERACH

Ciało znalezione we wtorek rano przez policję z Beverly Hills zidentyfikowano jako zwłoki pani Ralph Sonderborg, zamieszkałej w Palm Springs przy Somerset Drive 1818.

Nagie szczątki zosta/y odkryte na zboczu wzgórza przylegającego do „Lower Franklin Reservoir” przez dwóch miejscowych nastolatków. Oficerowie policji twierdzą, że prawdopodobną przyczyną śmierci było uduszenie. Znalaziono dowody wskazujące na seksualne podłoże zbrodni.

Pani Sonderborg, żona prezesa banku „First National” Ralpha I. Sonderborga, opuściła dom w poniedziałek rano udając się na zakupy i nie wróciła. Gospodyni poinformowała władze o jej zniknięciu o godz. 18:00. Dotąd nie odnaleziono srebrnego Mercedes Sedana, którym wyjechała.

Okoliczności uprowadzenia pani Sonderborg pozostają nieznane. Rzecznik prasowy policji stwierdził, iż za wcześnie na jakiegokolwiek spekulacje na temat motywów morderstwa. Nie ma dotąd żadnych podejrzanych.

Pani Sonderborg, postać dobrze znana w Palm Springs z działalności charytatywnej i społecznej, nie zostawiła dzieci....

Do artykułu dołączono fotografię. Łatwo się było zorientować, że pochodziła ona sprzed co najmniej dziesięciu lat, gdyż w artykule podano, że Alethea miała czterdzieści sześć lat.

Na zdjęciu wyglądała jak młoda kobieta, którą znał dawno temu. Błyszczące, złowrogie oczy miały tu wyraz przesadnej uczciwości. Na ile znał Aletheę, wybrała tę fotografię do publicznej prezentacji nie tylko z powo-

du swego wieku, lecz głównie dla tej wystudiowanej szczerości.
Zawsze przezorna, zawsze szacująca swoją przewagę...
Żona prezesa banku! No cóż, to nie było aż tak zaskakujące. Była zbyt ambitna, zbyt wyrachowana, by rzucać się na coś mniejszego.
Myśli Damona poszybowwały wstecz ponad przestrzeniami czasu, które nagle wydały się przeogromne.
Alethea zamordowana, po tych wszystkich latach. Czyż nie było w tym jakiejś poetyckiej sprawiedliwości?
Lecz przez kogoś zupełnie obcego...
Alethea, zwinna mała drapieżnica, która bawiła go tak bardzo, kiedy walczył o wystawienie swoich pierwszych sztuk. Perfekcyjna kłamczucha. Manipulowanie było kwintesencją jej charakteru, rozprzestrzeniającą się na gładkie ciało jej palców, ust, cipki.
Co za zakończenie! Żona prezesa banku zabita przez anonimowego gwałciciela. Dwa nieprawdopodobieństwa zderzające się przy końcu paraboli obejmującej dwadzieścia pięć lat.
Alethea nie żyje.
Jego zmęczone członki przeniknęło niesamowite uczucie, kiedy pomyślał o zmysłowym ciebie, które niegdyś znał ze wszystkimi rytмами i zapachami, leżącym teraz na kamiennym stole w kostnicy.
Spojrzał ponownie w oczy na zdjęciu. Trzeba ją było dobrze znać, żeby zauważyć stary błysk prowokacji prześwitujący przez tę maskę prawości. Jakże te oczy działały na niego podczas ich wspólnych kilku miesięcy.
Ożywione pragnieniem zwykły przyciągać jego wzrok jak magnesy, zanim rozpoczynały podróż w dół do rozporka.
Raz, tylko raz pod powierzchnią ich erotyzmu ujrzał morderczy błysk. To było w dniu, kiedy z nią zerwał. Nagle zrozumiał, że tym czego naprawdę chciała było małżeństwo. I gdy roześmiał się jej prosto w twarz omal go nie zabiła, rzucając w niego z furią wszystkim, co wpadło jej pod rękę.

Autentycznie się przestraszył i był zadowolony, że się jej pozbył. Niech kto inny będzie jej ofiarą.

Ale później, kiedy była już mężatką, nadarzyła się jeszcze jedna okazja. Wpadli na siebie na ulicy i w rezultacie spędzili popołudnie w hotelu. Zachowywała się, jakby to było radosne pojednanie, bez żadnej zastarzałej urazy...

Damon potarł czoło. Pamięć podpowiadała mu, że w tej ich ostatniej schadzce było coś nieprzyjemnego. Coś było nie tak. Ale to było zbyt odległe, żeby sobie dokładnie przypomnieć. A może był wtedy pijany. Zaniechał wysiłku przypominania sobie. Lecz to dziwne uczucie rozprzestrzeniało się. Pomyślał o ostatniej walce Alethei, o jej silnej woli życia, o zmaganiu się z obcym mężczyzną, zabójcą niezainteresowanym jej zachciankami...

Wspomnienia...

Jednak mimo wszystko była dla niego więcej niż wspomnieniem. Przez te wszystkie lata miała swoje miejsce w jego myślach. Jej zawoalowana obecność dawała się wyczuć w niektórych stworzonych przez niego charakterach, w niektórych kwestiach, jakie wkładał w ich usta. Jakby się dobrze zastanowić, to może nawet w jednej lub dwóch z kwestii Lianę.

Chodź, jesteś przecież rozpalony... Tak, ona zasługuje na pamięć.

Pociągnął ostro ostatni łyk kawy z filiżanki i napełnił ją samą brandy.

Gdyby tak Margot była tutaj!

Przez telefon powiedziała, że skaleczyła stopę w pokoju rekreacyjnym i prawdopodobnie kiedy wróci będzie jeszcze utykać. Jej głos brzmiał tak, jakby ją bardzo bolało.

Smukłe, kształtne palce jej stóp... Całował je setki razy, wielbiąc każdy centymetr jej ciała. Była tak pełna życia i młodości.

Spuścił wzrok i spostrzegł, że nadal trzyma w ręku gazetę. Alethea patrzyła na niego z ponad ślicznie ufor-

mowanych kości policzkowych i ułożonych w kształt serca warg.

Nie było w niej ani krzty prawdy. Któż może sobie wyobrazić ilu ludzi na tej planecie okłamała, oszukała, skrzywdziła?

A teraz ten zwodniczy głos umilkł na zawsze...

Zabicie jej musiało być trudne. Nie zrezygnowałyby łatwo z życia, z pragnienia czynienia zła. Z pewnością walczyła do końca, czepiając się kurczowo każdej najmniejszej szansy.

Z tą myślą Damon rozejrzał się i z zaskoczeniem skonstatował, że bezwiednie przeszedł do salonu z brandy w jednej ręce i gazetą w drugiej.

Zmarszczył nos. Pachniało tu dziwnie woskiem i środkami dezynfekcyjnymi. Będzie musiał o to zapytać Con-chatę.

Ubiegłej nocy będąc kompletnie pijanym nie wyczuł tego odoru. A może wyczuł?

Zlustrował wzrokiem salon. Wszystko było po staremu.

Lecz pachniał jakoś inaczej i sprawiał dziwne wrażenie.

Przeszedł w odrętwieniu w kierunku sypialni.

Zatrzymał się przy nie domkniętych drzwiach pokoju Margot. Łóżko było starannie zasłane. Nikt w nim nie spał od kilku dni. W noc przed wyjazdem spała w jego dwuosobowym łóżku.

Wszedł, rzucił gazetę na jej biurczko i skierował się do szafy. Otworzył ją i przebiegł ociężałą ręką po sukienkach, bluzkach, spódnicach, spodniach. Wszystkie przesiąknięte były jej delikatnym zapachem.

Powodowany impulsem otworzył szufladę i spojrzał na pastelową różnorodność majtek. Były takie słodkie. Każda para nosiła na sobie ślad uroczego, młodego seksu.

Pomyślał o jej prostolinijnym życiu, tak pełnym zdrowia i energii w porównaniu z mroczną egzystencją Alethei.

Gdyby tylko Margot była tutaj! Czuł się taki pusty...

Pod majtkami mignęła mu pończocha, która przyciągnęła jego wzrok do dna szuflady. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział Margot noszącą pończochy. Była zbyt wysportowana, aby zawracać sobie nimi głowę. Odsunął z roztargnieniem majtki na bok, żeby przyjrzeć się dokładniej kawałkowi nylonu. Kiedy to robił, czubki jego palców natknęły się na róg tekturowej okładki.

Zaintrygowany odrzucił bieliznę i zobaczył na dnie szuflady stary, szkolny notatnik.

Osobiste przemyślenia Margot? Jej intymne zapiski.

Poczuł dreszcz winy z powodu naruszenia prywatności swojej kochanki. Zaczął układać majtki i pończochy na miejsce.

Lecz nagle bodziec silniejszy od skrupułów pchnął go do tego, że wyjął notatnik spod bielizny.

Instynkt dramaturga ostrzegał go, że wkracza na niebezpieczny teren. To był dokładnie ten moment, kiedy starzejący się kochanek popada w szaleństwo, żeby wykryć sekrety swojej młodziutkiej pani. To się nazywało prowokowaniem losu.

Jednak obawy nie były w stanie go powstrzymać. Czuł, że musi doprowadzić do końca to, co zaczął.

Odwrócił się do łóżka zamierzając usiąść. W tym momencie mieszanka brandy z sennością spowodowała, że upuścił zeszyt. Leżał teraz otwarty na podłodze. Na wierzchu trzepotało maleńkie zdjęcie. Damon przyklęknął i wsparty na rękach gapił się otumaniony na starą odbitkę.

To była jego fotografia z Aletheą.

Przez długą chwilę nie był w stanie się poruszyć. Tryby w jego umyśle obracały się jak zardzewiałe. Ale jednak się obracały i nic nie mogło zatrzymać tego ruchu.

Spoglądał z perspektywy dwudziestu pięciu lat na swoje kręcone włosy, potarganą brodę, którą wtedy nosił, na swoje jasne oczy. Był wówczas pijany, lecz przepełniony nadzieją, ufnością i młodzieńczą żywiołowością.

Spojrzał też na Aletheę. Wspaniała dziewczyna z falu-

jącymi włosami, z oczami również zmaconymi alkoholem i wesołością, lecz mimo to o wiele bardziej klarownymi niż jego, tak czujnymi i przebiegłymi.

Pozostawał w absurdalnej pozycji, wsparty na rękach i kolanach. Obok na dywanie stała filiżanka z brandy.

Dotknął notatnika i odwrócił kilka stron.

Były to osobiste zapiski, bardzo intymne i bardzo intelektualne.

Zauważył, że wszystkie były ściśle związane z *Brzemiennym zaułkiem*.

Poruszyły go, gdyż były przemyśleniami Margot, stanowiącymi słodką część jej samej, jak alabastrowe uda, wonne włosy i zwinne ręce.

Lecz przypomniał sobie o fotografii i zaintrygowany spojrzął na nią ponownie.

Jak, u diabła...?

Nie zdążył jednak odpowiedzieć sobie na to pytanie, gdyż spomiędzy kartek notesu wypadło inne zdjęcie.

To było większe. Ukazywało ciągle młodą Aletheę na plaży w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, trzymającą za rękę małą dziewczynkę.

Umysł Damona przestał zupełnie funkcjonować oszołomiony rewelacją.

Pochylił się niżej nad znalezionym przypadkowo dowodem.

Oczy dziewczynki z fotografii były jak haczyki wędki zarzuconej na jego ciało. Wyraz widocznej w nich beznamiętnej cierpliwości był tak makabryczny, że zahipnotyzował go na dłuższą chwilę, zanim uświadomił sobie, kim ona jest.

Potem zamknął oczy, potrząsnął głową jak bokser po ciosie, kiedy sędzia już doliczył do ośmiu i znowu spojrzął na zdjęcie.

Jezu Chryste...

Nie chcąc na nie patrzeć przeniósł wzrok na notatnik. Pod ostatnimi kartkami było jakieś zgrubienie. Automatycznie przesunął rękę i dotknął go.

Jego oczom ukazała się cienka broszurka dla kobiet w pierwszych miesiącach ciąży. Pod nią leżała złożona recepta na lek, którego nazwy nie mógł odczytać.

Stosować w przypadku porannych mdłości, przeczytał dopisek lekarza.

Ostatnia strona prywatnego dziennika Margot znajdowała się pod broszurą i receptą. Nie zawierała żadnych połączonych ze sobą zdań, jedynie listę imion, z której wszystkie za wyjątkiem jednego zostały wykreślone.

Deborah Anne Rhys

Damon gapił się na leżące przed nim przedmioty. Zamrugał. Drżącą ręką sięgnął po brandy, lecz stracił równowagę i musiał się podeprzeć, żeby nie upaść.

Całą siłą woli starał się zebrać myśli. Lecz informacje, które spadły na niego tak nagle, pchały go do działania, zanim zdążył je oszacować i przemyśleć.

Wstał, poszedł do łazienki, próbował się wysikać, ale nie mógł. Przez długą chwilę gapił się we własne odbicie w lustrze.

Potem przeszedł do kuchni, gdzie na tablicy z korka wisiało wycięte z *Timesa* jego zdjęcie z Annie i Margot. Niezręcznie wyjął pinezki i zabrał fotografię ze sobą do pokoju Margot. Położył ją na podłodze obok notatnika opadając ponownie z jękiem na kolana.

Wpatrywał się w umieszczone w szeregu zdjęcia. Annie, on, Margot, Alethea i znów on dwadzieścia pięć lat temu, i mała dziewczynka.

Ta dziewczynka to była Margot.

Zmusił się do dokładniejszego przyjrzenia się jej. Studiował jej włosy, kształt brwi, nosa i policzków. Potem wrócił do oczu, sondując je tym razem jak skazaniec, przez pryzmat zapadającej się pod nim kłapy szubienicy, którego kontakt z ziemią został zerwany przez szokujące poznanie prawdy.

Słodki Jezu. Ona jest moja.

Odwrócił się przerażony, zobaczył leżącą na biurku gazetę, złapał ją i położył na podłodze obok zdjęć. Tu znów była Alethea, wiele lat po tym jak ją poznał, lata przed jej wczorajszą czy przedwczorajszą śmiercią. Alethea stojąca pod arkadami, Alethea na plaży z dzieckiem... Zdawała się być wszędzie, triumfująca nawet w śmierci, z oczyma przekazującymi znaki i prawdy, których jego mózg nie mógł ani ogarnąć, ani odrzucić.
Dowody wskazujące na seksualne podłoże zbrodni...

Przez chwilę łamał sobie głowę na tym, co się w nim dzieje. Nie był detektywem. Ale był dramaturgiem. Kiedy sięgnął po stojącą na biurku fotografię w ramach przedstawiającą Margot w otoczeniu rodziny i umieścił ją z innymi na podłodze, wątpliwości ustąpiły miejsca okrutnej pewności.

Przenosił wzrok z jednego zdjęcia na następne. Zapomniał o brandy. Teraz w jego żyłach krążył szybko narkotyk silniejszy od alkoholu. W końcu podniósł się, poszedł do salonu i usiadł w fotelu przy telefonie. Wyszukał w książce telefonicznej numer i wykręcił go. Kiedy w słuchawce odezwał się automat mówiący, by chwilę poczekał, odłożył słuchawkę i zamyślił się.

Rozglądając się po pokoju poczuł znów w nozdrzach nieprzyjemny odór środków dezynfekcyjnych. Odruchowo podniósł leżącą na stoliku garotę i bawił się nią w zadumie wykręcając numer międzymiastowej.

— Z jakim miastem chce pan rozmawiać?

— Inden w stanie Iowa.

LIII

11:14 przed południem

Annie ubierała się do wyjścia na lunch z Damonem, kiedy zadzwoniła Helen, sekretarka z jego biura.

— Cześć, Annie. Słuchaj, Damon nie może cię zabrać na lunch. Musi natychmiast pojechać do domu w Mojave, gdzie ma się z kimś spotkać. Jest w podłym nastroju, więc nie zawracaj sobie głowy wyjaśnieniem mi o co chodzi. Mówił tylko, żeby się nie niepokoić i że będzie w kontakcie. Obiecał wrócić na czas, żeby ci towarzyszyć na wręczeniu Oscarów.

— Trudno, w porządku, Helen. Dziękuję za telefon. Daj mi znać, gdyby coś wyskoczyło, dobrze?

— Jasne, Annie. To na razie.

Annie była zawiedziona. Usiadła ciężko na kanapie. Jej radosny nastrój prysnął. Bez Margot, która nagle

wyjechała z miasta i bez Damona, który pojechał na pustynię była zupełnie sama.

A samotność była ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła w ten pełen napięcia wieczór przed ceremonią.

Zaczęła się rozbierać. Siedzenie w eleganckich ciuchach nie miało teraz żadnego sensu. Wyjęła z szuflady parę dżinsów.

LIV

Christine jechała bez celu małym, wynajętym samochodem. Za oknami migwały wzgórza Hollywoodu. Potem droga wzdłuż wybrzeża, potem Malibu i w końcu z powrotem Bulwarem Zachodzącego Słońca wśród wzgórz do ulic w pobliżu domu Damona.

Ciągnęło ją do tego domu, ale ilekroć zbliżała się do rezydencji Damona, jakiś impuls zmuszał ją do wykręcenia kierownicą i odjechania.

Kontynuowała swoją tułaczkę. Jechała na wschód od Wilshire, a potem dalej do Beverly. Mijała zatłoczone uliczki i ponownie wracała na wzgórza. Czowała się bezpiecznie wśród armii innych kierowców, z których każdy zamknięty był wewnątrz własnego pojazdu.

Po porzuceniu ciała Alethei na wzgórzach pojechała Jej mercedesem do Santa Monica, zostawiła go na parkingu i pokuśtykała do najbliższej tawerny. Tam przy pomocy sprytnych i taktownych pytań wyciągnęła z barmana wskazówki, gdzie znaleźć lekarza. Dotarła do niego, a on zajął się jej stopą. Miała teraz na niej gips.

Przesiadając się z autobusu na autobus dojechała do taniego motelu, gdzie spędziła noc. Dziś rano wynajęła samochód.

Około południa zatrzymała się obok wielkiej księgarni na Hollywood Boulevard i szperała w regałach z używanymi książkami, dopóki nie znalazła egzemplarza starej powieści Damona *Bajarz*. Na okładce było jego zdjęcie z okresu zaraz po wojnie. Widziała ten wizerunek wiele razy. Znała tę książkę niemal na pamięć.

Usiadła w małej kafejce i czytała uważnie stary tomik przez długi czas. Na stoliku obok stygła nietknięta herbata.

Potem wróciła do samochodu.

Wiedziała, że może zadzwonić do Damona kiedy tylko zapragnie. Lecz myśl o tym, że ma się łączyć z nim przez telefon była tak odpychająca, jak ta o powrocie do domu. Potrzebowała więcej czasu, aby zebrać myśli.

Zatrzymała się obok budki telefonicznej i wykręciła numer Annie.

— Cześć — usłyszała głos z automatycznej sekretarki. — *Mówi Annie.*

Nie mogę w tej chwili podejść do telefonu, ale jeśli chcesz zostawić wiadomość...

Christine odwiesiła słuchawkę, wyszła z budki i wsiadła z powrotem do samochodu.

Postanowiła jeździć dalej. Myśl o tym, że Demon i Annie byli tuż obok, a ona nie mogła do nich pójść, była dla niej niewymownie bolesna. Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę samotna, jak zagubione dziecko.

Nawet jej przenikliwy umysł nie był w stanie przyjść jej z pomocą, ponieważ opanowany był przez myśli, z którymi nie mogła sobie poradzić.

Stała obok boiska przy szkole podstawowej i obserwowała dzieci wspinające się na drabinki i popychające się nawzajem na karuzeli.

Bezwiednie dotknęła brzucha.

Pojechała z powrotem w kierunku oceanu. Dzień był nieco mglisty i wyjątkowo gorący jak na tę porę roku. Lecz Christine przenikał dokuczliwy chłód. Jej palce były lodowate. Stopa bolała.

Za kilka godzin będzie musiała przenieść się do innego motelu. Ta myśl przygnębiła ją. Lepiej i spokojniej było tułać się bez celu. Żadne miejsce nie mogło jej teraz zapewnić bezpiecznego schronienia. Najlepszym adresem był brak adresu.

W końcu nie wytrzymała i uległa pokusie usłyszenia głosu Damona.

Telefon odebrała sekretarka.

— Jest dla pani wiadomość, panno Swift. Pan Rhys pojechał do domu na pustyni i będzie tam na panią czekał.

— Nie rozumiem, ja dzwonię z Iowy. Tłumaczyłam mu, że wyjeżdżam na kilka dni...

— Taka jest treść wiadomości, panno Swift. Powiedział, że będzie pani szukał dziś wieczorem i że pani zrozumie. To wszystko, co wiem. Po chwili namysłu Christine pojechała prosto do domu w kanionie i weszła do środka.

Rozejrzała się badawczo po foyer i salonie. Nadal czuć tu było środkami dezynfekcyjnymi. Na ladzie kuchennej stała jedna z wyszczerbionych filiżanek Damona, wypełniona do połowy brandy.

Przeszła przez hol do swojego pokoju. Łóżko było starannie zasłane, lecz jej uwagę przyciągnął blat biurka. Leżała na nim poranna gazeta, otwarta na stronie z artykułem o śmierci Alethei. Obok leżał dziennik Christine otwarty na stronie z listą imion. Recepta i broszura na temat ciąży znajdowały się poniżej jej fotografii z Aletheą na plaży.

Wróciła do salonu. Na stole obok telefonu stało jej zdjęcie z obcymi ludźmi, których wynajęła za dwadzieścia dolarów na głowę, aby pozowali jako rodzina Margot z Iowy.

Notes ze spisem telefonów był otwarty na stronie z fałszywym numerem, jaki podała Damonowi.

Stała w milczeniu myśląc intensywnie.

Potem przemierzyła dom wzdłuż i wszerz, odnajdując, jakby po raz ostatni, znajome przedmioty. Kilka z nich dotknęła, delektując się strukturą ich powierzchni.

Poszła odpocząć do swojej sypialni. Uprzątnęła rzeczy z blatu biurka, otworzyła notatnik i zaczęła pisać.

Droga Annie...

Przez dłuższy czas nie mogła znaleźć słów. Potem, kiedy dotarło do niej, jaka jest jej sytuacja i co zamierza zrobić, ogarnął ją przedziwny spokój.

Droga Annie,

wiem, że nigdy tego nie przeczytasz. Odchodzę od

ciebie w najlepszy sposób, jaki znam, odchodzę z mojej samotności, skąd słowa nigdy nie będą mogły do ciebie dotrzeć.

Pisząc uśmiechała się łagodnie. Telefon zadzwonił kilka razy, ale nie myślała go odbierać.

Kiedy skończyła, odłożyła dziennik do szuflady, spakowała małą torbę podróżną i wyszła frontowymi drzwiami nie zostawiając żadnej informacji.

To nie było potrzebne.

Jechała do Damona.

LV

Annie czuła, że jeszcze trochę a zwariuje.

Brakowało jej Damona bardziej, niż sobie to uświadamiała. Tęskniła za jego ojcowskimi manierami, za widokiem zwalistego ciała, a nade wszystko za tubalnym głosem, którego sardoniczne żarciki odciągnęłyby ją od wykańczającego czekania na Oscary.

I Margot była tak daleko, na łonie stroskanej rodziny. Być może stan jej matki był tym razem naprawdę poważny.

Annie czuła się jak żywy trup. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zjadła zaledwie pół kanapki.

Żałowała, że siedziała tu sama przez ostatnie dni, kiedy mogła być w domu w kanionie słuchając Damona grającego na skrzypcach, ćwicząc w pokoju rekreacyjnym czy pływając z Margot w basenie sąsiadki i pomagając Conchacie przy posiłkach.

Teraz, w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, oni wyjechali, a ona została sama.

Włączyła telewizor, ale nie mogąc w nim znaleźć nic prócz „oper mydlanych” i teleturniejów wyłączyła go. Otworzyła książkę, którą zaczęła czytać w ubiegłym tygodniu, lecz stwierdziła, że nie jest w stanie skoncentrować się na jej treści. Potem nagle zdecydowała się wyjść. Narzuciła na siebie lekki żakiet, schwyciła torebkę. Jednak po chwili uświadomiła sobie, że nie ma dokąd

pójść. Nie miała też odwagi, by wałęsać się po ulicach w aktualnym nastroju.

W końcu zdesperowana zadzwoniła do działu łączności telefonicznej Damona. Może mają jakieś wiadomości od Margot. Pracownicy działu, zgodnie z instrukcjami Damona, przekazywały sobie pozostawione informacje, więc jeśli coś było, nie omieszkają jej powiedzieć.

— Cześć, dzwoni Annie. Czy macie coś dla mnie od Damona?

— Absolutnie nic, miss Havilland. Tylko tyle, że jest w Arizonie i będzie w kontakcie.

— Dzięki i za to — Annie zaczęła odkładać słuchawkę, lecz zmieniła zamiar. — Przypuszczam, że nie miał wiadomości od Margot, a może zostawił coś dla niej?

— Zaraz zobaczę... Tak, jest coś. Jest tu wiadomość dla panny Swift. Mówi, że ma się z nim spotkać w domu na pustyni tak szybko, jak to tylko możliwe.

— To dziwne. Margot jest w Iowa, nieprawdaż?

— Cóż, z moich notatek wynika, że dzwoniła tu i odebrała informację, chociaż nie jestem pewna, kiedy to było. Nie wiem, czy zamierza zastosować się do jego polecenia, ale otrzymała je.

— Dziękuję bardzo.

Annie odwiesiła słuchawkę z większym mętlikiem w głowie niż kiedykolwiek. Co się dzieje? Najpierw Damon, teraz Margot...

Czy oni sobie z niej żartują?

A może to było coś poważnego?

Gdyby tylko w domu na pustyni był telefon? Ale dla Damona ten dom był oazą samotności i dbał o to, żeby pozostawać zupełnie nieuchwytnym, gdy tam jechał. Nie chciał, by ktokolwiek zakłócał jego spokój i nękał go telefonami.

Do wręczenia Oscarów pozostał zaledwie jeden dzień. Annie nie uśmiechało się bezradne siedzenie tutaj przy telefonie i czekanie, aż Damon lub Margot zadzwonią. Dość miała cichej walki z własnym niepokojem.

Lecz cóż jeszcze można było zrobić?

Nagle pomyślała o numerze Margot w Iowa.

Zawahała się. Nigdy przedtem tam nie dzwoniła.

I Damon mówił, że to jest wiejska linia towarzyska. Margot prosiła go wczoraj, żeby do niej nie dzwonił, tylko czekał, aż ona się z nim skontaktuje. Skąd ta jego wiadomość dla niej pozostawiona w dziale łączności telefonicznej.

A teraz sprawy przybrały inny obrót. Annie nie mogła już znieść ani minuty dalszej niepewności.

Usiadła przy telefonie, odszukała numer w notesie i zaczęła wykręcać.

LVI

W 1947 Rhys zaczął dostrzegać ten jedyny kierunek, w jakim musi udoskonalać swój talent.

Odpowiedzi na stawiane w artykułach, esejach i opowiadaniach pytania sprowadzały się do tej samej serii wniosków. A jego impresyjna Parabola ucieleśniła wiele tematów, które miały go później absorbować w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, takich jak przypadek, zmiany zachodzące w człowieku, krzyżowanie się losów ludzkich i negacja.

Mieszkając w tamtych czasach w nowojorskim Greenwich Village, Rhys zaprzyjaźnił się z ki/koma najwybitniejszymi młodymi dramaturgami i powieściopisarzami i stał się ich intelektualnym przywódcą. Podróżował również po całym Wschodzie spotykając się z teatrami, których reżyserzy włączyli Parabolę do swego repertuaru: awangardową grupą Omega, umieszczoną później na czarnej liście za przekazywanie treści marksistowskiej i z bardziej tradycyjnym Dane Theater, którego impresario Lewe/l Ingram był teatralnym purystą, doceniającym niemal niewiarygodną technikę pisarską Rhysa.

Rhys jeździł oglądać przedstawienia swoich sztuk wystawiane dla widowni małych miasteczek i wie/kich miast, zawsze wyczulony na koordynację napisanych przez siebie kwestii ze sposobem grania poszczególnych scen, a także na słabe punkty w sferze tematycznej. Te podróże zawiodły go do Syracuse, Rochester, Ithaca Cornell University, Toronto i Buffalo...

Toronto, Syracuse, Buffalo...

Wally Dugas zamknął oczy i trwał tak przez długą

chwile. Fotograficzna pamięć połączona z intelektem toczyła powolną walkę z zamętem ogarniającym jego umysł.

Na jego kolanach spoczywała najnowsza biografia Rhysa, otwarta na okresie 1947 roku.

Na biurku leżała dzisiejsza gazeta z fotografią zamordowanej pani Sonderborg i zdjęcie Rhysa z Annie Haviland i Margot Swift, które pojawiło się w prasie w ubiegłym tygodniu.

Pani Sonderborg i panna Swift. Alethea i Christine.

Wally przeklinał własną tępotę. Był niewątpliwie w posiadaniu kluczowych faktów. Wiedział, kim byli ci ludzie i jakie kierowały nimi motywy. Lecz jego umysł był z rodzaju „przeżuających” i nie nawykł do szybkiego działania.

Nie mniej jednak odnosił wrażenie, że teraz należy zadziałać błyskawicznie.

Próbował zebrać wszystko, co wie w jakąś sensowną całość.

Christine zabiła Aletheę. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Dowody na seksualne podłoże zbrodni były zwykłą przykrywką. Telefon do faceta będącego wtyczką Wally'ego w biurze koronera potwierdził, że nie znaleziono nasienia ani innych dowodów kontaktu z mężczyzną.

Był przekonany, że Christine zdolna była do popełnienia takiego czynu.

Żeby dopełnić wszystkich formalności i nie mieć sobie nic do zarzucenia,

Wally dokonał dyskretnego rozpoznania terenu obok domu Rhysa w kanionie. W dzień zniknięcia Alethei dwóch ogrodników i służąca widziało tam jej mercedesa.

A więc Christine obroniła się w jedyny sposób jaki przyszedł jej do głowy. Alethea, zobaczywszy zdjęcie w *Timesie* odkryła miejsce pobytu córki oraz naturę jej oszustwa i pospieszyła zniszczyć ją.

Być może zamierzała też skrzywdzić Annie. To zresztą nie ma już znaczenia, gdyż Christine ją powstrzymała.

A może nie?

W każdym bądź razie to wszystko wydarzyło się

w samą porę, jak na zamówienie. Dwa motywy, jedna zbrodnia. Ale nie było w nich tej jasności, tak nieodzownej dla analitycznego umysłu Wally'ego.

Jeśli Alethea ujrzawszy zdjęcie w gazecie wyruszyła zniszczyć to, co uważała za szczęście Christine, to musiała dysponować wystarczająco potężną bronią, by tego dokonać.

Co to za broń?

Czy fakt, że Christine była kurwą z Miami a nie studentką z Iowy? Skąd mogła mieć pewność, że Damon i Annie nie wyśmieją jej po prostu i nie zaakceptują Christine mimo to? Ostatecznie wystarczająco udowodniła im swoją wartość. Była ich przyjaciółką.

Nie odkładając biografii Wally pochylił się nad fotografią Rhysa z dwiema młodymi kobietami. Instynktownie spojrzął w oczy Christine. Tyle w nich było do zobaczenia...

Tak jak Annie grała błyskotliwie na ekranie, tak Christine robiła to w życiu. Ta maskarada z Margot była dopracowana w każdym calu.

Nie mniej jednak ktoś, kto znał jej prawdziwą tożsamość, bez trudu zauważał czujne oczy Christine pod szczęśliwymi oczami Margot. Zdradzały one w namacalny sposób strach, jaki odczuwała pozując do zdjęcia.

A jeszcze głębiej, pod tą maską czujności czaiła się stara, uparta cierpliwość, która tak odpychała na zdjęciu z plaży. Jak odległy pogłos grzmotu w chłodne popołudnie, to była prawdziwa Christine w całej owej ponurej okazałości.

Wszystko to nagle zobaczył Wally z niezwykłą jasnością zrodzoną z jego wiedzy o Christine. Lecz na zdjęciu było jeszcze coś. Krnąbrny, mały, ledwie zauważalny cień.

I cokolwiek by to nie było, nie umknęło uwadze Alethei.

Wyjął z szuflady szkła powiększające i przestudiował zdjęcie dokładnie. W oczach Rhysa, promieniujących ojcowską dumą z Annie, widniał ukryty błysk przeznaczony wyłącznie dla Margot. I, bez wątpienia, było to spojrzenie odwza-

jemnione. Niewidoczne dla fotografa, dla Annie, dla nikogo z wyjątkiem tych dwojga. Niewidoczne dla Alethei?

Wally koncentrując się ściągnął usta. Przesuwał powoli szkło nad zdjęciem.

Tak, byli kochankami. Lecz Rhys chyba nie wiedział, kim była Christine. Dał się zwieść jej przebraniu.

Cóż, czemu nie? Była mistrzynią w graniu pozornej uczciwości. Uwiodła go jako Margot. Był to dla niej jedyny logiczny sposób postępowania. Ale musiało być jeszcze coś. Coś, co skłoniło Aletheę do działania i posłużenia się tak niebezpieczną bronią, że Christine musiała ją zabić. Z pewnością nie była to jedynie groźba zdemaskowania jej. Christine, zawsze tak opanowana, wiedziałaby jak odparować ten cios bez użycia przemocy.

Lecz czy ona nadal była tak opanowana? Czy nadal była sobą?

Naraz klepnął dłonią w blat biurka. Oczywiście! Jego własne martwe serce uczyniło go ślepym na prawdopodobny fakt, że Christine mogła się zakochać w Rhysie.

W końcu wszyscy zgodnie twierdzili, że jest niezwykłym mężczyzną...

Tak, ten błysk w oku nie mógł być pomyłką. Nie tylko byli kochankami, ale ona faktycznie czuła coś do niego. Może miłość. To stanowiło prawdziwy sekret ukryty w jej spojrzeniu.

Wtedy rzeczywiście musiała to być dla Christine rewolucja, do której była zupełnie nieprzygotowana.

A w takim przypadku pojawienie się Alethei oznaczałoby naprawdę zagrożenie...

Wally musiał się uśmiechnąć. Cóż za zwrot w życiu Christine! Wytrawna profesjonalna kurwa zaplątana w najstarszy znany z literatury romantyczny dylemat! Uwiodłszy, pod fałszywą tożsamością mężczyzną i zakochawszy się w nim, teraz drżała na myśl o straszliwej rewelacji jaką mogłoby być odkrycie jej prawdziwej tożsamości. Odkrycie to najprawdopodobniej spowodowałoby utratę obiektu jej miłości.

Ta myśl wydawała się niewiarygodną, ale skoro już

raz zaświtała mu w głowie, została świecąc jasno jak słońce na fotografii. Christine była zakochana.

Wally rozmyślał nad ironią losu, który dopada nawet najbardziej przebiegłe z kobiet. Pomimo starannego zaplanowania wszystkiego i wytyczenia doskonałych sposobów postępowania, jej czujność przysnęła, a świat błyskawicznie dosięgnął ją śmiertelnościami pazurami.

Wyobraził sobie triumfalne przybycie Alethei i wściekłą reakcję jej córki. Zbrodnia została popełniona w obronie własnej, jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności. Lecz była to także egzekucja i zemsta za całą parszywą egzystencję.

Matka i córka walczące na śmierć i życie pod samym nosem Rhysa.

Tylko tego brakowało, żeby sama Alethea była kochanką Rhysa.

Wówczas trójką byłby kompletny.

Ta myśl spowodowała, że Wally'ego aż zatkało.

Spojrzał na leżącą na jego kolanach książkę.

Nic dziwnego, że tkwiła tam cały czas jak supełek zawiązany na chustce, aby mu przypomnieć o tym, co i jak nieustannie kołatało się w jego podświadomości.

Rhys jeździł oglądać przedstawienia swoich sztuk wystawiane dla widzów małych miasteczek i wielkich miast... Te podróże zawiodły go do Syracuse, Rochester, Toronto i Buffalo...

Dane Theater. Boże! Wiedział od początku, że Alethea była z grupą *Dane*, kiedy spotkała Harry'ego.

Wally przetarł zmęczone oczy. Nareszcie udało mu się powiązać wszystkie nitki. Motyw, środki, fakty...

Alethea zazdrosna o własną córkę... Alethea zaalarmowana, być może z powodu niedawnej wizyty Wally'ego. Czyżby niechęć dał jej do ręki jakąś broń przeciwko Christine?

Były w zażyłych stosunkach z tym samym mężczyzną. Córka obecnie, a matka dawno temu, w zapomnianych czasach.

Czytał ponownie fragment z opasłej biografii, wykręcając jednocześnie numer telefonu.

W domu Rhysa w kanionie nikt nie odpowiadał.

Jak znaleźć Christine? Jeśli nie było jej w domu, to gdzie mogła być?

Wykręcił numer biura Rhysa w *International Pictures*. Sekretarka powiedziała, że Rhysa nie ma, ale nie podała szczegółów. Dodała też, że panna Swift wyjechała z miasta w sprawach rodzinnych. Jakaś choroba, która wymagała jej natychmiastowej obecności.

Wally zamknął biografię i zapatrzył się w jaskrawe zdjęcie Rhysa na okładce. Przybliżył do niego leniwie szkło powiększające, wykręcając jednocześnie kolejny numer telefonu.

— Tu centrala telefoniczna pana Rhysa. Czy ma pan dla niego jakąś wiadomość?

— Tak. To pilna sprawa, a nikt nie odpowiada w jego domu w Hollywood. Czy wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

— Wyjechał z miasta, proszę pana. Wróci dopiero jutro. Jest nieosiągalny przez telefon, ale będzie dzwonił tutaj, więc jeśli może pan zostawić wiadomość...

To znaczyło, że był w domu na pustyni.

Wally zatrzymał szkło nad błyszczącymi, niebieskimi oczyma Rhysa na okładce. Nagły przyptyk intuicji spowodował, że jego umysł zaczął pracować na przyspieszonych obrotach.

— Może będzie pani mogła mi pomóc. To jest trochę skomplikowane i naprawdę bardzo pilne. Ta wiadomość jest dla panny Swift, jego asystentki. Dotyczy choroby w jej rodzinie i naprawdę nie może czekać, aż pan Rhys zadzwoni. Panna Swift musi otrzymać ją zaraz...

— Rozumiem, proszę pana, ale nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za pannę Swift. To jest centrala telefoniczna pana Rhysa.

— Czy ona jest z nim teraz?

— Proszę pana, naprawdę nie mogę...

— Dobra, może ujmę to tak. Przypuśćmy, że miałbym dla panny Swift wiadomość na wagę życia i śmierci

i nie mógłbym czekać. Czy sądzi pani, że byłby to dobry pomysł gnać z nią prosto do domu w Mojave?

— Cóż, proszę pana... Tak, proszę pana. Sądzę, że to byłby najszybszy sposób. Albo telegram...

— Dziękuję. Dziękuję bardzo.

— A jeśli zadzwoni, kogo mam...

Wally odłożył słuchawkę. Jego myśli były rozproszone. Coś mu mówiło, że odpowiedź na jego ostatnie pytanie znajduje się w zasięgu ręki, a jeśli nie złapie jej natychmiast, wymknie mu się na zawsze.

Założmy, że Alethea przyjechała nie tylko po to, by otworzyć Rhysowi oczy, ale także by powiedzieć coś Christine. Założmy, że chciała upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu...

Szkoło powiększyło tęczęwki Rhysa do monstualnych rozmiarów. Wally pochylił się nad zdjęciem tak, że jego twarz spoczywała niemal na blacie biurka.

Lecz tym, co nie dawało mu spokoju, kołacząc się gdzieś w zakamarkach pamięci były oczy Christine, kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się w pokoju motelu w Miami. Już dawno temu doszedł do wniosku, że bardzo mądrą rzeczą jest wbijanie sobie w pamięć oczu napotykanym ludzi.

Były bledsze niż u Rhysa, turkusowe w porównaniu z jego niebieskimi. I były spokojniejsze, zimne jak lód, badawcze, podczas gdy Rhysa migotały z nerwową intensywnością.

Ale miały coś wspólnego. Wally spostrzegł to, dopiero kiedy przestał o nich myśleć kategoriami sposobu, w jaki patrzyły na świat i ograniczył się do ich fizycznego wyglądu. Tu właśnie tkwił sekret, w zmiennej morskiej głębi tęczęwek.

Objawiał się on w tej chwili Wally'emu przez szkło powiększające, ale także wypływał z oparów pamięci. Przed oczyma duszy stanęły mu oczy pięknej dziewczyny, której usta muskały jego usta w motelu, której nagie ciało rysowało się w półmroku.

Tak, tu tkwił sekret, w samym środku jej błękitnych oczu.

Mały, pomarańczowy półksiężyc.

LVII

Annie skończyła pakować małą torbę podróżną i ruszyła przez popołudniowy skwar do samochodu.

Nie mogła już znieść ani minuty dłużej tego więzienia, w którym znajdowała się od wczoraj.

Telefonistki w centrali w Iowa nie mogły znaleźć numeru Margot ani nawet adresu jej rodziny. Ze sposobu, w jaki to mówiły wynikało, że mógł on w ogóle nie istnieć.

Nieemożność skomunikowania się dotyczyła w tajemniczy sposób zarówno Margot, jak i Damona. Nie mogła się skontaktować z żadnym z nich.

Napięte do granic wytrzymałości nerwy i samotność pchnęły ją do działania. Odległość do Arizony była tak duża, że zdawała sobie sprawę, iż dotrze tam dopiero wieczorem. Nie zrażała się tym jednak.

Przynajmniej będzie to jakiś sposób na spędzenie czasu dzielącego ją od ceremonii wręczenia Oscarów.

Miała nadzieję, że kiedy tam dotrze, nie zostanie potraktowana jak intruz. Bo i dlaczego miałyby być intruzem? Najbliżsi jej ludzie byli razem na pustyni. Chciała być z nimi.

LVIII

Frank skręcił z Benedict Canyon Drive w stromą, ślepa uliczkę przy której stał dom Damona. Spodziewał się go tam zastać.

Musiał z nim porozmawiać. Nie mógł już dłużej czekać. Spędziwszy cały wieczór w biurze Martina Far-rowsa na czytaniu akt Kurtha i resztę nocy rozmyślając w domu nad tym, czego się dowiedział, czuł, że tylko Rhys mógł wyjaśnić udział Annie w tym wszystkim. Lecz duża liczba interesantów i związany z tym nawał pracy, zatrzymały go przy biurku całe przedpołudnie i dopiero teraz zdołał się wyrwać.

Akta w biurze Farrowsa rzucały nowe światło na wiele

spraw. Na Kurtha, na samego Franka, a przede wszystkim na Annie. W teczce znajdowały się dziesiątki zapisków dokumentujących sprawy sądowe przeciwko Kurthowi, którego ofiarami były młode aktorki, dziewczyny „na telefon”, a nawet niewinne osoby postronne, nie związane z show-biznesem.

Dziesiątki dłużników, dziesiątki dokuczliwych spraw sądowych... Technika Kurtha polegała na zgwałceniu i pobiciu, po którym następował szantaż czy zastraszenie, a w stosunku do prostytutek niekiedy postępowanie sądowe. Używał Martina Farrowa i jego kolegów jako współników i legalnych płatnych zabójców przez co najmniej piętnaście lat.

Jego nieskalana reputacja ukrywała jeden z najbrudniejszych życiorysów w historii Hollywoodu. Myśl o cierpieniach jego ofiar napawała Franka współczuciem

i obrzydzeniem do ich sprawcy.

A Annie była jedną z nich!

Została zgwałcona, pobita i oskarżona o prostytutkę, co miało obalić oskarżenie, jakie wniosła przeciwko Kurthowi. Wcześniej zaoferowano jej potajemnie dziesięć tysięcy dolarów jako zadośćuczynienie za poniesione krzywdy, które ona odrzuciła.

Frank spędził bezsenłą noc w poczuciu bezsilnej wściekłości, pałając żądzą zemsty, żałując, że nie może wyciągnąć Kurtha z grobu, aby wycisnąć z niego życie własnymi rękoma.

Poblady z gniewu rozmyślał nad ciężką próbą, na jaką została wystawiona Annie i o jej upokorzeniu. To była udręka, której prawdopodobnie nigdy nie wyznała nikomu.

Spadło to na nią, kiedy była jeszcze tak młodziutka, tak niewinna, wchodząca dopiero w zakłętą drogę Hollywoodu, a także w dorosłe życie. Pomyślał o jej wyjeździe do Nowego Jorku po tym, co Kurth jej zrobił. Pomyślał o jej wytrwałej, owocnej pracy z Royem Deranem, o jej karierze scenicznej, pracy w reklamie i w końcu o powrocie do Hollywood, gdzie

Damon obsadził ją w *Godzinie nocy*, zaskakując tym i wywołując ogromne poruszenie w *International Pictures*.

Teraz Frank już rozumiał, dlaczego to musiał być Rhys. To był najbardziej wrażliwy, nieposkromiony i ekscentryczny człowiek filmu -w Hollywood, talent, którego związki z *Internationalem* zawsze musiały być burzliwe...

Frank wyczuwał niemą wściekłość Annie, jej pragnienie zemsty. Czy zetknięcie się z Rhysem było dziełem ślepego przypadku, czy też wybrała go celowo od samego początku? Wyobrażał sobie szaleńczą desperację z jaką walczyła o rolę Lianę.

Odrzuciwszy podłą zapłatę Kurtha znalazła się z pewnością na jego czarnej liście. Nigdy nie pozwoliłby jej zagrać w Hollywood, gdyby wiedział, że się do tego przymierza.

Ale przechytryła go. Rhys, człowiek nie dbający o zdanie otoczenia, obsadził ją i tak.

Gniew Franka połączył się z dumą z Annie, kiedy wspominał jej upartą wspinaczkę w górę i zwycięstwo, odniesione nad Kurthem mimo całej jego potęgi.

Raptem przypomniał sobie ohydną kampanię reklamową, która zabrukała prywatne życie Annie, lansując *Godzinę nocy* przed wypuszczeniem na ekrany. Nawet wtedy wydawała się ona sztucznie rozdmuchana, co najmniej dziwna, szczególnie, kiedy zobaczyło się jej tak subtelną i inteligentną grę w tym filmie.

A jeszcze bardziej, kiedy poznało się ją jako człowieka.

Myśli Franka przepełnione były bólem. Zasłona spadała z jego oczu, lecz zbyt wolno, nie do końca. Podejrzewał, że istniał jakiś ukryty powód, dla którego Kurth wezwał go tamtym ostatnim razem pod tak błahym pretekstem.

Co było tym powodem?

I dlaczego Kurth popełnił samobójstwo?

W każdym bądź razie jeśli Kurth zamierzał zniszczyć związek Franka z Annie, z całą pewnością mu się udało. Broń, jakiej użył przetrwała jego śmierć, aż do dziś

utrzymując Franka w fałszywym przekonaniu o zakłamaniu Annie. Frank potrzasał głową w zdumieniu. Czy istota ludzka mogła być tak przebiegła? I tak zła?

Musi porozmawiać z Damonem Rhysem.

Zaparkował samochód na podjeździe. Robiąc to uświadomił sobie, że powinien był zatelefonować i sprawdzić, czy Damon jest w domu.

Założył z góry, że będzie tutaj, usiłując utrzymać nerwy na wodzy przed wręczeniem Oscarów. Ale równie dobrze może przecież być w swoim biurze w *International* i odbierać telefony z gratulacjami z okazji nominacji.

No dobra, pomyślał, zastukajmy do tych drzwi.

Zwolnił kroku zastanawiając się, czy to możliwe, że Annie jest w środku razem z Damonem.

Wzruszył jednak ramionami i podszedł do progu. Było zbyt późno, by dzielić włos na czworo.

Drzwi otworzyła Conchata, gospodyni, która niekiedy częstowała Franka herbatą podczas jego dawnych odwiedzin u Annie.

Witając go wyglądała na zmartwioną.

— Czy pan Rhys jest w domu? — zapytał.

— Ja... Nie, proszę pana, nie ma go — wydawało mu się, że spogląda trwożliwie z mrocznego holu.

— Czy jest w biurze? Naprawdę chciałbym z nim porozmawiać. Może powinienem był najpierw zadzwonić?

Potrząsnęła głową.

— Nie ma go w biurze. Ja... — zawahała się, jakby targana sprzecznymi uczuciami.

— Czy coś się stało? Westchnęła ciężko.

— Panie McKenna, nie wiem, czy powinnam panu to mówić. Ale nie znam nikogo innego, komu mogłabym powiedzieć. Dzwoniłam już do sekretarki pana Rhysa... Proszę, niech pan wejdzie.

Frank wszedł do foyer i spojrzał w kierunku salonu. Nie był tu już od dawna. Wyglądał tak samo. Te same sfatygowane kanapy z meksykańskimi narzutami, te same dziwaczne dzieła sztuki na stoliku obok książek i notatników Rhysa, te same okrągłe plamy na meblach po setkach szklanek z whisky.

— Coś się stało. Coś niedobrego dzieje się w tym domu. Godzinę temu weszłam tu, żeby posprzątać... tu, pokażę panu... Jest pan prawnikiem, może pan będzie wiedział, co powinnam zrobić.

Przeszedł za nią przez hol do pokoju Margot. Wskazała na komódkę. Leżała na niej złożona gazeta i szkolny notatnik.

Popatrzył przez chwilę na gazetę i wzruszył ramionami. Potem otworzył notatnik. Wypadły z niego jakieś papiery, między innymi recepta i stare zdjęcie kobiety z małą dziewczynką na plaży.

Przejrzał strony notatnika. Były pokryte starannym pismem. Notatki miały charakter osobisty i wysoce intelektualny. Nic dziwnego, ostatecznie robiła je Margot.

Frank przekartkował do ostatniej strony. Zobaczył listę imion, która go zaintrygowała, a potem list.

Droga Annie,

wiem, że nigdy tego nie przeczytasz...

Przeczytał uważnie cały list. Następnie przestudiował raz jeszcze, lecz dokładniej, notatnik i papiery, po czym zwrócił się do Conchaty.

— Czy Damon to widział?

— Nie wiem — drżała cała. — Dzwoniłam do działu łączności telefonicznej pana Rhysa. Nie było tam dla mnie żadnej wiadomości. Ale powiedziano mi, że pojechał do domu w Mojave i że zostawił informację, aby panna Swift spotkała się tam z nim. Myślałam, że ona jest u rodziny w Iowa... Mam kompletny zamęt w głowie. Ale muszę panu jeszcze coś powiedzieć, panie McKenna.

— Uniósł pytająco brwi. Sprawiała wrażenie bardzo zmieszanej.

— Mówię to panu w największym zaufaniu. To coś, o czym być może sama nie powinnam wiedzieć. Może obity się pan o uszy plotki o planie pana Rhysa, że... że... kiedy zdecyduje, że nie chce dłużej żyć...

— Tak.

Frank słyszał te historyjki, ale nigdy w nie do końca nie wierzył, szczególnie po tym, jak poznał Damona osobiście. Sposobem Damona na zejście z tego świata wydawało się być stopniowe zabijanie się przy pomocy alkoholu. Nie był typem człowieka, który unicestwiłby się gwałtownie przy pomocy śmiertelnej broni.

— To jest prawda, panie McKenna. Pracowałam dla pana Rhysa, kiedy budowano dom na pustyni. W pokoju z kominkiem na jego tyłach są kanistry z jakimś gazem. Bardzo niebezpiecznym... Nie znam jego nazwy. Są schowane w specjalnej szafce i połączone z instalacją grzewczą. Klucz do tej szafki przechowywany był tutaj, w tym domu. Podejrzewam, że to środek ostrożności na wypadek, gdyby pan Rhys wypił za dużo i chciał zrobić coś nieprzemyślanego.

Frank pokiwał głową. Sprawiało to wrażenie logicznego mechanizmu samoobronnego dla zatwardziałego pijaka, który nigdy nie wie, co może go najść podczas różnych stadiów zamroczenia alkoholowego.

— Cóż — westchnęła. — Klucz zniknął. Kiedy weszłam tu dzisiaj, dom wydawał mi się jakiś inny. Pewne przedmioty były poprzestawiane i leżały te papiery, które panu pokazałam. Zaniepokoiłam się i poszłam sprawdzić klucz. Nie było go. Tak więc teraz nie wiem, co robić. Może powinnam zadzwonić na policję...

Frank myślał szybko.

— O której godzinie pani tu przyszła?

— O pierwszej. Może trochę po.

Rhys z pewnością nie wytoczył się z łóżka przed dziewiątą, a nawet dziesiątą. Było dużo czasu. A może nie.

Jedno było pewne. Rhys widział papiery w pokoju Margot. Dlatego wyjechał. A teraz musi być w połowie drogi do Arizony.

— W porządku, Conchato. Dobrze, że mi pani to

powiedziała. Zajmę się tym natychmiast. Ale proszę mi powiedzieć: gdzie jest Annie? Wzruszyła ramionami.

— Myślę, że w swoim mieszkaniu. Nie wiem. Podszedł do telefonu i wykręcił numer. Po kilku dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka. Odłożył słuchawkę. Zamknął oczy usiłując sobie przypomnieć nazwisko gospodyni Annie. Niestety bezskutecznie.

Kiedy otworzył oczy ujrzał przed sobą Conchatę, najwyraźniej oczekującą od niego jakiegoś konkretnego działania.

— Dobrze — powiedział. — Proszę tu zostać i odbierać wszystkie telefony. Jeśli ktoś zadzwoni, proszę to przekazać do działu łączności i poprosić ich, żeby powiadomili mnie o tym, kiedy do nich zatelefonuję. Będę do pani dzwonił.

— Dokąd pan jedzie?

— Na pustynię.

— Co to będzie, panie McKenna?

Potrząsając głową Frank obrócił się na pięcie. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

LIX

Korki uliczne spowodowane godzinami szczytu były tak gigantyczne, że Wally spóźnił się na samolot o piątej trzydzieści do Las Vegas.

Siedział jak na szpilkach w poczekalni lotniska, obserwując na zegarze wlokące się minuty.

Gdyby tylko Rhys miał telefon w tym cholernym domu na pustyni!

Wówczas ten melodramatyczny krok nie byłby konieczny. W zaistniałym stanie rzeczy Wally nie miał pojęcia, co powie Christine, kiedy się spotkają. Jeśli nie działo się nic złego, jego obecność tam będzie zupełnie nie na miejscu.

Lecz jakieś niejasne uczucie nie dawało mu spokoju. Bał się, że Christine, a być może i Rhys, są w posia-

daniu informacji mogących zagrozić ich życiu, w zależności od tego jak jedno lub drugie zadecyduje je wykorzystać.

Wally zerknął na fotografie, które wiozł ze sobą w aktówce.

Złapał się na tym, że zastanawia się nad rodowodem Annie. Czy ona mogła być w jakiś sposób związana z Rhysem? Mimo wszystko urodziła się zaledwie w osiem miesięcy po ślubie z Harrym... 22 kwietnia 1946.

Lecz nie: ona musiała być córką Harry'ego. Zdjęcia nie kłamią. Brwi, broda, ciemne włosy... To były cechy Havillandów. Oczywiście oczy były typowe dla niej tylko.

Co do tego nie mogło być wątpliwości. Ona i Christine były siostrami przyrodnimi z Aletheą w charakterze wspólnego mianownika.

Dwie wielkie aktorki z matki aktorki. Dwa symbole seksu z seksualnego cudu. Linia podziału genów przebiegająca między dobrem a złem...

Przez długi czas myliły go grupy krwi. „AB” u Annie. „O” u Christine, „A” u Harry'ego, „B” u Alice. Myślał, że te dwie dziewczyny były rodzonymi siostrami.

Nie miał teraz czasu sprawdzać, ale wiedział, że Rhys ma grupę „A”.

Jego pamięć utrwaliła sobie datę urodzenia Rhysa z biografii: 19 marca 1915.1 Harry'ego: 5 czerwca 1920. Na świadectwie ślubu Alethea podała jako datę urodzenia 20 października 1925. Fałszerstwo? Być może.

Gdyby tylko wiedział, kiedy i gdzie urodziła się Christine! Lecz Alethea zabrała tę informację do grobu, zakładając, że pamiętała.

Ale czy to teraz było ważne? Christine była córką Rhysa. Wally to wiedział i Alethea wiedziała. A teoria, którą się kierował podczas całego śledztwa rozpadła się na kawałki. To nie z powodu Harry'ego Havillanda ponieważ i torturowała swoje drugie dziecko, ale z powodu Rhysa.

Dlaczego? Co on jej takiego zrobił?

Może porzucił ją brutalnie w swojej dzikiej młodości. Może ją w jakiś sposób zlekceważył...

A może nic jej nie zrobił. Wally wzdrygnął ramionami. Równie dobrze mogło być tak, że prawa kierujące morderczymi postępkami Alethei były tak samo niezrozumiałe, jak te kierujące kapryśnymi bogami przywoływanyymi przez Greków w ich perwersyjnych tragediach. Być może rzecz była nie w tym, by zrozumieć takich ludzi jak ona, ale raczej by uciekać od nich ile sił w nogach i modlić się, by nigdy więcej ich nie spotkać.

Lecz los bywa kapryśny. I to co wydaje się nieprawdopodobne, staje się faktem.

19 marca, 20 października, 22 kwietnia, 5 czerwca... Sceptyczne podejście do astrologii mściło się na Wallym, naigrawając się z niego dziwacznymi równaniami. Ryby, Waga, Byk i Bliźnięta. I w dodatku ceremonia ślubu mająca miejsce w Buffalo 24 sierpnia, w pierwszym dniu znaku Panny.

Panną rządzi Merkury, bóg niewiadomego. Gdzie był Merkury tamtego sierpniowego dnia?

Było za późno, aby się nad tym zastanawiać. Ale jedno było pewne.

Kiedy Alethea podjechała swoim samochodem pod dom Damona, miała na celu rozdzielenie rodziny. I o tym była ta cała historia: o rodzinie, jej odnogach walczących, by spleść się po tak wielu latach separacji, i o ścieżkach uparcie przecinających się znów i znów, by w końcu zmienić swoje kierunki na dobre...

Może rzeczywiście jedynie ramiona sił nadprzyrodzonych były w stanie ogarnąć takie zbiegi okoliczności. Skromny pragmatyzm intelektu detektywa nie mógł się z nimi uporać.

A dziś... dziś był 1 kwietnia 1974 roku.

Prima Aprilis.

Wally przeklinał swoje zezowate szczęście. To przez nie spóźnił się na samolot o piątej trzydzieści!

LX

Damon działał metodycznie, bez pośpiechu. Wiedział, że Margot zjawi się wieczorem. Lecz lot do

Vegas i jazda autostradą nr 93 zajmą jej tyle czasu, że zdąży się przygotować na jej przyjęcie. Będzie się oczywiście spieszyła. Kiedy otrzyma jego wiadomość, pomyśli, że on jej potrzebuje. I rzeczywiście, potrzebował jej. Kluczem zabranym z domu w kanionie otworzył szafkę w pokoju z kominkiem i sprawdził dwukrotnie przewody prowadzące od kanistrów do paleniska. Wszystko było gotowe. Potem podjął ostatnią decyzję. Nastawił mechanizm zegarowy tak, by włączyć ogrzewanie, ale nie uruchomił go. To musi poczekać do przybycia Margot. Od momentu, kiedy mechanizm zegarowy zostanie uruchomiony, musi upłynąć czterdzieści do czterdziestu pięciu minut, żeby dom wypełnił się palnym metanem. Potem włącznik światła zapali kominek. Nic nie pozostanie. Dlaczego mieliby nas znaleźć tutaj, leżących jak wołowina w zamrażarce — zadał sobie pytanie, nalewając jednocześnie drinka. Poza tym, dom i tak nie będzie mi już po tym potrzebny. Kiedy wszystko było przygotowane, nastawił płytę z nagraniem partity Bacha w wykonaniu Szerynga i siadł z whisky w dłoni czekając na Margot.

LXI

Annie odetchnęła z ulgą. Nie przyzwyczajona do jeżdżenia autostradami musiała przedzierać się z trudem przez zatłoczone jezdnie, aby dotrzeć do trasy nr 15, a stamtąd do „czterdziestki”, która prowadziła na pustynię. Lecz teraz droga była pusta i jej jedynymi kompanami byli by lica i majestatyczny saguaros majaczące w zapadającym mroku. Za półtorej godziny dotrze do Needles¹, miasteczka,

¹needles w j. ang. znaczy igły (przyp. red.)

którego nazwa zawsze tak bawiła Damona. Stamtąd przez Kolorado dostanie się do Kingman i dzikiej, pustynnej krainy otaczającej samotny dom.

Było to zakazane środowisko, z piekielnym skwarem za dnia i mrozem w nocy. Wyjątkowo nieprzyjazne dla człowieka.

Lecz dziś wieczorem będą tutaj ludzie.

Ludzie, którzy ją powitają z otwartymi ramionami.

LXII

Frank bębniąc palcami, wsłuchiwał się w regularne sygnały na drugim końcu linii.

Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

— Hangar nr 12, mówi Jerry.

— Tu Frank McKenna od *Farrowsa, Farrowsa i Pierce'a*. Potrzebuję prywatnego odrzutowca. Muszę natychmiast polecieć do Arizony.

— Wszystkie odrzutowce są na trasach, panie McKenna. Zgodnie z umową należy je zamawiać na tydzień wcześniej. Jeśli chce pan zarezerwować samolot...

Frank zacisnął pięści.

— A co jeszcze macie?

— Jednego czy dwa *Pipery* i *Cessnę*. Jest trochę szybsza. Mogę pana nią zawieźć, jeżeli to takie pilne.

— Ile czasu to zajmie?

— A w którym miejscu w Arizonie?

— Na północ od Kingman.

— Może dwie i pół godziny. Zależy od wiatru. Frank spojrzął na zegarek. Pospieszna wizyta w mieszkaniu Annie nie przyniosła pocieszających rezultatów. Gospodyni niechętnie wpuściła go do środka, kiedy Annie nie odpowiedziała na dzwonek domofonu. Nie znalazł nic, co pomogłoby mu wywnioskować, dokąd się udała. Mogła wyjść tylko po zakupy lub gdzieś z wizytą.

Lecz jego ostatni telefon do działu łączności Rhysa

ujawnił, że Annie dzwoniła do nich i powiedzieli jej o planowanym spotkaniu Rhysa z Margot na pustyni. To Frankowi wystarczyło.

— Rozgrzewajcie Cessnę. Będę tam za piętnaście minut.

Odłożył słuchawkę potrząsając głową. Za dwie i pół godziny może być za późno.

LXIII

— Panie i ponowię, przepraszamy za opóźnienie, lecz będziemy musieli poczekać jeszcze kilka minut.

Głos kapitana był bezsilnym skrzekiem przez interkom, przytłumionym rykiem systemu wentylacyjnego samolotu.

— Rzecz w tym — wyjaśniał — że czekamy na około siedemdziesiąt posiłków, których jeszcze nie dostarczano z kantyny. Nienawidzę takich opóźnień, ale ponieważ jest to lot w porze obiadowej, nie mogę dopuścić, aby państwo zagłodzili się na śmierć w drodze na przyjemny weekend w Vegas. Przy odrobinie szczęścia za dwadzieścia minut powinniśmy się znaleźć na pasie startowym.

Pospieszcie się — pomyślał z irytacją Wally, obliczając czas potrzebny mu na znalezienie firmy wynajmującej samochody w Las Vegas, a potem na długą drogę przez pustynię.

Będzie już późno, kiedy tam dotrze. Może za późno.

Pospieszcie się.

LXIV

Dom był jasno oświetlony.

Wyglądał jak odświętnie udekorowana oaza na końcu długiego, zakurzonego pojazdu. Christine zaparkowała samochód. Kaktusy i bylice majaczyły tajemniczo w półmroku chłodnego wieczoru.

Wyjęła torbę podróżną, zatrzasnęła drzwi samochodu i zbliżyła się do drzwi frontowych.

Zapukała, a potem korzystając z własnego klucza otworzyła.

Resztką woli zmusiła się do uśmiechu. Zdawała sobie doskonale sprawę z zaistniałej sytuacji, ale zamierzała dziś wieczorem wkroczyć do tego domu jako Margot Swift, młoda kochanka Damona i matka jego dziecka. Damon stał pośrodku salonu wyciągając ramiona. Odstawiła torbę i podeszła do niego.

— Najdroższa — zamruczał, przygarniając ją do siebie. — Witaj w domu.

Ukryła twarz na jego ramieniu wdychając unikalny męski zapach.

Otaczające ją ramiona były ciepłe i silne.

— Chcesz się odświeżyć?

Potrząsnęła głową ujmując jego dłoń. Była gotowa poddać się całkowicie jego woli.

— Usiądziemy? — zapytał, ruszając w kierunku ogromnej sofy. —

Napijesz się czegoś?

— Wszystkiego, co mi podasz.

Przeszedł przez pozostałe pokoje gasząc światła. Potem zniknął na dłuższą chwilę. Christine nie widziała ani nie słyszała jak wszedł, a potem wyszedł z pokoju kominkowego.

Wreszcie do jej uszu dobiegło grzechotanie lodu w szklankach i Damon pojawił się w pokoju.

Postawił drinki na stole, sięgnął do kieszeni na piersi myśliwskiej koszuli i umieścił przed nią na blacie stołu maleńkie zdjęcie.

Nie dotknęła go. Z wyrazem poddaństwa w oczach patrzyła na Damona. W jego uśmiechu nie było cienia złości.

— Jak masz na imię?

Jej wahanie trwało ułamek sekundy.

— Christine.

— Christine — pokiwał po ojcowsku głową. — Śliczne imię. Oznacza pomazańca bożego. Piękne imię dla pięknej dziewczyny.

Odstawił drinka, wziął ją w ramiona i pocałował. Potem oparł się wraz z nią o poduszki, obejmując ją mocno.

Dotknął kolana nad jej bolącą stopą i spojrzał na leżące na stole zdjęcie.

— Podejrzewam, że musiałaś to zrobić. Skinęła głową chowając twarz na jego piersi.

— Nie pozostawiła mi żadnego wyboru. Chciała wszystko zniszczyć. Zresztą niszczenie stanowiło sens jej życia.

— Tak, wiem, kochanie.

Pociągnął łyk ze szklanki i westchnął głęboko.

— Czy zdążyła ci powiedzieć to, z czym przyszła? Christine przytaknęła ruchem głowy.

— Nie wolno ci się obwiniać. Wiem, kto ponosi odpowiedzialność.

Powinienem się był tego domyślić już dawno. Ale widzisz, maleńka, błędnie mniemamy, że możemy zostawić przeszłość za sobą. Nie możemy. Ona cały czas czeka. I w tym tkwi cała zagadka.

Wzruszył smutno ramionami.

— Tak mało dla mnie znaczyła. I myślałem, że już dawno odeszła.

Odeszła w aleje, w które ja nigdy nie zabłądzę. Teraz, po czasie, dostrzegam swój błąd. Grzechy ojców, dziecinko. Grzechy ojców.

Ujął jej twarz w dłonie z oczyma pełnymi bólu.

— I pomyśleć, że musiałaś przy niej dorastać. Potrząsnęła głową.

— To nieistotne. W końcu przecież cię odnalazłam. Nie wyglądał na przekonanego jej słowami. Oczy

dziewczyny wypełniły się łzami. Te łzy zdawały się ją oczyszczać i uwalniać, gdyż płakała po raz pierwszy w życiu.

— Kocham cię, tatuśku.

— Ja też cię kocham.

Czuła się przedziwnie oszołomiona. Rodzący się w gardle szloch był dla niej czymś tak nowym, że musiała się uśmiechnąć przez łzy.

Jej spojrzenie stało się błagalne.

— Nie sądzisz... nie sądzisz... że moglibyśmy jakoś...

Jego rysy pełne były rezygnacji i spokoju, obcych jego zdecydowanej twarzy.

— Nie, kochanie. Ale jeśli chcesz, możesz odejść. Z tym, że musisz to zrobić teraz, zaraz. Rozumiesz, prawda?

Przebiegła palcami po jego kręconych włosach.

— Zostaję.

Raz jeszcze przyciągnął ją do siebie. Złożyła z ufnością głowę na jego piersi, gdyż poczuła, że świat zaczyna wirować. Twardy grunt usuwał się spod jej stóp i on był jedynym, na czym mogła się wesprzeć.

Pokój wydawał się jarzyć nierzeczywistą jasnością. Zastanawiała się, czy ogląda świat po raz pierwszy.

Być może — zadumała się. Ale z pewnością po raz ostatni. Ta myśl wywołała u niej uśmiech. To była ironia losu, która zainteresowałaby Damona Rhysa, dramaturga— A zatem możemy wyjść razem na scenę, by zebrać

oklaski po przedstawieniu? — jego grobowy głos był spokojny. — Tylko ty i ja?

— Tak — dobiegł go jej szept. — Tylko my. Zburzył z roztargnieniem jej włosy.

— Czy byłaś z nią sama? — zapytał. — Kiedy byłaś mała...?

Przytaknęła.

— Miałam siostrę, ale nie przebywała z nami. Nigdy tak naprawdę jej nie znałam.

— To dobrze. Człowiek wie tak mało o innych ludziach... nawet tych najbliższych. Tylko mały wycinek, prawda? Lecz kiedy oni są dla nas ważni, to właśnie ta mała część się liczy. I to wystarczy.

Jego ręka przesunęła się w kierunku miękkiej przestrzeni między jej udami i dalej do pępka, pocierając jej ciało z powolną natarczywością.

— Deborah Anne Rhys — powiedział. Skinęła i ucałowała go w policzek.

— Byłaby częścią ciebie, tatuśku. Była cała twoja.

— Nasza, kochanie. Nasza.

Christine próbowała skupić wzrok. Już prawie nic nie widziała. Mimo to zalewające ją obrazy były wyraźne.

Napływały z jej wnętrza i unosiły się poprzez skórę do świecącego pokoju.

Następne słowa Damona zabrzmiały bardzo poważnie.

— Ona miała coś w zanadrzu, kiedy przyjechała, prawda? Coś, żeby ci udowodnić, że nie kłamie. Co to było?

W odpowiedzi podniosła na niego oczy. Z lekkim ukłuciem uświadomiła sobie, że zapomniała wczoraj rano włożyć zielone szkła kontaktowe Margot. Leżały nadal w łazience w domu w kanionie. Widocznie po tym, co się wydarzyło musiała podświadomie uzmysłwić sobie, że nie są jej dłużej potrzebne.

Tak więc spoglądała teraz na niego własnymi, niebieskimi oczyma, wzrokiem pełnym miłości i błagania i zobaczyła w błyszczącej, lodowatej powierzchni jego tęczywki znamię własnej przyszłości.

Wyczuł, co zobaczyła i przyciągnął ją bliżej. Przez moment studiował jej oczy z mieszaniną zaciekawienia i rezygnacji. Jego ciekawość została usatysfakcjonowana, choć nadzieje umarły.

Potem delikatnie ucałował jej zamknięte powieki.

— Jestem z ciebie taki dumny. Wiem, że to była długa droga. Ale w końcu przebrnęłaś przez nią zupełnie nieźle.

Ucałował jej czoło raz, potem drugi.

— Tak często powtarzałem, że nigdy nie miałem córki. A teraz tak się cieszę, że to byłaś ty, maleńka.

Chwyciła kurczowo jego rękę.

— Ja też się cieszę, że to byłeś ty, tatuśku.

— Zatem możemy przyjąć należne nam brawa nie oglądając się wstecz.

Jego głos dochodził do niej z bardzo dużej odległości. Jego twarz odpływała. Z bólem pomyślała o nowym życiu w niej i o straszliwej jego utracie. Wiedziała teraz, jak musiała się czuć Annie po wypadku.

Damon zauważył jej cierpienie i przygarnął ją mocniej.

— Razem, kochanie — powiedział uspokajając ją swoją intuicją. —

Odpocznij teraz razem ze mną.

Przylgnęła słabo do tego głosu, który wyslizgiwał się poprzez jej uścisk. Damon oddalał się coraz bardziej. Pokój zdawał się skrzyć jak zimowy śnieg i topniejące w promieniach słońca sople. Jego ręka była liną ratunkową utrzymującą ją na ziemi, podczas gdy ściany pokoju odpływały w dal.

Świat zatapiał się w swoim zagubionym, pierwotnym stanie doskonałości. Bezgłośny i spokojny, bez ludzkiego głosu czy dotyku. Cierpienie Christine osiągnęło szczyt w tej próżni, a potem opadło. Ponieważ dom zaczął powracać. Lecz był to dom z jej snu, wznoszący się ślicznie i biało wokół niej, swoją majestatyczną harmonią przeganiając zimną chaotyczność świata.

Ogromne okna były szeroko otwarte. Niebo było tak białe jak ściany. Firanki wydymały się, przezroczyście jak wiatr.

Dzieci przesuwają się wolno po podłodze jak widziane z samolotu samochody. Pograżone w słodkiej fascynacji bawiły się doskonale bezpieczne. Żadnemu nie groziło niebezpieczeństwo, żadne nie płakało ani nie było zmartwione.

Damon znajdował się teraz bardzo daleko od niej. Nawet ręka, która ją trzymała, wydawała się rozplýwać. Nie mogła oddychać. Ale miała wrażenie, że nie potrzebuje już oddychać.

Jedynie dzieci pozostały. Christine czuła, że powiększa się tak, iż wypełnia sobą białe pokoje, wciela się w wiatr i trzepoczące na nim firanki. Dzieci nie musiały teraz unosić wzroku i zastanawiać się, czy ona jeszcze tam jest, gdyż była ich oczyma, ich zabawą.

Była wszędzie naraz, biała, miękka i falująca.

Była światem.

I dlatego mogła się sama w sobie zatracić.

Damon odszedł. Jednak nie czuła się przez niego osierocona. Ponieważ tam gdzie była, nie mogła być samotna.

Biel rosła i kwitła, kiedy Christine osuwała się w ciemność.

LXV

Annie była zmęczona.

Uświadomiła sobie, jak mało spała w ostatnich dniach. Nie kończąca się pustynna droga niebezpiecznie kołysała ją do snu. Czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek, kiedy jej reflektory rozświetlały bezludny krajobraz.

Lecz uśmiechała się, ponieważ wiedziała, że już niedługo ujrzy Damona i Margot. Bezdusznosc Los Angeles i dolin była poza nią. Przed nią była rodzina.

Próbowała myśleć o tym, jak ich zaskoczy i co powie, kiedy Damon otworzy drzwi.

— Czy zamawiał pan pizzę, sir?

Ta myśl rozweseliła ją.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta piętnaście.

Za niecałe pół godziny będzie na miejscu.

LXVI

95, 98, 100, 98...

Wally miał serce w gardle, kiedy światła jego reflektorów pruły pustkowie trasy nr 93. Nigdy nie był zbyt brawurowym kierowcą, jednak teraz pośpiech dodawał mu odwagi.

Nie zwracał uwagi na szybkościomierz. Gdyby go zatrzymano przekonałby patrol drogowy, by pojechali z nim. Jego układy z policją w Nevadzie i Arizonie były bez zarzutu. W przeszłości wyświadczył im niemałe przysługi.

Jednak lodowaty strach obejmował go teraz coraz silniejszym uściskiem. Christine była w ciemnościach przed nim i wyczuwał zbliżające się do niej niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, którego nie mogła przewidzieć, ponieważ nie znała go z przeszłości.

Znajdowała się na gruncie, po którym nigdy dotąd nie stąpała. To właśnie stanowiło największe zagrożenie.

I, w dziwnym sensie, to samo dotyczyło Wally'ego. — Cholera! — krzyczał w pustkę, naciskając gaz do dechy. — Cholera!

LXVII

— Jesteśmy nad Kolorado — powiedział pilot, wskazując gruby, ciemny kształt rzeki poniżej tarczy księżyca.

— Jak długo jeszcze? — spytał Frank, spoglądając na zegarek.

— Dwadzieścia minut do lotniska — powiedział pilot ziewając, a potem popijając łyk kawy. — Stamtąd weźmie pan samochód...

— Nie będziemy lądować na lotnisku. Pilot spojrzał na niego z przestraszonym.

— Niech pan posłucha, panie McKenna. Są przepisy. Muszę chronić swoją licencję. Nie może pan po prostu...

— Nie ma czasu. Proszę stosować się do moich wskazówek. Nie pożałuje pan tego, wynagrodzę to panu.

— Jezu — pilot zerknął nerwowo przez okienko na oddalającą się rzekę.

LXVIII

Annie dostrzegła dom z drogi.

Niemal wszystkie światła były wygaszone. Pojedynczy odbłask z salonu czynił to miejsce podobnym do odległej planety.

Zaparkowała samochód na brudnym podjeździe za jasnym sedanem.

Przypuszczała, że wynajęła go Margot. Wysiadła zabierając ze sobą neseser.

Włożyła klucz do zamka frontowych drzwi. Nie ustąpiły. Były zamknięte od środka na zatrzask.

Zaskoczona zapukała i nacisnęła dzwonek. Żadnej odpowiedzi.

Przeszła na tyły domu trzymając się ścieżki, żeby nie

wpaść na kaktusy i uniknąć kontaktu z prowadzącymi nocny tryb życia stworzeniami.

Tylne drzwi były również zamknięte na zatrzask.

Zakłopotana zaczęła zaglądać do okien.

Kiedy dotarła do okna salonu, musiała podskoczyć, żeby zajrzeć do środka. Zasłony były zasunięte, lecz przez szparę między nimi widziała kanapę.

Na niej skuleni obok siebie znajdowali się Damon i Margot. Ich pozycje były nienaturalne.

Annie poczuła się zdesperowana. Odstawiła torbę i chwyciła jeden z leżących na podjeździe kamieni.

Rozbiła szybę we frontowych drzwiach, włożyła rękę do środka i otworzyła zatrzask.

W mgnieniu oka wpadła do salonu.

Dom sprawiał dziwne wrażenie. Zaczęła odczuwać zawroty głowy.

Ruszyła w kierunku kanapy.

Dotknęła najpierw ramienia, potem twarzy Damona. Była zimna.

Potrząsnęła nim mocno, ale on jedynie zsunął się niżej i wypuścił z ręki dłoń Margot.

Dotknęła z kolei Margot. Była tak samo zimna i nieruchoma jak Damon. Na stole obok drinków leżała mała fotografia. Próbowwała skupić na niej spojrzenie, lecz wydawała się ona ginać w skrzęcej i rosistej atmosferze pokoju.

Wszystko świeciło z niepojętą ironią sprawiając, że Annie ziemia zaczęła wirować pod stopami. Czowała narastający w sobie śmiech, niesamowity, nieludzki śmiech bez wesołości, który chciał wylecieć z niej i zawisnąć w powietrzu jak zły duch. Z trudem łapała oddech.

Ogarnęła ją taka panika, że zwróciła się do Damona, by dodał jej odwagi. Potrząsnęła nim z całej mocy i ciągnęła za jego myśliwską koszulę. Lecz nie dawał znaków życia.

Zwróciła się więc do Margot, lżejszej z dwóch nieruchomych postaci.

Schwyciła ją za ramiona i zaczęła ściągać z kanapy. Lecz straszliwa, szydercza wesołość rosła w niej z każdą chwilą podkopując jej siły, pożerając jej wolę. Margot wydawała się niewiarygodnie ciężka.

Annie traciła oddech. Łzy spływały jej po twarzy.

Piękne i śmiercionośne powietrze w pokoju sprawiało, że otaczające ją przedmioty zaczynały odpływać w dal.

Opadła ciężko na dywan z zimnym ciałem Margot na kolanach. Spojrzała na zdjęcie na stoliku. Oddalało się w kierunku kanapy. Nie była w stanie rozpoznać przedstawionych na nim osób.

Słabnącymi palcami dotykała włosów i policzków Margot. Wiedziała, że wydarzyło się coś strasznego, ale nie odczuwała już strachu, a co więcej, odeszła od niej chęć jakiegokolwiek działania.

Gdzieś w uszach dźwięczał jej odległy i nierealny ryk silników.

Zdołała ułożyć głowę Margot na dywanie, po czym osunęła się bezwolnie obok.

Zawładnęła nią nicość. Wpatrywała się w twarz przyjaciółki, próbując po raz ostatni ją dobudzić.

Ryk silnika wzmógł się, zmuszając ją do zamknięcia oczu. Ostatkiem woli otworzyła je jednak i zobaczyła dłoń Margot w swojej ręce.

W tym momencie wrócił do niej sen z dawnych lat. Ujrzała ogień wyskakujący z oczu małej dziewczynki, by ją strawić i czuła jak małe rączki wysysają krew z jej palców.

Zaczęła niknąć.

Jakże fałszywy jest ten świat, przebiegła jej przez głowę ostatnia myśl, a jej przerażenie zaczęło przechodzić w nieświadomość. Grunt wyślizgiwał się spod jej ciała. Ziejąca pod nim próżnia przepływała przez nią pozostawiając ją z niczym. Umieściła ich wszystkich w nicości jak potwór, który pożarł świat, a potem samego siebie.

W ostatnim ułamku sekundy zobaczyła, że oczy dziewczynki otworzyły się. Tym razem nie były wypełnione płomieniami lecz chłodną, błękitną wodą, wodą do której skoczyła radośnie zastanawiając się, czy pochłonie ją na zawsze.

W gorączkowym podnieceniu pogrążyła się w krystalicznym błękicie, który zamykał się nad nią.

Frank widział w oddali Wielki Kanion rozdzielający łąd jak monstrualna przepaść. Na horyzoncie widoczna była Mount Tipton. W dole, w świetle księżycy widniała droga.

— Lądujemy — powiedział.

— Gdzie, człowieku, chyba zwariowałeś — pilot był wyraźnie przerażony.

— Ląduj na drodze. Rób, co ci mówię.

— Człowieku, zabijemy się! Pozwól mi dolecieć do Berry. Zdasz na czas. I będziesz żywy, na litosc

— Wiem, gdzie jesteśmy. To małe światełko w dole to dom. Ląduj, albo skręcę ci kark i sam wyląduję.

Z głębokim westchnieniem rezygnacji pilot sprowadził mały samolot w dół między pagórki.

Wylądowali na środku pustynnej drogi. Światełko znajdowało się daleko przed nimi, a czasu było coraz

Naprzód — komenderował Frank przez zaciśnięte zęby — kieruj się na podjazd.

Pilot podjechał nerwowo niemal do końca podjazdu. Frank odpiął pasy, wyskoczył przez odsunięte drzwi i ruszył pędem w kierunku domu.

Zobaczył wynajętego sedana i mały samochód Annie. W pewnej odległości od niego leżała torba podróżna.

Spojrzał na rozbitą szybę w drzwiach. Pchnął je silnie i wpadł do środka.

Damon leżał skulony na kanapie. Na podłodze, zwrócone twarzami do siebie ze splecionymi dłońmi, leżały obie dziewczyny.

Dotknął po kolei skóry wszystkich trojga. Damon i Margot byli zupełnie zimni, Annie jakby mniej.

Uświadomił sobie momentalnie, że dom jest pełen gazu. Pamiętał o kanistrach, ale nie miał czasu teraz się nimi zajmować.

Otworzył szeroko drzwi w salonie, dopadł ponownie do Annie i wziął jej wiotkie ciało na ręce jak szmacianą lalkę.

Odczuwał już dziwne oszołomienie. Musi ją stąd wydostać.

Przebiegł przez otwarte drzwi, unosząc ze sobą Annie. Nocne powietrze było ratunkiem dla jej zatrutego organizmu.

Ułożył dziewczynę na ziemi kilka metrów od progu, zerknął na samolot stojący absurdalnie na drodze, wtedy zobaczył nadjeżdżający samochód. Kiedy zamierzał wrócić do środka po Margot i Damona, raptem przypomniał sobie o mechanizmie zegarowym.

Podniósł Annie i rzucił się z nią w ramionach do samolotu.

Obserwujący sprint Franka pilot drapał się z niedowierzaniem po głowie. Nagle ciemne niebo rozdarła potężna eksplozja. Takiego huku Frank nie słyszał nigdy w życiu. Zobaczył w oczach pilota odbicie płomieni ogarniających dom. Odwrócił się i ujrzał budynek podrygujący w gigantycznych spazmach i rozpadający się na kawałki.

Stał oniemiały, zszokowany świadomością, że tylko sekundy dzieliły spoczywającą w jego ramionach kobietę od unicestwienia.

Nagle zauważył korpulentnego jegomościa ubranego w jasną, sportową marynarkę, który zmierzał w jego kierunku od stojącego przy samolocie auta.

Frank był zbyt zaabsorbowany słabym pulsem, jaki wyczuwał w szyi Annie, by poczuć się zaskoczonym pierwszymi słowami małego człowieczka.

— A Rhys i ta druga dziewczyna?

— Za późno.

EPILOG

Annie siedziała obok Franka na widowni Pawilonu Dorothy Chandler słuchając jak David Niven przedstawia Charltona Hestona i Susan Hayward, którzy mieli otworzyć kopertę z nazwiskiem Najlepszej Aktorki roku 1973.

Nie docierały do niej ich słowa ani wymuszone żarty, które miały utrzymać atmosferę napięcia.

Ceremonia przebiegała zgodnie z planem. Jedynym nieprzewidzianym punktem programu było przekazanie oszołomionej publiczności potwornej wiadomości o Dämonie Rhysie i jego osobistej asystentce. Ich pogrzeb odbędzie się dopiero pojutrze.

Piętnaście minut wcześniej Damon został pośmiertnie nagrodzony Oscarem za najlepszy scenariusz do *Brzemiennego zaulka*. Przedtem pokazano pospiesznie zebrane fragmenty jego teraz już legendarnych filmów, wraz z krótkim montażem ilustrującym życie i karierę Rhysa. Mark Salinger odebrał Oscara dla Damona ze łzami w oczach, prawie niezdolny do wyartykułowania kilku słów podziękowania w imieniu nieżyjącego przyjaciela.

Annie ścisnęła mocno dłoń Franka.

Jej świat bez Damona i Margot kończył się. Strata była tym boleśniejsza, że nie mogła zrozumieć jej przyczyny.

Jeszcze wczorajszego ranka oczekiwała na umówiony lunch z Damonem i miała nadzieję otrzymać dobre wieści od Margot z Iowy. Potem zaczął się ten horror,

który ogarnął ich wszystkich i o mały włos nie zakończył także jej życia. Co zaszło?

Damon nie sprawiał wrażenia przygnębionego, kiedy ostatnio kilkakrotnie rozmawiała z nim przez telefon. Lecz gazety spekulowały, że do popełnienia od dawna planowanego samobójstwa pchnęła go depresja po ukończeniu filmu, pogłębiona nieznanymi okolicznościami. Przypuszczano, że Margot została uwikłana w tę sytuację wskutek tragicznego nieporozumienia.

Lecz Annie wiedziała, że Damon polecił jej dołączyć do niego w domu w Mojave. Czy miał przez to nadzieję, że jego własne demony w ostatniej chwili odroczą wykonanie wyroku?

Annie nigdy się tego nie dowie.

Wiedziała jedynie, że oni odeszli.

A ona była tutaj.

Frank siedział nieruchomo jak głaz, ze świadomością, iż jego obecność jest jej teraz niezbędna.

Wally Dugas opowiedział mu wszystko, kiedy czekali przed stacją pogotowia ratunkowego w Kingman, ciągle niepewni czy Annie wyjdzie z tego zatrucia gazem bez uszczerbku na zdrowiu.

Detektyw zdawał się posiadać encyklopedyczne opanowanie faktów z życia Annie, których istnienia Frank nie podejrzewał. Potwierdził nie tylko koszmarną prawdę dotyczącą utajnionego życia Harmona Kurtha, zawartą w tajnym archiwum Martina Farrowa, lecz także domysły Franka co do plugawej kampanii reklamowej rozpętanej wokół *Godziny nocy*.

— To wszystko było wyssane z palca — powiedział. — Annie nigdy nie zetknęła się z Shainem osobiście przed rozpoczęciem pracy nad filmem.

A poza nim nigdy nie było żadnych mężczyzn w jej życiu, panie

McKenna — uśmiechnął się. — Oprócz pana.

Detektyw sprawiał wrażenie zrezygnowanego z powodu roli, jaką odegrał w szykanach Kurtha, roli, nad którą się nie rozwodził. Natomiast śmierć Margot wstrząsnęła nim dogłębnie, co Frank wyraźnie widział.

Jeśli chodzi o Annie, Dugas nigdy jej nawet nie spotkał, lecz wykazywał niezwykle inteligentne zrozumienie jej osobowości.

Obaj mężczyźni zgodzili się co do tego, że nie powinna poznać prawdy o wybuchu, który o mało co jej nie zabił. Ta historia była zbyt koszmarna, by musiała ją poznawać teraz.

— Przeżyła — powiedział Wally. — Nie ma potrzeby mówić jej o tych sprawach. Może bez tego żyć.

Potrząsnął głową.

— Z Christine było zupełnie inaczej. Ona wiedziała wszystko. Musiała wiedzieć. Czowała nadchodzącą śmierć i nie bała się jej. Ona już użyła dosyć życia, panie McKenna. Natomiast nigdy nie będę wiedział, jak Rhys czuł się na końcu.

Frank spojrzał w oczy małego detektywa.

— Wyobrażam sobie, że czuł się dumny.

I, być może, myślał Frank, ta duma i obecność Christine u jego boku uczyniły spotkanie ze śmiercią pięknym. Zbyt wiele samotności było "w jego egzystencji, z alkoholem jako jedynym towarzyszem. Może więc umierał w poczuciu spełnienia, w atmosferze ciepła promieniującego od podwójnie ukochanej osoby.

Frank nigdy się tego nie dowie.

Ale wie, że Annie żyje.

Na pogotowiu trzymał ją długo za rękę, zanim wyznał jej swoje uczucie. Przeprosił ją też za to, że dopuścił, by okoliczności rozdzieliły ich na tak długi czas. Powiedział, że rozumie, jeśli nie będzie mogła zdobyć się na ofiarowanie mu tego zaufania, którego sam jej odmówił.

— Kocham cię i pragnę, abyś za mnie wyszła. Nie musisz mi teraz odpowiadać, ale chcę żebyś wiedziała, iż o to prosiłem i że czekam na ciebie, jeśli mnie zechcesz.

W odpowiedzi uściskała go mocno i poprosiła, żeby nie pozwolił jej znowu zagościć na szpitalnym łóżku.

Lecz nie był w stanie stwierdzić, co ten uścisk oznaczał.

— Nominacje do nagrody dla Najlepszej Aktorki otrzymały Joannę Woodward za *Letnie pragnienie, zimowe marzenia...*

Wymieniano po kolei nazwiska nominowanych aktorek i pokazywano krótkie urywki ich filmów. Annie ujrzała przed sobą ciało Daisy, uchwycone kamerą Marka Salinger, wykreowane oczyma Damona. W końcu nadszedł moment kulminacyjny. Widownia zaczęła się nawzajem uciszać. Telewizjowicze w setkach krajów obserwowali, jak Susan Hayward otwiera kopertę.

W jej oczach zabłyśły łzy radości.

— Nagrodę Akademii dla Najlepszej Aktorki otrzymuje Annie...

Wybuch burzliwego aplauzu zagłuszył jej dalsze słowa. Publiczność wstała z miejsc. Kamery skupiły się na twarzy Annie.

Odwróciła się do Franka i ucałowała go w policzek. Pomógł jej wstać, oczyma pytając, czy podprowadzić ją do estrady. Potrząsnęła głową i zaczęła sobie torować drogę wśród wiwatującej na jej cześć widowni. Susan uściskała ją szepcząc.

— Tak mi przykro, Annie. Bądź dzielna. Damon jest dumny z ciebie, gdziekolwiek się znajduje.

Potem Annie stała ze statuetką w dłoni, uśmiechając się najpromienniej jak potrafiła do ukazujących ją w zbliżeniu kamer. Coraz głośniejsza burza oklasków i okrzyków zdawała się rozsadzać ściany.

Kiedy patrzyła na rozentuzjasmowany tłum, nagła jasność przyćmiła jej udrękę. Klaszcząc w dłonie, jakby dzisiejszy wieczór miał się nigdy nie skończyć, sami ulotni jak opadające liście, obywatele tego miasta snów przelewali na nią swoje uczucia. W postaci odbijającego się od ścian echa, które wkrótce umrze w powietrzu wieczoru, uśmiechając się w kierunku sceny, która wkrótce opustoszeje. A mimo to ta ulotność uczyniła ich tym bardziej pięknymi, jak opowieści, które zapisywali na celuloidzie dla spragnionego marzeń rodzaju ludzkiego.

Choć myśl ta narodziła się w jej umęczonym umyśle,

zdawała się należeć do Damona. A to sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej samotna.

On odszedł. A on lepiej niż inni rozumiał, że wszyscy i wszystko musi zniknąć, prześlizgując się między naszymi palcami, nawet jeśli zielona ziemia wydawała się być czymś wiecznym dla naszych ułomnych oczu czy dla naszego dotyku.

Takie było życie dla Damona. I takie było teraz dla Annie, choć bardziej bolesne, gdyż on i Margot opuścili ją tak wcześnie, tak nielojalnie wcześnie.

Kiedy aplauz zaczął w końcu cichnąć, dała znak, że chce coś powiedzieć. — Dziękuję bardzo za waszą serdeczność. I za nagrodę, która znaczy dla mnie więcej, niż można wyrazić słowami — targujące nią emocje zapierały jej dech. — Wszyscy ci wspaniali i pełni poświęcenia ludzie, którzy pracowali nad *Brzemienym zaulkiem* wiedzieli od samego początku, że Daisy i jej historia nie mogłaby zaistnieć, a co więcej, zostać przeniesiona na ekran, gdyby nie geniusz i niezmordowany duch Damona Rhysa. Jednakże niewielu zdawało sobie sprawę z faktu, że to Margot Swift, asystentka i przyjaciółka Damona, odegrała główną pomocniczą rolę w tworzeniu scenariusza. To również jej kwestie czytaliśmy w filmie. Margot zetknęła się z Damonem będąc dopiero u progu zawodowej kariery, podczas gdy on był w jej punkcie kulminacyjnym. Znaczyli dla siebie nawzajem bardzo wiele i przyjmując tę nagrodę chylę czoła przed miłością, która sprawiła, że byli sobie niezbędni. Mnie także.

Spojrzała błyszczącymi oczyma na milczącą publiczność.

— Dziś wieczorem czuję, że utraciłam rodzinę. Damon Rhys był dla mnie ojcem w najpiękniejszym i najgłębszym sensie tego słowa. Dał mi dumę i odwagę by zmartwychwstać, kiedy myślałam, że nie ma już dla mnie żadnego ratunku. Tak bardzo go kochałam...

Ogarnął ją tak przemożny smutek, że przez długą chwilę nie mogła wydobyć słów ze ściśniętego gardła.

— Margot była dla mnie w każdym calu siostrą, której nigdy nie miałam. Wspierała mnie każdym gra-

mem swej ogromnej siły i rozumiała mnie być może lepiej, niż ja sama. Zawsze będę myślała ze złamanym sercem o przyszłości, którą jej odebrano, lecz z wdzięcznością o tej części z niej, którą byłam w stanie poznać.

Przerwała, uśmiechając się łagodnie.

— Podobnie jak wy wszyscy, czuję się dziś potwornie w obliczu utraty Damona i Margot. Ale nie czuję się opuszczona. Wy wszyscy jesteście tutaj ze mną. I chcę, abyście stali się moją rodziną. Wasze przywiązanie i zachęta znaczą dla mnie ogromnie dużo. Obiecuję, że nigdy was nie zawiodę. Będę wam dawała z siebie wszystko, co najlepsze i nie zapomnę tego wieczoru i tej chwili dopóki będę żyła.

Kiedy schodziła ze sceny zerwał się nieopisany aplauz, nabrzmiewając wielkimi falami pod kopułą sali.

Torując sobie drogę do przejścia, widziała setki twarzy ze śladami łez, promieniujących uśmiechami przeznaczonymi dla niej i tysiące rąk bijących jej brawo.

I zobaczyła czekającego na nią Franka.

Przepełnieni współczuciem przedstawiciele prasy, rozumiejąc wyczerpanie emocjonalne Annie, zwolnili ją z obowiązkowych wywiadów po ceremonii.

W pół godziny po jej przemówieniu uroczystość zakończyła się.

Przyjawszy w zielonym pokoju uściski i gratulacje od dziesiątek sympatyków, została wreszcie sama z Frankiem. Spacerowali przez noc w kierunku jego samochodu.

W powietrzu pachniało już latem. Aromat odległego oceanu mieszał się z zapachem eukaliptusa, jaśminu, skoszonej trawy, ludzi i samochodów pod gwieździstym, hollywoodzkim niebem. Annie przypomniała sobie podobną chwilę, kiedy szła Fountain Avenue z Beth Holland na pierwsze przypadkowe spotkanie z człowiekiem o nazwisku Damon Rhys.

To było pięć lat temu. A wydawało się, że co najmniej sto. To samo powietrze, to samo miasto. Wówczas zadawała sobie zdziwiona i zatrwożona pytanie, czy to moż-

liwe, żeby za jakimś zrządzeniem losu te ulice stały się jej domem. Frank w jednej ręce niósł statuetkę. Druga spoczywała na ramieniu Annie.

Kiedy dotarli do samochodu zwrócił się do niej.

— Dokąd?

— Przecież wiesz.

Schylił się i ucałował jej policzek. Oboje wiedzieli, że ciche pokoje jego mieszkania czekały na nich. Nic już nie oddzielało jej od nich ani od Franka.

Odsunął ją na odległość ramion, patrząc, jak kołysze się z na wpół przymkniętymi oczami. W cieniu jego kolosalnie silnej sylwetki wyglądała jak zmęczona i krucha nimfa.

— A co będzie potem? — zapytał.

W jej oczach ból stapiał się z tęsknotą.

— Ty naprawdę mnie chcesz? Nie wiem, kim jestem, Frank. Wydaje mi się, że nigdy nie wiedziałam, skąd przychodzę i dokąd zmierzam. Czy potrafisz to zrozumieć?

— Ja wiem, kim jesteś.

Spojrzała na niego ze zmieszaniem przepelnionym czułością. Być może miał rację. Być może przez całe swoje życie próbowała dokonać na własną rękę czegoś, co nie było możliwe w pojedynkę. Być może jednym sposobem na odnalezienie własnego, ja" było podarowanie go temu właśnie mężczyźnie. Być może jedyną Annie Havilland wartą poznania była ta, która odbijała się w jego oczach.

Ukryła twarz na jego piersi. Wypełniające ją oczekiwanie zdawało się wreszcie dobiec końca. Do czego było się spieszyć? Od czego uciekać? Pośpiech ustąpił przed rozpościerającą się przed nią, nieodganioną jak zawsze lecz otoczoną nimbem szczęścia przyszłością.

W chwilę później byli w samochodzie, ze statuetką na tylnym siedzeniu. Bez trudu włączyli się w nocny ruch uliczny.

Ręka Franka przykrywała dłoń Annie, która zamknęła oczy, zadowolona, że może wreszcie dać im odpocząć. Przesuwająca się pod nią droga kołysała ją do snu.

Frank będzie czuwał nad nią dzisiejszej nocy, a ręka, którą trzymała, była jedyną liną ratunkową, jakiej teraz potrzebowała.

Ścisnęła ją tytułem próby. W odpowiedzi uścisk mężczyzny stał się silniejszy.

I tak pozostali przez całą drogę do domu.